

Dar języków

Jeffery Deaver



calibre 0.9.27

Jeffrey Deaver

Dar jezykow

Przelozyła: Agnieszka Fulinska

Wydanie oryginalne: 2000

Wydanie polskie: 2003



TMN

Dla Diany Kenne,

ktora jest natchnieniem wymagajacym krytykiem,

czescia moich ksiazek, czescia mojego zycia. Z miloscia...

Podziękowania

Pragne szczególnie goraco podziękować Pamelę Dorman z wydawnictwa Viking za redaktorski upor i cierpliwość (nie mówiąc już o odwadze), które skłaniają autorów do dążenia do podobnego poziomu doskonałości, jaki ona osiągnęła w swojej pracy. Wyrazy wdzięczności kieruję do Deborah Schneider, drogiej przyjaciółki i najlepszej agentki na świecie. I do całej ekipy Viking/NAL, zwłaszcza do Elaine Koster, Michaeli Hamilton, Joego Pitmana, Cathy Hemming, Matthew Bradleya (który setki razy zdobył tytuł Combat Publicist) i Susan O'Connor. Moja wdzięczność nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał o wspaniałych ludziach z wydawnictwa Curtis-Brown w Londynie, zwłaszcza Dianie Mackay i Vivienne Schuster, oraz ze znakomitego brytyjskiego wydawnictwa Hodder & Stoughton - Carolyn Mays, Sue Fletcher i Peterze Lavery. Dziękuję również Cathy Gleason z Gelfman-Schneider. Dzięki i „hej” dla Traccy, Kerry, Davida, Taylora, Lisy, Caseya oraz Bryana Dużego i Bryana Malego.

SRODA

Pierworodni

Na poczatku bylo Slowo, a Slowo bylo u Boga, a Bogiem bylo Slowo.

Ewangelia sw. Jana (1,1)

Rozdział 1

Po polnocy niebo zakrył całun chmur, ale nie spadła ani kropla deszczu.

Pod tym zadziwiająco ciepłym kwietniowym niebem mężczyzna brodził wśród dzikiej marchwi i bladej turzycy. Zmierzal w stronę niewielkiego kamiennego budynku ze zwiertzalego, cielistorozowego granitu, usadowionego na wzgórzu porośniętym różnymi gatunkami sosen.

Zatrzymał się na chwilę, po czym podszedł do metalowych drzwi i wyciągnął z niewielkiej torby młotek i dłuto, oglądając się przy tym za siebie w kierunku polany. Nie było na niej nikogo, tylko dwie sowy dziobały coś na wpoli zakopane wśród krokusów, których kielichy wznosiły się w górę niczym dłonie w błagalnym geście. Odwrócił się do budynku, przyłożył dłuto do kamienia i zaczął stukac. Raz, drugi, dziesiąty. Dzwieczne uderzenia rozlegały się głośno w nocnej ciszy.

Przez pół godziny pracował młotkiem i dłutem wzdłuż całych drzwi. Kamień kruszył się, kawałki odpadały. Rozległ się grzmot. Wiosenne niebo rozjarzyło się językami białego ognia. Stłumiony dźwięk grzmotu przetoczył się powoli, po czym ucichł.

Deszcz wciąż nie padał.

A gdy usłyszał, że Łazarz nie żyje, Jezus wrócił do Betanii i udał się do grobu, i stanął przed kamieniem zamykającym grob. Spojrzał w niebo i rzekł: „Ojcze, dziękuję ci, żeś wysłuchał moich słów”.

Aaron Matthews był wysokim, szpakowatym mężczyzną o silnym, szczupłym, zylastym ciele. Wyglądał na jednego z tych ludzi, którym nie sprawia przyjemności ani jedzenie, ani alkohol, aż dziwne, co ich utrzymuje przy życiu. Pocił się obficie w panującej duchocie, przerwał więc pracę, by zdjąć koszulę, i zabrał się na powrót do obtłukiwania kamienia, poszukiwania jego słabych miejsc.

Wkrótce granit wokół zawiasów był na tyle osłabiony, że mógł użyć łomu. Wywazył drzwi. Upadły z trzaskiem i Matthews wszedł do środka.

Rozbłysło światelko zapalniczki; ruszył wzdłuż szeregu niewielkich drzwi. Przez chwilę miał wrażenie, że trafił wprost do Piekła Dantego, że to Wergiliusz przysłał go do tej żalobnej jaskini, upstrzonej celami oszłomionych grzeszników, zgietych wpoli, skazanych na wieczność w dusznym

zamknieciu.

Wreszcie znalazł to, czego szukał: malenka tabliczka z wypisanymi drobnymi literami imieniem i nazwiskiem: *Peter Matthews*. Te drzwi również były zamknięte, ale puscily po kilkunastu uderzeniach młota.

Matthews popchnął je, po czym wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął gestych ciemnych włosów młodzieńca. Chwycił go za rękę i wyciągnął z krypty, po czym wziął mocno w ramiona. Przez kilka chwil leżeli na podłodze, twarz przy twarzy, policzki ojca gorące, syna - zimne.

I nakazał Jezus, żeby odsuneli kamień z grobu, i zawołał donosnym głosem: „Lazarzu, wyjdź”.

Wziął chłopca na rękę i chwiejnym krokiem ruszył ku furgonetce zaparkowanej na cmentarnej ścieżce. Spojrzał na jego twarz. Czyżby się poruszył? Zastanowiło go to. Nachylił się. Czyżby poczuł oddech na policzku?

„Lazarzu wyjdź”

I tak, tak!

Człowiek, który był zmarły, ożył znowu.

Otworzył furgonetkę i ostrożnie złożył ciało młodzieńca z tyłu samochodu.

Matthews przejechał między kamiennymi kolumnami u wejścia na cmentarz i wkrótce mknął już po szosie. Zmierzal przez dolinę Shenandoah w głąb masywu Blue Ridge, wjeżdżając coraz wyżej na wzgórza, aż światła miast, a później odosobnionych domostw przygasły. Kilka mil od cmentarza skręcił na bitą drogę i posuwał się powoli tunelem o ścianach ze szczwołu i sosen.

Tuż za przełęczą, gdzie droga przechodziła między dwoma stromymi, porośniętymi dziką winoroślą wzgórzami, rozciągała się płytka czarna dolina. Pomiedzy chropowatymi pniami drzew widac było gromadkę niskich, podniszczonych budynków.

Matthews zatrzymał furgonetkę i rozejrzał się ostrożnie w poszukiwaniu intruzów, chociaż nie spodziewał się włamania. Ogrodzenie było pod napięciem, którego wartość przekraczała dozwoloną, a dziesięciu akrow terenu strzegło pięć potężnych rottweilerów, tak dzikich i złych, jak to tylko możliwe, o zębach ostrych niczym z obsydianu. Polowały stadem i raz lub dwa razy w tygodniu rozszarpały jelenie, które zablakowały się w pobliżu, gdy brama była otwarta.

Same zabudowania miały powierzchnię dziesięciu tysięcy stop kwadratowych i były zbieraniną rozpadających się parterowych budynków, sypialni i kaplic, w większości połączonych ze sobą, zbudowanych z desek, gontów, pustaków i stiuków. Całość przypominała wymarłe miasto w Kolorado.

Katedra wśród Sosen - tak jego ojciec nazwał to miejsce, gdy nabył je lata temu. I tak nadal głośliwa zniszczona tabliczka. Mnóstwo niewielkich pokoi, gorących i dusznych latem, koszmarne posępnych zimą. Główna kwatery mieszkalna składała się z piętnastu niedźnych pokoi bez kanalizacji.

Była tu również trzypietrowa kaplica i pięćdziesiąt opuszczonych pokoi gościnnych.

Enklawa nawiązywała do wielkiej tradycji zielonoswiatkowych i fundamentalistycznych obozów odnowy religijnej rozrzuconych po całej dolinie Shenandoah. Gdy WPA założyło tu park narodowy, wykupiło większość ziemi od drobnych wspólnot kościelnych i zniszczyło niektóre zabudowania, ale nie wszystkie. Spacerując po lesnym rezerwacie w Blue Ridge, można było się natknąć na opuszczony oboz, o którym Departament Parków Narodowych nie miał nawet pojęcia. Namioty rozpadły się, a krzesła i krzyżki leżały rozrzucone niczym świadectwo jakiegoś średniowiecznego pogromu. Taki widok powodował, że człowiek tylko rzucał okiem na swoich towarzyszy i ruszał szybko przed siebie, nie zatrzymując się dla nabrania oddechu, byle tylko wieczorem rozbic namiot jak najdalej od tego miejsca.

Matthews pojechał dalej, ku bramie, a jego wzrok spoczął na makabrycznym, wysokim na osiem stop posagu anioła. Rzeźbę tę wykonał jego ojciec wiele lat temu. Szalony starzec pokrwawił sobie ręce, naginając winorośl i gałązki forsycji tak, by utworzyły pożądany kształt. Teraz wszystko rozpadło się, obrzydliwe niczym korzeń mandragory pokryty bladą pajęczyną mchu i zgniłych liści. Skrzydła opadły, a twarz, niegdyś piękna, przypominała maskę kociotrupa.

Zaparkował przed największym budynkiem, wysiadł i otworzył boczne drzwiczki furgonetki. Sygnal do środka i wyciągnął ciało. Błyskawica znowu przecięła niebo, potem błysnęło się jeszcze kilka razy, ale grzmoty nadal były dziwnie stłumione. Niosąc ciało, popchnął brame ramieniem i pozwolił, by zamknęła się za nim. Ostrożnie, upomniał samego siebie.

Ostrożnie. Aaron Matthews wierzył, że umarli - podobnie jak ci, którzy mieli niedługo umrzeć, oraz ci, którzy mieli wkrótce powstać z martwych - zasługują na najwyższy szacunek.

Rozdział 2

Zatrzymując samochód na parkingu, dziewczyna poczuła ulgę, że gabinet znajduje się poza centrum. Nikt nie będzie tedy przechodził w drodze do sklepu albo szkoły, nikt nie zobaczy jej samochodu zaparkowanego przed gabinetem psychiatry.

Hej, spojrzcie no! Oto i nasza ulubiona wariatka...

Brawa dla Szalonej Megan.

Gdy silnik ucichł, spojrzała na swoje ciuchy, swoje codzienne ciuchy: niebieskie levisy, ciemna dzinsowa bluza, martensy. Ulgę niespodziewanie znikła. To ubranie nie wyglądało jak należy. Poczula zazenowanie i żal, że nie włożyła przynajmniej spodnicy. Spodnie za obszerne, koszula zbyt wymięta, rękawy dużo za długie, a skarpetki czerwone jak zupa pomidorowa.

Co on o mnie pomyśli?

Ze jestem wariatka.

Zdjęła z szyi drewniana pacyfę i cisnęła ją na tylne siedzenie. Przeczesała włosy palcami, odgarnęła je z twarzy. Czerwone knykcie wydały jej się wielkie jak pileczki golfowe. Na palcach jednej dłoni miała cztery pierścionki, na drugiej trzy. Zbyt młodzieżowo. Zostawiła tylko dwa, pozostałe wrzuciła do schowka na rękawiczki.

Może powinnam odjechać? Wycofać się?

Westchnęła. Nic z tego. Megatarapaty.

Spoko. Wał przed siebie. Brawa dla Szalonej Megan.

Przycisnęła guzik domofonu i chwilę później drzwi zabrzeczały. Wnętrze gabinetu doktora Jamesa Petersa nie zrobiło na niej wrażenia. Było ciasne i duszne. Szczegóły, powtarzał jej Joshua, Joshua artysta, Joshua, który namawiał ją, żeby poważnie zajęła się malarstwem.

„Przyglądaj się szczegółom - powiedział na pierwszej lekcji. - Musisz patrzeć jak artysta. Jak się

tego nauczysz, cała reszta przyjdzie sama".

Tu było mnóstwo szczegółów: sporo kopert z rachunkami do wysłania przy drzwiach (pocieszające - znaczy, że ma dużo pacjentów). Tandetne meble (może nie bierze bardzo dużo). Wiele książek wyglądających na nudne (pewnie jest inteligentny). Wzięła kolorowe czasopismo sprzed trzech tygodni, którego zawartość wcale jej nie interesowała, i usiadła na podniszczonej kanapie.

Zanim zaczęła czytać artykuł o Julii Roberts, otworzyły się wewnętrzne drzwi i stanął w nich lekarz.

- Ty jesteś Megan? - spytał, unosząc brwi i posyłając jej zawodowy uśmiech. - Peters.

Był mniej więcej w wieku jej ojca, przystojny. Gęste włosy. Spodziewała się, że będzie łysy i z kozia brodka.

- Hej. - Sciskała rozpaczliwie zwinięte w rulon „People”.

- Wejdz. - Gestem wskazał drzwi.

Weszła do gabinetu.

Pokój był pomalowany na ciemnozielono - przyjemny odcień. Do wyboru miała jedno z kilku zwykłych krzeseł lub skórzana kozetkę.

Hmm... Szalona Megan wybiera krzesło.

Usiadła, a doktor tymczasem grzebał przez chwilę w biurku, aż wreszcie znalazł czystą kartę.

- Nie jestem zbyt dobrze zorganizowany. Może to oznaka wielkiego umysłu.

Megan czuła się w obowiązku odpowiedzieć.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął tak szybko.

- Nie ma sprawy.

Zadzwoniła wczoraj, żeby się umówić. Po tym, co stało się w poniedziałek (jak powinnam to nazwać? wypadek, sytuacja, to coś?), Wydział Spraw Socjalnych Hrabstwa Fairfax skontaktował się z jej ojcem i dał mu namiary na Petersa. Tatusz przekazał informacje córce.

Lekarz rozłożył kartę i zaczął pisać.

- Panna Megan Collier?

- Nie, to mój ojciec nazywa się Collier. Ja używam nazwiska matki. McCall. - Przechyliła się na krześle, krzyżując nogi. Pokazały się pomidorowe skarpetki. Ustawiała stopy równo na podłodze,

powtarzając w myśli, że ma ich nie ruszać.

Spojrzał na nią.

- Na początek kilka szczegółów. Biorę sto dziesięć za sesję. Wolalbym, żebyś płaciła osobno za każde spotkanie, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Kłopotu nie sprawi, pomyślała Megan, ale to trochę chamskie.

- No, Bett dała mi czek.

- Bett?

- Matka. - Megan sięgnęła po portfel.

- Później. Masz polisę ubezpieczeniową?

Znow sięgnęła po portfel.

- W porządku. - Przyglądał się jej przez chwilę z lekkim uśmiechem. - Oto plan gry. Zajrzymy dziś wstępnie do twojego umysłu i zobaczymy, co się da zobaczyć. Jeśli uznamy, że chcemy działać dalej, zaczniesz regularne wizyty, gdy tylko wrócę z konferencji w przyszłym tygodniu.

Uklucie w sercu. *Czyli jak się okaże, że jestem całkiem chora lub coś takiego?*

- Oj, ta mina spanikowanego pacjenta. Myślisz, że znajdziemy coś okropnego, coś mrocznego? No coż, niewykluczone. Ale jeśli tak się zdarzy, rzucimy na to nieco światła i gdy skończymy, nie będzie już takie mroczne.

Tłumaczył jej dalej, że nawet jeśli nie zechce się z nim spotykać, będzie musiała skorzystać z jakiejś pomocy. Gdy znaleziono ją pijaną na pomostie miejskiej wieży ciśnienia w poniedziałek wieczor, popełniła wykroczenie.

- Dużo złe wilki ze spraw socjalnych mogą każeć ci się leczyć z powodu nadużywania alkoholu. Albo posłać cię do sądu dla nieletnich. A uwierz mi, że nie masz na to ochoty.

Wypadek...

- W porządku - powiedziała cicho. Jej wzrok padł na przewodnik leżący na biurku. - Wybiera się pan na zachód?

- Na te konferencje, o których wspominałem. W Kalifornii.

- Cudownie. Zawsze chciałam tam pojechać. Mam hopla na punkcie Janis Joplin. Był pan kiedyś w North Beach?

- Wiedziałem, że kogoś mi przypominasz. Takie same jasne włosy. Oczywiście jesteś ładniejsza.

Spiewasz bluesa?

- Chcialabym.

- North Beach? - ciagnal z entuzjazmem. - Grant Street? Jasne, ze tam bylem. Ta konferencja jest w Los Angeles, ale kocham polnoc. Hrabstwo Marin, Sausalito. Jestem w glebi duszy hipisem. Ty nie mozesz pamietac hipisow.

- Za to - odpowiedziala z rownym entuzjazmem - widzialam „Woodstock” osiem razy. - Zalowala teraz, ze zdjela pacyfe.

Szalona Megan czuje sie nieco mniej szalona.

W tej chwili jego usmiech gasnie i Peters znow staje sie lekarzem. Megan poczula rozczarowanie, jak wtedy gdy ten chlopak w klubie unikal jej wzroku.

- Opowiedz mi teraz prawde... o wiezy cisnien. Usilowalas zrobic sobie krzywde?

Nagla zmiana tematu ja zaskoczyla. Przelknela sline i poczula absolutna pustke w glowie.

- Nie - odrzekla w koncu.

- No wiec co sie stalo? Zaciagneli cie tam piraci?

- No dobra, to bylo tak. Wyszlam z ta dziewczyna, ktora poznalam w barze. Miala ze soba nieco towaru. Chyba wzielam kilka tabletek, nie wiem, co to bylo. Nigdy tego nie robie. Tak sie po prostu stalo.

- Pilas?

- Odrobine southern comfort, to wszystko. No, moze nieco wiecej niz odrobine.

- Drink Joplin. Za slodki dla mnie. - Spojrzal znowu na jej jasne proste wlosy.

Skinela glowa, a gdzies w jej wnetrzu rozleglo sie kolejne cichutkie brzekniecie, tym razem wyrazajace uspokojenie i zadowolenie.

Podniosl palec.

- Niezgodnosc numer jeden. Twój ojciec mowil, ze nigdy nie pijesz.

- No, on to tak widzi. Ale fakt, nigdy nie bylam tak wstawiona.

Zapisał cos i przez chwile patrzyl jej w oczy.

- Na kogo patrze? Kim jest ta Megan McCall, ktora siedzi naprzeciwko mnie? Kim jest prawdziwa Megan McCall?

Uczucie spokoju minelo.

- Czy nie powinnam lezec na kozetce?

- Jesli tak bedzie ci wygodniej.

Zobaczy pomidorowe skarpetki.

- Lepiej bede siedziec. - Wciagnela gleboko powietrze i rozesmiala sie nerwowo. - No dobra, moja tajemna opowiesc... Rodzice sie rozwiedli. Mieszkam z Bett. Ona ma firme. To firma remontowa, nic wiecej, ale Bett mowi, ze jest architektem wnetrz, bo to brzmi lepiej. Tate ma farme w Prince William. Kiedys byl znanym prawnikiem, ale teraz klienci do niego nie wala drzwiami i oknami. Testamenty, sprzedaze domow, takie tam. Zatrudnia ludzi do pracy na farmie.

- A jak ukladaja sie twoje związki z ludzmi? Zbyt gwaltownie, zbyt chlodno czy w sam raz?

- W sam raz.

- Aha. - Skinal glowa.

Zanotowal kilka slow na kartce, choc rownie dobrze moglo to byc po prostu bazgranie. Moze nudzila go. Moze robil liste zakupow. *Co kupic po spotkaniu z Szalona Megan.*

Zeby wypelnic cisze, opowiedziala mu o dorastaniu, o smierci obojga dziadkow ze strony matki i dziadka ze strony ojca, o szkole, przyjaciolach. O ciotce Susan, blizniaczce matki, unieruchomionej w lozku, odkad Megan pamietala. Nic z tego nie wydawalo jej sie wazne, spodziewala sie wiec, ze dla niego bedzie jeszcze mniej istotne.

- Z Bett uklada mi sie niezle. - Zawahala sie. - Tylko ona jest troche smieszna... przejmuj sie ta swoja firma, a rownoczesnie wierzy we wszystkie te bzdury z New Age. Wyluzuj, zrelaksuj sie, spoko. To wszystko jest dosc metne. Ale daje mi kase, placi ubezpieczenie samochodu. Sporo matek tego nie robi. Nie klocimy sie.

- Rozmawiacie ze soba? Przetrawiacie rozne sprawy, jak mawiala moja babcia?

- Jasne... No, moze niezbyt czesto. To znaczy - ona duzo milczy. I czesto nie ma jej w domu.

- A jak z ojcem?

Wzruszyla ramionami.

- W porzadku. Zabiera mnie na koncerty. Rozumiemy sie. Ale nie mamy wielu tematow do rozmowy. On by chcial, zebym z nim uprawiala windsurfing, no wiec pojechalam raz, ale to strasznie bezsensowny sposob spedzania czasu. Wole poczytac ksiazke albo cos takiego. Zna pan Garcie Marqueza? Wlasnie czytam „Jesien patriarchy”.

W jego oczach pojawila sie iskierka entuzjazmu.

- Rany. Zmyslasz?

- Nie, ja...

- „Miłosc w czasach zarazy”. Najwspanialszy romans, jaki kiedykolwiek napisano. Czytałem to trzy razy.

Kolejne przyjemne uklucie.

Szalona Megan ma jakies punkty za normalnosc.

- Opowiedz mi cos wiecej o swoim ojcu.

- Hmm, no, on jest nadal bardzo przystojny... rozumie pan, jak na faceta po czterdziestce. Ma niezla kondycje. Spotyka sie z mnostwem kobiet, ale nie wyglada na to, zeby zamierzal sie ustatkowac. Choc mowi, ze chcialby miec rodzine.

- Naprawde?

- No. Bez przerwy. Ale skoro tak, to czemu spotyka sie z dziewczynami o imieniu Barbie?

- Zartujesz!

- Zartuje. Ale wygladaja jak Barbie. - Oboje sie rozesmiali.

Chwile pozniej usmiech zniknal z twarzy lekarza; spojrzal na zegarek, a nastepnie na czyjas teczke lezaca na biurku. Teczke innego pacjenta, jak zauwazyla.

- Pewnie chcialby pan wiedziec - odezwala sie Megan chlodno - czy kiedykolwiek dotykal moich piersi albo dobieral sie do mnie. - Z satysfakcja dostrzegla, ze znow zwrocil na nia uwage.

- A robil to?

- Nie. Zreszta moze robil, ale ja nie pamietam.

- Stlumiona pamiec? Naogladalas sie zbyt duzo Oprah Winfrey. Opowiedz mi o ich rozwodzie.

- Wlasciwie to nie pamietam, jak byli razem. Rozeszli sie, gdy mialam trzy lata.

- Wiesz dlaczego?

- Za wczesnie sie pobrali. Tak mowi Bett. Potem okazalo sie, ze nie pasowali do siebie.

Gdy opowiadala o tym, jak malo wie o rozpadzie ich malzenstwa, znow uciekl gdzies myslami. Zabolalo ja to, glos uwiazl jej w gardle. W pokoju zapanowalo milczenie.

- Chcialby pan uslyszec o moich fantazjach? - spytala nagle, zaskakujac sama siebie.

Chwycił przynęte niczym ryba. Natychmiast podniósł wzrok.

- No pewnie.

- Ostrzegam tylko, że może pan być zszokowany. To dotyczy seksu.

- Spróbujmy - odpowiedział. - Nie tak łatwo mnie zaszokować.

Gładko obciętym paznokciem lewej ręki potarł złamany paznokiec prawej. Dwa razy dotknął obrączki. Pochylił głowę, ale wciąż na nią patrzył.

- Dziwnie się czuje - powiedziała Megan - gdy pan tak na mnie patrzy.

- Spróbuj na koczce. Stamtąd nie będziesz widzieć mojej paskudnej geby.

Do diabła ze skarpetkami. Położyła się na twardej kanapie. Bluzka opierała się jej na piersiach. Miały stwardniałe od zimna sutki. Doktor przechylił lekko głowę: nie patrzył na skarpetki.

Oparła się, wyginając lekko plecy, żeby bawelna opierała się na ciele.

Szalona Megan zamyka oczy.

- Jestem w ciemnym pokoju. Bardzo dużym. Jak świetlica w szkole albo coś w tym rodzaju. W środku jest mężczyzna. Starszy ode mnie. Ubrany na czarno. Jest wyższy ode mnie i... silny. Nie niebezpieczny, ale bardzo silny. No, może i jest niebezpieczny. To taka część tej fantazji, o której niewiele wiem.

- Przypomina kogoś, kogo znasz?

- Nie. Nie widzę jego twarzy. Nie pozwala mi na to. Pozostaje w cieniu. Częściowo dlatego to wszystko jest takie podniecające. Chowam się przed nim. To gra. Jakby w chowanego. Słyszę, jak podchodzi do mnie, czuje dreszcze. Wie pan, dostaje takiego...

- Mów dalej.

- Zakretu. Trochę wstyd mi o tym opowiadać.

- Nie ma problemu, Megan, mów.

Zauważyła u swoich stóp brązową lampkę, w której kloszu odbijała się twarz doktora. Siedział wychylony i wbijał w nią spojrzenie.

- Ten facet zbliża się do mnie. I jakby wydzielal z siebie ciepło czy coś takiego. Czuję to wszędzie. Na piersiach, no wie pan, wszędzie. Wie pan, kiedy najczęściej zdarza mi się tak fantazjować?

- Poddaje się.

- W nocy. W lozku. Bett nie włącza klimatyzacji. Zawsze jest strasznie goraco, a ja spie bez przykrycia. I... - Megan utkwila wzrok w lampie u swoich stop. Doktor wpatrywাল sie w jej twarz, trzymając pióro nieruchomo w dłoni. - Mam wtedy na sobie to samo co w rojeniach. Na co dzien nosze byle jakie ciuchy. Takie jak dzisiaj. Ale to nie prawdziwa ja.

- Nie?

- Nie. Podobaja mi sie seksowne ciuchy. Zazwyczaj mam na sobie halke i majtki. Czasem tylko majtki. Satynowe albo jedwabne. Takie z Victoria's Street. Lubie ich dotyk. Niewazne, w kazdym razie jak wyobrazam sobie, ze ten facet zbliza sie do mnie, to... sie dotykam.

Utkwila wzrok w kulistym, pozlaczonym odbiciu lekarza.

- Mow dalej - powiedzial spokojnie.

- Dotykam wszystkich miejsc, a on mnie sciga. - W swoim lustrze widziala, jak jego klatka piersiowa unosi sie i opada. Zapisal cos, ale bez widocznego zainteresowania. - Dotykam piersi i wsuwam palce miedzy nogi. Potem wyobrazam sobie, ze on mnie obraca i caluje, rozumie pan, tak naprawde gleboko, po czym podnosi moja koszule i sciaga mi majtki. Nadal go nie widze, zaslania mi oczy dlonia. Nie da sie go powstrzymac. Pragne go, a on o tym wie. Jest juz nagi i czuje jego... wie pan co, napiera na mnie.

W zniekształconym jak przez rybie oko odbiciu w lampie dostrzegła, ze przestal notowac.

- A potem obraca mnie i patrze w inna strone - szepnela - a on obejmuje mnie i sciska moje piersi, sciska je mocno i ugniata. Nie robi nic wiecej, po prostu nie puszcza mnie. Nie mogle sie poruszyc. Trzyma mnie i ociera sie. Czasami owijam sie przescieradlem i wtedy jest naprawde ciasno. I mysle o nim, jak jest tam tuż za mna, o tym, jak mnie trzyma i ociera sie. Pieszczesz sie coraz intensywniej... jestem juz gotowa, wystarczaja mi dwie, trzy minuty, zeby dojsc.

Megan uniosla dlonie i klepnela sie lekko po dzinsach.

- To wszystko - dodala. - Okropne, prawda?

- Co okropne?

- Tak fantazjowac. Ze ten facet mnie sciga.

- Mnie sie calkiem podobalo. - Usmiechnal sie. - Uwazasz, ze to okropne?

- No, niezbyt feministyczne.

- Fantazje rzadko sa poprawne politycznie.

- Ja czasami czuje wstyd.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedziała, spuszczać wzrok. - Po prostu czuje.

Doktor odchylił się na krzesle i przypatrywał się jej.

- Czy czujesz wstyd między innymi dlatego, że zmyśliłaś to wszystko?

Serce jej skacze. Oczy mruza się, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Szalona Megan przyłapana na gorącym uczynku.

- Spokojnie - odezwał się doktor Peters. - W moim gabinecie nie ma ławki kar. Nigdy tak nie fantazjowałam, prawda? Nie podczas masturbacji.

Nie odpowiedziała. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, nie potrafiła wykrztusić słowa. Potrząsnęła głową i usiadła.

- Ejże, ejże... rozluźnij się, młoda damo. - Uśmiechnął się.

- Jak...?

- A więc zmyśliłaś to wszystko, tak?

Potaknęła.

Doktor nie sprawiał wrażenia zaskoczonego ani zasmuconego.

- No, już. Weź chusteczkę. To, co zrobiłaś, może być bardzo pomocne.

- To, że nakłamałam? - Pociągnęła nosem.

- Czy nazwałem cię klamczuchą? To przecież jest fantazja. Wymyślona przez siebie opowieść. Nie miała na celu cię podniecić - jak większość fantazji - ale nie była pozbawiona celu. Jakiego, twoim zdaniem?

- Nie... nie wiem.

- Może chciałaś do mnie dotrzeć? Nawiązać jakiś kontakt?

- Może.

Wrocila mżawka i w gabinecie zrobiło się duszno. Czulo się ciężki zapach wilgotnych włosów i ubrań, ale powietrze pozostało chłodne. W pokoju pociemniało.

Megan gapila się w sufit.

- Cofnijmy się w czasie - zaproponował. - Do... kiedy to było? W poniedziałek? Do wieży ciśnienia. Miałaś jakieś szczególne zmartwienie? Dlaczego poszłaś pic?

- Miałam koleżankę. Przyjaliśmy się w szkole. - Czula, jak wzbiera w niej płacz, więc umilkła.

- Tak? - Doktor Peters nie wyglupiał się już.

- Anne Devoe.

Zmarszczył brwi.

- Mam wrażenie, że slyszalem to nazwisko. I co sie stalo?

Megan przetarła oczy.

- Popelnila samobojstwo w zeszlym miesiacu. W Great Falls.

Zrozumiała, że właśnie dlatego urznela się w poniedziałkowy wieczór. Dziewczyna, z którą pila, lubila zagladac do butelki, to jasne. A Bobby zadreczał ją, odkad się rozstali. A potem Bett nie wrocila na noc do domu ani nie zadzwonila, jak obiecala... tak, to wszystko bylo wazne. Ale to smierc Anne wracala do niej. Ludzie, jak mozna tak zrobic? Rzucic sie do wody? Wyobraznia Megan wciaz powtarzala te scene: Anne unoszaca sie w krystalicznie czystej wodzie, oswietlona od dolu blekitnym swiatlem, jej piekne wlosy otaczaja nieruchoma glowe niczym dym.

Smierc posrebrzyla jej oczy.

Szczegoly...

- Megan?

- O co pan pytal?

- Czy byliscie sobie bliskie.

- Dosyc bliskie. Wszyscy lubili Anne.

- Wpisujemy to na liste.

- Liste?

- Spraw, o ktorych musimy porozmawiac. Mialas jakies inne przyjaciolki? Jestes typem towarzyskim czy raczej samotnikiem?

- Chyba raczej samotnikiem. Jest Amy Walker. Najblizsza. To cos takiego jak milosc polaczona z nienawiscia.

- Czesto z nia rozmawiasz?

- Prawie codziennie. Przez pewien czas bylam na nia wsciekla, bo odbila mi chlopaka. Stewiego

Biggsa. - Rozesmiala sie. - Ale on i tak byl dupkiem. Tak naprawde nie obchodzi mnie to. Pogodzilymsy sie.

- A co z chlopakiem?

Megan znou sie rozesmiala.

- To krotka historia. Przez jakis czas spotykalam sie z Joshua. On mieszka w dystrykcie i jest superartysta. Ale zerwalismy. No dobra, to on mnie rzucil. W zeszlym roku. Jest czarny i mial jakies problemy rasowe, tak mi sie wydaje. Pojawił sie znou, ale ja trzymam sie na dystans. A potem jakies kilka tygodni temu zerwalismy z Bobbym.

- Bobby? A to kto?

Tym razem jej smiech byl gorzki.

- Tego to ja rzucilam. Choc zazwyczaj oni mnie rzucaja.

- O co poszlo?

- Po prostu nie nadawal sie dla mnie. To jest cos, co sie wie.

- Spotykasz sie z nim? Z tym Bobbym?

- Nie. Bylo, minelo.

- Ktos inny na horyzoncie?

Potrzasnela przeczaco glowa.

- Jakies szczegolne klopoty z rodzicami?

- Nie - odpowiedziala lekko.

- A wiec powiedz mi - przez jego twarz przebiegl lekki usmiech - czemu unikasz rozmowy o nich?

- Nie unikam. - Nagle poczula, ze zaraz spyta, czemu zaprzeczyla, ze unika rozmowy o rodzicach.

- Kocham ich - dodala szybko. - Oni tez mnie kochaja. Uklada nam sie, no, jak w pudeleczku.

- Jak w pudeleczku. Jakie sa twoje najwcześniejsze wspomnienia zwiazane z matka?

- Co?

- Szybko.

Megan zamknela oczy i wybrala jedno.

- Bett ubiera sie na randke, maluje twarz, spoglada w lustro i pstryka w zmarszczke, jakby miala

nadzieje, że zniknie. Zawsze tak robi. Jakby twarz była dla niej najważniejsza.

- A co ty myślisz, patrzeć na nią? - W jego ciemnych oczach tlił się ogień. Wszystko w niej zamarło. - Nie wahaj się. Mów!

- Dziwka.

- Doskonale. A teraz wspomnienia związane z ojcem. Szybko.

- Niedzwiedzie. - Megan wciągnęła powietrze i podniosła rękę do ust. - Nie... muszę pomyśleć.

Ale zanim zdążyła zmienić temat, doktor już odbił pileczkę.

- Niedzwiedzie? W zoo?

- Nie. Nieważne.

- Opowiedz o tym.

- Nie...

- Opowiedz, Megan - zbesztal ją łagodnie.

- To nie były prawdziwe niedzwiedzie.

- Zabawki?

- Niedzwiedzie w bajce.

- Dlaczego sprawia ci to taki kłopot?

Szalona Megan zrobiła to. Teraz nie ma wyjścia.

- Miałam jakieś sześć lat, chyba tak? - powiedziała w końcu. - Spędzałam weekend z tatą. On mieszka w takim dużym domu, który wybudowali z Bett, gdy byli małżeństwem. Sasiadów nie ma w odległości kilku mil. Dom stoi pośrodku pol kukurydzianych, panuje tam cisza i jest dość niesamowicie. Czulałam się dziwnie, jakbym się czegoś bala. Poprosiłam, żeby przeczytał mi książkę. Zrobił śmieszna minę i powiedział, że nie ma żadnych książek dla dzieci. Zrobiło mi się strasznie przykro. Moja szkolna przyjaciółka... Michelle... Jej rodzice też się rozwiedli, ale jej ojciec miał masę książek i zabawek. Rozplakałam się i zapytałam, czemu nie ma żadnych książek dla mnie. Wyglądał na zakłopotanego i poszedł do starej stodoły, gdzie mnie nawet nie wolno było chodzić, pobyl tam przez dłuższą chwilę i wrócił z książeczką. Miała tytuł „Szepczące niedzwiedzie”. Tylko, że to nie była naprawdę książka dla dzieci. Dowiedziałam się później, że to były europejskie baśnie ludowe.

- Pamiętasz te opowiesci?

- Tak.

- Po tylu latach?

- Po tylu latach - powiedziała, uciekając przed wzrokiem doktora, i spojrzała na zegar.

Rozdział 3

Na skraju lasu znajdowało się miasteczko. Jego mieszkańcy byli szczęśliwi, wie pan, o co chodzi, jak we wszystkich bajkach, zanim wszystko się popsuje. Ludzie laza po ulicach, śpiewają, idą na targ, jedzą obiad w rodzinnym gronie.

No i pewnego dnia z lasu wyszły dwa wielkie niedzwiedzie, stanęły pod miastem ze spuszczonej łbami i wydawało się, że coś do siebie szepczą.

Z początku nikt nie zwracał na nie uwagi. Potem jednak ludzie przerywali swoje zajęcia i usiłowali podsłuchać, co mówią niedzwiedzie. Ale nie mogli. W nocy niedzwiedzie wróciły do lasu. Pewna kobieta oznajmiła, że wie, o czym rozmawiały, że nasmiewały się z mieszkańców miasteczka. I wtedy każdy zaczął dostrzegać, że wszyscy pozostali dziwnie chodzą, śmiesznie mówią i głupkowato wyglądają; skończyło się na wzajemnym wysmiewaniu, no i wszyscy oszaleli.

Dobra, no więc następnego dnia niedzwiedzie znowu wyszły z lasu i zaczęły szeptać. Bla, bla, bla, wie pan, o co chodzi. Po czym wróciły do lasu. A pewien stary człowiek oznajmił, że wie, o czym mówią. Plotkowały. Wyjawiały sekrety mieszkańców. Tej nocy ludzie w miasteczku wrócili do domów, pozamykali wszystkie okna i drzwi i wstydziło się wyjść na rynek, pojeść do restauracji czy kawiarni, jak czynili to do tej pory.

No a trzeciego dnia niedzwiedzie znowu wyszły z lasu ze zwieszonymi głowami. W końcu jakiś mężczyzna krzyknął: „Wiem, co one robią! Zamierzają zaatakować wioskę! Uciekajmy!”. I ludzie spakowali się i uciekli. Rozeszli się na cztery strony świata, a ich miasteczko opustoszało.

Tate czytał mi to tylko raz, ale wciąż pamiętam ostatnie zdania. Brzmiały one tak: „A czy wiecie, o czym naprawdę szeptały niedzwiedzie? No coż, o niczym. Nie domyśliście się? Przecież niedzwiedzie nie umieją mówić”.

- Ta opowieść cię przygłębiała? - spytał doktor.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Moze dlatego, ze wszyscy wyniesli sie z tego milego miasteczka i zmarnowali sobie zycie bez powodu.

- Co sie stalo, gdy twoj ojciec skonczyl czytac?

Megan zawahala sie.

- To wszystko. - Wzruszyła ramionami. - Bett przyjechala i zabrala mnie do domu.

- Dlaczego to wywarlo na tobie takie wrazenie? Jesli chcesz wiedziec, co o tym mysle, to nie uwazam tego za najwybitniejsza basn na swiecie.

- Nie wiem. Mysle, ze bylam wsciekla, bo tak naprawde to nie byla bajka dla dzieci. - Bawila sie guzikiem bluzki.

- Nie idzie ci latwo, Megan?

- Chyba nie.

- Latwiej by ci bylo spisywac uczucia? Wielu moich pacjentow tak robi. Tam jest papier. - Siegnela po kilka kartek i polozyla je na broszurze, ktora jej podsunal jako podkladke. Niechetnie wziala do reki pioro.

Wpatrywala sie w kartke.

- Nie wiem, co powiedziec.

- Powiedz, jak sie czujesz.

- Nie wiem, jak sie czuje.

- Alez wiesz. Pomysl o Amy. Co czulas, kiedy odbila ci chlopaka? Co wtedy czulas?

Zamrugala oczami.

- Sprobuj, Megan. Wyobraz sobie najgorsze mozliwe uczucia, a potem zejdz glebiej. Nienawidzilas jej, prawda?

Megan rozlozyla rece i dotknela paciorkow na poduszce.

- Mowilam juz. To nie bylo nic wielkiego.

- Przestan tlumic to w sobie. Wscieklas sie?

Niechetnie skinela glowa.

- Opowiedz mi o tym.

- Tak, wsciekłam się! - Usta jej drżały, z trudem łapała oddech. Zatrzęsła się ze złości.
- Co chciałaś zrobić?
- Ja...
- Nie przerywaj.
- Chciałam wrzeszczeć. Nie chciałam jej już nigdy widzieć.
- Co pragnęłaś jej powiedzieć?
- Chciałam wrzasnąć: Ty suko! Jak mogłaś mi to zrobić?
- Świetnie. Zapisz to.

Spojrzała na kartkę. Papier wpatrywał się w nią niczym wielkie zachmurzone okno. Jeśli tam wejdzie, może już nigdy nie wrócić.

- Powiedz jej to - szepnął doktor Peters, nachylając się.

Megan nie ruszała się przez dłuższą chwilę. Słyszała oddech doktora i swój własny. A potem nagle słowa zaczęły płynąć, cały jej gniew na widok Amy flirtującej ze Steviem; przypomniała sobie, jak przestała do niej dzwonić, gdy zobaczyła ich razem na meczu zeszłej jesieni...

Drżąca ręka podała mu zapisaną kartkę i poczerwieniała z zadowolenia na widok jego promiennej twarzy.

- Świetnie, Megan. Doskonale. Znakomicie. - Po czym zniechęca wskazał znów na papier. - A teraz rodzice. Każde z osobna. Najpierw matka. Zejdź jak najgłębiej - szepnął.
- Nic mi nie przychodzi do głowy!
- Wybierz coś konkretnego. Dlaczego tak się na nią gniewasz?

Zacisnęła pięść.

- Dlatego że...
- Dlaczego?
- Nie wiem. Bo ona jest... Ona wchodzi z tymi wszystkimi facetami. Jakby myślała, że potrafi ich zauroczyć.
- No i co? Dlaczego cię to denerwuje?
- Nie wiem!

- A ja mysle, ze wiesz - odparl.

- Ona jest po prostu kobieta interesu, a bawi sie w ten szajs. Nie jest krolewna z bajki, choc bardzo by chciala.

- Udaje niezwykla? Dlaczego, jak sadzisz?

- Zeby byc szczesliwa. Chce na zawsze pozostac piekna i mloda. Wydaje jej sie, ze ten dupek Brad uczyni ja szczesliwa. Ale tak nie bedzie.

- Jest zachlanna? To chcesz powiedziec?

- Tak! - krzyknela Megan. - O to wlasnie chodzi! Ja nic jej nie obchodzi. Miala do mnie zadzwonic w niedziele, ale pojechala do Brada...

- Swojego chlopaka?

- Tak. Pojechala tam i nie zadzwonila. To Bobby przyszedl w poniedzialek wieczorem do szpitala, wtedy gdy zabrali mnie z wiezy. To on kazal policji wezwac Bett. Tak samo sie dzialo, gdy bylam dzieckiem. Zawsze zostawiala mnie sama.

- Zupelnie sama?

- Nie, z kims. Najczesciej z wujkiem.

- Wujkiem?

- Mezem cioci Susan. Ona przez wiekszosc zycia chorowala. Bett spedzala mnostwo czasu u niej w szpitalu, jak bylam mala. A wujek Harris opiekowal sie mna. Byl calkiem mily, ale...

- Ale tesnilas za matka?

- Chcialam, zeby byla ze mna. Mowila, ze to tylko na jakis czas, bo ciocia Susan jest naprawde chora. To znaczy, ze niedlugo umrze. Mowila, ze byly sobie bardzo bliskie, tak bliskie, jak to tylko mozliwe. Sa blizniaczkami. - Megan otarla lzy. - Ale ja ciagle zastanawialam sie, dlaczego miala tyle uczuc dla niej? Pragnelam, zeby byla tak blisko ze mna.

- Czy on cie kiedykolwiek dotknal? - zapytal lagodnie doktor. - Twój wujek?

- Nie. Byl naprawde mily. To wszystko przez to, ze chcialam, by to moja mama albo tata byli przy mnie, bawili sie ze mna, czytali mi ksiazki. Czulam sie taka samotna.

- Ale nie pozwalalas sobie na gniew. Dlaczego?

- Bo mama robila cos dobrego. Moja ciocia jest swietna kobieta. Kocham ja, a ona naprawde jest bardzo chora, powinna miec przeszczep serca, ale nie przezylaby operacji.

- Co jeszcze?

- Chciałam, żeby mama była ze mną, ale czułam się winna.

- Dlaczego?

- Ciocia bardziej jej potrzebowała. Wiesz, wujek Harris popełnił samobójstwo.

- Naprawdę?

- Było mi żal cioci, ale... - Stłumiła szloch.

- Ale co? Mów dalej, Megan, idzie ci świetnie. Powiedz to.

- Ja prawie... prawie się z tego ucieszyłam. To znaczy, nie tak naprawdę... Ale pomyślałam, że może mama będzie teraz spędzać ze mną więcej czasu. - Megan płakała. - Było mi żal cioci, ale bardzo potrzebowałam matki. - Oblała się rumieńcem.

- Miałaś wtedy trzy lata? I pamiętasz, że właśnie tak się czułaś?

- Wiem tyle, że byłam smutna i samotna. Myślałam, że później wymyśliłam dlaczego.

Piorko spadło jej z kolan na podłogę. Doktor pochylił się i położył je z powrotem na kartce papieru. Wzięła je w drżące palce. Lzy kapwały na papier.

- Powiedz jej to - odezwał się doktor. - Powiedz jej, że jest zachlanna. Że odwróciła się od własnej córki, żeby zająć się siostrą.

- Ale - zdolała wydusić z siebie Megan - to ja byłam zachlanna.

- Oczywiście, że tak. Byłaś dzieckiem, miałaś prawo być zachlanna. Rodzice są po to, by zaspokajać potrzeby dzieci. To ich zadanie. Powiedz jej, co czujesz. - Nachylił się, scisnął ją za rękę i powiedział łagodnie: - Idzie ci świetnie.

Czuła, że w mrocznym pokoiku kreci jej się w głowie - niezwykle ciemne oczy doktora wwiercały się w nią, czuła chłód na skórze od emocji i wilgotnego ubrania, czuła pozadanie i strach.

A przede wszystkim rozpierał ją gniew.

Skonczyła list i upuściła kartkę na podłogę. Spadała jak bledy liść. Doktor nie zwrócił na nią uwagi.

- A teraz ojciec.

Megan zamarła, potrzaskała głową.

- Następnym razem, proszę.

- Nie. Teraz.

Miesnie brzucha miała napięte, twarde jak deska. W końcu zapytała cicho:

- Dlaczego on nie chce się ze mną widywać? Nie walczył nawet o warunki opieki. Widuje się z nim co dwa, trzy miesiące.

- Wściekasz się o to?

Pełne wahania drzenie.

- Tak.

- Powiedz mu o tym.

- Ale...

- Powiedz!

Zaczęła pisać. Zapominając o gramatyce i ortografii, wylewała swoje myśli. W końcu pióro się zatrzymało.

- O co chodzi, Megan? Dlaczego nic nie mówisz?

- Eee nic.

- Co ja słyszę? Pasja minęła. Coś nie w porządku. Coś w sobie tłumisz. Szepczące niedzwiedzie. To coś w związku z tą bajką. Tak?

- Nic.

- Znajdź to miejsce, które najbardziej boli. A potem zejź głębiej.

Szalona Megan nie zniesie tego dłużej. Chce, żeby ją zostawiono w spokoju.

Ale doktor przybliżył się. Ich kolana się zetknęły.

- No, mów dalej. O co chodzi? O te bajki, prawda? O niedzwiedzie.

- Nie. Sama nie wiem, o co chodzi...

- Chcesz mi to powiedzieć. Musisz mi to powiedzieć. - Ukleknął i chwycił ją za rękę. - Dotknij tego, co najbardziej boli. Dotknij! Ojciec przeczytał ci bajkę. Doszedł do ostatniego zdania. „Niedzwiedzie nie umieją mówić”. Odkłada książkę. Co się teraz dzieje?

Megan wyprostowała się. Drząc, wpatrywała się w podłogę.

- Idę na górę, żeby się spakować.

- Matka przyjeżdża, żeby cie zabrać.

Zacisnęła powieki aż do bólu.

- Już jest. Słyszysz samochód na podjeździe.

- Wchodzi do domu. Ty jesteś na gorze, a twoi rodzice na dole. Rozmawiają?

- Tak. Mówią coś, czego z początku nie słyszysz. Potem podchodzę bliżej, przekradam się na polpiętro.

- Słyszysz ich?

- Tak.

- Co mówią?

- Nie wiem.

- Co mówią? - Głos doktora wypełnił cały gabinet. - Powiedz mi!

- Mówią o tym, że ktoś zmarł, o pogrzebie.

- Pogrzebie? Czym?

- Nie wiem. Ale jest w tym coś złego. Coś bardzo złego.

- Jest coś jeszcze, prawda, Megan? Mówią coś jeszcze.

- Nie! - krzyknęła z rozpaczą. - Tylko pogrzeb.

- Megan, powiedz mi.

- Ja...

- Proszę. Dotknij tego miejsca, które boli.

- Tata powiedział... - Megan czuła, że zaraz zemdleje. Starła się powstrzymać łzy. - Nazwał mnie...

- Jak?

- Mówili o mnie. I mój tata powiedział... - Wdychała ciężko powietrze, które paliło ogniem jej gardło i płuca. Doktor zamrugł zaskoczony, gdy wrzasnęła: - Tato krzyknął: „Wszystko byłoby inaczej, gdyby nie ona, gdyby to cholerne dziecko nie zawadzało. Wszystko zniszczyła!”.

Megan złożyła głowę na kolana i rozplakala się. Doktor objął ją ramieniem. Czowała, że gładzi ją po głowie.

- Co poczułaś, gdy to usłyszałaś? - Otarł gwałtowny potok łez.

- Nie wiem. Rozplakałam się.

- Czujesz się zdradzona?

Potaknęła.

- Porzucona?

- Tak! - zaskamlała.

- Chciałaś uciec?

- Chyba tak.

- Chciałaś mu pokazać, tak? „Jeśli tak o mnie myśli, to ja się mu odplacę. Ucieknę”. Tak właśnie myślałaś, prawda?

Kolejne potaknięcie.

- Chciałaś znaleźć się w jakimś miejscu, gdzie ludzie nie byłiby zachłanni, kochaliby cię, mieli dla ciebie odpowiednie książki, czytali ci i rozmawiali z tobą.

Wyplakiwała się w papierową chusteczkę.

- Powiedz mu to, Megan. Wyrzuc to z siebie. Wyrzuc to tak, żebyś mogła na to popatrzeć.

Pisała, dopóki łzy nie przysłoniły jej całkowicie papieru. Wtedy mokra kartka spadła na podłogę, a ona oparła się o ramię doktora i płakała.

- Świetnie, Megan - oznajmił. - Doskonale.

Scisnęła go mocniej, niż kiedykolwiek przytulała kochanka, wcisnęła głowę w jego ramię. Przez chwilę oboje trwali w bezruchu. Ona zamarła, przytulając go z gorączkową intensywnością. Jego mięśnie napięły się lekko i przez moment sądziła, że odczuwa ten sam smutek co ona - z tego powodu, że nie zobaczą się przez następny tydzień. Chciała się uwolnić, żeby ujrzeć znowu jego łagodną twarz, ale on wciąż trzymał ją mocno, tak mocno, że poczuła ból w ramieniu.

Niepokojące, niemal podniecające ciepło rozlało się po jej ciele.

Wtedy ją puścił. Uśmiech zamarł na jej twarzy, gdy zobaczyła jego dziwną minę.

Wyraz przerażającego triumfu.

- O co chodzi? - spytała. - Co jest nie tak?

Nie odpowiedział.

Chciała powtórzyć pytanie, ale nie mogła wykrztusić słowa. Język wypełnił jej opuchnięte usta. Naciskał na suche zęby. Wzrok zmetniał. Chciała znów coś powiedzieć, ale nie dawała rady.

Patrzyła, jak doktor wstaje i otwiera płocienna torbę leżącą na podłodze za biurkiem. Odłożył do niej strzykawkę.

- Co...? - zaczęła, po czym zauważyła na ramieniu, w miejscu, skąd rozchodził się ból, małą kropelkę krwi.

- Nie! - Chciała go znów błagać, żeby powiedział, co robi, ale słowa ginęły w belkocie. Usiłowała krzyczeć, ale wychodził jej tylko szept.

- Nie jest pan doktorem Petersem...

- Jestem. Ale to nie jest moje prawdziwe nazwisko - odpowiedział.

- Kim... kim pan jest?

- Naprawdę nazywam się Aaron Matthews. Bog przysłał cię do mnie. - Podszedł do niej i przykucnął, ujął jej głowę w ręce i położył na koczecie.

Szalona Megan przekroczyła granice szalenstwa.

- Zasnij - powiedział Matthews głosem, który brzmiał łagodniej niż kiedykolwiek głos jej ojca. - Zasnij.

- Nie! - Usiłowała go kopnąć, chciała wołać o pomoc.

I wtedy, w ostatnich chwilach przytomności, zrozumiała - tak jak czasem nagle pojmują się punkty dowcipu - że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Wyobraziła sobie to, co najgorsze, i zejść głębiej.

Otworzyła usta do krzyku, ale wydobył się z nich tylko słaby szept. Powieki ciążyły jej teraz tak samo jak język. Czula, że zapada się w koszmar strachu, wyzwolony przez dzwieczny głos tego mężczyzny, który nachylił się nad nią i zaczął śpiewać. To była piosenka zapamiętana z dawnych lat. *Jezus mnie kocha, to wszystko, co wiem.*

Z każdą nutą jej przerażenie rosło, aż z łaski narkotyku albo leku w pokoju zapanowała ciemność, a Megan opadła w ramiona mężczyzny.

Rozdział 4

Sto trzydziści lat temu Martwy Reb wedrował przez to pole.

Być może ta sama ścieżka szedł dziś ten wysoki, szczupły mężczyzna. Tate Collier poczuł dreszcz i obejrzał się przez ramię. Potem rozesmiał się w duchu i miażdżąc mokre od deszczu kolby i lodygi kukurydzy - pozostałości po ubiegłorocznych zbiorach - przedzierał się dalej przez pole, przyglądając się drobniotnikom w rurek nawadniającej, która miała dać znacznie więcej wody niż w zeszłych latach. Uznał, że trzeba ją będzie wymienić w przyszłym tygodniu, i zastanawiał się, ile to może kosztować.

Tate miał na sobie prążkowany garnitur od Brooks Brothers, żółta kurtkę przeciwdeszczowa i kalosze, jako że przyjechał tu prosto ze swojej kancelarii w centrum, gdzie spędził właśnie godzinę, tłumaczyć Mattie Howe, że wytaczanie sprawy gazecie „Advocate” z Prince William tylko dlatego, że dokładnie opisała jej aresztowanie za prowadzenie pod wpływem alkoholu, było przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie. Pozbył się jej grzecznie i popędził na swoją dwustuakrową farmę.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć. Poł godziny do przybycia gości. I znowu pojawiło się uczucie niepokoju. Może wróci do domu i odbierze wiadomość, że odwołali wizytę. Wślizgnie się wtedy na powrót do swojego biura, gdzie będzie miał święty spokój, włoży do odtwarzacza nową płytę Mary-Chapin Carpenter i napisze kodycył, który obiecał przygotować na zeszły tydzień.

Szedł wzdłuż plastikowej rury aż do Zakatka Jacksona położonego w niższej części farmy i przypomniał sobie, jak dziadek, Sedzia, opowiadał mu o Martwym Rebie, kolysząc się w fotelu stojącym na werandzie jego domu w Burke, ubrany w farmerskie spodnie khaki, białą koszulę i szerokoskrzydły słomiany kapelusz.

Młody szeregowiec, uczestnik wielkiego eksperymentu armii Konfederacji, dostał kule z muszkietu między oczy w pierwszej bitwie pod Bull Run. Wedle wszelkich praw miłosierdzia i fizjologii powinien być pasc trupem na linii ognia. Ale on tylko odrzucił muszkiet, wstał i ruszył na wschód, aż dotarł do wielkiego lasu otaczającego zakurzone miasteczko Manassas. Tam mieszkał przez pół roku, pozbawiony zmysłów, niechlujny, jego skóra stała się ciemna niczym niewolnika, żywił się wysysanymi jajkami i dziećmi porowanymi z kolysek (to, że odżywał się ludzkim mięsem,

było tylko legenda, zaznaczył Sedzia w ustnym przypisie, zanim pociągnął opowieść dalej). Martwy Reb był osobście odpowiedzialny za to, że tego lata i jesieni w lasach Centreville po zmroku całkowicie ustał ruch pieszy - aż wreszcie go odnaleziono, całkiem nagiego i rzeczywiście martwego; siedział sztywno w miejscu, które kiedyś miało się stać farmą Colliera.

Tate pomyślał o Martwym Rebie dlatego, że widział jego widmo tego ranka, gdy wyglądał pomiędzy pachnących kwasno bukszpanowych desek niedaleko od domu.

Wielmożny pan C. Tate Collier, radca prawny, nie uznawał zabobonów. Ale farmer Tate Collier rzucał sola przez lewe ramię i odczuwał nienaturalny niepokój, gdy jego dzierżawcy siali przy pełni księżyca. Mogłoby przysiąc, że widział ducha zagładającego przez okno salonu. Kiedy wyszedł na werandę, duch oczywiście zniknął.

Wyprostował się i przetaił szkiełko zegarka.

Dwadzieścia minut do spotkania.

Rozluźnij się, powiedział sobie. Rozluźnij się.

Wpatrując się w mglistą mżawkę, Tate dostrzegł w odległości mili dom, który zbudował prawie dwadzieścia lat temu. Wyglądał jak miniaturowa Tara, biały niczym obłok, z dwiema kolumnami doryckimi. Była to jedyna słabostka w życiu Tate'a, opłacona pieniędzmi ze spadku; miał nadzieję, że błyskotliwość i talent młodego prokuratora zostaną w końcu odpowiednio wynagrodzone, mimo że nędzne pensje prawników stanowych są powszechnie znane. Dom o sześciu sypialniach wciąż jęczał pod jarzmem hipoteki.

Kiedy dwadzieścia lat temu sędzia Charles Collier zapisał żywną piedmondzką ziemię Tate'owi, opuszczając w testamencie z nigdy nieujawnionych powodów ojca Tate'a, młody człowiek uznał, że pragnie rodzinnej posiadłości. Przez jeden sezon nie uprawiał dwuakrowej działki i w kolejnym roku wybudował na niej dom. Budynek stał między dwiema stodołami, w samym środku łąki usianej kepkami rudbekii i koniczyny, pomiędzy kilkoma hikorami o gorzkich orzechach, pięknymi amerykańskimi bukami i sosnami.

Patrząc na takie dopiero co zaorane pola, niektórzy ludzie wyobrażają sobie centra handlowe lub miejskie zabudowania, inni zaś góry pieniędzy, które można wycisnąć z ziemi w porze żniw, niektórzy natomiast zapewne po prostu przejeżdżają obok, nie zwracając na nie uwagi. Tate Collier dostrzegł w tym widoku zbawienny spokój; coś, czego dokonał - choć nie było jego dziełem - coś, co pozwoli mu wieść spokojną egzystencję: w ciszy rosnącej rośliny. Sprawiało mu to przyjemność, ale i uczyło pokory. A także - zwłaszcza przez ostatnie kilka lat - przygotowało o rozpacz. Był bowiem człowiekiem, który pragnął, żeby go zostawiono w spokoju; chciał poświęcić się wyłącznie uprawie ziemi. I nawet gdy to szwankowało - susza, grad, zawirowania na rynku - Tate spał spokojnie, pewien, iż w sercu ziemi nie istnieje zło.

A to już nie było co.

Kwietniowy wiatr chwycił pelerynę i szarpnął ją. Tate zapiał dwa guziki i spojrzał akurat w

strone domu, gdy zgaslo swiatlo na schodach.

Megan przyjechala. To by bylo tyle, jesli chodzi o odwołanie wizyty.

Zerknal raz jeszcze na rure i ruszyl w strone domu, powlozczac nogami w ciezkich kaloszach na niezaoranym polu.

Jak Martwy Reb.

Nie, pomyslal, nie tak dramatycznie. Raczej jak nieruchawy czterdziestoczterolatek, ktorym sie stal.

Entymemat jest waznym narzedziem uzywanym w oficjalnych debatach.

Jest to rodzaj sylogizmu („Wszystkie koty widza w ciemnosci. Polnoc jest kotem. A zatem Polnoc widzi w ciemnosci”), ale skroconego. Doswiadczeni negocjatorzy, tacy jak Tate Collier, czesto posluguja sie tym srodkiem, ale dziala on tylko w sytuacji, gdy mowca i jego publicznosć sie rozumieja. Musza wiedziec, ze mowa jest o kocie, musza uzupelniac brakujace informacje, zeby nie zaburzyc logiki.

Jakie porozumienie moze istniec miedzy mna, moja byla zona i Megan? - zastanawial sie Tate, podchodzac do domu. Marne.

Moze zadne.

Umysl Betty Susan McCall jest dla niego rownie obcy, jak jego dla niej. Jesli nie liczyc jej niespodziewanego pojawienia sie w poniedzialkowy wieczor, nie widzial ekszony prawie od dwoch lat, a ich rozmowy telefoniczne ograniczaly sie do wymiany praktycznych uwag dotyczacych corki i kilku niezmiennych watkow finansowych, typowych dla ludzi, ktorzy rozwiedli sie przed pietnastu laty. Przypomnial sobie, jak Bett wychynela z olsniewajacego zachodu slonca dwa dni temu, przynoszac wiadomosc, ze policja znalazla Megan pijana na szczycie wiezy cisnien w Fairfax. Z poczatku nawet nie rozpoznal swojej bylej zony - wygladala jak cialo o twarzy przeslonietej woalem, plynace ku niemu po lsniacej tafli jeziora.

Ich trojka nie siedziala przy wspolnym stole w tym rodzinnym domostwie od ponad dziesieciu lat. Ale w wybuchu rodzicielskiej troski Tate zaproponowal, zeby sie spotkali. Bett byla zaskoczona, Megan oszolomiona. Tate zastanawial sie teraz, co go opetalo.

Zblizajac sie do domu, zauwazyl, ze wszystkie swiatla zostaly zgaszone. Uznal, ze to sprawa Megan, ale nie mial pojecia, dlaczego to zrobila. To nie mogla byc Bett: nie miala kluczy od domu. Ale gdy dotarl do domu, zobaczyl, ze na podjezdzie nie stoi zaden samochod, ani Megan, ani Bett.

Wszedl do wnetrza, w ktorym odbijalo sie echo. Na stoliku przy drzwiach dostrzegl klucze Megan i rzucil swoje obok, rozgladajac sie po mrocznym holu. Jedyne swiatlo w tym przestronnym wnetrzu wpadalo zza jego plecow - mdle swiatlo dnia wlewajace sie przez drzwi.

Co to za halas?

Przechylił głowę. Wilgotny, kleisty dźwięk rozchodził się skądś na parterze. Monotonnemu kapaniu towarzyszyły słabe, wyglodniałe jęki.

Poczuł dreszcz leku na karku.

- Megan?

Dźwięk ustal na chwile, po czym powrócił wraz z gardłowym wdechem. Było w nim coś rozpaczliwego. Tate poczuł mrowienie strachu na całym ciele.

Zatrzymał się. Jeszcze ten zapach... Coś cierpkiego i dojrzałego.

Krew. Jak zapach gorącego rusztu. Krew i mięso.

- Megan! - krzyknął, tym razem zaniepokojony.

Dźwięk ustal, ale zapach stawał się coraz silniejszy, przyprawiał o mdłości.

Tate pomyślał o broni. Miał pistolet, ale zostawił go w zamkniętej stodole.

Nie, nie ma na to czasu. Musi coś zrobić. Rusz się. Ale już!

Zmusił się do zrobienia kroku w głąb wnęki, chwycił leżący na biurku noż do papieru i zapalił światło.

I rozesmiał się głośno.

Jego dwuletni dalmatyńczyk leżał na podłodze tyłem do niego, zując coś pracowicie. Tate położył noż na barze i podszedł do psa. Uśmiech zamarł na jego ustach.

Co to jest? Zmruzył oczy.

Nagle pies rzucił się na niego z dzikim, wściekłym warczeniem. Tate krzyknął przerażony i odskoczył, uderzając łokciem o kant stołu. Pies natychmiast zostawił go w spokoju i powrócił do swojego łupu.

Tate okrzyknął zwierzę i zatrzymał się zaskoczony. Między zakrwawionymi łapami psa leżała kość, z której zwisały strzępy mięsa. Podszedł ciut bliżej. Leb psa zakolysał się złowrogo, powstrzymując Tate'a w pol kroku. Oczy zwierzęcia błyszczały nienawistną zazdrością. W gardle rozległo się głuche warczenie, a czarne wargi uniosły się, odsłaniając zakrwawione żółte kły.

Jezu...

Co to jest? - zastanawiał się Tate, czując mdłości. Może jakieś zwierzę dostało się do domu? Resztki były tak poszarpane, że nie potrafił ich zidentyfikować.

- Zostaw - rozkazał Tate.

Ale pies nie przestawał bronic swojego łupu, z jego gardła dobiegalo charkliwe warczenie.

- Do nogi!

Pies spuścił głowę i przeżuwał dalej, zerkając złowroźnie na Tate'a. Kość trzeszczała głośno.

- Do nogi!

Brak reakcji.

Tate stracił cierpliwość i obchodził psa, sięgnął do obroży. Zwierze skoczyło jak oszalone, rzucając się na niego z obnażonymi zębami. Tate cofnął rękę akurat na czas, żeby ocalić palec.

Zobaczył zakrwawione resztki. Wolowa kość udowa. Hodowca, od którego Tate kupił dalmatyńczyka, ostrzegł, że kości to niebezpieczne smakoliki. Uznał, że widocznie Megan po drodze coś kupiła dla psa. Czasami przywoziła sztuczne kości lub gumowe zabawki.

Tate wykonał odwrot strategiczny, wymknął się do holu. Zaczeka, aż pies zasnie i wtedy wyrzuci te przekłeta kość.

Podszedł do schodów prowadzących do przyziemia, gdzie mieściła się sala na wielkie rodzinne przyjęcia i spotkania, które niegdyś planował urządzać: goście grali by w bilard, popijali przy barze daiquiri i jedli kurczaki z grilla. Przyjęcia i spotkania nigdy się nie odbyły, a sala ziała pustkami, ale Megan często znikala w tych katakumbach podczas swoich weekendowych wizyt.

Zszedł na dół i zajrzał do wszystkich pomieszczeń. Nic. Zatrzymał się i przechylił głowę, nasłuchując. Na gorze ponownie rozległo się warczenie psa. Podenerwowane i złowrogie.

- Megan, czy to ty? - Baryton Tate'a rozległ się potężnym echem.

Czuł złość. Dziewczyna i jej matka spóźniły się już dwadzieścia minut. To on zadał sobie wysiłek, żeby je tu zaprosić, a one tak się odwodziły...

Warczenie nagle ucichło. Tate nasłuchiwał kroków na parterze, ale żaden dźwięk się nie rozległ. Wszedł po schodach i raz jeszcze popatrzył na mżawkę. Udał się do starej stodoły, wszedł do środka i zawołał Megan. Brak odpowiedzi. Rozejrzał się sfrustrowany po tym niesamowitym pomieszczeniu, wyrównał przekrzywiona sterta starych egzemplarzy „Wallace's Farmer” i spojrzal na ścianę - na zatłuszczoną plakietkę z cytatem z Seamana Knappa, działacza społecznego z przełomu wieków, który zreorganizował okoliczne rolnictwo. Dziadek Tate'a przepisał - w celach dydaktycznych - epigramat tym samym starannym pismem, którym wypełniał księgi i dzienniki farmy.

Człowiek może wpatrzeć w to, co słyszy.

Może wpatrzeć także w to, co widzi.

Ale nie może zwpatrzeć w to, co robi.

Tate wyszedł z powrotem na dwór.

- Megan? - zawołał.

Potem jego wzrok padł na stara ławka ogrodowa i Tate pomyślał o pogrzebie.

Nie, powiedział sobie. Nie myśl o tym. Pogrzeb był tysiąc lat temu. To wspomnienie bardziej martwe niż Martwy Reb, a odgrzebywanie go napawa cię nienawiścią do samego siebie.

Ale oczywiście nadal o tym myślał. Wyobrażał sobie, czuł, smakował wspomnienie. Pogrzeb. Ławka ogrodowa, japońskie lampiony, Bett i trzyletnia Megan...

Na trawie sterta cukierków haloweenowych sprzed tygodnia, upalny listopadowy dzień dawno temu...

Nie myślał o tym dniu od lat, do chwili gdy Bett zjawiała się na jego progu z wieścią o Megan i wieży ciśnienia.

Deszcz znowu się rozpadal, Tate ruszył więc do domu i wspaniał na piętro.

- Megan?

Usłyszał bulgot wody w toalecie: zbiornik był popsuty i woda lała się w nieskończoność, dopóki nie traciło się spluczki.

Drzwi do łazienki, pierwsze po lewej, były otwarte, ale w środku panowała ciemność. Tate wszedł powoli i wzdrygnął się na widok swojego zaniepokojonego wyrazu twarzy w lustrze. Poruszył spluczka i po krótkiej chwili woda przestała cieknąć, a w domu zapanowała niesamowita cisza, przerywana jedynie jękami wiatru i szczekaniem zębów psa wgrzyzającego się w zakrwawioną kosc.

Wszedł na korytarz; we wszystkich pokojach było ciemno, choć pamiętał, że rano zostawił włączoną lampkę nocną. Wyczuł jakiś zapach - znalazł go, ale nie potrafił zidentyfikować. Może perfumy Megan. Wszedł do jej pokoju i zapalił światło. Pusto. Posciel była lekko zmięta, jakby Megan usiadła na niej na chwilę, lecz poza tym w pokoju nic się nie zmieniło.

Zgasił światło i zaglądał do kolejnych pokoi, które były równie puste, po czym wszedł do własnej sypialni i zapalił światło. Też pusto.

Słodki zapach znowu owiał jego twarz. Spojrzał pod nogi. Na podłodze leżał biały kwiat. Schylił się i go podniósł. Kielich lilii. Słodka won otoczyła go, tłumiac nawet bogactwo zapachów farmy o tej porze roku - świeżego nawozu i czerwonej wirginijskiej ziemi.

Jak ten kwiat się tu dostał?

Może to sprawa Megan. Bezwiednie powiodł palcami po gładkich płatkach. Ale gdzie ona jest?

Polozył kwiat na szafce nocnej. Podskoczył, gdy usłyszał trzask drzwiczek samochodu.

Rozdział 5

Kobieta weszła do domu, w którym była gospodynią przez pięć lat, i przystanęła z wahaniem w gotycko sklepionym holu, tak jakby nigdy wcześniej nie widziała tego miejsca

- Bett.

Weszła powoli dalej, posyłając Tate'owi oficjalny uśmiech i zatrzymała się przy legowisku psa. Dalmatyńczyk podniósł głowę z warknięciem.

- O rany, Tate...

- Megan dała jej kosc, a suka teraz za nic jej nie chce oddać. Wejdzmy tutaj.

Zamknął drzwi do komorki i przeszli do salonu.

- Rozmawiałaś z nią? - zapytał.

- Z Megan? Nie.

- Nie ma jej w domu. Wpadła tutaj. Ale jej samochodu nie ma.

- Co?

- Musiała znów wyjechać.

- Zostawiła wiadomość?

- Nie.

- Och. No coż. - Bett zamilkła.

Tate skrzyżował ramiona i przestępował z nogi na nogę. Podeszedł do okna, wyjrzał ku przeslonietej przez deszcz stodole. Wrocil.

- Kawy?

- Nie, dziękuję.

Bett przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym wstała i zaczęła przyglądać się wyszukanemu kominkowi, który Tate wybudował kilka lat temu. Dotknęła zaprawy i podrapała paznokciem kamień. Zmrużyła oczy, oglądając polkę nad kominkiem.

-ładny - powiedziała. - Kamień polny jest drogi.

Usiadła ponownie. Tate przyglądał się jej z drugiego końca pokoju. Betty Susan McCall wyglądała egzotycznie. Było w niej coś, co rzadko spotykało się w Wirginii - tajemnicze celtyckie piękno. Na Południu jest mnóstwo kusicielek i wyuzdanych kowbojek, no i oczywiście całe stada matron, ale nie czarodziejki. Była teraz bizneswoman z północnej Wirginii, ale pod tą fasadą ukrywała się wciąż tajemnicza młoda kobieta, która po raz pierwszy zobaczył, jak śpiewała folkową piosenkę w zadymionym mieszkaniu na obrzeżach Charlottesville dwadzieścia trzy lata temu. Wysokim, chrapliwym głosem śpiewała a capella piosenkę wielorybniczą.

Minęło jednak wiele lat od czasu, kiedy jakakolwiek kobieta zdołała go tak usidlić, tym bardziej więc zwiększył czujność. Natychmiast na powierzchnię zaczęły wypływać ponure wspomnienia z czasów, kiedy się rozwodzili.

Zastanawiał się, jak utrzymać dystans w ciągu całej tej nieprzyjemnej rodzinnej sprawy.

Bett oderwała wzrok od kominka i mebli, teraz oceniała tapety i sztukaterie. Podążył za jej spojrzeniem, doszedł do wniosku, że uznawała to miejsce za mało przytulne i surowe. Przydałoby się więcej mebli, nowe zasłony, żywy kolor ścian. Poczł zakłopotanie.

Po dwóch ciągnących się w nieskończoność minutach Bett się odezwała.

- No co, skoro nie ma jej samochodu, to pewnie po coś pojechała.

Tate wyjął butelkę wina z baru w drugim końcu pokoju.

- Napijesz się? - spytał, przypominając sobie poniewczasie, iż Bett rzadko piła alkohol, a już na pewno nie popołudniu. Odstawił butelkę.

- Czemu nie? - odpowiedziała, zdejmując buty.

Przeszła do kuchni i wróciła z dwoma dużymi kieliszkami.

Pierwsze wrażenie, jakie odniósł, było takie, że Tate Collier nareszcie poukladał sobie sensownie życie. Koniec z głupimi blondynkami. Nareszcie.

Ta kobieta miała ze czterdziestkę, była ładna. Miała ruchliwe oczy zdradzające inteligencję. Kobiety, z którymi spotykał się Tate, były zazwyczaj o połowę młodsze od niego i zapewne z trzy razy głupsze.

Detektyw Dimitri Konstantinatis, sam po dwóch rozwodach, wiedział doskonale, co to znaczy

miec niewlasciwa partnerke, ucieszyl sie wiec, ze najnowsza przyjaciolka Tate'a to ktos godzien tego faceta.

Konnie wszedl do salonu i wyciagnal reke w jej strone. Potrzasnal energicznie dlonia zaskoczonej kobiety.

- Witaj, Konnie - powiedzial Tate. - Widze, ze nabierasz ciala.
- Cham.
- Poznaj Bett. Moja byla zone. Konnie to stary kumpel z prokuratorskich czasow.
- Czolem.

Ach. Jego byla. Konnie slyszal o niej to i owo, ale nie wygladala na w polowie tak szalona jak w opowiesciach Tate'a. Sprawiali wrazenie dobranej pary.

Tak jakby pozory mogly cokolwiek powiedziec o malzenstwie.

Bett zmierzyla policjanta spojrzeniem; sprawiala wrazenie skonsternowanej. Konnie przypominal wielkiego motocykliste w srednim wieku i byl przyzwyczajony do takich reakcji.

- Konnie jest... kim ty wlasciwie jestes? Jak brzmi ten dumny tytul, ktory ci przysluguje?
- Policja stanowa, okreg Fairfax i Prince William, wydzial do spraw nieletnich, detektyw w randze sierzanta.
- Starzejacy sie glina, tyle to wszystko znaczy - mruknal Tate.
- No wiec, panie radco, twoja corka spoznia sie na obiad, tak?
- Poltorej godziny.

Konnie dostrzegl niepokoj w oczach Bett. W oczach Tate'a tez, aczkolwiek tu ujrzal cos innego niz strach o zaginione dziecko. Nie wiedzial jednak co.

- Znow za bardzo sie martwisz, Tate. - Wyciagnal w jego strone palec i zwrocil sie do Bett: - Ten facet byl najwiekszym prokuratorskim cykorem w calym stanie. Musielismy go noca odprowadzac do samochodu.

- Przynajmniej potrafilem znalezc swoj samochod - odparowal Tate.

Jednym z powodow, dla ktorych Konnie kochal Tate'a, bylo to, ze prawnik zartowal z picia Konniego. A policjant najbardziej na swiecie szanowal ludzi z jajami.

Bett usmiechnela sie niepewnie.

Tate i Konnie pracowali często razem w czasach, gdy Tate był prokuratorem stanowym. Poważny detektyw na ogół milczał i trzymał się na dystans przez pierwsze pół roku ich współpracy; nigdy nie opowiadał o sobie. Później, tej nocy, kiedy seryjny morderca i gwałcieciel, do którego skazania doprowadzili, został „zwolniony horyzontalnie”, jak mówiło się w bloku śmierci, Konnie po pijanemu objął Tate'a i oznajmił, że ta egzekucja uczyniła ich braćmi krwi.

- Jesteśmy związani.

- Związani? Co to za pijacka, poetycka, przesłodzona kupa gówna? - ryknął w odpowiedzi również pijany Tate.

Od tego czasu byli serdecznymi przyjaciółmi.

Kolejne pukanie do drzwi wejściowych. Gdy się otworzyły, do domu wszedł służbiciel wyglądający mężczyzną w tanim, obwisłym, szarym garniturze. Stał wyprostowany przed Tate'em i spojrzał mu prosto w oczy.

- Panie Collier, jestem Ted Beuridge. Z wydziału do spraw nieletnich.

Tate przedstawił Beuridge'a Bett, podczas gdy Konnie przelaczał kanały telewizyjne, zafascynowany telewizorem bez pilota.

Beuridge był uprzejmy i profesjonalny, ale najwyraźniej nie miał ochoty tu przychodzić. To Konnie sprawił, że zniknięcie Megan nabrało wagi. Kiedy Tate zadzwonił, Konnie powiedział mu, że jeszcze za wcześnie, żeby składać raport o zaginięciu; musiały minąć dwadzieścia cztery godziny, chyba że osoba nie miała szesnastu lat, była uposledzona umysłowo albo szczególnie narazona na niebezpieczeństwo. Mimo to Konnie zupełnie przypadkiem zapomniał uzyskać zgody przelozonego i sprawdził w innych biurach, czy numer rejestracyjny samochodu Megan nie pojawił się w doniesieniach o wypadkach. A także zezadalał danych o wszystkich pacjentach o nieznanym tożsamości przyjeździe do okolicznych szpitali.

Beuridge denerwował się i zasugerował, że może lepiej byłoby najpierw uzyskać zgodę na prowadzenie sprawy. Konnie odpowiedział, że to z pewnością świetny pomysł, myśleć w duchu: trzeba mieć jaja. I nic nie zrobił. Gdy otrzymał negatywne raporty, zastanowił się przez dziesięć sekund, po czym zadzwonił do Tate'a i burknął:

- Może wstąpię do ciebie i zrobię jakieś notatki. Nie, nie, nie powstrzymuj mnie. Fakt, roboty jest od cholery. Ale mimo tego ulewnego deszczu przyjadę i złożę wizytę stuknietemu farmerowi. - Po czym zabrał ze sobą Beuridge'a, żeby dać młodzieńcowi lekcję prawdziwej policyjnej roboty. Tate wprowadził ich do salonu.

- Napija się panowie kawy albo...? - zapytała, ale głos jej zamarł, a ona rozesmiała się z zakłopotania na widok miny Tate'a. Konnie przypuszczał, że właśnie uswiadomiła sobie, iż to nie jest jej dom od wielu, wielu lat.

Policjanci odmówili.

Konnie skinal na Beauridge'a, który niedbale zaczął pytać o dziewczynę. Tate i Bett odpowiadali w miarę swoich możliwości. Potem detektyw unosił wzrok znad notatnika.

- Jakies kłopoty z alkoholem? Z narkotykami?

Zanim Tate zdążył odpowiedzieć, odezwała się Bett.

- Absolutnie nie.

- No, niezupełnie - dodał ostrożnie Tate. - Powinnście wiedzieć, że coś się stało w tym tygodniu.

- Opowiedział im o wieży ciśnienia.

- To było wielkie nieporozumienie - oznajmiła Bett, spoglądając na Tate'a z wyraźnym gniewem.

- Zupełnie nie w jej stylu. Nie powinnście wyciągać z tego pochopnych wniosków.

- Udała się w tej sprawie do psychiatry - wtracił Tate.

- Czy on kiedykolwiek wspominał ktoremś z was o tym, że mogłaby planować ucieczkę?

- Dzisiaj miała pierwszą wizytę. Zamierzaliśmy z nią o tym porozmawiać. Dlatego właśnie umówiliśmy się na obiad.

- Dzwoniliście do niego? Zapytaliście, kiedy wyszła?

- Odezwała się automatyczna sekretarka.

Tate nagle przypomniał sobie coś, co Megan powiedziała tej nocy, kiedy odwiedzili ją w szpitalu, po tym, jak straż pożarna zdjęła ją z wieży ciśnienia.

- Mówiła, że zerwała z chłopakiem. Między innymi dlatego pila.

- Kim był ten chłopak?

- Mówiła, jak miał na imię, prawda? - spytała Bett.

- Chyba Bobby.

- Skin albo inny taki?

- Nigdy go nie widziałam - odrzekła chłodno Bett. - Ale nie przypuszczam. Megan nie zakochałaby się w kims takim.

- Jego nazwisko?

Potrząsnęła głową.

- Prawde mówiąc, nie mam pojęcia.

Konnie przeniosl wzrok na Tate'a, ale on rowniez nie potrafil sobie przypomniec nazwiska chlopaka, i byl zmuszony przyznac, ze nawet nie wiedzial, ze corka miala chlopaka.

- Jakies slady walki? - Konnie rozejrzal sie po holu.

- Nie.

- A co z alarmem?

- Wylaczylem. Dopiero co przyjechalem do domu.

- Jest przycisk alarmu, na wypadek gdyby ktos zaczail sie w domu?

- Tak. I zadbalem, zeby o nim wiedziala.

- Zostawila tu klucze od domu - wtracila Bett. - Ale zabrala kluczyki do samochodu.

- Czy moglo byc tak - zastanawial sie na glos Konnie - ze ktos ukradl jej torebke, zabral klucze i wlamal sie tutaj?

Tate zastanowil sie nad ta hipoteza.

- Wlasciwie tak. Ale na jej prawie jazdy jest adres Bett. Skad wlamywacz mialby wiedziec o tym domu? Moze miala przy sobie cos z moim adresem, ale nie mam pojecia co.

- Czy zginely jakies jej rzeczy?

- Nie wiem. Nie przyszlo mi do glowy sprawdzic.

- Nie wpadajmy w panike - powiedzial Konnie. - Moze pokazalbys mi pokoj Megan?

Kiedy Tate prowadzil Konniego na gore, z dolu dochodzila gladka paplanina Beuridge'a.

- Na pewno nie ma sie czym martwic, pani Collier...

- Nazywam sie McCall.

Na pietrze Tate wprowadzil detektywa do pokoju Megan, po czym wrocil do wlasnego. Konnie spojrzal na niego przez korytarz i dostrzegl, ze prawnik patrzy na podloge i dotyka czegos lezacego na nocnej szafce, marszczac brwi.

Detektyw rozejrzal sie szybko po pokoju, nastepnie przykleknal i ruchami zadziwiajaco zgrabnymi jak na tak duzego mezczyzne przejrzel wedle listy wszystkie ulubione skrytki nastolatkow: pod szufladami, komodami, koszami na smieci, miedzy materacami, w pudelkach z zapadkami, w zaslonach, poduszkach i koldrach.

Coz my tu mamy? Konnie wyprostowal sie i obejrzal dokladnie znalezisko.

Po czym zawolał Tate'a do pokoju i pokazał mu otwarte szuflady oraz szafę Megan.

- Te szuflady są prawie puste. Zazwyczaj są w nich ubrania?

Tate zastanawiał się z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Tak, na ogół są pełne.

- Możesz stwierdzić, czy brakuje jakiejś torby lub walizki?

- Walizki? Nie... Zaczekaj. Nie ma jej starego plecaka. - Tate zastanawiał się nad tym przez chwilę. Po czym skinął głową w kierunku swojego pokoju. - Odkryłem coś. W mojej sypialni.

- Ja też coś znalazłem - odpowiedział Konnie, tonem nieskorym do przekomarzan.

- Co? - spytał Tate.

- Spokojnie, panie radco. Chodźmy na dół.

Rozdział 6

- Uciekla? - szepnela Bett.

Cała czwórka siedziała w salonie, niczym nieznajomi na cocktail-party, twarzami do siebie, wyprostowani, niepewni, wyczekujący chwili, gdy wreszcie poczują się dobrze w swoim towarzystwie. Konnie ciagnął opowieść.

- Ale wszyscy powinniście uznać to za dobrą wiadomość. Wiemy, że nie stało się nic paskudnego. A reguła jest taka, że większość uciekinierów wraca z własnej woli mniej więcej po miesiącu.

Bett wpatrywała się przez okno w zamgloną ciemność.

- Miesiąc - oznajmiła, jakby odpowiadała na pytanie w teleturnieju. - Nie, nie. Ona by nie uciekla. Nie tak bez słowa.

Konnie zerknął w stronę Beuridge'a i zauważył, że Tate dojrzał to spojrzenie.

- Bardzo mi przykro, ale ona coś powiedziała, proszę pani. - Podał Bett jedną z kartek, które znalazł na gorze. - Zostawiła listy do was obojga. Pod poduszką.

- Dlaczego pod poduszką? - spytała Bett. - To nie ma najmniejszego sensu.

- Zebyscie nie znaleźli ich od razu - wyjaśnił Konnie. - To dało jej trochę czasu. Nie pierwszy raz to widzę.

- Czy to jej pismo?

Bett przytaknęła.

- Bett - przeczytała na głos, po czym podniosła wzrok. - Zwraca się do mnie po imieniu. Dlaczego? - Zaczęła od początku i czytała dalej martwym, upiornym głosem: - *Bett... nie obchodzi mnie, czy to cie zaboli... Nie obchodzi mnie, jak bardzo to zaboli...*

Spojrzała bezradnie na swojego byłego meza i czytała dalej w milczeniu. Skonczyła, oparła się na kanapie, kurcząc się do rozmiarów dziecka.

- Pisze, że mnie nienawidzi - szepnęła. - Nienawidzi czasu, który spędzałam z siostrą. Ja... - Zleknięta, zraniona, potrząsnęła głową i umilkła, wpatrując się w drugą kartkę papieru, którą trzymał Konnie.

Detektyw podał ją Tate'owi.

Wztał papier. Konnie zauważył, że kartka była poplamiona. Przez łzy? Przez deszcz? Tate nie zaczął czytać na głos. Konnie zajrzał mu przez ramię i przeczytał:

Tate,

to jedyny sposób, żeby ci to powiedzieć - nienawidzę cie za to, co mi zrobiłeś! Nie słuchasz mnie. Gadasz, gadasz i gadasz, że Bett nazywa cię złotoustym diabłem, którym zresztą jesteś, ale nigdy mnie nie słuchasz. Nie wiesz, czego pragnę. Nie wiesz, kim jestem. Przekupujesz mnie, płacisz mi i masz nadzieję, że sobie pójdę. Powinnam była uciec, gdy miałam sześć lat, tak jak chciałam. I nigdy nie wracać.

Zawsze chciałam to zrobić. Dalej chce. Uwolnić się od ciebie. Ty też tego chcesz, nie? Pozbyć się swojego niewygodnego dziecka?

Siedział z wytrzeszczonymi oczami, zaschło mu w ustach, powietrze w płucach paliło. Przylapał się na tym, że wpatruje się w Bett.

- Tate? Wszystko w porządku? - odezwał się Konnie.

- Czy mogłbym jeszcze raz rzucić na to okiem, pani McCall? - spytał Beauridge.

Podala mu sztywną kartkę.

- Czy to jej papier?

Bett potaknęła.

- Dostała ode mnie na Gwiazdkę.

Bett odpowiadała cicho na pytania, których nikt nie zadawał.

- Moja siostra była ciężko chora. Często zostawiałam Megan pod opieką innych. Nie wiedziałam, że czuła się aż tak opuszczona... Nigdy się nie skarżyła.

Konnie zauważył niedbale pismo Megan. W kilku miejscach pióro podarło papier w gniewie. Przeczytał jeszcze raz list do Tate'a. Detektyw pracował w Nieletnich od dwóch lat. Nie był to jego wybór, ale musiał niechętnie przyznać, że nauczył się sporo, odkąd zaczął. Rodzice - w stopniu znacznie większym niż jakikolwiek podejrzany, oskarżony, skazany czy świadek - są mistrzami świata w oszukiwaniu samych siebie. To powszechnie wiadomo. Za tymi listami kryło się znacznie więcej, niż Tate i Bett mogliby wyjaśnić.

Teraz Konnie zapytał Tate'a, co odkrył w sypialni.

- Zabrała z szuflady szafki nocnej czterysta dolarów - wyjaśnił.

- Nonsens - wybuchnęła Bett. - Ona nigdy nie wzięłaby...

- Zniknęły - odpowiedział Tate. - A tylko ona tu była.

- Co z kartami kredytowymi? - spytał Konnie.

- Jest podpisana na moich: Visa i MasterCard - odpowiedziała Bett. - Pewnie ma je ze sobą.

- To dobrze - oświadczył Konnie. - To łatwy sposób śledzenia zbiegów. Możemy ustawić połączenie. W ciągu dziesięciu minut będziemy wiedzieli, że coś kupiła.

Beauridge nerwowo zaczął się kiwać w przód i w tył. Jego wyglansowane buty przyciągały wzrok. Konnie go zignorował.

- Wsadzimy to do rejestru uciekinierów - ciągnął. - Jeśli zostanie zatrzymana za cokolwiek na wschodnim wybrzeżu, powiadomiamy nas. Może dostać jakieś jej zdjęcie?

Tate uswiadomił sobie, że wszyscy patrzą na niego.

- Jasne - powiedział szybko i zaczął szukać. Zglądał na półki i do szuflad, ale nie znalazł żadnych zdjęć.

Beauridge patrzył niepewnie na Tate'a; Konnie wiedział, że zarówno ściany, jak i portfel młodego funkcjonariusza są pełne rodzinnych fotek. Nawet sam Konnie trzymał w portfelu zdjęcie byłej żony, schowane za polisą ubezpieczeniową. Prawnik przekopał cały salon i zniknął w komorce. Wrócił po chwili ze zdjęciem w ręku: Tate i Megan na plaży.

-ładna dziewczyna - powiedział detektyw. Uswiadomił sobie, że przez wszystkie lata przyjaźni z Tate'em nigdy nie widział jego córki.

Konnie wyciągnął z kieszeni kilka pomiętych kartek.

- Znalazłem coś jeszcze. Schowane pod łóżkiem. Kim jest doktor Peters?

- Psychiatra, o którym wspominaliśmy. Jak się o nim dowiedziałeś?

- Dlaczego miała czek wypisany na jego nazwisko?

- Ciągle go ma? - Bett zastanawiała się na głos, patrząc na Tate'a. - Miała mu zapłacić.

- Był podarty i owinięty kolejną kartką papieru. Wepchnięty między sprężyny materaca.

- Podarty? - wymamrotała Bett.

Konnie podał jej karteluszki. Przerzuciła te skrawki podartego papieru.

- To jest czek, który jej dałam. Nie rozumiem.

- Spróbuj jeszcze raz, Tate.

Podszedł do telefonu i wykrecił numer. Tym razem, dzięki Bogu, ktoś podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, doktorze, tu Tate Collier. Dzwonie w sprawie Megan. - Streszczył całą historię, po czym zamilkł na chwilę, czekając. Udzielił kilku monosylabowych odpowiedzi. Położył słuchawkę, i wpatrywał się w telefon.

- Tate? - odezwała się Bett.

Odwrocił się do wpatrzonej w niego trojki.

- Nie zgłosiła się do niego.

- Co?

- Megan nie stawiała się na spotkanie. Zadzwoiła i powiedziała, że musi wyjechać z miasta. I że jeszcze zadzwoni, żeby umówić się na inny termin. - Tate uswiadomił sobie, że wciąż ścisną słuchawkę. Puscil ją.

- Okłamała nas.

Policjant odjechał popołudniem.

Deszcz ustął, ale atmosfera była gęsta niczym podgrzana krew. Bett i Tate stali teraz na werandzie sami - ona ze skrzyżowanymi ramionami, on podparty pod boki - i patrzyli za znikającym samochodem patrolowym. Tate miał podwinięte rekawy. Sprawiali wrażenie odpowiedzialnej, porządnej podmiejskiej pary zbliżającej się do dwudziestej rocznicy ślubu, zegnającej partnerów od tenisa, którzy odjeżdżają napelnieni koktajlami i solidnym lunchem.

Była żona Tate'a przysunęła się bliżej do niego. Miała już z powrotem buty na nogach.

- To nie mogło się stać - wymamrotała.

- Wszystko będzie dobrze.

- Wiem - odrzekła szybko Bett.

Wilgotne powietrze przytłaczało ich, wypełniało płuca. W kwietniu było ciepło i oszalamiające. Ten wariacki upał nie chciał dać spokoju.

- Powinnismy zadzwonić do mojej matki? - zapytał. - Albo do twojej siostry?

Tate miał również młodszego brata w Minnesocie, z którym rozmawiał raz na kilka miesięcy. Nie zamierzał jednak jeszcze nikomu o tym mówić. Nie z powodu tego, że zasiałoby to niepokój, ale dlatego że wymagałoby zbyt wielu tłumaczeń, a w tej chwili trudno było cokolwiek wyjaśnić.

- Nie - powiedziała Bett, a Tate odetchnął z ulgą. - Zaczekajmy kilka dni. Nie chciałabym nikogo niepotrzebnie niepokoić. - Westchnęła. - To zupełnie do niej niepodobne. - Bett spojrzała na list do siebie, po czym wsunęła go głęboko do torebki.

Tate Collier odziedziczył po sędzi kilka talentów. Jednym z nich była łatwość wysławiania, innym, znacznie rzadszym, umiejętność odczytywania przyszłości z oczu. Często na twarzy pojawiała się - zaledwie na ułamek sekundy - zapowiedź tego, co miało się zdarzyć, ale czasem to wystarczało. Teraz zauważył, że nadzwyczajnie fiołkowe zrenice jego ekszony zwezwają się, i natychmiast wiedział, o co poprosi. I mimo że wcześniej zakładał, iż los przeznaczył mu spokojny wiosenny wieczór - hustawka, szklaneczka whisky, dalmatynczyk skaczący wysoko za nietoperzami - Tate ruszył za nią bez wahania, gdy zeszła z werandy. Bett była w połowie drogi na podwórzu, gdy odwróciła się, najwyraźniej przygotowana na rozczarowanie - i zobaczyła go tuż za sobą na ścieżce, z rękami w kieszeniach.

Nagle, bez żadnego powodu, Tate przypomniał sobie napis na desce przed kościołem w Manassas, który widział kiedyś z samochodu. Głosił: „Jeśli Bog jest twoim drugim pilotem, zamieńcie się miejscami”. Poszli razem na podwórzu.

Bett McCall zatrzymała się na niestrzyżonym trawniku, który wyraźnie prosił się o kosiarkę, i wpatrywała się w białą plamę żywiołowego dalmatynczyka swojego byłego męża. Suka porzuciła wreszcie kosc i skakała teraz po trawie, znów w doskonałym nastroju.

Bett zatrzymała się, widząc, jak Tate zdążył z rękami w kieszeniach ku kepie drzew w pobliżu stodoły. Jej wzrok spoczął na starej szopie, bardzo obcej, a zarazem bardzo znajomej. Potem zniemacka jej serce zadrzało, gdy przyłapała się na wpatrywaniu w zniszczoną ławkę ogrodową, która razem z Tate'em kupili u Searsa; użyli jej tylko raz - podczas stypy po pogrzebie. Piętnaście lat temu. Dlaczego ona jeszcze tam stoi? Nie rozumiała, jak mógł być tak pozbawiony serca, żeby nadal jej używać.

Pogrzeb...

To był niezwykle ciepły listopad - zupełnie jak ten meczący kwietniowy upał, pomyślała. Ujrzała siebie z tamtego dnia, jak staje na ławce, żeby zawiesić japoński lampion, czekając na przybycie gości. Dom był jeszcze w budowie i nie mieli światła na podwórzu. Odwróciła się na moment i ujrzała, że Tate wychodzi z domu błady jak śmierć. Wszedł na trawnik w pobliżu, a jej serce krzyczało: Co się stało? Co się dzieje? Co on zamierza mi powiedzieć?

Dzisiaj Tate przeszedł obok ławki, nie zaszczycając jej spojrzeniem, i zatrzymał się koło bukszpanu pokrytego gęstym kwieciem.

- Masz teraz dużo pracy? - zapytała. - Dużo klientów?

- Tak. Sporo. W przyszłym miesiącu aż cztery sprawy. Dwa testamenty i zarząd powierniczy, sporo przeterminowane. A jedna to kodycył. - Skinal głowa w kierunku domu, gdzie zapewne trzymał te przeraziła sterte dokumentów. Za czasów ich małżeństwa dom był zasypany aktami prawnymi w czerwonych oprawkach, po czterdziestu, pięćdziesiąt stron każdy. *Sąd Najwyższy Stanu Wirginia*. Wiele dotyczyło spraw zagrożonych wyrokiem śmierci. Mimo że Tate był miejscowym prokuratorem, często występował w Richmond w imieniu innych hrabstw, wyrabiając sobie markę specjalisty od trudnych przypadków - czyli kary głównej. Był jakże potrzebnym pistoletem do wynajęcia.

Śmierć, zauważyła Bett, zawsze czaiła się w tle ich związku. Niekoncząca się walka siostry Susan z poważną chorobą serca, samobójstwo jej szwagra Harrisa. Śmierć rodziców i ojca, a potem dziadka Tate'a - wszystko raptem w ciągu czterech lat. Nie wspominając już o „młynie śmierci” w jego pracy, jak określała to Bett, zdecydowana przeciwniczka kary śmierci.

Jej eksmaz kopnął sterte kolb kukurydzianych.

- O czym myślisz?

Bett zawahała się przez chwilę.

- Coś tu nie gra.

- Nie gra?

- Myślę, że jej się coś przytrafiło.

Zatrzymał się na chwilę, po czym wiedziony jakimś niewytłumaczalnym impulsem, pomaszerował prosto do stodoły, gdzie powiesił marynarkę na różowym wieszaku, którego obecność w tym miejscu była trudna do wytłumaczenia. Bett podeszła do wejścia, oparła się o pogryziony przez korniki słup i ciągnęła:

- Coś mi się przypomniało.

- Yhm?

- Pod łozkiem Megan znalazłam torbę. W środku była mydelniczka.

Tate unosił brew.

- To taki nasz żart. W łazience nigdy nie było porządnej mydelniczki. Megan twierdziła, że mydło robi się obrzydliwe. No więc kupiła te wiktoriańskie mydelniczki na moje urodziny. To w przyszłym tygodniu. Dołączyła kartkę. - Bett poczuła, że lży kreca jej się w oku na wspomnienie taniej supermarketowej poezji. - Megan nie kupiłaby prezentu i kartki, żeby potem uciec. Nie tak. Nie ona.

- To niewiele pomoże - odparł Tate.

- Megan i ja nie jesteśmy stuprocentowymi przyjaciółkami. Mamy problemy. Oczywiście, że mamy. Ale zasługuje na coś więcej niż ten przeklęty list. Na coś więcej niż ucieczka.

Przypominala sobie Megan i nie potrafiła wyobrazić sobie spojrzenia, postawy, słów córki, która napisałaby ten okrutny list i znikła - nie z własnej woli, nie bez czyjejś pomocy. Megan nigdy nie była bita, zawsze o nią dbano, zawsze ją kochano.

Prawie zawsze.

Ale, na miłość boską, kto dostaje wiele więcej?

- Chcę ją odnaleźć, Tate. Nie mam prawa cię o to prosić. Ale potrzebuje twojej pomocy. Nie dam rady sama.

Milczał. Grzebał w jakimś pudle.

Co on robi?

Przypomniało jej się ich zerwanie. Nic nie powiedział. To było okropne, te długie chwile milczenia, które wydawały się godzinami, choć tak naprawdę trwały zapewne zaledwie kilka minut. Albo sekund.

Od dnia pogrzebu, przez wszystkie te lata aż do dziś, nie wypowiedział do niej więcej niż czterysta, może pięćset słów. Ile miejsca by to zajęło? Dwie strony z podwójną interlinią?

Tak jakby ona była o wiele lepsza. Też zachowywała się jak niemowa. Milczeniem odpowiedziała również na rozwód. Zwrociła się do swoich newage'owych ksiązek, mitów, baśni. Wycofała się do własnego legowiska, do piwnicy, do księgarni. Teraz jednak Bett milczała z innego powodu. Nie z gniewu czy smutku, ale z poczucia siły. Po prostu patrzyła na niego.

Nie znalazł tego, czego szukał, w jednym pudle, zabrał się więc do szperania w następnym. Rzucił jej przelotne spojrzenie i grzebał dalej.

- Bett, przypuszczalnie nic się nie stało. To dorosła młoda kobieta, która wyrwała się sama z domu na kilka dni. Kupiła ci prezent, w porządku. Ale może zerwanie z tym Bobbym było dla niej zbyt ciężkim przeżyciem. Ona niedługo wróci. Słyszałaś, co mówił Konnie.

Kiedy jej mąż mówił tym tonem, powolnym i rozważnym, Bett dostrzegła w nim coś, o czym zawsze wiedziała: miał zadatki na człowieka, który jak nikt inny mógłby być perfidny i potrafić manipulować innymi. Gdyby był zachlanny, stałby się bogatszy niż Bill Gates, gdyby był zły, byłoby to zło Hitlera lub Mansona, najgorszy rodzaj zła. Zło, które przenika do serc i zabija od środka. Kiedyś była gotowa potaknąć mu, zanim jeszcze skończył mówić, ugiąć się pod ciężarem jego elokwencji.

Ale tego wieczora powiedziała po prostu:

- Wybacz, Tate, ale to mnie nie przekonuje.

Uśmiechnął się niespodzianie i przez krótki straszliwy moment myślała, że z niej kpi. Ale nie, on po prostu znalazł to, czego szukał - zniszczona skorzana kurtka. Wyciągnął ją triumfalnie ze skrzyni.

Skąd ona ja pamiętała? Ach tak, z czasu jego studiów.

- Boisz się mnie, prawda? - spytała.

Tate włożył kurtkę. Rozwiązał krawat i rozpiął górny guzik eleganckiej białej koszuli.

- Jak to wygląda? - zapytał. - Trochę ciasna, ale nie najgorzej jak na starego człowieka. Och, oczywiście, że tak. Nawet bardzo. Prawda wygląda tak, że nie mam ochoty się angażować. Mam teraz jakos ułożone życie. Robię to, co chcę robić, spotykam się z ludźmi, których chcę widzieć. Nie chcę, żeby cokolwiek to zburzyło, więc owszem, śmiertelnie się ciebie boję. Ciebie i przeszłości.

Zaniemowiała na chwilę.

Zaczął grzebać w kolejnej skrzyni.

- Rozmawiałaś ze swoim narzeczoną?

Brad Moore wyjechał z miasta. Solidny, porządny Brad... zaproponował, że wróci, gdy tylko usłyszał o wieży ciśnienia, ale Bett uparła się, że nie powinien przerywać podróży służbowej. Z wielkim trudem wypowiedziała następne zdanie.

- Wolalabym, żebyś to był ty.

Oderwał wzrok od skrzyni. Uczciwe spojrzenie, które zmusiło ją do kolejnego wyznania.

- Jest coś jeszcze. Tamtej nocy - przed wieżą ciśnienia - byłam... poza domem. Nie wróciłam. Zasnąłam. Megan było bardzo przykro, że nie zadzwoniłam, nie powiedziałam jej, dokąd jadę.

- Byłaś u tego twojego, no jak on się nazywa? Brada?

Przytaknęła.

- Myślę, że to mogło popchnąć ją do picia w poniedziałek. Ona nie przepada za Bradem.

Tate nie odpowiedział, tylko wyciągnął starą i zniszczoną szwajcarską ławeczkę, usiadł na niej i ściągając eleganckie buty i skarpety, zaczął masować sobie stopy. Jakby zamierzał wyjść na pole i trochę popracować.

A więc to tak, pomyślała zrezygnowana Bett.

Również gdy byli małżeństwem, czuła nadciągającą nieuchronną porażkę. Chciał, żeby odeszła. Mogł równie dobrze wskazywać palcem na jej samochód. Na razie. *Uważaj na siebie. Milego dnia.* Zrzuciła torebkę na ramię i zaczęła zmierzać ku wyjściu. Ale nagle stanęła w miejscu.

- Och, Tate... Gdybym choć przez chwilę potrafiła być taka jak ty.

- Jak ja? - Zdziwiony, podniósł wzrok.

- Gdybym umiała oczarować cie słowami, zmusić do pomocy... Dalabym wszystko za to, żebyś zrobił, co chce, ale nie potrafię. Mogę tylko prosić. Mogę tylko powiedzieć ci, czego potrzebuje, i modlić się, żebyś mi pomógł. Widzisz, z tobą nie da się rozmawiać. Przegram każdą debatę. Taki już jesteś. A ja nie.

Mówiła to, patrząc na ławkę ogrodową. Przypominała sobie wieczór po pogrzebie, większość gości już wracała do domu. Megan leżała w łóżku. Bett zdejmowała japoński lampion, a listopadowa noc była nadal dziwnie balsamiczna, w powietrzu czuło się piękny, smutny zapach rozkładających się liści. Tata krążył wokół niej niczym duch, z oczyma utkwionymi w ziemi. Usiadła na ławce ogrodowej.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

A ona pomyślała znowu: Co się dzieje, co się dzieje?

Dzisiaj następne słowa jej eksmeza wymazały tamto wspomnienie, ale zarazem zakorzeniły je mocniej w jej duszy.

- Bett, nie musisz namawiać mnie do czegokolwiek. Jak myślisz, dlaczego wkładam swój strój bojowy?

Wciągał suche robocze skarpety i wysokie, czarne skórzane buty, które wreszcie odnalazł.

Spojrzała na niego zmieszana, potrząsnęła głową.

- Zadzwoń do biura - ciagnał - i weźmę kilka dni urlopu. A ty też lepiej znajdź jakieś wygodne buty. Zawsze podobałaś mi się w szpilkach, ale mam przecucie, że sporo się dzisiaj nachodzimy.

- O czym ty mówisz, Tata?

- Mówię, że będziemy jej szukać. Razem.

Rozdział 7

Aaron Matthews wprowadził samochód Megan na parking w Viennie, wielkiej stacji przesiadkowej szybkiej kolei, piętnastce mil na zachód od Dystryktu Kolumbii.

Było południe, toteż ta część parkingu, z dala od pociągów, zapelniała samochody pozostawione przez podróżnych.

Nie zdejmując chirurgicznych lateksowych rękawiczek, Matthews wysiadł z niebieskiego forda tempo dziewczyny i otworzył bagażnik. Przyjrzał się Megan, zwiniętej w pozycji embrionalnej, nieprzytomnej, skrepowanej sznurem konopnym.

Była bardzo blada. Zanim zabrał się do dalszej roboty, przyłożył rękę do jej piersi i upewnił się, że wciąż oddycha. Podszedł do swojego szarego dodge'a caravana, zaparkowanego w szeregu innych samochodów, i otworzył boczne drzwiczki, po czym szybko zarzucił na Megan koc i przeniósł ją z samochodu do furgonetki. Czuł potrzebę szybkiej ucieczki ze swoim lupem, ale nie mógł się powstrzymać przed rzuceniem na nią jeszcze raz okiem. Wreszcie wrzucił jej plecak do furgonetki, zatrzasnął drzwi i wprowadził samochód Megan na miejsce parkingowe po furgonetce. Między przednimi siedzeniami tempa umieścił zniszczony rozkład jazdy Amtraka, który posłużył Megan jako podkładka, gdy pisała listy do rodziców i Amy, i na którym znalazły się dzięki temu odciski jej palców. Dotykał tego rozkładu - podobnie jak papieru, który ukradł z pokoju Megan w domu Bett McCall - tylko w rękawiczkach.

Bog uśmiechnął się dzisiaj do mnie, doszedł do wniosku Matthews. Tego ranka stał wśród bukszpanu w pobliżu domu Colliera od szóstej do osmej, żeby upewnić się, że prawnik pojedzie jak co dzień do biura. Pojechał. Ale potem, gdy około jedenastej trzydziestej Matthews powrócił już z Megan w bagażniku, odkrył, ku własnemu zaskoczeniu, że Collier również powrócił. Na szczęście ubrany w pelerynę prawnik kierował się ku polom. Gdy zniknął z pola widzenia, Matthews dostał się do środka dzięki kluczom Megan, rzucił dalmatynczykowi kosc, żeby czymś go zająć, umieścił w odpowiednich miejscach listy i podarty czek, po czym odjechał ku stacji metra.

Pozostało już tylko kilka luznych wątków, które trzeba będzie poprzecinać.

Matthews udał się do eleganckiej dzielnicy Fairfax i zatrzymał się koło krytej gontem skrzynki na listy przy końcu długiego podjazdu. Na skrzynce widniał wypalony napis: *Panstwo Walker*. Wrzucił

do skrzynki list, który Megan napisała do swojej przyjaciółki Amy podczas sesji terapeutycznej.

Stad ruszył do Oakton, dzielnicy przyczep kempingowych w lesnej części miasta. Miał parking, widząc, że świeci pustkami. Mezowie pracują, żony robią porządki i słuchają niekończącego się cwierkania Sally Jessye reklamującej w telewizji kolejne produkty.

Zaparkował w blocie, z dala od innych przyczep, i ostrożnie wysiadł z samochodu. Bardzo powoli skierował się ku domostwu na samym skraju parkingu.

Nie jesteś doktorem Petersem, odezwał się w jego umyśle głos Megan.

Tak się składa, Megan, odpowiedział jej w myślach, że jestem. Dobrze wiesz, że wszyscy odgrywamy w życiu różne role. Na przykład ty jesteś kochanka i córka, a teraz moim jencem. Coż, jeśli Aaron Matthews jest id, to doktor James Peters jest ego. A kto jest superego? Zobaczysz...

Przez kilka lat Matthews rzeczywiście zarabiał na życie jako terapeuta. Potrafił snuć opowieści o stopniach uzyskanych na Harvardzie i Columbii, o pracy w nowojorskim oddziale Cornell Medical Center i w Bellevue. Miał sprawny umysł, który z łatwością tworzył takie historie; doskonale pamiętał, komu która opowiedział. Wszyscy niezmiennie mu wierzyli, Matthews był nieprzeciętnie uzdolnionym kłamcą.

To, że nie miał papierów, nie oznaczało jednak, że nie był dobry. Weźmy chociażby te kobiety z przyczepy, do której właśnie się podkradał. Kiedy spotkał ją w barze miesiąc temu, natychmiast rozpoznał klasyczną osobowość graniczną, gotową rozłożyć nogi - i zrobić niemal wszystko - jeśli tylko wystuka się odpowiedni kod, który w jej przypadku był mniej więcej równie zagadkowy jak PIN karty bankomatowej.

Drzwi były zamknięte.

Zastukał w szybę i zajrzał do środka.

- Idź sobie - zawołała kobieta.

Zobaczył ją przez szybę w drzwiach. Przypominała nieco Megan, choć była o kilka lat starsza. Długie, proste włosy. Mopsowata twarz w typie Janis Joplin. Pod brudnym podkoszulkiem rysowały się znaki pozostawione przez dziecko odebrane dawno przez ojca, ale nie jej meza: obwisłe, zmęczone piersi, ciemne sutki.

Wyjął z kurtki kuchenny noż i wsunął ostrą jak brzytwa hartowaną stal do tylnej kieszeni.

Zapukał. Trzeba załatwić to szybko i sprawnie.

- Cześć - powiedział Aaron Matthews.

- Idź sobie. Nienawidzę cie.

- Emily - szepnął i posłał jej zakłopotane spojrzenie.

- Nienawidze cie! Za to, do czego mnie zmusiles! - wykrzyczala to przez zamkniete drzwi.

Zmusiles mnie. No coz. Nie bylo to dokladnie tak. Matthew dal jej milosc, dal jej uwage, dal jej solidne pieprzenie, a ona w zamian oddala mu przysluge. Chodzilo tylko o to, zeby zagadac Megan w barze i upic ja na tyle, by stracila przytomnosc w parku. Potem zadzwonila do ojca Megan, udajac pracownika socjalnego hrabstwa, i nakazala mu, zeby umowil Megan z doktorem Petersem w sprawie terapii uzaleznieniowej.

- Spieprzaj stad! - warknela kobieta.

Ludzi zagniewanymi znacznie trudniej sie manipuluje niz smutnymi. Ale Matthews nigdy nie cofal sie przed wyzwaniem. Zaspiewal: „Kocham cie tu, kocham cie tam...”.

- Ona mogla umrzec! Co to bylo za swinstwo, ktore jej dalem? To nie bylo zwykle valium, co?

- Laudanum. I southern comfort. W sam raz dla nastolatki. „Kocham cie w noc, kocham cie w dzien, za twoja milosc wszystko ci dam”.

- Przestan! - powiedziala Emily.

- Wieza cisnien to byl wypadek. Nikt nie mogl przypuszczac, ze wlezie na sama gore.

- Spadaj. Zaluje, ze kiedykolwiek cie spotkalam. Jestes zerem.

Kiedy zagadnal ja w barze, twierdzila, ze jest aktorka. Przechylil glowe i sie rozesmial.

- O co chodzi? - spytala, usmiechajac sie, rumiana od slodkich kamikadze, ktore pila.

- O twoje imie. Pochodzi od lacinskiego aemulus. Nasladowca, przedrzezniacz. Jak aktor.

- Spadaj! - Emily sie smiala.

- Kiedy to prawda. - Pocalowal ja w usta. I byla jego. Rozlozone nogi, rozlozone serce, rozlozona dusza.

Teraz powoli otworzyl zewnetrzne drzwi i oparl glowe o okno. Wpatrywal sie w jej oczy.

- Twoja dusza... - tak zwrocilby sie do tlumow zgromadzonych na polach za Katedra wsrod Sosen, trzymajac mikrofon i przechadzajac sie po niskiej estradzie. - Twoja dusza zostanie strawiona przez ogien. A co wzniesie sie do nieba? Nic, oprócz martwego popiolu twojego zycia... Teraz modl sie. Chce, zebys modlila sie ze mna! Chce, zebys sie modlila, chce, zebys sie modlila, chce...

...zebys otworzyla drzwi - rozkazal. - Chce, zebys otworzyla drzwi. - Odnalazl jej oczy przez szpare w szybie i nie spuszczal z niej wzroku.

- Ona mogla umrzec.

Emily twierdziła, że chce, by ktoś pokochał ją za jej talent aktorski. Za jej umysł. Za jej dowcip. Ale Aaron Matthews wiedział, że naprawdę wcale nie tego pragnęła. Widział jej prostą twarz, zapadający się trójkąt dekoltu i napięty czarny stanik, załóżony makijaż na rozstępach na piersi, jej łapczywe usta ssące jego fiuta. I wiedział, niczym chirurg, gdzie należy przyłożyć skalpel. Taki właśnie miał talent.

- Myślę tylko o tobie, Emily. Chciałbym leżeć przy tobie, słuchać twoich słów.

Wydęła usta.

- Powinieneś mi powiedzieć, co jej dawałam. Zostałabym na miejscu, żeby jej pilnować.

Matthews przedstawił się Emily jako detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego i powiedział, że Megan i jej ojciec spreparowali zeznanie. Potrzebował dowodu, że dziewczyna pije i że jej ojciec składa fałszywe oświadczenia w sprawie jej terapii przeciwuzależnieniowej. Kiedy mówisz ludziom, że działasz z pobudek finansowych, prawie zawsze ci uwierza.

Milczał. Dwadzieścia sekund później otworzyła drzwi.

- Wszystko z nią w porządku? Z Megan?

- Wszystko dobrze.

- Polubiłam ją, jest miła. Czuję się jak ostatnia, robiąc jej to.

- To bardzo miła dziewczyna. - Matthews musiał przyznać jej racje.

- No więc teraz przestaniesz do mnie dzwonić czy co? Po to przyszedles? Żeby pieprzyć się ze mną, a potem oznajmić, że wszystko skończone? - W jej głosie pobrzmiewała gorączka, szalenstwo.

- Kocham cie - powiedział. I dostrzegł, że zadrzała z niechętnej radości.

Aaron Matthews również drżał. Przyglądał się jej szyi, językowi, lśniącym jasnym włosom, które teraz wiazała w koniński ogon, żeby zająć czymś ręce.

On trzymał własne ręce za plecami, ponieważ nadal miał na nich cienkie lateksowe rękawiczki.

- Zaczniemy od propozycji układu - powiedział.

Te słowa stanowiły początek jednego z jego najpopularniejszych i najbardziej wstrząsających kazań.

Emily rozesmiała się krótko, niepewnie i spojrzała na niego wzrokiem kogoś, kto podejrzewa, że cały świat chce z niego zrobić balona.

- Od propozycji układu - powtórzył.

- O co ci chodzi, Aaron?
- Zalozenie: Aniol smierci krazy tuz nad twoja glowa...
- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - Zapiela guzik bluzki.

- ...i za chwile umrzesz - ciagnal Matthews. Jego reka powedrowala do noza w kieszeni.

Emily odsunela sie. W zasiegu wzroku miala rozne przedmioty, ale jeszcze nie telefon. Matthews wiedzial doskonale, gdzie stoi staroswiecki aparat.

- Aaron, o co chodzi?

- Twoja dusza pojdzie do piekla.

- O czym ty mowisz? - W jej glosie pobrzmiwala teraz nuta skruchy. - Przepraszam, ze trzymalam cie na zewnatrz. - Wskazala na drzwi, po czym przybrala poze rozpaczliwej niesmialosci. - Byles dla mnie niedobry. Nie lubie facetow, ktorzy sa dla mnie niedobrzy. - Mowila dziewczecym tonem, który przybierala czasem, gdy sie z kims kochala. Teraz brzmialo to zalosnie.

Propozycja. W Katedrze wsrod Sosen spojrzalby diablu prosto w oczy i powiedzial: „Moi drodzy przyjaciele, Bog ma dla was propozycje. Zalozenie: Idziecie do piekla. Mozecie Go przekonac, zeby tak sie nie stalo? Co mozecie powiedziec, zeby przekonac Go, zeby postapil inaczej?”. Potem Matthews zszedlby miedzy sluchaczy i podtykalby im mikrofon do ust. A oni by zastygli! Milczeli jak zakleci! Jak dajesz komus szanse zbawienia niesmiertelnej duszy, to powinien wymyslic zdanie lub dwa.

- Posluchaj, nie wiem, co...

Przecial linie telefoniczna dlugim stalowym ostrzem. Emily przygladala sie temu z lekiem.

- O Boze, o Boze, co ja zrobilam? - Skulila sie w klebek.

Usiadl kolo niej na tapczanie, wciagnal zapach jej perfum. Byla bezwladna jak szmata.

Spojrzec diablu prosto w oczy.

- Dam ci szanse wywiniecia sie aniolowi smierci. Przekonaj go.

- Nie...

- Aniol nadlatuje. Wlasnie kolysze sie nad twoja glowa. - Nachylil sie i wbil wzrok w kobiete. - Daje ci szanse ocalenia zycia.

Usilowala krzyczec, ale natychmiast ostrze noza znalazlo sie w jej ustach. Zamarla. Matthews przycisnal jej jezyk nozem.

Zalozenie...

- Postanowilem cie zabic - oznajmil Matthews oficjalnym tonem. - Przekonaj mnie, zebym tego nie robil.

Wciagnal do pluc powietrze wpadajace przez okno. Czulo sie w nim bogactwo wiosennej roslinnosci i wilgoc ziemi - krokusy wlasnie zaczynaly kwitnac. Wiosna, odnowa. Chrystus wyszedl ze smierdzonego grobu w niedziele dwa tysiacie lat temu.

Odsunal noz.

- Jesteś chory! - krzyknęła Emily. - Wiedziałam to w chwili, gdy cie poznałam! Wiedziałam! Jesteś rabniety i chory!

- Dlaczego miałbym cie nie zabijac?

- O Boże...

- Można mnie przekonac - zapewnil ja lagodnie. - Spróbuj.

Krzyknęła glosniej.

- Powiem ci, dlaczego chce cie zabic, jesli to pomoze. Powod jest taki, ze wiesz o związku między mna i Megan.

- Zrobie wszystko. Och, prosze, Aaron...

- Błagasz. To nie ma nic wspolnego z przekonywaniem. Przekonaj mnie, zebym cie nie zabijal. - Na jego twarzy pojawil sie grymas zniechecenia.

- Pozwol mi zyc... Jestem dobra chrzescijanka. W glebi serca.

- Och, pierwszy konkretny argument. - Matthews pokiwal glowa, jakby rozwalal te slowa. - Zastanowmy sie nad tym. „Jestem dobra chrzescijanka”. Moja odpowiedz brzmi tak: jesli to prawda, to zyjesz w lasce Pana. To jeszcze bardziej przekonuje mnie, zebym cie zabil.

- Nie! - krzyknęła.

- Widzisz, Emily? Slowa maja znaczenie, wywoluja efekt. Powiedzialas cos bezmyslnie i widzisz, co sie stalo. A teraz pomysl!

- Co - zalkala - co chcialbys uslyszec?

- Przyklad? Moglabys powiedziec, ze wyprowadzisz sie do innego stanu. Spojrz na swoje zycie: mieszkasz w brudnej przyczepie, nie masz rodziny, masz wszawa prace. Moglabys wyjechac do Teksasu lub na Floryde. Po prostu zniknac.

Emily wpatrywała się w noż, na którym widniały kropelki jej sliny.

- Mogłabys też powiedzieć, że ryzykuje, zabijając cie. Te wszystkie kłopotliwe szczegóły. Pozbycie się ciała...

Jeknęła.

- Już dobrze, dobrze. - Plakała. - Wyjade. Dokąd tylko zechcesz.

Potrzaskał głową.

- Ja już to przemyślałem.

Włosy kleiły się jej do twarzy. Ostrze tancyło przed oczami.

- Mogłabys napisać list, w którym wyznasz, że upicie Megan było twoim pomysłem. Nie odwazyłabys się nikomu powiedzieć, bo w przeciwnym razie też wylądowałabys w więzieniu.

- Dlaczego - wykrztusiła - ktokolwiek miałby iść do więzienia?

- Przyjmijmy to za pewnik - odrzekł z uśmiechem. - A teraz powiesz mi, gdzie mieszka twoja matka. Albo twój brat. Bada zakładnikami.

- Nie mam brata! - krzyknęła chrapliwym, przerażonym głosem. - Nie mam!

Matthews przyglądał się kobiecie uważnie, gładząc ją po włosach. Wdychanie jej szczególnego, słodkawego zapachu - oznaki strachu - sprawiało mu przyjemność. Potrzaskał głową.

Zaczął szeptać.

- Czy wiesz, co powiedział Arystoteles? Że człowiek, który broni się rękami, a nie słowami, jest żaloszny. Ponieważ nasza zdolność mowy i przekonywania jest dowodem naszej wyższej natury.

- Nie wiem... - lkała Emily - nie wiem, co powiedzieć.

- To widac.

Teraz wszystko potoczyło się szybko. Noż człowieka w reku Boga jest bronią, przed którą nie ma obrony. Emily krzyknęła raz, gdy ostrze przecięło jej gardło, a potem tylko walczyła, błagając o miłosierdzie, gdy krew tryskała wokół.

Kiedy straciła przytomność i upadła na plecy, Matthews pochylił się nad nią i powoli wsunął noż do jej ust. Odczekał chwilę, aż minie mu erekcja, a kiedy to nie nastąpiło, chwycił wciąż drgający koniuszek jej języka w lewą dłoń.

Noż w jego prawej ręce sam z siebie, niczym wskaźnik na tarczy do wrozenia, zaczął poruszać się w przód i w tył.

Rozdział 8

Korytarz pachniał jak w każdej szkole średniej - potem, laboratorium chemicznym, środkami dezynfekcyjnymi.

Instynktowny niepokój, jaki wywołało w nim to miejsce, rozbawił Tate'a. Nauka szła mu łatwo, ale cały swój czas poświęcał Klubowi Debat, nauczyciele więc bez przerwy zamykali go w świetlicy za opuszczone lekcje i nieodrobione zadania. To, że przystawał przy drzwiach pokoju nauczycielskiego, cytując na głos z pamięci Cycerona lub Johna Calhouna, nic nie pomogło.

Biuro kierownictwa szkoły Megan nie było przytulne. Składało się z niewielkich boksów o przepierzeniach wyłożonych tkaniną równie niebieską jak farba olejna na ścianach.

Dyrektorka, tęga kobieta w średnim wieku, ubrana w czerwony kostium, wysłuchiwała opowieści Bett bez cienia emocji.

- Myśla państwo, że uciekła? - spytała.

- Mielismy nadzieje, że pani porozmawia z kims z jej przyjaciół.

Twarz kobiety przybrała ostrożny wyraz, cechujący często personel szkolny, jakby podejrzewała wszystkich o pedofilię.

- Nie bardzo możemy to zrobić. Kim są jej przyjaciele? I kto miałby z nimi rozmawiać? Nie mamy detektywów wśród personelu.

- Może moglibyśmy zobaczyć jej szafkę? - spytał Tate.

- Niestety nie.

- Dlaczego?

- Potrzebna jest jej zgoda. Albo nakaz sądowy.

- To śmieszne - powiedziała Bett.

- Takie jest prawo.

Bett spojrzala na swojego bylego meza, ktory na prozno przebiegal w myslach sprawozdania Sadu Najwyzszego w poszukiwaniu wypadkow pogwałcenia prawa do prywatnosci uczniow.

- No coz - rzekl swoim najbardziej adwokackim tonem - istnialy podobne wypadki.

Bett wzdrygnela sie.

Tate zerknal na teczke lezaca przed dyrektorka. Kobieta zapisywala wlasnie nieobecnosc Megan. Nie bylo rubryki „ucieczka”, dlatego pioro zawahalo sie przy punkcie: „Powody nieobecnosci”.

- Zatem nie moze nam pani pomoc?

- Obawiam sie, ze nie.

Juz na korytarzu Bett szepnela:

- Suka. I to ona ma zajmowac sie uczniami! To nia nalezaloby sie zajac.

Tate pociagnal zone w bok od glownego korytarza.

- Przejdzmy sie.

- Ze co?

- Chodz za mna.

Tate przygladal sie scianom. Mruczac cos pod nosem, Bett podazyła za nim, nie rozgladala sie specjalnie. Mineli otwarte drzwi i zajrzeli do zatloczonej klasy.

- Ktos z nich musial ja znac. Niewykluczone, ze nawet wiedza, dokad mogla pojechac. Niech to! Strasznie to deprymujace.

Gdy poprowadzil ja kolejnym korytarzem, Bett rozejrzala sie dookola.

- Dokad idziemy?

- Dwiescie piecdziesiat osiem.

- Co?

Zatrzymal sie i wskazal szafke, zamknieta na niewielka klodke szyfrowa.

- To szafka Megan - wyjasnil, podchodzac blizej. - Numer byl w jej teczce.

- Ach tak. Mozesz zdobyc nakaz sadowy?

Wystarczyły dwa kopniecia.

- O Boże - szepnęła Bett, zerkając w głąb korytarza. Wybuchnęła śmiechem. - Naprawdę to zrobiles!

- Podaj mi torebkę.

Wrzucił całą zawartość szafki do dużej torby Bett i oboje skierowali się szybko do najbliższego wyjścia.

- Zastanawiałem się nad precedensami prawnymi - powiedział, gdy już znaleźli się poza budynkiem - i uznałem, że nie mamy wystarczających powodów, żeby dostać nakaz.

Siedzieli na przednich siedzeniach jego samochodu, torbę położyli między sobą. Z radia syczały się dźwięki Vivaldiego.

Zaparkowali mercedesa - ironia miejsca nie umknęła uwadze Tate'a - na okolicznej ścieżce zakochanych, w miejscu, gdzie młodzież noca zabawiała się guzikami i smakowała rozgrzany makijaż i Clearasil.

Tate grzebał w zawartości dziewczęcej szafki. Nie było tego wiele. Znalazł podręczniki, zeszyt do chemii, zeszłoroczna lektura z francuskiego, kilka kolorowych pism - „InterView”, „Details”, „Rolling Stone”. I jeszcze jedna książka: „Kazirodztwo” pióra Anais Nin.

- A to co, u diabła? - zapytała Bett.

Tate wzruszył ramionami. Nie powiedział jej, że czytał recenzje, i że książka opisywała seksualne przygody Nin z własnym ojcem.

Zeszyty Megan zawierały trochę notatek z lekcji, ale znacznie więcej bazgrołów: zawilich rysunków przedstawiających pncza, macki i pnie drzew, wszystko mroczne i niesamowite.

Znaleźli również torbę papierową. Tate otworzył ją i wyciągnął paczuszkę opakowaną w srebrny papier.

Bett przelknęła ślinę.

- Kolejny prezent urodzinowy.

- Ale nie dla ciebie. Spojrz. - Na kartce widniały słowa: *Dla Bobby'ego od SWK.*

- Od kogo?

- Sam Wiesz Kogo - podsunął Tate i otworzył prezent. Wpatrywał się w niego przez chwilę. - No coż.

Bett wzięła do ręki kasetę wideo. „Maraton orgii. Twoje ulubione gwiazdy dla dorosłych. Całe

dwie godziny". Rozesmiała się ponuro i przetarła oczy.

- To żart.

- Być może.

- Na pewno - powiedziała z przekonaniem.

- Oczywiście.

- Może to nawet czysta kasetka.

- Może. - Tate wyciągał kolejne pisma i kartki papieru z nieczytelnymi notatkami. Potem znalazł kartkę o wymiarach pięć na siedem cali.

- O Boże - powiedziała Bett, zabierając mu papier.

Rysunek był makabryczny: mocna kreska przedstawiała gwiazdy i księżyc, kosciste dłonie i twarz mężczyzny wykrzywiona bólem. Krople na jego czole mogły być krew lub pot.

- To okropne.

Było okropne. Ale też bardzo dobre; przyciągające i odpychające zarazem. Na odwrocie autor napisał: „Dla Megan” i narysował serce przebite strzałą. Nie była to typowa walentynka - anatomicznie dokładny rysunek, z bijącego serca tryskała obficie krew.

- Kto jej to przysłał? Nieczytelny podpis.

- Kto mógł jej przysłać coś takiego? - dopytywała się Bett. - To musi być groźba.

- Dotykaj tylko krawędzi - ostrzegł ją.

- Dlaczego?

- Chcemy wiedzieć, kto to przysłał. Poproszę Konniego, żeby sprawdził odciski palców i porównał z bazą...

- Z czym?

- Z Automatycznym Systemem Identyfikacji Odcisków Palców. Baza danych. Może uda się ustalić, kto...

Urwał, gdy Bett wyjęła kopertę, w której przysłała kartka. Na jej ustach pojawił się dziewczęcy uśmiech.

- Och. - Tate spojrzał na adres nadawcy. - Masz rację. Tak będzie szybciej.

- Im dłużej na to patrze... - Bett wpatrywała się w rysunek. - To wygląda jak drzewo, ale potem

zmienia sie w zyle czy cos takiego. A tutaj jest jezyk i zeby. Nie podoba mi sie to. - Wsunela kartke do koperty i wrzucila do torebki.

- I pozbadzmy sie tego swinstwa. - Wskazala kasete porno.

Moglyby jej przypomniec te noce wiele lat temu, kiedy wymykali sie z college'u na polnocne seanse filmowe w miejskim kinie i kochali sie w ostatnim rzędzie, podczas gdy na ekranie pryszczaci kochankowie obsciskiwali sie w romantyczny i absolutnie cenzuralny sposob.

Otworzył okno i wrzucil kasete do kosza na smieci.

- To wszystko, nic juz nie ma? Sprawdz w torbie.

Zajrzal do papierowej torby, w ktorej znalazl kasete. Zmial i wyrzucil do kosza cala torbe, uznajac, ze nie widzi powodu, dla ktorego Bett mialaby sie dowiedziec o wielkiej paczce prezerwatyw przewiazanej ladna, czerwona wstazka i opatrzonej liscikiem do Bobby'ego od Sam Wiesz Kogo.

Rower.

Tylko to przychodzilo mu do glowy, gdy myslal o relaksie. Wlozyc kombinezon, wrzucic gorski rower na bagaznik starego volva i pojechac na zachod w gory Shenandoah.

Wdzierac sie na niewyobrazalnie strome wzgorza, tak zeby pluca wolaly o powietrze, a nogi pedalowaly jak szalone na niskim biegu.

Ale zamiast tego zdrowego, rozsadnego sposobu na dreczacy go niepokoj, Joshua LeFevre pozwolil swojemu doskonalemu cialu opasc na kanape, mruzczal przy tym: „Cholera, cholera, cholera”.

Jeszcze raz wykrecil numer telefonu.

Po drugim dzwonku odezwal sie mechaniczny glos, ktory przeciagal sylaby: „Heja. Sorki, nie ma mnie w chacie. Zostaw namiary, to przekrece. A na razie milego dnia?”.

I podobnie jak juz trzy razy tego popoludnia nie zostawil wiadomosci.

Gdzie ty sie, u diabla, podziewasz, Megan?

Nastroj LeFevre'a pogorszyl sie jeszcze bardziej, gdy przypomnial sobie, jak przyniosla sekretarke do jego mieszkania i kazala mu nagrac najlepsza nawijke, na jaka bylo go stac. „Heja. Megan nie ma, wozi sie z ziomalami. Nagraj sie - wroci na kwadrat, to oddzwoni”.

Przypomnial sobie tez, jak siedzieli razem zeszlego lata, a on oznajmil jej, ze nie moga sie juz spotykac.

- Dlaczego? - zapytala z prawdziwej ciekawosci. Poczul wowczas kompletna pustke w glowie.

Potem wrócił do domu, dreczyło go poczucie winy i tęsknota, zadzwonił więc do niej. Przez pół godziny, kiedy wracał do siebie, zdążyła zmienić nagranie. Wymazała go ze swojego życia. Zapewne o tym samym pomyślała, gdy tylko znów została sama - w każdym razie przypuszczalnie znalazło się to gdzieś na wysokim miejscu na liście - a to podpowiadało mu, że jest znacznie silniejsza osobowością, niż on kiedykolwiek się stanie.

LeFevre zsunął się z kanapy i przeszedł po zagrożonych pokojach, szukając jakichś ciuchów. Włożył spodnie od dresu, skarpety i trójkolorową kamizelkę Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Jego mieszkanie znajdowało się niedaleko Kapitolu na południowym wschodzie miasta. Była to zaniedbana dzielnica, niezbyt bezpieczna, ale LeFevre był do niej przywiązany. Wprowadził się tu pięć lat temu, tuż po skończeniu drugich studiów. Mogł zamieszkać w pobliżu trzysypialniowego domu matki na DuPont Circle albo w osmiosypialniowej willi ojca w Great Falls, a może nawet wynajac mieszkanie nad galerią w Georgetown, gdzie regularnie wystawiał swoje prace. Właściciel często mu to proponował.

Ale on lubił to miejsce. Z przyjemnością wieczorem siedział na schodkach i popijając piwo, przyglądał się ludziom przechadzającym się z psami (psów było tu mnóstwo, wielkich, złych, obronnych bestii), rozmawiał z panem Sanchezem albo Williamsonami, których czternastoletnia córka bez skrepowania - ale z cichym, pełnym szacunku flirciarskim zainteresowaniem - przyglądała się muskulaturze LeFevre'a.

Mieszkanie było wymarzone dla niego. Okna dwóch sypialni, z których jedną zamienił na pracownię, wychodziły na północ. Sufity były wysokie i - rzecz zdumiewająca - działała kanalizacja. Było to najbliższe cyganerii, co mógł mu zaoferować dystrykt, i Joshua kochał to miejsce. Zwłaszcza teraz, gdy ciepłe wiosenne powietrze, ciężkie od zapachów Potomacu i kwitnących wisni, mieszało się z oparami terpentyny i oleju lnianego w jego pracowni.

Scisnął kierownicę roweru potężnymi dłońmi; jego skóra miała dokładnie ten sam brązowy odcień co siodełko.

Megan...

Gdzie jesteś?

LeFevre ponownie spojrzął na zegarek. Druga trzydziści. Miała zadzwonić przed południem. Gdy minęła godzina, a on nie otrzymał od niej żadnej wiadomości, zaczął się niepokoić. Teraz niemal się bał.

Megan McCall była kobietą o prawdziwie kamiennej twarzy - przez lata doprowadziła iluzję łagodności do perfekcji. Ale gdy stawała się za spokojna lub zbyt radosna, LeFevre wiedział, że coś jest zdecydowanie nie w porządku - martwiła się, bała, coś ją dreczyło lub kipiała złością. Gdy więc usłyszał, że się upiła, miała „kłopoty”, zamierzała „może pojsc do tego, wiesz, terapeutę, to nic takiego”, pomnożył to wszystko odpowiednio i doszedł do wniosku, że wydarzyło się coś bardzo, bardzo złego.

A teraz zniknęła.

A może po prostu wystrychnęła go na dudka?

Przychodziło mu do głowy jedynie to, że mogła domyslić się w końcu prawdziwej przyczyny ubiegłorocznego zerwania i we wściekłości zgodziła się na dzisiejsze spotkanie, po czym wystawiła go do wiatru, żeby się odplacić.

Czuł się głupio, myśleć o tamtej przyczynie - miała postać niewysokiej, czterdziestopięcioletniej kobiety o ostrych rysach, która siedziała w tej chwili w przestronnym biurze, gdzie pełniła funkcję zastępcy dyrektora Wydziału Mieszkan i Urbanistyki. Emma Vinton LeFevre.

Wtedy LeFevre przytoczył inne powody zerwania. Megan jest młodsza o dwanaście lat (uczennica liceum, na miłość boską), poza tym różnica rasowa (no dobra, kto się tym dziś przejmuje), za rok ona wyjedzie do college'u w innym stanie, a on już nigdy jej nie zobaczy (oj, tak), będzie dla niej przeszkoda w rozwijaniu jej własnych talentów (to prawda)...

Ale nie. Prawdziwa przyczyna była jego matka.

Zastępczyni dyrektora nie miała prawie nic przeciwko różnicy wieku, a zupełnie nic przeciwko kwestiom rasowym - była tak politycznie poprawna jak to możliwe. Ale Megan miała wadę, której nie dało się wymazać niczym głosu na tasmie w automatycznej sekretarce.

Była córką Tate'a Colliera.

A zatem LeFevre uległ woli matki, porozmawiał poważnie z Megan, okłamał ją i zerwał związek.

Przez kilka następnych miesięcy poświęcił się pracy i malował z pasją, której nie czuł od czasu studiów w Paryżu. Ale zawsze... zawsze nadchodził zmierzch i malarskie światło gasło dosłownie i w przenośni. LeFevre spędzał samotnie w ciszy wieczory. Siedział w pracowni, palił skreta, wypijał piwo, gapił się na płótno, nad którym pracował cały dzień, i zastanawiał się, czy spodobałoby się Megan. Czy uznałaby, że za dużo przypomina poprzednie? Może było za niebieskie, za blade, za płaskie? A może zbyt wspaniałe, żeby wyrazić to słowami?

Czasami patrzył na obraz i widział tylko jej twarz.

Taki był Joshua LeFevre, przystojny, dobrze zbudowany czarny mężczyzna, którego ciało budziło zachwyt zarówno kobiet, jak i mężczyzn, artysta, który miał za sobą kilkanaście wystaw w dystrykcie oraz Nowym Jorku, i zamozna matkę z politycznymi koneksjami, a także bogatego ojca niezmiernie wymienianego w zestawieniach „Forbesa”, przyjaciół w Anglii, Paryżu, New Haven, SoHo i Aspen.

Oto człowiek, który mógłby zdobyć serce każdego.

Oto człowiek, który pozadał tylko jednej, konkretnej kobiety.

A kiedy się zalamal i zadzwonił do niej w zeszłym tygodniu, powiedziała mu lekkim (zbyt lekkim?) tonem, że znowu jest wolna. Właśnie rozstała się z Bobbym, jakimś chłopakiem ze szkoły. Mówiła dalej, paplała coś, zmieniając temat, ale LeFevre złapał przynęte.

- A wiec - zapytal, a serce mu walilo - moze sie zobaczymy? Co powiesz na srode?

Dlugie milczenie.

- Moze. Jeszcze nie wiem.

- Prosze.

- No dobrze. Ale...

- Nie bede cie juz ukrywal - powiedzial z emfaza. - Przyjdiesz na kolacje i spotkacie sie.

- Juz to slyszalam, Josh.

- Tym razem tak bedzie. Naprawde.

A potem ten telefon. Wykrecil numer urzedu federalnego, wyobrazajac sobie jak zawsze szalony monolit biurowca z filmow Terry'ego Gilliama.

- Mamo, posluchaj. Ta dziewczyna bardzo duzo dla mnie znaczy. Wiem, co powiesz. Ale ona rzadko widuje sie z ojcem. On nie ma przyznanej opieki, a ona nosi inne nazwisko.

Cisza po drugiej stronie linii.

W koncu wiceminister LeFevre ugiela sie przed ponowofalowym, miejskoprymitywnym artysta LeFevrem i wlasnie w tej chwili - w przerwach miedzy telefonami do Bialego Domu i na Kapitol - przygotowywala eleganckie wieczorne przyjecie dla ich trojki i jeszcze kilkorga przyjaciol. Dlonie LeFevre'a - ktore zawsze pozostawaly suche, gdy zjezdzal na rowerze gorskim w dol zbocza z predkoscia czterdziestu pieciu mil na godzine - splywaly potem na mysl, ze Megan moglaby nie przyjechac.

Czy ona to zrobila? Wykiwala go? Czy kiedykolwiek jeszcze do niego zadzwoni?

Spojrzal na zegarek.

LeFevre wsiadl na rower i wyjechal na srodek pokoju, lekko naciskajac hamulec. Pozostal tam, balansujac idealnie, wykonujac miesniami drobne ruchy pozwalajace stac w miejscu.

Dziesiec sekund pozniej rozlegl sie glosny dzwiek dzwonka. Zeskoczyl z roweru i pognal do drzwi, otwierajac je na osciez.

I zamarl z reka na klamce.

Tak.

Wpuscil tych dwoje do srodka i wskazal miejsce na kanapie, pospiesznie odgarniajac na bok sterty ubran.

Miał świadomość, że w pokoju panuje balagan, że powinien być w szoku na widok osławionego Tate'a Colliera, który wmaszerowuje do jego mieszkania z żoną u boku. Ale wcale nie był.

Gdzie ty się, u diabła, podziewasz, Megan? - kolatało mu w głowie.

Debata to nie tylko słowa.

Tate Collier nigdy nie stawał na podium - ani podczas Turnieju Debatowego Amerykańskiego Towarzystwa Sadowniczego, ani podczas procesu czy rozprawy apelacyjnej - nie patrzył swojemu oponentowi i sędziom prosto w oczy. Mowcy, którzy rozumieją innych ludzi, zawsze pokonają tych, którzy ich nie rozumieją, niezależnie od tego, jak doskonale operują faktami.

Twarz Joshuy LeFevre'a wyrażała tego wieczora wrogość. Podobnie jak mocne, napięte ramiona i masywne palce spoczywające na atletycznych biodrach.

Tate pozalował nagle, że nie podał nazwiska młodzieńca Konniemu, który przysłałby tu uzbrojonych policjantów na rewizję.

Z kolei Bett, sama dwa razy mniejsza od LeFevre'a, wcale nie czuła strachu.

- Czy pan wysłał to mojej córce? - Pokazała mu kartkę.

LeFevre ochoczo potaknął, wyraźnie nabierając do niej sympatii, po czym zadał przedziwne pytanie:

- Gdzie ona się podziewa?

Tate, który studiował dialekty w ramach swojego przygotowania retorycznego do debat i ustnych dyskusji, rozpoznał ślad akcentu ze środkowej Anglii.

Nie spuszczać oczu z Bett, LeFevre ciągnął:

- Megan miała zadzwonić do mnie trzy godziny temu. Idziemy dziś wieczorem na kolację. - I dodał z odcieniem zdenerwowania w głosie: - Kucharka mojej matki właśnie wkłada kaczki do piekarnika.

- Kaczki? - wypalił Tate. *Zarty sobie stroi?*

Najwyraźniej nie.

Jego akcent był karaibski, ale i z Karoliny. Świadczył o wykształceniu. A więc może to nie był diler narkotyków i zbrojca. Ale niechec we wzroku, jaki LeFevre skierował na Tate'a, była niezaprzeczalna.

- Powinna zjawić się tu o siódmej, ale miała zadzwonić w południe.

Tate zauważył właśnie, że ściany mieszkania zawieszono były rysunkami i obrazami podobnymi

do tego na kartce, która znaleźli w szafce Megan. Większość była nawet lepsza od tamtego obrazka. I podobnie niepokojąca.

- Jak dobrze pan ją zna? - spytała Bett.

Na twarzy młodzieńca pojawił się nagły wyraz bólu. Tate znalazł odpowiedź, zanim padła z ust LeFevre'a.

- Spotykaliśmy się w zeszłym roku.

Oto jak rozumiał to Tate: ból, ponieważ go zostawiła. Poczucie zdrady. Nigdy nie powiedziała o nim rodzicom. No cóż, Tate również czuł się zraniony. Czyżby Megan naprawdę myślała, że on lub Bett mieliby coś przeciwko czarnoskóremu chłopakowi?

Ale najwyraźniej w jego uczuciach było coś więcej, niż dostrzegł Tate. LeFevre odezwał się do niego:

- Jestem pewny, że pan bardzo się tym wszystkim martwi. - *Jak w talk-show Arsenio Halla.*

No dobra, pomyślał Tate, przejdźmy do rzeczy.

- Ma mi pan coś do powiedzenia? - spytał spokojnie. - Może Megan wspominała coś o swoim dzieciństwie.

Niewygodne dziecko...

Znowu pudło.

- Tak, mam panu coś do powiedzenia. - Tate zauważył, że LeFevre ulega emocjom i że nie czuje się dobrze z gniewem. - Pan wie... Czy pan wie, dlaczego zerwaliśmy?

- Nie wiedziałem nawet, że było coś zrywac. A więc odpowiedź brzmi: nie.

- Podoba się panu moja kamizelka? Podobają się panu jej kolory? Przeszkadzają panu, prawda?

Tate skrzyżował ramiona i czekał. Czuł zakłopotanie.

- To przez to, czyja jest córka - powiedział LeFevre.

- Przez nas? - spytała Bett. - Przecież my nie...

- Nie, nie przez was - przerwał jej zapalczywie LeFevre. Zabrzmiało to jak kwestia w teatrze telewizyjnym. Wysunął palec w stronę Tate'a. - Przez niego. I przez sprawę Early'ego.

- Ze co? - Tate wpatrywał się w wielkie, ciemne oczy młodzieńca.

- Och tak, wszystko o tym wiem, człowieku.

- No wiec w czym problem? - spytal Tate, smiejac sie. Przygladal sie czerwieni, zieleni i zolci, ktore okrywaly potezna klatke piersiowa, i dodal: - To bardzo ladna kamizelka.

Bett spojrzala pytajaco na bylego meza, ktory westchnal i odezwal sie do niej:

- Jakis czas temu policjant w hrabstwie Fairfax zostal zabity przez syna bogatego biznesmena. Zlapal dzieciaka w parku z otwarta butelka. Wywiazala sie walka...

- Niech pan opowie o rasowym aspekcie.

- Nie bylo zadnego rasowego aspektu - odpowiedzial wyniosle Tate.

- Zawsze jest jakis rasowy aspekt. Chodzi tylko o to, czy chce sie go zauwazac, czy nie.

- Och, na litosc boska - wybuchnal Tate - ofiara byla czarna, sprawca byl biały. Tyle w kwestii rasowej.

- Niech pan dokonczy opowiesc.

Tate wzdrygnal sie.

- Policjant byl lektorem w kosciele i prowadzil grupe mlodziezowa w dystrykcie. Pracowal w parku na nadgodzinach, chcial rozmawiac z nastolatkami o ich problemach. Niestety mial rowniez...

- Tu zaczyna sie zmyslanie - wtracil LeFevre.

- ...tendencje do zaczepiania dziewczyn w patrolowanych parkach. Jesli znalazl skreta albo butelke, proponowal, ze ich nie zaaresztuje, jesli cos dla niego zrobia. Chodzilo o seks.

- Brednie. Nigdy tego nie udowodniono.

- Pozwalam sobie nie zgodzic sie - powiedzial Tate. - Zdaniem sedziego dowody byly wystarczajace.

- Wiekszosc przysieglych byla biala.

- Znalazlem dwoje swiadkow, ktorzy mieli dosc ikry, zeby zeznawac. Dziewczyna powiedziala, ze tej nocy widziala, jak glina sciagal bluzke i stanik z czternastolatki. Drugi swiadek...

- Swiadkowie tez byli biali. Oboje.

- Drugi swiadek widzial, jak policjant napastuje kilka innych dziewczyn. Early kazal mu przestac, bo inaczej powiadomi jego przelozonych. Policjant wyciagnal spluwe, a Early mu ja wyrwal. Pistolet wystrzelil. Lawa przysieglych uwierzyla w te historie. Zostal uniewinniony.

- Czy pan wie, przez co przechodzila jego zona podczas procesu? - zapytal LeFevre. - Wie pan, jak czuly sie jego dzieci? Czarny facet i biale kobiety. O Boze. - LeFevre potrzasnal glowa z

niesmakiem.

- Fakty pozostaja faktami.

- Ta opowiesc nie byla prawdziwa - zaprotestowal LeFevre. - Moja matka jest w zarzadzie Stowarzyszenia na rzecz Rownouprawnienia Kolorowych w dystrykcie. Ona wie. Zamowili raport i nie znalezi w nim zadnych dowodow na to, o co go oskarzyliscie.

- Nadal nie rozumiem. Co to wszystko ma do waszego zerwania? - zapytala Bett.

Odpowiedzial Tate.

- Nie chciales chodzic z corka takiego zacofanego goscia jak ja?

Mlody mezczyzna zawahal sie przez chwile. Tate zauwazyl w jego oczach niepewnosc i zrozumial, ze mlodzienc nie do konca podpisuje sie pod pogladami, ktore zapewne wyznawala jego matka. Kolejna wersja „Romea i Julii”.

Nie, LeFevre po prostu najwyrazniej nie potrafil dluzej podtrzymywac gniewu.

- Nie mam pojecia, czy jest pan zacofany, czy nie - powiedzial z namyslem. - Ale ulegl pan uprzedzeniom, zeby wypuscic na wolnosc zabojce.

Owszem, Donnie Early byl zabojca, myslal Tate. Pociagnal za spust i przez to zginial czlowiek. Temu nie da sie zaprzeczyc. Po prawdzie chlopak byl tylko bogatym bialym zasrancem z klopotami alkoholowymi. Ale czasami z woli systemu nawet mali biali zasrancy, ktorzy zabijaja ludzi, wychodza na wolnosc.

Tate mogl usadzc mlodziencia jednym szybkim pytaniem, czy aby nie bylo rowniez zbrodnia obciazac corke grzechami ojca. Ale w debacie nie chodzi tylko o slowa i nie tylko o logike. Chodzi rowniez o pragnienia. Tate potrzebowal pomocy tego mlodego czlowieka i to natychmiast. A wiec po prostu usmiechnal sie i powiedzial:

- Nie moge przeprosic za to, co zrobilem, Joshua. Bronilem Early'ego w miare swoich mozliwosci, tak samo jak bronilbym ciebie w sprawie z paragrafu 7, gdybys dostal podwyzke o piec centow mniejsza niz jakas kobieta. Ale wysluchaj mnie teraz. Mysle, ze martwisz sie o Megan tak samo jak my. Boimy sie, ze cos sie jej przydarzylo, a policja nic nie robi. Pomozesz nam czy nie?

- O Boze.

To byl glos Bett. Tate szybko odwrocil sie do niej.

Wskazywala na obraz przedstawiajacy naga dziewczynie otoczona pnaczami i galeziami, ktorej twarz mogla wyrazac bol albo rozkosz cielesna.

Ta dziewczyna byla Megan.

LeFevre zwrocil sie ku plotnu i spojrzal na nie z miloscia. Po chwili odezwal sie:

- Byla moja najlepsza modelka. Dobra, powiedzcie, co moge zrobic. Ale tez musicie mi pomoc. Jestem malarzem, a nie prywatnym detektywem.

Rozdział 9

Tydzien od poniedzialku, pomyslal.

Wlaczyl sie po korytarzach budynku, w ktorym - kiedys obliczyl to bardzo dokladnie - spedzil niemal polowe doroslego zycia.

Zdarte linoleum, bezowe szafki na akta, zapach plastiku, srodkow czyszczacych i potu, metalowe biurka przekazywane z pokolenia na pokolenie, rownie dobrze moglaby to byc siedziba administracji gimnazjum. W rzeczywistosci zas bylo to glowne biuro wydzialu policji stanowej, mieszczace sie wsrod gestej zabudowy przy Chain Bridge Road.

Dimitri Gregor Konstantinatis, sierzant wedle rangi - bynajmniej nie detektyw, jak przedstawil sie Bett McCall, ale tylko skromny sledczy - skinal zaferowanym policjantom, ktorzy powitali go przyjaznymi spojrzzeniami. Te ostatnie, calkiem niedawno zdolal przekonac o tym samego siebie, nie skrywaly juz nienawisci.

W wydziale do spraw nieletnich wcisnal sie do swojego malenkiego boksu i usiadl przy biurku, ktore w zestawieniu z jego postura naprawde sprawialo wrazenie przeznaczonego dla dzieci.

Wielka dlonia spracowana niczym dlon rybaka, ktorym nigdy nie byl, przyciagnal szara teczke, otworzyl ja, starannie wygladzil i podpisal na wierzchu. McCall, Megan.

Wywolal na monitor swojego compaqa raport jednej z trzech grup operacyjnych, ktore wyslal, zeby sprawdzily parkingi na lotnikach Dullesa i National oraz na stacji metra w Viennie. Wlasnie w tym ostatnim miejscu znalezli pol godziny temu samochod Megan.

Gdy drukarka wypluwala raport, Konnie rzucil okiem na kalendarz i znow pomyslal: tydzien od poniedzialku.

Skonczy sie czas jego zawieszenia - formalnie, wedle kalendarza, w niedziele, ale poniewaz data wypadala akurat w dzien wolny, okres wydłużono o dwadziescia cztery godziny (mimo iz rzadko bral wolne w soboty i niedziele). Odbędzie sie przesłuchanie, podczas ktorego okaze sie, ze w trakcie tego niekonczacego sie dwuletniego czyscca calowal i lizal dokladnie to, co nalezalo, i zostanie przywrocony do stopnia porucznika. A posada glownego detektywa w wydziale kryminalnym -

posada, o której marzył od czasów akademii, posada, której poświęcił mnóstwo godzin swojego życia - będzie znowu jego.

Koniec dwóch lat nudy, dwóch lat wstydu, dwóch lat spojrzeń rzuconych przez innych policjantów, usiłujących pogodzić ten śmieszny przydział z jego opinią najlepszego bodaj śledczego od ciężkich przestępstw w stanie Wirginia. Koniec najgorszych dwóch lat w jego życiu. (No dobra, były jeszcze te dwa poprzednie lata - tyle że on niewiele z nich pamiętał).

Tydzien od poniedziałku.

A tymczasem - ku swemu zaskoczeniu - właśnie trafił na pierwszą sprawę w wydziale do spraw nieletnich, która obudziła w nim dawne podniecenie. Poczul znowu potrzebę zdejmowania kolejnych warstw niewiadomej, składania danych w konkretne fakty i poszlaki, spekulowania i dedukowania - wszystko po to, żeby opracować profil. Posługiwania się w przesłuchaniach klasyczną metodą POZ (Pobudki - Obiekt - Zachowanie) w celu zmuszenia podejrzanego do współpracy. Wyrwania się z biura, żeby rozmawiać z ludźmi, wglębiać się w sprawy istotne.

Konnie pochylił się nad raportem grupy operacyjnej i czytał, dopóki nie uswiadomił sobie, że boli go brzuch. Marynarka wpijała mu się w pas. Zawsze zapinał guziki ciemnego garnituru, który nosił niezmiennie do białej koszuli i ciemnego krawata. Rozpiał je.

Napisał raport o samochodzie Megan. Było to pobieżne badanie - tylko wstępna ekspertyza, wykluczająca zdaniem policjantów bojkę. W samochodzie znaleźli aktualny rozkład jazdy Amtraka. Raport stwierdzał, że rozkład był wielokrotnie przeglądany, ale nie zaznaczono żadnych nazw miejscowości ani numerów połączeń. Konnie chciał przeprowadzić dalsze badania, ale żeby uzyskać na to zgodę, musiał wprowadzić przypadek do oficjalnych akt. Z formalnego punktu widzenia nie dało się tego zrobić, dopóki nie miną dwadzieścia cztery godziny od zniknięcia Megan. Będzie musiał się postarać o przydział numeru dla sprawy Megan, a dla siebie - o prowadzenie tej sprawy.

Zadzwoił do Identyfikacji i zazałał, żeby posłali grupę do domu Bett McCall i zabrali stamtąd cokolwiek, na czym znajdowałyby się odciski palców dziewczyny, a następnie nakazał oddziałowi kryminalistycznemu obejrzeć dokładnie jej samochód i postarać się, żeby ninhydrina sprawdzono odciski palców na rozkładzie jazdy. Zapewnił wszystkie grupy, że do wieczora przesła im oficjalny numer akt sprawy.

Teraz zdałał do biura F. Wellinga Dobbsa, młodego kapitana, który stał na czele kilku wydziałów, w tym również do spraw nieletnich. Zwierzchnik Konniego był elegancki i cierpki, świetny policjant. Był też o piętnaście lat młodszy od Konniego.

- Właśnie miałem cie wezwąć - powiedział elegancki młody człowiek.
- Kapitanie, proszę spojrzeć, co tu mamy. Znaleźli samochód tej McCall. Był...
- Co to jest? Ach, ta sprawa Colliera? To ten facet, który był kiedyś prokuratorem stanowym?
- To on. Widział pan moja notatkę. On...

- Ona uciekla.
- Moze. To jedna...
- Zostawila listy. - Dobbs strzepnal pylek z munduru. - Oczywiscie, ze uciekla.
- Znalezlismy jej samochod na stacji w Viennie.
- A wiec podrozuje Amtrakiem. Jedzie do Nowego Jorku. Sprawa, jakich jest tysiacie rocznie. Zepsuta dzieciarnia z Fairfax. Oczywiscie nie powiedzialem tego.
- Znalezli rozklad jazdy Amtraka w samochodzie.
- No popatrz, popatrz. - Mlody oficer mial oczy jastrzebia... albo sepa.
- Dlaczego zostawila go w samochodzie, jesli zamierzala z niego korzystac?
- Zapomniala. Albo wiedziala, ktorym pociagiem pojedzie. Albo chciala wziac nowy z dworca. Union Station jest zaledwie o kilka stacji od Vienny.

Cos w glebi duszy podpowiedzialo Konniemu, zeby nie wspomnac o zleconych ekspertyzach.

Dobbs byl dwa razy szybszy, niz wskazywala jego potezna budowa. Potarl oczy.

- Jak znalezli samochod?

Cholera.

Przez ostatnie dwa lata Konnie nauczyl sie kontrolowac gniew. Nie bylo to latwe. Nie mial charakteru, mial gniew. Przyznawal sie do tego. Nie mozna miec lagodnej natury i scigac facetow, ktorzy gwalca szesnastolatki. Wciagnal kilka razy gleboko powietrze i uniosl czarne brwi.

- Wiesz, o co pytam, Konnie. Ile grup wyslales?
- Trzy.
- Jezu Chryste!

W religijnym kraju, gdzie co drugi dom trzyma sie wiernie slowa Panskiego, a pytanie o „wybor” oznacza, do ktorego odlamu protestantyzmu nalezysz, takie wykrzykniki sa rzadkoscia.

Spokojnie, pomyslal Konnie.

Tydzien od poniedzialku.

- Kim on jest, twoim kumplem?
- Collier i ja pracowalismy razem.

- No.

Konnie nie był pewny, czy miało to oznaczać „No to co?” czy „No tak, to tłumaczy twoje idiotyczne zachowanie”.

- Jej rodzice są bardzo zmartwieni - ciągnął sierżant.

- No coż, zmartwieni rodzice to jeszcze nie powód do wszczęcia dochodzenia.

- Tak jest, jeszcze nie powód. - Konnie zastanawiał się czasem, gdzie podziewał się gniew, gdy nie było go tam, gdzie powinien się znajdować.

- Zapomnij o tym. Mam tu prawdziwy problem.

Na biurku wyladowała kolejna teczka. W środku nabierało się materiałów na ćwierć cala. Konnie domyślił się, że sprawa była w toku jako ważna od jakiegoś miesiąca bądź też jako mniej ważna od trzech miesięcy.

- Sprawa Devoe. Dziewczyny, która zabiła się w marcu. Konnie przypominał sobie nastolatke, która wskoczyła w przerazliwy nurt Great Falls i potłukła się na śmierć o kamienie.

Samobójstwo nastolatki. Dla Konniego najcięższy rodzaj pracy w wydziale. A statystyki wykazywały, że problem stawał się coraz poważniejszy w skali stanu i całego kraju.

- Jest coś dziwnego w jej śmierci.

- Nie pamiętam dokładnie - odpowiedział Konnie.

Ale pamiętał, włącznie z twarzą dziewczyny na zdjęciu z autopsji. Pulchny Dobbs, mimo całego reżimu dodatków z aminokwasami i lecytyna, nie miał w sobie nic z Konniego Konstantinisa, który był ucielesnieniem trzech kluczowych cech detektywa specjalizującego się w ciężkich przestępstwach: uporczywości, przywiązywania wagi do szczegółów i doskonałej pamięci.

Chciał jednak wiedzieć, do czego dokładnie zmierza jego przełożony. Zapytał więc, mrużąc oczy:

- Nie było tam jakiegos listu?

Dobbs znalazł w teczce fotokopie. List zaczynał się od słów: „Byłam w miejscach, w których wolalabym nigdy nie być. Byłam w miejscach, do których, jak sądzę, nie potrafiłabym wrócić...”.

Konnie nie czytał dalej.

- Ślady bojki? - spytał.

- Na twoim miejscu wyprasowałbym garnitur, Konnie - odpowiedział Dobbs. - Jej rodzice są przekonani, że tego nie zrobiła.

Cos w pamieci Konniego poruszylo sie, ale nie zaskoczylo.

Czekal.

- Zlozyli raport. A raczej ich prawnik zlozyl. Jest tutaj. - Wskazal szara teczke, dokladnie taka sama jak ta, ktora Konnie wlasnie przydzielil sprawie Megan.

- Co mam zrobic?

- Potrzebujemy wstepnego ustalenia, czy istnieja przeslanki, ze padla ofiara zabojstwa.

Konnie moglby zauwazyc, ze z technicznego punktu widzenia samobojstwo jest odmiana zabojstwa - taka, w ktorej przestepca i ofiara sa akurat ta sama osoba. Ale pomyslal: tydzien od poniedzialku.

- Dlaczego?

- Poniewaz dostalismy rozkaz. - Dobbs usmiechnal sie, mimo ze nie mial takiego zamiaru.

- Ale wedlug ekspertyzy medycznej bylo to samobojstwo, prawda?

- Bedziesz to mial na piatek rano.

- Na pojutrze? - spytal zaskoczony Konnie.

Usmiech ustapil miejsca autentycznemu poirytowaniu.

- Potrzebuje swiadkow, zeznan, calego tego kitu. Slicznie i czysto. Wykresl wszystko z kalendarza i wez sie do tego.

- No coz, prawde mowiac, myslalem, ze zajme sie sprawa McCall.

- Nie ma takiej sprawy. Dziewczyna uciekla. Jestem juz prawie wkurzony, ze wyslales trzy zesply na przeszukiwanie parkingow. A nawet jestem calkowicie wkurzony.

Kapitan nie bylby wkurzony, gdyby zaginela corka jakiegos polityka...

Bingo.

Devoe.

Jej ojciec byl czlonkiem parlamentu stanowego i waznym biznesmenem w Fairfax. Bogaty i wplywowy. Zamknij cholerna gebe na klodke, powiedzial sobie Konnie. Dobbs ma dac ci rekomendacje - albo ja cofnac - na rozprawie dotyczacej przywrocenia do dawnych obowiazkow.

Sprobowal wiec podejscia tchorzliwego.

- Troche sie boje, czy to nie spali na panewce, a wtedy jej rodzina bedzie sie czula jeszcze gorzej

niz teraz. Radziłbym to zostawić. Mogę z nimi pogadać, jeśli pan chce. - Pozbawione jaj cudo, zgnił sam siebie.

- Masz teczkę, Konnie. Pierwsza rzecz na piątek. Godzina dziewiąta. Zaangażowany jest szeryf hrabstwa, mamy też kogoś z VBI.

Czasami gniew całkowicie uspokaja.

- Wiem, że masz wątpliwości, funkcjonariuszu - powiedział Dobbs bez uśmiechu, ale i bez irytacji. - Ale przeczytaj akta. Zobaczysz, co tu jest dziwnego. Ta dziewczyna dostała stypendium do George Mason, jej chłopak właśnie dał jej pierścionek, a na godzinę przed tym, jak się zabiła, kupiła cztery bilety na koncert Aerosmith. Tak nie zachowuje się ktoś, kto chce umrzeć. Chodzi mi o to, że morderstwo można upozorować na samobójstwo.

Czasami gniew kaze mówić.

Konnie podniósł teczkę z napisem *McCall, Megan*.

- Tak jak porwanie można upozorować na ucieczkę.

Dobbs spuścił głowę i spojrzał na niego.

- Sprawa McCall nie ma żadnego priorytetu. Ani trochę. Zrozumiałeś? - Ton jego głosu był lodowaty.

Jasno i wyraźnie.

Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoju, Konnie rzucił teczkę Devoe na biurko. Siegnął po słuchawkę telefonu, żeby odwołać nakaz sprawdzania odcisków palców, gdy rozległ się dzwonek.

Detektyw w swojej pracy przyzwyczaja się do ironii losu. Łagodna zona, która nigdy nie miała w ręce broni, zabija meza, członka Stowarzyszenia Posiadaczy Broni, w chwili, gdy ten znowu narzeka, że ciągle dostaje to samo na śniadanie. Świątobliwy kaznodzieja zostaje przyłapany z reka w majtkach czternastolatki. Wiceprezydent udzielający się w organizacjach na rzecz popierania rodziny pali skrety tuż po treningu drużyny gimnastycznej. Konnie nie był więc specjalnie zaskoczony, gdy podniósł słuchawkę i usłyszał:

- Wiesz, że płace ci pensję? Gdyby nie ja, byłbyś inkasentem w elektrowni.

- Odpieprz się, Tate. Nie mam czasu dla farmerów.

- Nie chodzi o to, że chce jakiejs przysługi.

Cholera. Niech to diabli. Konnie obawiał się odejścia od przekomarzania, obawiał się też ciągnięcia tego dalej.

- Złapali cie bez portek w zagrodzie dla owiec - burknął. - Znowu, Tate? Wiedziałem, że coś nie

w porzadku, gdy ostatnio w barze zamowiles woolite.

- Konnie, dzwonie w sprawie Megan. - Powazny ton Tate'a, tak nietypowy, przeszl wielkiego policjanta dreszczem.

- Czego sie dowiedziales?

- Niczego.

- No tak, Tate. Czego potrzebujesz? Powiedz mi.

- Jakas szansa na dzien urlopu?

Od czasu wypadku dwa lata temu - wypadku, ktory spowodowal jego zawieszenie - Konnie postanowil, ze nie opusci ani jednego wyznaczonego mu dnia pracy, tak bardzo pragnal, zeby jego akta byly nienagane w chwili, kiedy beda rozpatrywac przywrocenie go na dawne stanowisko.

- Mam tyle dni urlopu, ze nie wykorzystam ich przez tysiac zywtow - odpowiedzial.

- Zapisz ten adres. Przyjezdzej jak najszybciej. Dzieki, Konnie.

Gdy zapisywal ulice i numer domu, rozdraznila go tkliwosc w glosie Tate'a, powiedzial wiec dla oczyszczenia atmosfery:

- Ale nie zamierzam tracic czasu na ogladanie twojej paskudnej facjaty. Czy twoja piekna zona tez bedzie?

- Byla zona, Konnie.

- Wciaz to powtarzasz, Tate. Tym lepiej dla mnie. Do zobaczenia za pol godziny.

O rany, pomyslal Konnie, odkladajac sluchawke.

Tydzien od poniedzialku.

Rozdział 10

Policjant i artysta mierzyli się wzajemnie nieufnym wzrokiem.

Tate spodziewał się zatargu między potężnym czarnym mężczyzną w barwach Afrykańskiego Kongresu Narodowego a ogorzalym Grekiem w wymiętym garniturze od J. C. Penneysa.

Konnie wyczuwał w powietrzu zapach trawki, z grymasem na twarzy przyglądał się krotkim, potarganym dredom LeFevre'a i niezbyt przyjaznym tonem zapytał, skąd bierze się taka fryzura.

LeFevre uśmiechnął się niepewnie.

- Z laboratorium genetycznego?

Konnie mruknął coś pod nosem i wskazał palcem karalucha w blekitnej ceramicznej popielniczce pomalowanej w niesamowite wzory przez LeFevre'a.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Konnie. Od piętnastu lat nie miałem do czynienia ze sprawą kryminalną.

- Jesteś przekonany, że kiedyś byłeś w tym dobry, Tate. Ale nie byłeś. - I zwracając się do Bett, dodał: - Ratowałem jego tylek przy każdej sprawie. Tak, moja pani, to powszechnie znany fakt.

Bett nadal nie potrafiła odnaleźć się w tym ich przekomarzaniu się, więc milczała.

- Dobra, streszcze wam, co wiem. - Konnie opowiedział o samochodzie Megan i rozkładzie jazdy.

- Amtrak - wyszeptała Bett. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Nie dlatego, jak przypuszczał Tate, że ten dowód wskazywał na ucieczkę corki poza granice stanu, ale dlatego, że potwierdzał pełen goryczy list dziewczyny.

Tate podszedł do zakratowanego okna i wyjrzał na niedźną ulicę. Odwróciwszy się, zobaczył, że wszyscy wpatrują się w niego pytająco, i natychmiast poczuł się nieco zbity z tropu. W klubie debatowym, przed lawą przysięgłych, przed sadami apelacyjnymi Tate Collier cierpiał na tremę. Przez całe życie walczył z nią: medytacja, betablokerami, valium i czarodziejskim lekiem znanym

jako jim beam. Ale tak naprawdę nic nie pomogło. Oczywiście stawiał sobie wysokie wymagania. Bardzo wysokie. Kiedy Sędzia pojawiał się na procesie, zebraniu miejskim albo ślubie, uśmiechał się, przyjmował ten wyraz absolutnej pewności siebie i rozpoczynał mowę, która sprawiała wrażenie przygotowywanej od wielu dni. Choć zawsze była improwizowana. Nie było żadnych „hmm” czy wahan, przelany śliny czy rumieńców.

Tego popołudnia publiczność Tate'a składała się zaledwie z trojga osób, ale on czuł się, jakby stał przed Sędzią Najwyższym, przypiekany na ogniu przez nieustępliwego sędziego Rehnquista.

- Podejrzewamy, że coś się jej przytrafiło, Konnie. Nie wiemy co, ale chcemy się dowiedzieć. Czy istnieje jakaś szansa na pomoc?

- Ze strony wydziału? Zapomnij o tym.

- Dlaczego?

- Dlatego że zbiegle siedemnastolatki się nie liczą. Wybacz, takie jest życie.

Nie mówił im wszystkiego. Tate dostrzegł to, ale nie skomentował.

- Ona nie uciekła - odezwał się LeFevre. - Dzisiaj wieczorem była zaproszona na kolację u mojej matki.

Konnie wzruszył ramionami.

- No to co? Kilka nocy temu o mało co nie zanurkowała głowa w dół z wieży cisnien. Po czymś takim też straciłbym apetyt.

- Wątpię - odpowiedział Tate, zerkając na potężny brzuch Konniego.

Detektyw zignorował te uwagi.

- Macie coś jeszcze? - zapytał.

Bett opowiedziała mu o mydelniczce i kartce urodzinowej. Konnie wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Proszę mówić dalej - powiedział w końcu.

- To wszystko.

- To wszystko?

- I przecucie - wtracił Tate.

- Ach, tak, pradawne przecucie. Możesz mi przypomnieć, w którym rozdziale podręcznika śledczego jest o tym mowa? Chyba w tym o tarocie, prawda? A może tym o astrologii.

Spoglądając niepewnie na Bett, Tate przypomniał sobie, że gdy ileś tam lat temu on i Konnie mieli podobne kłopoty, wylewali wiadra pomoy na swoje byłe żony. Był czas, na samym początku ich małżeństwa, kiedy Bett nie zrobiła najmniejszego ruchu, nie poradziwszy się kart, I Ching albo runow. Teraz jednak nie zareagowała na uwagi Konniego.

- Czego tak naprawdę ode mnie chcecie? - spytał policjant.

- Żebyś pomógł nam zaplanować śledztwo. Powiedział, co robić. Jesteś w tym dobry, Konnie. A my potrzebujemy eksperta.

- Przede wszystkim, zakładając, że nie uciekła, powiedzcie mi, co waszym zdaniem mogło jej się przytrafić?

- Sądzę, że ktoś przekonał ją, żeby z nim poszła. Namówił do napisania tych listów.

- Jakich listów? - zapytał LeFevre.

Tate zawahał się, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomięta kartkę. Podał ją malarzowi. Bett zrobiła tak samo. LeFevre przeczytał je z obojętną miną i oddał rodzicom.

- Kim może być nasz czarny charakter? - zapytał Konnie.

- Pamiętasz te historie z wieża ciśnienia? Tamtej nocy, gdy była w szpitalu, powiedziała nam, że spotkała dziewczynę i że pili razem, włączając się od baru do baru. Potem kupiły butelkę i poszły do parku.

- Żeby podrywać facetów - dodała Bett.

- Najpopularniejszy sport Ameryki - skomentował Konnie. - Co to był za bar?

- Nazywa się Coffee Shop.

Konnie parsknął.

- Cholera, Tate, to bar motocyklistów.

- Niemożliwe.

- A jednak, pani McCall.

- Myślicie więc, że uciekła z tą dziewczyną?

- Być może.

Konnie zanotował coś. Tate pamiętał z czasów, kiedy pracowali razem, że Konnie czasami zapisywał jakieś nic nieznaczące bazgroły po to tylko, żeby uspokoić swoich rozmówców, upewnić ich, że przykłada się do pracy. Miał tak niewiarygodną pamięć, że zapisywał wszystkie szczegóły w

umysle; pisanie spowalniało tylko proces myślowy.

- A co z tym chłopakiem, o którym wspominaliście po południu? Z tym Bobbym? Mogł mieć ze sprawa coś wspólnego?

- Wiesz, kto to jest? - zwróciła się Bett do LeFevre'a.

- Mówiła, że poznali się w szkole - odpowiedział. - To wszystko, co wiem. Nie rozmawialiśmy dużo przez ostatni rok.

- Usiłowaliśmy dowiedzieć się czegoś w szkole - powiedział Tate - ale nie byli skorzy do pomocy.

- No i nie znacie nazwiska - przypomniał im Konnie.

- W jej szafce nie było nic z nim związanego - powiedziała Bett.

- A jak dostaliście się do szafki? - rzucił niewinnie detektyw.

- Ach, ta szkoła... - Tate potrząsał głową. - Zamek był wylamany.

- Pilnuj swojego tyłka, Tate. Nie jesteś już na garnuszku stanu, ale nadal masz koncesje, która mogą ci cofnąć. A niech to, jeśli z tą dziewczyną nie łączy się jakaś tajemnica. No dobra, na początek przekopcie jej pokój. Mam na myśli dosłownie... przekopanie, rozumiecie? Zakładajcie, że ukrywa coś, za co dostałaby łanie, gdybyście się dowiedzieli...

- Nigdy jej nie uderzyłam - oznajmiła urazona Bett.

- Zartuje, moja pani. Musisz się do mnie przyzwyczać. A więc rzuciła tego Bobby'ego? Będzie trzeba z nim porozmawiać, mówię serio. Zatem dowiedzcie się, kto to jest. Ale ciągle brakuje wam jakiegos solidnego tropu.

- Naprawdę jest coś takiego jak Coffee Shop? - spytał Tate. - Gdzie spotykają się gangi motocyklowe? Nie wstydza się tego?

- Nie udawaj świętoszka, Tate. To ty powiedziałeś mi, gdzie można niedrogo wyrwać jakąś łaseczkę.

Bett się poruszyła. LeFevre wysiłił się na uśmiech. Najwyraźniej zapomniał, że Tate był postrachem ruchu praw obywatelskich w hrabstwie Fairfax.

- No dobra, oto co proponuję. Ty i twoja żona - przepraszam: eksżona - udacie się do tego baru i spróbujecie dowiedzieć się, kim była ta dziewczyna.

- Wiesz coś o niej? - zwrócił się Tate do żony.

Twarz Bett wyrażała ogrom niewiedzy.

- Niewiele. Chyba mowila cos o jakiej Emily. - Zwrocila sie do LeFevre'a: - A ty?

- Nigdy o niej nie slyszalem.

- Facet gada jak jakis dyplomata. - Konnie rozesmial sie, wskazujac na LeFevre'a. - I nie skopcie sprawy, Tate. Nazwiska wszystkich barmanow czy chocby ksywki. Pogadajcie w domach z tymi, ktorzy akurat maja wolne. Oni zawsze spiaja dlugo, wiec pozne popoludnie to swietna pora na przesluchanie. Sa nacpani i zazwyczaj na kacu, mowia wiec rzeczy, ktorych wcale nie chca powiedziec.

Tate skinal glowa.

- Mam znajomosci na Union Station. Nie bedzie latwo, ale lepiej to dokladnie sprawdzic. Popytam sie na dworcu. I na lotnisku. Do tego potrzeba odznaki, nie beda gadac z cywilami.

- A ja?

Konnie zmierzyl LeFevre'a wzrokiem.

- Nie robimy nic w zwiazku z samochodem. Moze przejechalbys sie na stacje w Viennie i poszukal kogos, kto widzial, jak wsiada do pociagu? Tylko wloz na siebie cos innego niz te lachy.

- Ubralbym sie jak policjant, ale nie mam wymietego dziesiecioletniego garnituru - odparl LeFevre ostroznie, ale wystraszył sie wlasnej smialosci, gdy zobaczyl, jak twarz Konniego wykrzywia grymas.

Policjant rozesmial sie jednak glosno i puscil oko do malarza.

Tate przylapal sie na tym, ze wpatruje sie w akt Megan. Miala piekne cialo. Uswiadomil sobie, ze sie gapi i szybko odwrocil wzrok, dostrzegajac niepokoj na twarzy Bett.

- O co chodzi? - zapytal, czujac sie jak podgladacz.

- Mam nadzieje, ze znajdziemy ja przed piatkiem - rzekla posepnym tonem. - Naprawde mam taka nadzieje.

- A to dlaczego? - spytal Konnie.

- Bo to weekend wielkanocny, a ja chcialabym spedzic go razem z nia.

Konnie wzruszyl ramionami i nie zauwazyl, ze wzrok Bett powedrowal ku Tate'owi, który tez spojrzal na nia przelotnie. Tate znow zerknal na portret Megan, ale w myslach ujrzal tylko jedno: list, który do niego napisala.

„Nazywa cie zlotoustym diablam, ktorym zreszta jestes, ale ty nigdy do mnie nie mowisz, nigdy nie mowisz, nie mowisz...”.

Rozdział 11

Nie była zakneblowana. I to śmiertelnie ją przeraziło.

Megan otworzyła oczy i poczuła miękkie kołysanie furgonetki. Jechali chyba równą drogą, ale narkotyk, który dostała, sprawiał, że wszystko wokół się kołysało. W dół i w górę, i z boku na bok. Zamknęła ponownie oczy i odetchnęła głęboko, usiłując nie wymiotować.

W ustach nie miała knebla.

Chciała przestać o tym myśleć, ale nie potrafiła.

Ponieważ to znaczyło, że ten człowiek wszystko dokładnie przemyślał. Nie zakneblował jej, ponieważ wiedział, że narkotyk może wywołać wymioty i w rezultacie udusić Megan. Znaczyło również, że nie bał się jej wołania o pomoc - nie zamierzał nigdzie się zatrzymać.

A nikt nie zobaczy mnie w furgonetce, uswiadomiła sobie, ponieważ okna są przyciemnione, może nawet lustrzane od zewnątrz.

Szczegóły, Josh...

Ten człowiek... jak on się nazywa? Matthews, tak. Matthews pomyślał o wszystkim. Listy, które kazał jej napisać, gabinet w ustronnej dzielnicy mieszkaniowej, osłonięty od ulicy krzewami. Widziała teraz jego dłonie na kierownicy. Nie miał już obrączki. To też był element kamuflażu, coś, co miało ją uspokoić.

Chciała płakać, krzyczeć, ale zmusiła się do zachowania całkowitego spokoju.

Bez ruchu. Niech nie wie, że się obudziła. Nie masz wiele, ale masz świadomość. Nie jesteś tak bezbronna jak przedtem. Prawie tak, ale nie całkiem.

Wyskoczyć, pomyślała. Jak szybko jedzie ta furgonetka? Nie potrafiła ocenić. Jazda była gładka i cicha, okna ściśle zamknięte, toteż nie słyszała hałasu z szosy; równie dobrze mogli gnać autostradą. Było jasno - pewnie jeszcze środa - wokół powinny się znajdować inne samochody. Ludzie zobaczą, jak wyskakuje z furgonetki, zatrzymają się i zadzwonią po policję.

Co sie stanie, jesli otworzy drzwiczki i wyskoczy?

Zalozmy, ze jest to jakas glowna szosa, I-66 albo I-95. Na pewno jedzie z dozwolona predkoscia - nie ryzykowalby zatrzymania z nia na tylnym siedzeniu. No wiec jedzie piecdziesiat piec mil na godzine. Co bedzie, jesli wyskocze? Bardzo zle?

Bardzo.

Ale jak bardzo? Przezyje?

Polamane nogi. Skora zdarta na asfalcie... Okropne. Oszpecenie na cale zycie. Moze tez zlamac kark.

Zaczela zastanawiac sie, dokad on ja wiezie. Co zamierza? Gwalt, morderstwo? Zakopie ja zywcem, co czasem zdarza sie porywaczom? Oszaleje, jesli cos takiego sie stanie, zabije sie...

Megan wyobrazila sobie, ze wyskakuje z samochodu. Wyciaga zwiazane rece, szarpie za klamke i wypada. Jesli on jedzie prawym pasem, a ona bedzie miala szczescie, to pobocze porasta trawa. On oczywiscie zahamuje odruchowo, gdy uslyszy otwieranie drzwiczek. Moze zwolni do piecdziesieciu albo czterdziestu pieciu. To juz nie wydaje sie az tak szybko.

Zamknela oczy, zeby zlagodzic nieco nudnosci i uczucie kolysania.

Lezala zwrocona tylem do bocznych drzwiczek. Czy sa zamkniete na zamek?

Zaczela sie obracac, po czym zamarla. Nie, nie ruszaj sie! Jesli chcesz sie przyjrzec, zaczekaj, az zmieni pas albo skreci i wtedy przetocz sie powoli w tamta strone.

Furgonetka wygladala znajomo. Matka Amy miala taka sama. Dodge caravan. Nie otwierajac oczu, Megan zaczela sobie przypominać, jak w zeszlym miesiacu ona, Amy, Donna i Kelley pojechaly do centrum handlowego w Fair Oaks. Uda jej sie otworzyc drzwiczki. Pamietala dokladnie, gdzie jest klamka.

Teraz zaczekaj. Tylko to mozesz robic. Czekac.

Dziesiec dlugich minut pozniej poczula, ze samochod przechyla sie ostro w lewo, gdy Matthews zmienil pas. Udala, ze ruch przewrocil ja na plecy. Przechylila glowe w prawo. Dobra robota, pomyslala. Poruszala sie dokladnie tak jak czlowiek nieprzytomny, ostatnio ogladala taka scene w filmie (cholera, to bylo o porwanej dziewczynie).

Nie mysl o tym. Przygotuj sie na nastepna zmiane pasa.

Gdy znow zjechal na prawo, poruszyla podkurczonymi nogami zgodnie z ruchem samochodu i teraz lezala zwrocona twarza ku bocznym drzwiczkom.

Minimalnie uniosla powieki. Tak, byly tam: zamek i klamka. Poniewaz tylne siedzenia zostaly zlozone, klamka znajdowala sie kilka cali od jej rak. Te miala skrepowane, ale nie przywiazane do

innej czesci ciala. Nie bedzie musiala nawet sie podnosic - wystarczy wyciagnac rece, podwazyc bolec zamka i szarpnac za klamke. A potem skulic sie, wysunac nogi za drzwi i wytoczyc sie, oslaniajac glowe.

Okej. Zrob to. No juz.

Naprawde mam to zrobic?

Polamane nogi i blizny na cale zycie albo gwalt badz pogrzebanie zywcem?

Nagle Szalonej Megan przeszlo przez mysl, ze moze zaczyna dzialac zbyt pochopnie.

A jesli on ma inne plany? Moze po prostu chce wyciagnac od Tate'a ze sto tysiecy dolarow? Bedzie trzymal ja w bezpiecznym miejscu przez kilka dni, dostanie pieniadze i wszystko sie skonczy. A jesli to nieszkodliwy wariat, ktory chce jej pokazac kolekcje oswojonych ptakow i pozwoli odejsc?

Ale wtedy w pamieci Megan pojawila sie jego postac w gabinecie, jak nachyla sie i chwyta ja za ramiona.

Chcesz mi to powiedziec. Musisz mi to powiedziec. Dotknij tego, co najbardziej boli. Dotknij! Ojciec przeczytal ci bajke. Doszedl do ostatniego zdania. „Niedzwiedzie nie umieja mowic”. Odklada ksiazke. Co sie teraz dzieje?

I zrozumiala, ze kimkolwiek jest ten czlowiek, nie robi tego dla pieniedzy i nie jest jakim pomylnem. Zaplanowal wszystko dokladnie. Jest niebezpieczny. Rany, to gwalciciel, on juz ja molestowal - jej dusze, serce.

Uciekaj stad. Zaryzykuj.

Juz!

Gdy jej rece przesuwalysie ku chlodnemu metalowi klamki, musiala zwalczyc fale nudnosci i zawrotow glowy. Serce nigdy jej tak mocno nie walilo.

Tak, dosiegnela zamka! Wszystko gra!

Pociagnela tak mocno, ze gdy puscila metal, prawie zlamala palec. Klamka ani drgnela.

Ani na cholerny milimetr.

Odezwal sie melodyjny glos Matthews.

- Pomyslalem, ze mozesz sie nudzic tam z tylu, dlatego zabralem cos do ogladania. - Siegnal na siedzenie pasazera.

- Nie! - krzyknela Megan.

- Te drzwiczki otwieraja sie tylko z zewnatrz - wyjasnil. - Masz. To namalowal moj ojciec. Pomyslalem, ze ci sie spodoba.

- Dlaczego mi to robisz? - krzyknela.

Postawil male, oprawione plotno kolo niej, opierajac je o scianke furgonetki.

- Dlaczego? - Plakala, kolyszac sie w przod i w tyl, ukrywajac twarz w dloniach.

Nie zareagowal, tylko spokojnie prowadzil samochod, podziwiajac widoki. Po kilku minutach troche sie uspokoila, otarla twarz o wykladzine na podlodze furgonetki. Odwrocila sie i spojrzala na obraz.

Zatkalo ja. To bylo jak te sredniowieczne malowidla, ktore widziala, gdy Tate zabral ja do National Gallery, plaskie i pozbawione emocji: mloda kobieta przywiazana do drzewa na wzgorzu, na tle jasnoniebieskiego nieba. Tylko ze autor nie mial pojecia o malowaniu. Przypominalo to dzieciece obrazki, ale nie bylo dzielem dziecka. Wykrzywiona twarz, nierowne rece, niewlasciwe proporcje. Niemniej to nie dziwaczny rysunek byl zrodlem niepokoju, ale to, co przedstawial. Kobieta miala na sobie biala suknie, podarta i sciagnieta do pasa. Rece uniosla w modlitewnym gescie, a nad jej glowa widniala aureola. W jej piersi, boki i szyje wbite bylo piec dlugich, czarnych strzal. Po rozowym ciele splywaly strumyczki krwi, a oczy wznosily sie ku niebu w bolu i ekstazie.

Megan zaczela plakac.

Uswiadomila sobie cos, co przerazilo ja znacznie bardziej niz samo malowidlo. Matthews postawil obraz na boku, tak zeby go dobrze widziala.

A to przypomnialo jej, ze istotnie jest czlowiekiem, ktory myśli o wszystkim.

No tak, Konnie go ostrzegal.

Tate zmierzyl wzrokiem rzad motocykli stojacych przy krawezniku, mlodych mezczyzn z otwartymi butelkami, ktore przechylali wyzywajacym gestem, tatuaze, wojskowe buty, kamizelki.

Tak. To Coffee Shop.

Stojacy u wejscia do obscurnego wnetrza ogromny, brodaty bramkarz gapil sie na elegancka jedwabna bluzke i wzorzysta spodnice Bett z podejrziwym rozbawieniem. W swoim stroju roboczym, skorzanej kurtce i wysokich butach, Tate przynajmniej nie wybijal sie z tego tlumu w dzinsach, podkoszulkach, flanelowych koszulach, kowbojskich butach i skorzanych pasach.

Kilka starych ciem barowych pochylalo sie nad lada, ale w wiekszosci byli to mlodzi ludzie; tloczyli sie przy stolach, glosni, pijani, bardzo zadowoleni z siebie i odglosow, jakie wydaja.

Barman okazal sie roslym mezczyzna w srednim wieku, ubranym w robocza koszule z podwinietymi rekawami. Rece mial czerwone od mycia naczyn, a twarz od popekanych naczyn krwionosnych. Dostrzegl w postaci Tate'a cos urzedowego, nabral wiec ostroznosci.

- Cos podac? - spytał z nadzieją w głosie.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Ach, tak. - Mężczyzna odwrócił się ku tacy pełnej szklanek, które nagle zaczęły wymagać umycia. Nie spojrzał już więcej na Tate'a ani Bett.

- Przyszliśmy w związku z Megan McCall - krzyknął Tate.

- Nie sądzę, że bym znalazł kogoś takiego. Kim jesteście? - Wzrok utkwiony w mydlinach.

- Jej rodzicami. Jak masz na imię?

- Hmm. Stony.

- No więc, Stony, wiemy, że ja znasz - spróbował Tate. - Nie o to pytamy. - Niepewne milczenie barmana stanowiło potwierdzenie blefu. - Chodzi tylko o to, czy ostatnio ją widziałeś?

Trzy szklanki zostały umyte z niezwykłą dokładnością.

- Nie, już od jakiegoś czasu nie. Od kilku tygodni, jak sądzę. Od miesiąca albo i dwóch. - Wzrok wbil w ściereke.

Tate nachylił się, osłaniając ucho dłonią. Uśmiechnął się.

- Ale hałas. Muzyka. Chyba nie dosłyszałem. Miesiąc albo dwa, mówisz? Ale ona była tu w poniedziałek. Z inną dziewczyną. Chyba miała na imię Emily.

- Kilka dni temu, he? No, człowieku, może i masz rację. - Wzrok przeniósł się na wilgotny dolarowy napiwek.

- Może i mam - powtórzył Tate z uśmiechem. - To dobre. Widziałeś kogoś z nich od tego czasu? Megan albo Emily?

- Nie. - Jego wzrok tym razem powędrował ku szafie grającej, z której właśnie zaczął lecieć utwor Lynyrd Skynyrd.

- Od jak dawna ona tu bywała?

- A bo ja wiem.

- Nie wiesz. To chciales powiedzieć?

- A bo ja wiem.

- Nie masz też pojęcia - ciągnął Tate - gdzie kogoś z nich mogłaby się znajdować, prawda?

- Przepraszam. Nie znam żadnej Emily.

Tate skinął palcem na wycofującego się barmana.

- Zaczekaj jeszcze chwilke, Stony, dobrze? Może znasz jakichś jej przyjaciół, którzy tu przychodzą?

- Nie, stowa, że nie. Przepraszam, ale nie mogę pomóc.

- Tak, Stony, ja też żaluje.

Przy bilardzie zaczęły się kłopoty, rozległy się podniesione głosy. Barman przyglądał się temu, szukając wymówki, żeby się oddalić i zacząć przerywaniem bojki. Ale skończyła się, zanim się na dobre zaczęła.

- Wiesz, wszystkie te pytania... - Tate uśmiechał się. - Nie mają nic wspólnego z tym miejscem...

- To nie mój lokal.

- ...ani z tym, że Megan ma dopiero siedemnaście lat.

- Siedemnaście? - Twarz Stony'ego usiłowała wyrazić zaskoczenie, ale wyszło z tego tylko lekkie zdziwienie.

- Siedemnaście.

- Coż, proszę pana - powiedział niepewnie ze wzrokiem utkwionym w mydlinach - jeśli ma dowód tożsamości...

- Megan nie miała fałszywego... - warknęła Bett.

Tate machnął ręką w jej stronę i skrzywił się lekko. Zamilkła.

- Dowód - zwrócił się znowu do barmana. - Przyglądacie się mu dokładnie? Musicie, ponieważ wiadomo, że nieletnim nie podaje się alkoholu. W tym hrabstwie oznaczałoby to zamknięcie lokalu.

- Jeśli mają dowód, reszta mnie nie interesuje.

- Coż, niestety to nie jest wszystko, co powinno cię interesować, Stony, jako że - o ile się nie mylę - prawo mówi, że powinieneś odmówić podania alkoholu każdemu, kogo uważasz za nieletniego, niezależnie od tego, czy ma dowód, czy nie. Spokojnie, przyjacielu, nie panikuj. Nie wybieram się do biura i nie zamierzam nic pisać.

- Biura?

Tate błysnął legitymacją prokuratora stanowego. Była nieważna od pięciu lat, ale założył, że Stony nie będzie przyglądał się dokładnie, gdy zobaczy imponującą pieczęć.

- Oto masz dowód tożsamości. Ale oczywiście tu nie jest podany mój wiek.

- Zrozum, ludzie przychodzą - powiedział Stony nieszczęśliwym tonem. - Maja dowody tożsamości, to ich obsługuje. Nie pytam ich o życiorysy. Nie...

Tate nachylił się ku niemu.

- Spokojnie, Stony. Wszystko gra?

Dwie szklaneczki zostały nadziane na wirującą szczotkę i zatopione w wodzie do płukania. Uniosł się zapach chloru.

- Czego pan chce?

- Rozejrzyj się po sali. Widzisz tu kogoś, kto zna Megan?

Stony postąpił, jak mu nakazano, ale potrząsnął głową.

- Nie.

- W porządku. Powiedz mi w takim razie, co cie gnębi, Stony. Słyszysz szum trybików.

- Nic.

- A zatem dzwonię do biura. I do Urzędu Skarbowego, ot tak dla hecy. I do Alcoholic Beverage Control, żeby sprawdzili procent alkoholu w butelkach. Wyglądają mi na lekko rozcieńczone.

Stony zerknął na nędzne mydliny.

- O rany, człowieku.

- Powiedz mi.

- Ten facet, który wychodził tuż przed tym, jak weszliśmy. Może go zauważyliście.

Tate jak przez mgłę przypomniał sobie wysokiego faceta około czterdziestki przeciskającego się przez drzwi, gdy podjechali.

- Co to za jeden?

- Był tu w zeszłym tygodniu. Pytał o Megan.

Bett zerknęła ku drzwiom.

- Zna go pan?

- Nie. Po prostu wszedł i zapytał o nią. A dziś pytał o jej przyjaciółkę. Amy Walker.

Gdy pobiegli ku drzwiom, Stony nabrał odwagi.

- Wy wszyscy gliniarze... Słuchajcie, dzieciaki nie wloczyłyby się po takich miejscach, gdyby ich rodzice lepiej się nimi zajmowali. Moj chłopak nie bywa w barach. Moj chłopak..

Wybiegli na dwor, ale słyszeli jeszcze, jak wołał:

- Gdybyście byli jak trzeba, nie musielibyscie zaglądać w takie miejsca. Słyszycie mnie? Słyszycie mnie?

Dwaj rockersi powiedzieli im, w którą stronę odjechał samochód. Wyjątkowo grzecznie.

- Co to był za samochód? - spytał Tate.

- Gówniany stary datsun, pani wybaczy.

- Czerwony - odpowiedział drugi. - Trudno nie zauważyć.

- Pomarańczowy.

- Czerwony, pomarańczowy. Trudno nie zauważyć.

Wsiadli do mercedesa Tate'a i ruszyli gazem.

Wielkie niemieckie auto szybko dogoniło mniejszego datsuna - był pomarańczowy - mile dalej, ale Tate przyhamował i trzymał się pięćdziesiąt stop w tyle.

- Widzisz go? - spytała Bett. - Kto to jest?

Tate wzruszył ramionami.

- Spisz tablice.

- Co?

- Numer rejestracyjny.

Mercedes jechał szybko zniszczoną drogą. Kierowca datsuna siedział skulony nad kierownicą, raczej nie zauważył, że ktoś go śledzi. Jechał niedbale, a samochód podskakiwał na nierównej nawierzchni. Wyobraznia Tate'a zerwała się ze smyczy i Tate pomyślał, że jeśli Megan jest w bagażniku, to bardzo się potłucze.

- Zwolnij trochę, Tate. Może nas zobaczyc. - Bett wychyliła się do przodu, mrużąc oczy, a jej kryształowe kolczyki podskakiwały na wybojach.

Jechali przez zapuszczone części hrabstwa Prince William. Mijali zaorane pola, gdzie kielki kukurydzy przedzierały się w milczeniu przez ciemnoczerwoną ziemię. Dawno opuszczone stodoły. Rozpadające się bungalowy, gdzie szybko wiedły powojenne sny - małe pudelka winylowo-aluminiowych domów. Chalupy i samochody na ceglach. Wjechali do Manassas. Miasteczko, w

którym po raz pierwszy rozległ się przerażający wrzask bitewny rebeliantów, miało ciekawe dzielnice. Grant Avenue i Doctor's Row były pełne miniaturowych kopii Tary. Okoliczne farmy i cmentarz konfederacki stanowiły sielankowe zakatki. Ale ta część hrabstwa także była złowroga, szczególnie Park Manassas. Za prokuratorских czasów Tate'a jego biuro zajmowało się kilkoma przypadkami podpalen - głównie stodoł - i przemocy w rodzinie. Co jakiś czas zdarzały się napady na laboratorium produkujące PCP, a przez jakiś czas miasteczko było areną działań seryjnego zbrojcy bydła.

Drogi były opustoszałe, a w powietrzu unosił się aromat drewna płonącego w piecach. Datsun minal znak stopu i po chwili zjechał na obszerny podjazd i stanął.

Za kepa drzew w niewielkim oddaleniu widac było bungalow. Rdzewiejący kanister na olej opałowy stał na podworzu, a wydeptane plamy czerwonego błota były liczniejsze od kep niestrzyżonej trawy.

Tate poczul na sobie wzrok Bett.

- Wszystko przygotowane do zabawy w złodziei i policjantów. Och, Tate, to jest niesamowite.
- Chodźmy.
- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

Tate nie odpowiedział. Otworzył tylko schowek na rękawiczki i wyciągnął pistolet, który wrzucił tam, zanim wyjechali.

- Tate! - jeknęła. - Co ty wyprawiasz?
- Pomyślałem po prostu, że może się przydać.

Kilka lat temu, gdy oskarżał w pewnej sprawie jamajskiego dilerę narkotyków zamordowanego przy okienku baru drive-in sieci Wendy w Fairfax, Konnie zajrzał do jego biura.

- Hej, prawniku.
- Konnie.
- Najwyższy czas, żebyś załatwił sobie gnata.
- Nie rozumiem - odpowiedział Tate niewinnie.
- Cha, cha. Słowe. Ile?
- Nie chce broni.

- Do diabła, każdy chce bron - wyjaśnił Konnie. - To sprawdzony fakt. Kobiety chcą mieć bron, żeby odstrzelić gwałcicielom jaja. Faceci - żeby zastrzelić facetów z większymi kutasami. No więc

ile? Ile chcesz na nią wydać.

Tate poddał się i nabył bardzo praktycznego, zupełnie nieseksownego colta 38 special, który teraz spoczywał w jego prawej dłoni. Wprawdzie był szesciokomorowy, ale Tate naładował go pięcioma nabojami. Jak nauczył go Konnie.

- Tate, nie... - odezwała się Bett.

Odwrocił się do niej.

- To mało prawdopodobne, że została porwana - powiedział spokojnie. - Ale jeśli tak było, może znaleźliśmy sprawcę.

- Zastrzełiles kiedyś kogoś? - szepnęła chrapliwie.

Ale on znalazł lepsze pytanie: Czy kiedykolwiek w ogóle strzelał z pistoletu?

- Nie - brzmiała odpowiedź na oba pytania. - Chciałabys tu zostać? - spytał.

Potrzaskała głową ponuro, zaciskając zęby. Gniew rodził się ze strachu.

- Nie. Ale nie chce, żebyś do kogokolwiek strzelał.

- Ta ewentualność znajduje się na samym dole mojej listy życzeń. Chodźmy, skarbie.

Zamrugła oczami - bardziej zaniepokojona tym czułym słowem niż widokiem broni w jego ręku.

Trzydzieści jardów, dwadzieścia, piętnaście.

Tate zatrzymał się i nasłuchiwał. Cisza w środku. Widok niedźnego domku mroził mu krew. Często bywał w takich miejscach. Zbyt często. Gdy był prokuratorem stanowym, zawsze - w odrośnieniu od wielkomiejskich oskarżycieli - odwiedzał osobiście miejsca zbrodni. Takie miejsca detektywi określali mianem domu z Paragrafu 60, czyniac aluzję do klauzuli o morderstwach w kodeksie karnym Wirginii. Strzały ze srutowek, domowe kłopoty, zawiedzione uczucie, które spowodowało zbrodnię... Takie były motywy związane z tymi domkami: małymi, brudnymi, milczącymi, kipiącymi niewypowiedzianą nienawiścią.

Gdy znaleźli się blisko bungalowu, gestem nakazał Bett, żeby zaczekała pod drzewem, a sam podszedł bliżej. Zajrzał przez jedno z okien i poczuł, jak skóra cierpnie mu na widok tego, co zobaczył.

Przykucnął szybko i w milczeniu wycofał się do miejsca, gdzie stała Bett.

- Tate, o Boże, co z tobą?! Co się stało? Co widziałeś?

- W środku, na ścianie jest obraz Joshuy. Megan.

- Nie!

- Tylko ze... On jest pociety. Na paski.

Rozdział 12

Wewnętrzne drzwi otworzyły się bezszelestnie. Tate stał na niewielkiej zasmieconej werandzie. Donice wypuszczające martwe pędy, zardzewiałe narzędzia, zaplesniała dykta, zwoje gnijacej wykładziny. W powietrzu unosił się ostry zwierzęcy zapach pizma i moczu. Podeszedł do drzwi wejściowych i zajrzał przez zatluszczoną szybę do zagraconego korytarza.

Przekrecił klamkę. Drzwi nie były zaryglowane. Popchnął je i - Bogu dzięki - poruszyły się bezdzwecznie na naoliwionych zawiasach. Tate odwrócił się i skinal na Bett, przesuwał się powoli przez drzwi, które otworzyły się gwałtownie, pociągając za sobą Tate'a. Bett krzyknęła i pobięła ku gankowi, podczas gdy dwaj mężczyźni, stojący tuż obok siebie, mierzyli się wzrokiem ponad progiem. Żaden z nich nie ruszał się przez chwilę. Potem Tate unosił pistolet.

Zaskoczony mężczyzna krzyknął i dłoń prawie dwa razy większa od dłoni Tate'a wytracił mu pistolet, który poszybował na stercie narzędzi ogrodniczych. Tate zapomniał o pistolecie i rzucił się na niego, uderzył go w brzuch i obaj upadli na podłogę korytarza. Szyba wyleciała z drzwi i roztrzaskała się wokół nich.

Mieszkaniec bungalowu był wysoki, miał sekate i silne ręce i gęste szpakowate włosy. Powoli podniósł się, marszcząc brwi i obrzucając Tate'a wściekłym spojrzeniem.

Gdzieś w pobliżu odezwał się nieoczekiwanie łagodny dźwięk dzwonek poruszanych wiatrem.

- Kim, u diabła, pan...? - zaczął mężczyzna.

Ale prawnik skoczył i chwycił go za gardło, wciągając w głąb domu. Gdy przeciwnik się uwolnił, Tate porwał z podłogi pustą butelkę po whisky. Zmusił mężczyznę do wycofania się do salonu, wymachując mu przed oczami butelką jak szalenie. Wyglądało to jak idiotyczny taniec: zaatakowany odskakiwał od Tate'a, obaj krążyli wokół siebie w małym bungalowie. Regał przewrócił się i na podłogę posypały się książki.

- Gdzie ona jest? - krzyknął Tate, wymachując butelką.

Mężczyzna utrzymywał bezpieczną odległość, zupełnie jakby Tate był wściekłym psem. Złość zaczęła ustępować zaciekawieniu.

- Chciales mnie zastrzelic? O co, do cholery, tu chodzi?

- Gdzie? - Tate zagnal mezczyzne do kata obok kominka, podszedl do niego, ale tamten mial juz dosc tej idiotycznej gonitwy.

Zatrzymal sie i uniosl rece.

- Powiedz mi, czego chcesz - zajeczal wyczerpany.

Tate uniosl butelke.

- Na milosc boska.

- Tate, nie! - Nadbiegla Bett.

- Jesli zrobiles jej krzywde, zabije cie - szepnal Tate.

Facet splunal na ziemie z wsciekloscia.

- Masz kurewski tupet, zeby tak mowic. Poza tym to ja bylem w szpitalu pierwszy w tamten poniedzialek, po tym jak wlaszla na te cholerna wieze. A ty gdzie wtedy sie podziewales?

Twarz Tate'a wyrazala bezbrzezne zdumienie. Butelka upadla na podloge.

Wysoki mezczyzna przeczesal wlosy.

- Nie wiesz, kim jestem, prawda?

Bett podeszla, zabrala butelke i postawila ja na stole. Zaczela zbierac ksiazki.

- Ja wiem - odezwala sie nagle.

Tate spojrzal na nia.

- Pan jest Bobby. Jej chlopak.

Siedzieli razem, rozmawiajac, otoczeni przez jakies trzy tysiace ksiazek.

Gdy dowiedzieli sie, ze gospodarz nazywa sie Robert Carson, wyjasnilo sie jego zainteresowanie literatura.

- Pan jest jej nauczycielem angielskiego - szepnela Bett z niesmakiem.

No tak, przypomniał sobie Tate, Megan powiedziala Joshui LeFevre'owi, ze poznali sie w szkole.

Tate sluchal opowiesci Carsona i usilowal powstrzymac odruch wymiotny na mysl o Megan w usciskach tego mezczyzny.

- Zastanawia was to - odezwał się zgrzytliwie Carson, który sam saczył szkocka, ale im nie zaproponował drinka. - Mam przeszło dwa razy tyle lat co ona. - Rozesmiał się. - Pan naprawdę wyciągnął pistolet. O Boże.

W przeciwieństwie do barmana Carson nie unikał ich spojrzeń. W jego oczach Tate nie dostrzegał cienia skruchy. Tylko inteligencję i coś jeszcze - może smutek.

- Musielismy być ostrożni. Nie mogliśmy zwyczajnie się spotykać, prawda? Ale to nie było tak, jak myślicie. To...

- Nie było tak, jak myślimy? - szepnęła z wściekłością Bett. - Ona chodziła do szkoły, była panska uczennica!

Carson tylko unosił jedną z krzaczastych brwi.

- Kochałem ją - powiedział cicho.

Wszystko w nim było nieporządne, zbyt obszerne. Pasowałby do kabiny pilota w holowniku.

- Mówiła mi, że jest pan prawnikiem. - Carson mierzył Tate'a krytycznym wzrokiem. - Zastanawiam się, co by sobie pomyślała, wiedząc, że pan mnie zaatakował. To by ją całkiem rozłożyło, jak mówiła. Jak na córkę świetnego mówcy jej umiejętności wysławiania się są okropne. - Jego północny akcent był mocny, wyraźnie pozbawiony łagodnego zaspiewu przy samogłoskach, charakterystycznego dla dialektu północnowirginijskiego. Carson dopił whisky i ponownie napełnił szklanke. - To fantastyczna dziewczyna. Typ odkrywcy, bardzo uzdolniona. Pisywała wiersze, wiecie o tym?

- Nie wiedziałem - odparł Tate, za co został obdarzony cierpkim spojrzeniem, które zdradzało sporo łozkowych rozmów Megan i Carsona o jej rodzicach.

- Dlaczego szukał pan jej przyjaciółki Amy? W tamtym barze.

- Amy? - Carson się rozesmiał. - Och, ta dziewczyna z kolei to żywy ogień. Amy Walker... Dostałem od niej wiadomość. Powiedziała, że jeśli spotkam - cytuję - tę sukę Megan, mam jej powiedzieć, żeby poszła do diabła.

- Ze co? - szepnęła Bett.

- Tak właśnie się wyraziła.

Czy Amy była kolejnym podbojem nauczyciela? Tate zastanawiał się, ile trzeba czasu, żeby pan Carson został postawiony w stan oskarżenia, a jego zdjęcie znalazło się na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet. Ale nie to w tej chwili nurtowało go najbardziej.

- Martwiłem się o Megan i chciałem, żeby posłuchała tego, co miała do przekazania Amy.

- Dlaczego się pan martwił? - wtraciła Bett.

- Z powodu tego telefonu. No i dlatego, że dalej bardzo mi na niej zależy. Ona ze mną zerwała. Puszczając mnie kantem, niech jej Bóg wybaczy. Powiedziała, że to było niedobre dla nas obojga.

- Też tak uważam - mruknęła Bett.

Tate uciszył ją ruchem ręki.

- No więc musiałem zabrać się i pójść - ciągnął Carson. - Nie żeby postąpiła nieuczciwie. Właściwe słowo to „nieuprzejmie”. Ona skończyła ze mną, o tak, ale mnie jeszcze nie przeszło. Znać taki czas? Kiedy romans już prawie się skończył, ale jeszcze nie całkowicie? Zmierzch serca, tak to nazywam. Tak czy inaczej byłem dość podłamany, zadzwoniłem więc do niej i powiedziałem kilka rzeczy, których potem żałowałem. Oddałem jej wszystko, co tu zostawiła. - Wskazał głową pocięty obraz. - Prawie wszystko. Zrobiłem to w napadzie szalu. Teraz tego żałuje. Może go jakos posklejam. - Spojrzył na Tate'a. - A potem przydarzyła się ta historia z wieżą ciśnienia i oprzytomniałem. Natychmiast poszedłem do szpitala zobaczyć, czy wszystko w porządku. Kazałem im was wezwać. Nie miała przy sobie tej kartki. No wiecie, w razie wypadku zadzwonić...

- Och. - Bett skrzyżowała ręce na kolanach.

- Dziękujemy - powiedział Tate.

- Nie ma za co. - Carson syczał whisky. - Poprosiłem Megan, żeby do mnie zadzwoniła po wizycie u tego doktora Petersa. Nie zadzwoniła. Z początku myślałem, że jest na mnie wściekła, że psychiatra dokopał się do czegoś. Ale chwilę później zadzwoniła Amy i to był szok.

- Odwołała wizytę - powiedział Tate. - Nie widziała się z lekarzem.

- To pewne? - Carson zmarszczył brwi.

- I po prostu wyjechała.

- To nie w jej stylu - powoli rzekł nauczyciel.

- Zdecydowanie nie - zgodziła się Bett.

- Nie rozmawiał pan z Amy? - spytał Tate.

- Nie. Nie było jej w domu, gdy zadzwoniłem. Ona przesiaduje sporo w Coffee Shop, dlatego tam wstąpiłem. Dlaczego Megan nie poszła do terapeuty?

- Nie wiemy. Skłamała, mówiąc, że się umówiła. Wcale nie zamierzała tam iść.

- Czyli mnie też okłamała. - Wzrok Carsona napotkał spojrzenie Tate'a; obaj mężczyźni poczuli ukłucie na myśl o zdradzie dziewczyny.

- Słyszał pan coś o jej przyjaciółce Emily? - spytała Bett.

- A to kto?

- Dziewczyna, z która piła w poniedziałek. Tuz przed tym, jak wylądowała na wieży.

- Nigdy nie słyszałem o żadnej Emily. Jak państwo...? Czy państwo mnie śledzili?

- Tak.

Przyglądał im się przez chwilę, po czym potrząsnął głową, śmiejąc się.

- Gdy zobaczyłem pana z tym pistoletem, doszedłem do wniosku, że zamierza pan mnie załatwić.

Pomyślałem: przyszła kryśka na matyska. Zegnaj... - Carson wstał, podszedł niedbalym krokiem do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Jeśli uciekła - odezwał się Tate - to gdzie, pana zdaniem, mogła pojechać? Do Nowego Jorku?

- Do Nowego Jorku? Nie sądzę. Raczej do Kalifornii. San Francisco. North Beach. Chciała być jak Janis Joplin. Wiecie o tym, prawda? Może pojechała na pielgrzymkę. Zawsze chciała zobaczyć to miejsce - Coffee Gallery - gdzie Joplin debiutowała. - Potrząsnął głową. - „Me and Bobby McGee”... To dlatego zaczęła bywać w tamtym okropnym miejscu. W Coffee Shop. Pic southern comfort, zupełnie jak Janis. Bobby McGee. Tak, wkładła całą duszę w te piosenki.

Tate zastanawiał się, czy mówił o piosenkarce, czy o Megan. W tej chwili nie zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że dziewczyna wiodła sekretny żywot piosenkarki rockowej.

- Tak właśnie się zaprzyjaźniliśmy, rozmawiając o latach szesćdziesiątych. Dlatego mówiła mi Bobby. Zrozumcie, to naprawdę nie było tak, jak myślicie. Nie zachowuje się w ten sposób wobec innych uczennic. Megan była wyjątkowa.

Tate nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Obawiamy się, że coś mogło jej się przydarzyć - odezwał się w końcu.

Carson natychmiast zareagował, alkoholowa mgiełka wyparowała z jego oczu.

Bett spojrzała na swojego byłego męża, który znowu dokładnie wiedział, o co go poprosi. Siegnął do kieszeni i podał Carsonowi list.

- Zostawiła nam to. Każdemu po jednym takim liście.

Carson przeczytał i potrząsnął głową.

- Nie podejrzewałbym jej o coś takiego. - Zastanowił się przez chwilę. - Była wściekła, owszem, ale przede wszystkim zdezorientowana.

- Proszę - odezwała się Bett po chwili wahania. - Niech nam pan opowie.

- Nie rozumiała was. Dlaczego nie dawaliscie jej takiej milosci, jakiej oczekiwala.

- Alez my...

Carson uniosl reke.

- Pani prosila, wiec opowiadam to, co mowila. - Kolejny lyk whisky. - Ktory z nas jest lepszy dla niej, jak myslicie? Ja czy ten rastafarianin?

- Rasta...?

- Ma na mysli LeFevre'a - wyjasnil Tate.

- Joshua pomaga nam w poszukiwaniach.

- Mowila, ze to dobry czlowiek. Zamierzala do niego wrocic. Powinna. Choc nigdy bym jej tego nie powiedzial. Ale jestem slaby. Wygodnie byc slabym. Silni sa bardzo samotni. - Carson postukal w prawie pusta szklanke grubym palcem.

Dyskusja jest sztuka perswazji poprzez podsuwanie argumentow, popartych logika i faktami, ktore podwazaja stanowisko oponenta. Jest w niej tyle szczegolow i strategii co w grze w szachy. Ale Tate Collier, ktory zostal mistrzem debat w wieku lat pietnastu, powracal czesto do techniki tak prostej, ze rzadko wspomina sie o niej w podrecznikach retoryki. Po prostu prosil oponenta o to, czego chcial.

Uprzejmie.

- Czy pan nam tez pomoze?

- Jak? - zapytal Carson.

- Policja i szkola uznali jej znikniecie za ucieczke. Nie przejmuja sie tym. Potrzebujemy kogos, kto moglby porozmawiac z jej kolegami, popytac w szkole. Sprawdzic, czy ktos wie, dokad pojechala, czy ktos o nia pytal, czy ktos ja sledzil. Moze sa tacy, co znaja te Emily. Pan moglby to zrobic.

Jeszcze Tate nie skonczyl, a Carson potrzasal juz swoja duza glowa.

- Nie da rady. To dla mnie zbyt ryzykowne. To, co juz wam opowiedzialem, wystarczyloby, zeby zniszczyc moje zycie. Jesli ktokolwiek zorientuje sie, ze bylem z nia zwiazany, z nia albo z kimkolwiek innym..

- Zalezy panu na niej? - spytal Tate.

- Oczywiscie.

- Nadal ja pan kocha?

- Tak, kocham.

Narzucająca się odpowiedź - doskonały chwyt retoryczny. Sprawic, żeby oponent odpowiadał „tak” na tyle często, że gdy zada się właściwe pytanie, zapewne również powie „tak”.

- Wyobraza pan sobie, jak bardzo się martwimy?

Carson skinął głową po krótkiej chwili.

- To czemu nie chce pan nam pomóc?

Bett znów chciała się odezwać, ale Tate kopnął ją w kostkę. Milczenie. Nierzadko najlepszy sprzymierzeniec perswazji. Po dłuższej chwili Carson się odezwał:

- Po prostu popytac w szkole?

- Tylko tyle.

Dotknął szklaneczką podbrodka.

- Czy kiedykolwiek zastanawiali się państwo, dlaczego kogoś kochamy? Jaka jest tego logika, jak bardzo bezsensowne i destrukcyjne to może być?

Te pytania były nie tyle retoryczne, ile oczywiste, ponieważ rodzimy się, znając odpowiedź.

Tate nic nie odrzekł, tylko patrzył na niechlujnego mężczyznę.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie państwa znajdzie.

Tate zapisał swój numer telefonu.

Szli do samochodu wśród kwaskowatego odoru metanu i dymu dobywającego się z pobliskiego śmietnika.

Tate z powrotem wsunął do kieszeni pistolet, który Bett podniosła na werandzie. Zauważył jej ponurą minę - usta ściągnęła w wąską kreskę.

- Bett?

Przeszła parę kroków i utkwiała wzrok w odległych wierzchołkach drzew.

- Myślałam właśnie o tym, jak okropnie się czulam w dniu, kiedy się urodziłam!

Tate grzebał nogą w błotnistej ziemi.

- Wydobywała się ze mnie, rozrywała mnie. Nienawidziłam tego! Ona wychodziła na świat, niszczyć moje ciało, zmieniając na zawsze moje życie.

Tate potaknal.

- Ale zdolalam zapomniec ten bol. Zdolalam ja pokochac, usilowalam nauczyc ja, jak zyc. Jak unikac bledow. A teraz to... - Skinela glowa ku bungalowowi. - Na milosc boska. Jej nauczyciel.

- Zerwala z nim - przypomnial jej Tate. - Wiedziala, ze to nie jest dla niej dobre.

- Po prostu nie przypuszczalam, ze jest do czegos takiego zdolna. On jest starszy od niej o dwadziescia piec lat! No i pozowanie do tych obrazow...

- A wiesz co? - wtracil Tate. - Ja wlasnie pomyslam, ze dzis, przez te ostatnie kilka godzin, wreszcie stala sie dla mnie zywym czlowiekiem.

Tate znenacka, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, rozpaczliwie zapagnal poznac corke lepiej. Uderzyla go potworna mysl, ze gdyby umarla dzis rano, on chybaby oszalal z okropnego smutku i przerazenia. Jesli mieliby znalezc jej cialo teraz, za kilka dni, za miesiac, albo gdyby nie znalezli go nigdy, calkiem by sie zalamal. Bylaby to jedna z tych tragedii, ktore zmieniaja czlowieka na zawsze.

Prawnicy posluguja sie retorycznym chwytem, zwanym personifikacja - wykorzystuja slowa tak, zeby ich klient wydawal sie ludzki, a oponent znacznie mniej. „Mary Jones” zamiast „swiadek” albo „ofiara”. Lawie przysieglych zazwyczaj latwiej byc surowym dla kogos nieznanego z nazwiska i ferowac ostrzejsze wyroki za zbrodnie popelnione na zywych ludziach majacych imiona i twarze.

To bardzo skuteczna sztuczka i wyjatkowo niebezpieczna.

Tate uswiadomil sobie, ze zazwyczaj myslal o Megan jako o „dziewczynie”. Rzadko uzywal jej imienia.

- Moze masz racje - odrzekla powoli Bett. - Tyle tylko, ze nie jestem pewna, czy ta Megan, ktorej szukamy, jest ta Megan, ktora znalazlam. Albo myslalam, ze znam.

- Co? Myslisz, ze ona moze miec jakies wady? Ze nie jest doskonala? Jak my? Nigdy.

Bett sie rozesmiala.

- Mamy mnostwo roboty - powiedzial - jesli chcemy znalezc ja do piatku.

Bett skinela glowa i wziala go pod ramie; ruszyli w strone samochodu. Tate uprzytomnil sobie, ze to ich pierwszy kontakt fizyczny od dziesieciu lat.

Rozdział 13

Nie, tato, prosze...

Aaronowi Matthewsowi z trudem udało się skrócić z bityj drogi w boczną, błotnistą. Nad nim wznosiły się ostre, okrutne szczyty, pokryte strzepami mgły. Była środa, późne popołudnie - wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Senna Megan McCall siedziała obok niego. Po zatankowaniu we Front Royal wjechał w góry i przeniósł ją na przednie siedzenie, gdzie siedziała bezwładnie i patrzyła w dół na kielich białej lilii, który położył z szacunkiem na jej kolanach. Dotknęła go niezgrabnie związanymi rękami.

Gdy wjeżdżali głębiej i głębiej w mgliste, mroczne lasy, Matthews nie potrafił powstrzymać wspomnień tego dnia, kiedy ojciec zabrał go po raz pierwszy na pole.

- Nie, tato, prosze!

Wysoki, surowy James Matthews ciągnął jęczącego jedenastolatka za sobą ku sporej polanie za Katedrą wśród Sosen.

- Ruszaj się, chłopcze. Przemów do nas. Powiedz, co do ciebie mówi Jezus. O tak, o tak. On się boi, jest niesmiały. Hej, pomóżcie wciągnąć go tam na górę, ludzie. Ruszaj, chłopcze. On się boi. Spójrzcie na niego. Chwyćcie się dla Niego za ręce! Głoście Jego chwale!

- Boję się - szepnął.

Matthews senior zaciągnął chłopca na niską estradę i zwrócił twarzą ku tłumowi siedzącemu na polanie na tyłach Katedry wśród Sosen.

- Jest niemy niczym grzesznik! Spójrzcie na niego. Niesmiały jak dziecko. Ale zrobisz to dla Jezusa, prawda?

Dla Jezusa? Niezupełnie. Ale kiedy masz jedenaste lat i otacza cię setka ludzi śpiewających niczym opętani szamani, zrobisz wszystko, co ci kaza.

Ojciec uderzył syna w głowę dłonią ze złotym pierścieniem ozdobionym krzyżem, a chłopiec pomyślał, że zaraz zmoczy swoje najlepsze niedzielne spodnie. Poczul przesycony tytoniem oddech i ciężki ucisk na cienkim jak gałązka ramieniu.

- Masz się jakac - szepnął starzec. - Zachowywać jak idiota. Masz ich wprawic w zakłopotanie, spowodować, żeby tarzali się w prochu. Zapluj się. Opluj tych w pierwszym rzędzie. Zesztywniej i tocz błędnym wzrokiem przez jakąś minutę. A potem zachowaj się tak, jakby Jezus cię uleczył. Zaspiewaj im piosenkę. Włóż w nią całe serce. „Jezus mnie kocha, to wszystko, co wiem”. I nie pochraniaj nic ze słowami, bo pas pojedzie w ruch.

- Boję się, tato.

- Ludzie, on się boi! Ten chłopiec nigdy nie mówi. Zapewniam was. Jego matka i ja byliśmy przekonani, że urodził się głuchoniemy. Głuchy jak kamień. Jak Kamień Wieków. Jaka się i wydaje dźwięki jak idiota, którym jest przez większość czasu. Mój syn się leka, boi się, że demon chwyci go za gardło i wydusi z niego kłamstwa szatana!

W tej chwili ojciec wcisnął mu do ręki mikrofon i wypchnął go na skraj estrady.

- Oto on! Nigdy nie wypowiedział więcej niż tuzin słów naraz, po raz pierwszy stoi przed ludźmi. Nigdy go tu nie widzieliście, nieprawdaż?

- Nie!

- Dlaczego? Ponieważ wstydzi się, że nie może wymówić słów Pana. Zamierają mu w gardle. Badzcie z nim. Zobaczcie świadectwo! Jest strasznym jakalą, jest niesmiały jak dziewczyna. Ale przemówi przeciwko diabłu. Pan wreszcie go wezwał. Ten idiota może zdoła nawet zaspiewać piosenkę, jeśli Jezus będzie łaskawy!

Młody Aaron stał śmiertelnie przerażony, sciskając tani mikrofon, którego sznur wilił się u jego stóp niczym wąż.

- Ja... ja-jestem synem wielbnego. Jestem Aaron - wyszeptał.

- Badz błogosławiony! - zakrzyknął tłum.

- Jezus cię kocha, chłopcze.

- Urodziłem się niedaleko.

- Jakaj się, do cholery, zasmarkancu! - szepnął ojciec.

- Urodzony na świętej ziemi! Badz błogosławiony! - dobiegły go głosy z głębi pola. - Jest bezgrzeszny! Zobaczcie czystość Chrystusa na jego twarzy! Tak, tak, widzimy ja!

- Chcesz zarobić cholernym pasem? Jakaj się!

Aaron scisnal mikrofon, spojrzal na tłum oraz ojca i poczul, ze umiera i rozplywa sie w powietrzu.

Po czym otworzyl usta. Nie umial sie jakac ani udawac idioty. Zatem zaczal glosic kazanie.

- Czuje cos - zaczal, a jego glos zagrzmiel donosnie. Ojciec zamrugal oczami zaskoczony. Tlum ucichl. - Czuje, ze cos siega do mojego serca! Co to moze byc? Co to moze byc?

Jego dzwieczny, wysoki glos wypelnil noc. Slowa staly sie zdaniem, a potem akapitami i w koncu zgromadzeni dostali sie pod ostrzal pelnego pasji kazania, ktore zawladnelo bez reszty ich duszami.

- Chwala Panu, chwala Panu... Czuje w sercu pokoj niebios! Jest tam, tak, nie w swiecie wokol mnie i was, nie przed moimi oczami, nie rozbrzmiewa echem w moich uszach, och, nie, nie, ale czuje go. Chwala Panu. Czuje go w moim sercu. Tak, tak!

Jakis czlowiek upadl na twarz i wil sie jak waz, poniewaz znalazl sie w obliczu dzieła Bozego.

- Wy tez, drodzy przyjaciele, mozece go poczuc. Bog jest moja opoka i moim zbawieniem - jest moja tarcza. Nic mnie nie poruszy. Nie! Nic mnie nie poruszy! Spiewajcie, chce slyszec wasz spiew, drodzy, drodzy przyjaciele. Chce slyszec, co czujecie w waszych sercach! Chce slyszec, jak chwalicie Pana. Jestem opetany. Wypelnia mnie Pan. Przyjdziecie do nas, przyjdziecie do mnie, albowiem Bog czyni samotnych rodzina.

- Co mamy spiewac, Aaronie?

- Pragne mocnej piesni, piesni o woli Boga, o Jego mocy. Nie chce slabej piesni. Nie zadnej piesni w stylu „Jezus mnie kocha"... Zaspiewajcie „Drabine Jakubowa".

- Tak!

- Dlaczego chce od was tej piesni?

- Dlaczego, chlopcze, dlaczego?

- Poniewaz jestesmy zolnierzami! Jestesmy zolnierzami Krzyza!

Co to byla za noc dla wiernych... Mezczyzni i kobiety plawili sie w slowach zbawienia, tu na starym Poludniu, na mistycznym Poludniu, najstraszliwszym miejscu na calym kontynencie. Pocili sie, drzeli i krzyczeli, spiewajac. Potem znnow przemowil, a oni uczepili sie slow chlopca niczym liny, kolyszac sie i chwiejac w rytm jego ekstazy, podczas gdy ojciec wpatrywal sie w nich z ambony i stukal w Bible niczym w beben. Tyle tylko mogl zrobic; staruszek moze i byl gorliwy, ale glosil slowo Boze jak prezenter wiejskiego radia sprzedajacy nawoz.

Mlodego Aarona naprawde sluchali.

Od tamtego pierwszego dnia na polu przez nastepne dwanasie lat tlumy przychodzily niemal

codziennie. Przychodzili niezależnie od tego, czy ich pocieszał, czy przypochlebiał im się, czy groził, czy wytykał im grzechy, wypełniając ich poczuciem winy - mężczyźni i kobiety trzy razy większych od siebie i sześć razy starszych. Nie potrafił pomóc na wykrzywione członki, zacme i ogromne guzy, ale to nie miało znaczenia (zabierzcie im choroby, a nie beda mieli nic, nic, nic). To nie miało żadnego znaczenia, ponieważ odsuwał w cień ich najgorsze zmartwienie - smutek płynący z milczenia w ich życiu. Które istnieje wszędzie i jest niezmiennie. Mezowie, którzy przez cały dzień nie wypowiadają słów innych niż „Kiedy kolacja?”. Dzieci, które spoglądają ponuro za siebie, wychodząc z domu. Żony, które rozmawiają tylko z garnkami i rekami unurzanyymi w cieście.

On dawał im głos. Prowadzony po scenie przez ojca niczym tanczący niedzwiędz, Aaron wygłaszał kazania, które sięgały nieba, starzy ludzie opróżniali portfele sprawniej niż palce kieszonkowca, a prawdziwi starsi Kościół z legalnych odłamów zielonoswiatkowych w dolinie Shenandoah - ci, którzy naprawdę myśleli o zbawieniu - byli wobec tej dwójki bezsilni.

Tak było w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kiedy ojca ogarnęło postępujące szalenstwo, Aaron uciekł z Katedry i usiłował wiesć normalne życie. Ale zawsze wracał do obozu, żeby głosić kazania. Jego powrót na stałe pięć lat temu zbiegł się z okropnym wypadkiem, w wyniku którego ojciec został aresztowany. James Matthews uciekł następnie z aresztu i nigdy nie został ponownie ujęty, nikt już nigdy go nie zobaczył w miejscu publicznym. Aaron ogłosił się wielebny i wziął na siebie zadanie przewodzenia zblakanyim owieczkom z Blue Ridge. Robił to przez kilka lat, dopóki Katedra nie została zamknięta. Matthewsowi to nie przeszkadzało: w tym czasie otrzymał kolejne powołanie.

Żołnierze Krzyża...

Nagle nieziemski jęk wypełnił furgonetkę, aż Matthews podskoczył. Siedząca koło niego Megan zadrzała. Kiedy pokazał jej obraz, po chwili zaczęła krzyczeć i musiał podać jej więcej narkotyku, który właśnie przestawał działać. Jej spierzchnięte wargi mamrotały coś niezrozumiałego, a on odpowiedział, jakby zadawał jakieś pytanie:

- Och, pokochasz mojego syna.

Odwrocila głowe.

- To dobry chłopak.

- Co...?

Kilka minut później wjechał w wąski przesmyk między stromymi wzgórzami i w głąb doliny, w której usadowiła się Katedra wśród Sosen. Podjechał do bramy i już zamierzał ją otworzyć, gdy usłyszał znow ten żalony głos.

- Kim... jesteś?

Odwrocil sie do Megan i poglaskal ja po wlosach.

- Czemu to robisz... czemu mi to robisz? - Rozejrzala sie dookola i zaczela sie miotac. Siegnela

do klamki. Nie trafiła i jej reka opadła.

Nachylił się bliżej dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze. - Objął ją, pogładził, przejechał palcem po wargach. Odwróciła głowę. - On czeka na ciebie. Peter. Opowiadałem mu o tobie.

- Proszę.

- Sza.

- Nie! Już nie! - błagała. - Proszę! Nie!

Igła wbiła się w ramię, wstrzyknął jej kolejną dawkę luminalu.

- Nie, proszę...

Powieki opadły niemal natychmiast. Potem zadrzała i jeknęła. Matthews zaniepokoił się, że może źle zareagowała na narkotyk. Chwycił ją w ramiona. Musi przetrwać do piątku. Jeśli umrze wcześniej, wszystko na nic, jeśli umrze od czegoś tak bezbolesnego jak lekarstwo...

Ale nie, wszystko w porządku. To tylko coś, co zobaczyła - mrugała oczami, wzrok utkwiała w jakimś punkcie za jego plecami.

- Co... Co to jest? - szepnęła, oszolomiona i przerażona.

Odwrócił się. Spoglądała na posąg.

- Mój ojciec to wyrzeźbił - odpowiedział. - To jest anioł.

- Gabriel - mruknęła, zamykając ponownie oczy.

Matthews ujął jej głowę w dłoń.

- Gabriel? - wyszeptał. - Nie, nie. To jest anioł śmierci. Lecacy nisko, żeby zabrać dusze pierwotnych. - Poglądził ją po głowie.

Ale głowa Megan spoczywała już całym ciężarem na jego ramieniu, podejrzewał więc, że nie usłyszała jego słów.

Wszystko przez zolwia.

Mimo iż zaniedbanie sprawy Devoe - którą przydzielił mu kapitan Dobbs - było ryzykowne dla jego kariery, Konnie Konstantinatis za nic w świecie nie zrezygnowałby ze sprawy Megan McCall.

Ponieważ, jak stwierdził, wchodzić do głównego biura policji stanowej, to Tate Collier uratował go przed zolwiami.

Dwa lata temu, w pewien mglisty, szary poranek, tuż przed świtem, Konnie obudził się i ujrzał przerażający widok. Ogromny potwór, Obcy, Godzilla, lał po masce samochodu, zmierzając w prostej linii ku gardłu policjanta. Konnie wyciągnął rewolwer służbowy i opróżnił magazynek w kierunku bestii, pudlując wszystkie pięć razy. Usiłował uciekać, ale pas się zaciął. Przeladuj, pomyślał w panice. Ale gdy po omacku szukał bebenka na wymianie na podłodze samochodu, uswiadomił sobie, że naboje znajdują się - zupełnie jak on - trzy stopy pod wodą. Rozejrzał się dookoła. Samochód tkwił po masce w Bull Run, a potwór okazał się szesciooalowym zolwem jaszczurowatym - owszem, drapieżnym, ale raczej nie ludojadem.

Ten dzień okazał się nieuniknionym finałem długotrwałego upadku człowieka, który był niegdyś najlepszym detektywem kryminalnym policji stanowej w Fairfax i Prince William. Doszło do kulminacji kilku lat przemykania oczu i akceptowania wymówek oraz stanowczo zbyt wielkiej tolerancji ze strony przyjaciół i kolegów po fachu.

W dodatku Konnie nie tylko popełnił kilka wykroczeń, wpadając po pijanemu do strumienia i używając broni bez potrzeby - ale również o mało co nie zabił kolegi policjanta.

Został przydzielony - w owym kwietniu dwa lata temu - do wspomagania tajnej operacji w Burke. Doniesienie o melinie narkotykowej. Po trzech niewiarygodnie nudnych godzinach przekonał sam siebie, że nie będzie żadnej akcji i postanowił rozgrzać się lykiem ze sporej flaszki, która dziwnym trafem zaplatała się w schowku.

W chwili gdy rzekomy klient w budynku został rozpoznany przez czarne charaktery jako bohater pozytywny, Konnie wlokł się drogą 66 w poszukiwaniu sklepu monopolowego, żeby zaopatrzyć się w nową flaszke. Tajny agent wyskoczył przez okno i uciekał - pedził za ulkiem, w którym dopiero co stał samochód Konniego, wołając o wsparcie, które właśnie wpływało do Bull Run piętnaście mil dalej. Tuż obok miejsca, gdzie miał stać Konnie, agent został postrzelony w plecy, ale ponieważ noc była mglista i lekko mżyło, nikt nie mógł stwierdzić z pewnością, że nawet trzeźwy policjant by go zauważył. Agent uratowała kamizelka z kevlaru i nic poważnego mu się nie stało. Niemniej to właśnie było najcięższym wykroczeniem i biuro potraktowało detektywa z pełną surowością.

Tate Collier był tym człowiekiem, do którego Konnie zadzwonił o świcie, i Tate Collier, prawnik z prywatną kancelarią, reprezentował Konniego i wywalczył złagodzenie kary do sześciu tygodni całkowitego zawieszenia w obowiązkach służbowych bez grzywny oraz dwuletniego okresu probnego.

To właśnie Tate Collier wypchnął go na pierwsze spotkanie Anonimowych Alkoholików. I na inne spotkania też - te najtrudniejsze, po nawrotach.

Ocalił go przed zolwem, jak obaj mężczyźni zwykli określać ten wypadek.

W ciągu swojej kariery Konnie zastrzelił jednego podejrzanego, sam zaś był postrzelony kilkanaście razy. Ale mimo tych ran nie przybliżył się do zrozumienia śmierci. Nie, Konnie znalazł śmierć z prawdziwego umierania. A to przydarzyło mu się kilka razy. Pierwszy raz, gdy w szpitalu ujrzał oczy tajnego agenta, który oberwał w plecy. Jego serce zatrzymało się wówczas na chwilę i nigdy już nie bilo tak samo.

Umieral jeszcze raz: powolna smiercia dwoch lat zawieszenia, kiedy odebrano mu ukochana robote.

Pierwsze doswiadczenie zmienilo go w wiekszym stopniu, ale drugie bylo ciezsze.

Dwa lata blagania zony o to, zeby wrocila, albo myslenia o tym, zeby blagac zone o to, zeby wrocila. Dwa lata w wiekszosci bezcelowych dochodzen w wydziale do spraw nieletnich, wypelnionych biurokratyczna robota dla opieki społecznej. Dwa lata niechetnego przyblizania sie na powrot do jedynej rodziny, jaka mial: ojca, zacofanego Karolinczyka, który lekal sie, ze wspolobywatele - nieco mniej swiatli od niego - mogliby pomyslec, ze rodowe nazwisko jest arabskie albo karaibskie, a nie greckie.

A teraz, kiedy Konnie myslal o Collierze, zastanawial sie: A co z moja trzecia smiercia?

Ta byla najciezsza ze wszystkich. Poniewaz, w przeciwnienstwie do pozostalych, pozostawala tajemnica. Nigdy nie puscil pary z ust na ten temat - ani swoim kumplom z AA, ani bylej zonie czy terapeutce, a zwlaszcza Collierowi.

To wlasnie ona popchnela go do tropienia nieuchwytnego sladu Megan McCall, która zapewne uciekla, zabrawszy gotowke taty i plastikowa karte mamy, i pojechala do Wielkiego Jablka, zeby dac sie przeleciec jakiemus dlugowlosemu nowojorskiemu ogierowi, posluchac muzyki, przespac ze dwie noce w schronisku YWCA, po czym wrocic z podwinietym ogonem do domu.

Piatkowy termin sie zblizal i gniew ojca Anne Devoe, polityka, który wolal, zeby corka zginela z reki kogokolwiek, byle nie wlasnej, tez byl nieunikniony.

Konnie wszedl do swojego biura na posterunku, zgasil gorne swiatlo, usiadl przy biurku i ukradkiem wyciagnal teczke z aktowki.

Wyniki ninhydrynowego testu odciskow palcow na rozkladzie jazdy Amtraka: trzydziesci cztery slady fragmentaryczne, osiem pelnych. Siedemnascie roznych osob, wsrod nich Megan.

Skad az tyle odciskow, zastanawial sie Konnie. Zaczal fantazjowac. Siedemnascie osob? Powiedzmy, ze trzy w drukarni: drukarz, jego pomocnik i pakowacz. Jedna lub dwie osoby, które dostarczyly paczke na dworzec. Jeden urzednik, który podal broszure na zyczenie klienta - zapewne Megan. A nawet jesli nie, to mozna sobie wyobrazic kilka osob, które mialy rozklad wczesniej. Razem osiem, najwyzej dziesiec osob. Ale siedemnascie? Bez sensu.

Chyba ze - co jest bardzo logiczne - ktos chcial zdobyc rozklad, nie pokazujac sie w kasie. Wtedy wzialby wlasnie taki: zniszczony, walajacy sie w poczekalni.

Zapisal w notesie: *Rozklad jazdy - zaslona dymna?*

Odciski palcow na jej samochodzie: sto czterdziesci szesc fragmentarycznych, trzydziesci osiem pelnych. Wiekszosc nalezala do niej, dwa do Tate'a (w bazie danych znajdowaly sie odciski wszystkich pracownikow stanowych z ostatnich dziesieciu lat). Ale co najmniej tuzin innych ludzi otwieralo maske, bagaznik, schowek i przykrywe baku. Konnie zauwazyl, ze nikt oprócz Megan nie

dotykał kierownicy, dzwigni skrzyni biegów i lusterka wstecznego. Co oznacza, że sama prowadziła samochód.

Zapewne.

Tyle że technicy znaleźli małą smuzkę bezzapachowego talku na kolumnie kierownicy tuż pod stacyjką.

Pamięć Konniego odpowiedziała mu, że rękawiczki firm Surggrip, Hand-Sure Latex, Mediglove i oddziału medycznego Union Rubber Products są pakowane z cieniutką warstwą talku.

Przechylił rurkowany klosz lampy biurkowej ku sobie, niczym kolumnę kierownicy, i sięgnął ku niemu, jakby zamierzał przekreślić kluczyk w stacyjce. Wewnętrzna część środkowego palca - część lateksowej rękawiczki, która miała spore szanse zachować nieco pudru - dotknęła klosza właśnie w tym miejscu, gdzie znaleziono talk.

Zapamiętał to, ale i tak zanotował również w czarnym notesie. To będzie trudna sprawa, toteż chciał mieć wszystko udokumentowane (rozumował również tak: stanowczo za dużo gówna uderzy w wentylator, jeśli nie będzie miał wszystkiego dopiętego na ostatni guzik).

Na biurko zza jego pleców padł cień, toteż Konnie niezbyt subtelnie przykrył teczkę potężnymi dłońmi.

Ale to nie był kapitan Dobbs.

W pokoju pojawiła się zawiadująca postać policjantki Genie. Trzydzięci cztery lata, kędzierzawe, jasne włosy. Była również na dwunastu krokach, ale ku skrajnemu oburzeniu Konniego wprowadzała na zebraniach ćwiczenia z aerobiku i jazdy na rowerze. Mimo obsesji na punkcie zdrowia Konnie często marzył o poslubieniu jej, żeby dorobić się trzech rozbrykanych córek i trzech krzepkich synów - wszyscy zostaliby policjantami.

- Mam dla ciebie ten raport. - Klasnęła w dłonie. - A więc w poniedziałek twój wielki dzień. Przejdziesz.

Chrzaknął. Była do tego przyzwyczajona, nawet to lubiła.

- Raport? Jaki raport?

- Analiza grafologiczna.

Konnie zmarszczył brwi. Zamierzał zlecić analizę listu Megan. Ale ponieważ trzeba to było zlecić na zewnątrz, wymagało specjalnych zezwoleń, których nie miał szans dostać dla tej nieistniejącej sprawy, toteż nie zwracał sobie nawet tym głowy.

Ale Genie mówiła o czymś innym. Miała na myśli raport dotyczący samobójczego listu Devoe. Analizę, której Konnie nie zamawiał, ale Dobbs - owszem.

- Ach, tak.

Przejrzał raport. Jak w większości analiz grafologicznych pierwsza część była nudna wyliczanka pochylen, wznoszen i opadan, kropek i przekreslen oraz innych szczegółów. Przeszedł do ostatniego akapitu i parsknął.

- Pisz, że była pod wielką presją psychiczną, gdy to pisała. Niezwykle błyskotliwe.

- Albo że to było wymuszone - odpowiedziała Genie, która najwyraźniej przeczytała raport w drodze do biura. - Pisz, że to możliwe.

- Zastanówmy się - marudził Konnie. - Skoro dziewczyna zamierza rzucić się do Great Falls, to chyba jest pod pewną niewielką presją psychiczną? Ja bym tak pomyślał.

- Nie sędzisz, że została zamordowana? - Genie uśmiechała się jak elf.

Konnie znówu chrząknął.

- Powiedz, co wiesz.

Wzruszyła ramionami.

- No, jazda.

Wyjrzała na korytarz i zamknęła drzwi.

- Podслуchałam, jak oni rozmawiali.

- „Oni” to był film o wielkich mrowkach, na dodatek fatalny. Kim są oni, Genie?

- Kapitan i ktoś z biura Devoe.

- Interesujące.

- Nie, beznadziejne. A ty nie wyglądasz na w najmniejszym stopniu zainteresowanego. On cię sprawdza, tak poza wszystkim. Dobbs. Dlatego dostałeś tę sprawę.

- To nie nowina.

Kapitan Dobbs zrobił, co mu kazano, i przyjął Konniego do wydziału do spraw nieletnich, kiedy dwa lata temu skończyło się zawieszenie detektywa. Ale Dobbs nadal był zdania, że Konniemu należało zedrzyć order i złamać szpade. Kapitan zamierzał wystawić pracy Konniego w wydziale uczciwa ocenie na rozprawie za tydzień od poniedziałku, ale bynajmniej by się nie zmartwił, gdyby Konnie przegrał i został wylany na zbity pysk.

- No, jazda - powtórzył Konnie. - Opowiedz, co wiesz.

- W niedziele jest Wielkanoc.

- No i co z tego?

- Henry Devoe jest katolikiem. Razem z żoną należą do parafii Najświętszej Marii Panny. To najbogatsza parafia w Fairfax.

- Gratuluje. I co z tego?

- Starszek nie ma ochoty iść w święto do kościoła, gdzie będą wszyscy jego ważni zwolennicy, i spojrzeć im w twarz po tym, jak jego córka zgrzeszyła.

- Zgrzeszyła?

- Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym.

- Zartujesz. On się tym przejmuje?

- Jest bogaty, ale jego przyjaciele są jeszcze bogatsi. A on ich potrzebuje. W przyszłym roku wybory.

Konnie wiedział, że to prawda.

Genie rozejrzała się po biurze.

- Dlaczego zgasiłeś światło?

- Jestem stary i bola mnie oczy.

- Nie jesteś stary. Poza tym zamieszane jest FBI...

- Wiem, wiem. Elitarne Wirginijskie Biuro Śledcze.

- A do Dobbsa dzwoniło z Richmondu.

- Richmond? Ktoś konkretny. Mieszka tam sporo ludzi.

- Czy ty kiedykolwiek byłeś w dobrym humorze, Konnie? Mówiłam o telefonie z biura prokuratora generalnego. Devoe pociąga za sznurki.

Do piątku - jakieś trzydzieści sześć godzin od teraz - Konnie potrzebował teczek pełnych solidnych dowodów niezbicie wskazujących na sprawę z paragrafu 60. Cholera.

Praca na miesiąc do wykonania w jeden dzień.

Cholera.

- Czy oni naprawdę tak myślą? Katolicy. O tym grzechu śmiertelnym?

- Dobrze wiesz, Konnie.

Podniosl analize grafologiczna, wstal i ruszyl do drzwi.

- Lepiej wezme sie do pracy - powiedzial, z trudem opierajac sie pokusie wziecia jej w potezne ramiona i pocalowania, po czym wyszedl z biura, zapalajac przy wyjsci u gorne swiatlo.

- Dziwny jestes, Konnie - zawolala za nim.

Wsiadl do swojego taurusa i cisnal raport i teczke podpisana *Devoe Anne* na podloge z tyłu, a teczke z napisem *McCall Megan* polozyl na siedzeniu pasazera.

Na dworcu Union Station Konnie zaparkowal na postoju taksowek i wszedl do hali, przywolujac w pamieci passus z jednej z niezliczonych ksiazek o dochodzeniach kryminalnych. *Jesli podejrzany/zbieg pragnie umknac miejskiemu wymiarowi sprawiedliwosci, najbezpieczniejszym i najefektywniejszym sposobem jest pociag osobowy. Nie sa tu wymagane dokumenty ani nie ma kontroli bezpieczenstwa, a bilety sa znacznie tansze od samolotowych, zatem duzo latwiej je kupic za gotowke. Jedyna skuteczna metoda wysledzenia zbiega poruszajacego sie pociagiem jest wprowadzenie do akcji ogromnej liczby ludzi.*

- Ogromna liczba ludzi. - Wypuscil powietrze z policzkow i wszedl na dworzec, wyciagajac z kieszeni na piersi fatalne zdjecie Megan zabrane z domu Tate'a Colliera i swoja zniszczona aktowke.

Rozdział 14

Siodmy pasazer.

Nareszcie.

Na czas śledztwa Joshua LeFevre nie wybrał ani wymiętego policyjnego garnitur, ani ciuchów artysty, sympatyka ANC, ale włożył czarne dzinsy, biały podkoszulek opinający imponującą pierś i kurtkę z lśniącą czarną skórą ze stojącym kołnierzem.

I ciemne okulary.

W pochmurny dzień.

Nieszczęsna kobieta nie miała żadnych szans.

- Psze pani?

Zatrzymała się - z torebką od Gucciego i torbą z zakupami w rękach; właśnie sięgała po kluczyki. Przez jej myśli przemknęły zapewne dane statystyczne dotyczące napadów. Pusty parking. Popołudnie. Dzień powszedni. Czarna mezczyzna poniżej trzydziestki.

Obrzuciła go ostrożnym spojrzeniem kobiety przyzwyczajonej do zawiadywania swoim małym kolkiem - dziećmi, mężem, klientami, klubem brydżowym.

- W czym mogę panu pomóc?

- Twoja gablota stoi obok tej bryki. - Wielki palec dzgnął tempo Megan, a LeFevre zrobił krok w kierunku kobiety.

Ukryta w niej matrona z Clifton pozostała spokojna, mimo że zapewne rozważała, jak szybko uda jej się uciekać w tych bezsensownych bucikach od Joan & Davids. Postawiła torbę na ziemi i bawiła się kluczykami.

- I ta gablota wala się tu od prawie dwóch godzin.

- Skąd pan wie? - zastanowiła się głośno. Czyżby ją śledził?

- To dwugodzinny licznik, a pani zostały już tylko trzy minuty.

Absolwent Oksfordu miał niejakie kłopoty z posługiwaniem się potocznym językiem.

- No to co? Byłam na zakupach. - Rzuciła okiem na torbę.

- Widziała pani kierowcę tej bryczki?

Zadawał to pytanie, znacznie uprzejmiej, już sześciu innym kierowcom. Potrzasali głowami i rzucali krótkie „nie” albo w ogóle go ignorowali. Dlatego LeFevre postanowił porzucić grzeczność. Styl swojaczka był znacznie skuteczniejszy.

- Owszem, widziałam, jeśli o to chodzi. Tak.

Nadgorliwość kazała LeFevre'owi sięgnąć ciemne okulary. Teraz będzie mogła go zidentyfikować. Będzie musiał ją zabić. Mimochodem rozejrzała się po parkingu w poszukiwaniu pomocy.

- Nawijaj dalej.

- Tu stała szara furgonetka. Nie wiem, jakiej marki. Stała...

- Nowa, stara?

- Nie pamiętam. Parkowała na tym miejscu. Kierowca...

- Który kierowca?

- Jedyne - wypaliła z lekkim poirytowaniem.

- Jest pani pewna, że jedyny? - Trudny do wyplenienia oksfordzki zaspiew powrócił. Kobieta zamrugła oczami. - Niech pani nie przerywa.

- Widziałam tylko jednego kierowcę. Furgonetki i tego samochodu. Te sama osoba.

- No i?

- No i kierowca tempa wysiada, wyprowadza furgonetkę i wjeżdża na jej miejsce tym samochodem. Przenosi coś z samochodu do furgonetki.

- Co?

- Nie wiem. Pranie, torbę. Zapamiętałam tylko ze względu na te naklejki na zderzaku.

Tyłu pieszych... Tak mało czasu.

LeFevre pamietal, jak kupil Megan te nalepke. Pocalowala go siedem razy.

- Dokad pojechala furgonetka?

- Tamta ulica. Widzi pan? Do Nutley. Skrecil w prawo.

Serce LeFevre'a zabilo mocniej.

- Zapamietala pani moze numery rejestracyjne?

- Nie.

- A przyjrzala jej sie pani?

- Jej?

- Kierowcy.

- To nie byla kobieta, tylko mezczyzna.

Mezczyzna?

- Bialy? Czarny? W jakim wieku? - zapytal.

Kobieta zawahala sie. Spojrzala na niego z lekkim usmiechem, podniosla zakupy i wyciagnela kluczyk z obszernej skorzanej portmonetki. Podobny gest moglaby wykonac Emma Vinton LeFevre. Prosty gest, staranny, w pelni kontrolowany. Wyjasniajacy ponad wszelka watpliwosc, ze od tej chwili szala przechylila sie na strone tej nieduzej kobiety. I stalo sie tak z jej wyboru. Matrona uznala, ze LeFevre wyczerpal swoje mozliwosci.

Nie bala sie juz i - co wazniejsze - wiedziala z cala pewnoscia, ze nie ma sie czego obawiac. LeFevre zrozumial, ze jesli raz zamilknie, nic nie zmusi jej do dalszego mowienia.

Ona tez to wiedziala.

Poczul zazenowanie i slabosc.

- Prosze - powiedzial. - Moja dziewczyna zaginela.

- Czemu nie zawiadomi pan policji? Potrzebuje pan cwierc dolara na telefon? - To drugie pytanie zadala po to, zeby zawstydzic go jeszcze bardziej.

Potrzasnal glowa.

- Oni na razie nic nie zrobia. Musza odczekac dwadziescia cztery godziny.

- Byl bialy. Kolo czterdziestki, szczuply. Szpakowate wlosy.

- A tablica rejestracyjna? Moze zauwazyła pani przynajmniej, z jakiego stanu?

- Niestety nie. Nie mam wiecej czasu. - Podeszła do swojego jaguara i wsiadła do srodka. - Zycze powodzenia - powiedziala tonem, jakim zwrocilaby sie do malego synka, który walczy z nowym zestawem farbek.

LeFevre stal obok tempa Megan i wpatrywál sie w odjezdzejacego wolno jaguara. Czúl, jak wzbiera w nim niejasne uczucie porazki.

Niemniej chwile pozniej, gdy wpatrywál sie w asfalt, jego uwage przyciagnely zablocone slady biezniakow szerokiego samochodu osobowego lub ciezarowego, który musiał wyjechac z miejsca, gdzie stal teraz samochod Megan - zapewne tej furgonetki. LeFevre przygladal sie przez chwile wzorowi, po czym wyciagnal szkicownik ze swojego starego volva. Polozył zeszyt na ziemi obok sladu. Skopiowal szybko ołówkiem rysunek - zakretasy biezniaka, dokladna szerokosc opony, miejsce, w którym w rowek biezniaka wbil sie kamyk lub kawalek drewna w ksztalcie kieliszka.

Na pierwszym roku studiow na Sorbonie LeFevre rysowal wylacznie linie, ksztalty geometryczne i cieniowal - wszystko w czerni i bieli. Spojrzal teraz krytycznie na rysunek opony, uznal go za doskonaly i pomyslal, ze warto by wyslac pani Becaud kserokopie z podziekowaniem za rezim potwornie pracochlonnych cwiczen, ktore uczynily z niego bez watpienia najlepszego rysownika sadowego.

Jak zgadnac, dokad ktos pojechal, jesli sie nie wie, po co pojechal? - zastanawial sie LeFevre, wjezdzejac w ktoras z rzędu uliczke Vienny odchodzaca od Nutley Road i bezowocnie poszukujac sladow szarej furgonetki.

Listy do rodzicow niewiele mowily. Wyjasnialy, dlaczego jest na nich wsciekla, ale nie dlaczego mialaby byc do tego stopnia wkurzona, zeby wyjechac tak nagle. Megan gadala czesto o Janis Joplin i dzikim zyciu, o southern comfort, mnostwie alkoholu, zyciu na krawedzi. Ale to nie byla prawdziwa Megan.

Co nie oznaczalo, ze ktos nie mogl wypchnac jej na chwile za te krawedz. Na wystarczajaco dlugo, zeby uciekla.

Dlatego LeFevre uznal, ze trzeba sie bedzie dowiedziec, kim byla Emily - kobieta, ktora pila z Megan w poniedzialkowy wieczor. Wygladalo na to, ze pojawila sie znienacka w poniedzialek, zostawila Megan na wiezy cisnien i zniknela nieco za szybko. Upila Megan i omal jej nie zabila, a potem - taka byla jego teoria - spotkala sie z Megan jakos w srode, tuz przed wizyta u terapeuty. Moze przeprosila za wieze cisnien, zniechecila Megan do wizyty u lekarza, a potem zaproponowala wspolna wycieczke.

„Hej, zabawmy sie w >. Ruszamy przed siebie, mala. Tylko my dwie. Twoi starzy? Pieprz ich. Zostaw wiadomosc i walimy w dluga”.

Moze Emily byla lesba i od poczatku planowala uwiedzenie Megan. Ta kobieta musiala miec jakis plan.

Dojechał do parku, nad którym wznosiła się wieża cisnien, gdzie znaleziono Megan. Potem zawrócił i sunął powoli jedyną ulicą sklepowo-barową, która dochodziła do parku. Zatrzymał samochód przed pierwszym napotkanym barem, wysiadł i wszedł do lokalu. Ciezkie drzwi zamknęły się, pozostawiając na zewnątrz blade światło kwietniowego popołudnia.

Czterech chłopaków uniosło głowy, przerwało grę w bilard i wpatrywało się w niego. Eleganciki, zapewne studenci starszych lat na George Mason. Albo jeszcze niepracujący absolwenci. Przyjacielscy, jowialni, popijający lekkie piwo. Jeden zgarniał ze stołu bile. Dwaj pozostali spojrzeli na LeFevre'a i skineli głowami.

Odwzajemnił się uśmiechem i podszedł do baru.

Barmanka była bardzo gruba i miała wyjątkowo ładną twarz. Wyglądała na dumna z obu cech, a szczególnie radość sprawiła jej dwudziestodolarówka przesunięta przez LeFevre'a w jej kierunku.

- Pracowałaś w poniedziałek? - zapytał.

- Nie.

Niech to. Powinienem najpierw o to zapytać, pomyślał, widząc, jak wsuwa banknot do kieszeni obcisłych dzinsów.

- Ale byłam tutaj. Z drugiej strony. Rozumiesz.

- Mogły tu wpasować dwie kobiety. Późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Krazyły po barach. Wcześniej były w Coffee Shop. Jedna zapewne piła southern comfort. - Wyjął portfel i pokazał jej zdjęcie Megan. Było na samym wierzchu pod skórą od Cartiera - nad prawym jazdy, nad polisą ubezpieczeniową, przed zdjęciami matki, ojca i spaniela. Megan mogła wykreślić go ze swojego życia, ale on nigdy nie wyjął jej zdjęcia z portfela. Ani na jeden dzień, ani na godzinę.

- Chyba tak. Tak, pamiętam ją. Były jakieś kłopoty z dowodem. Wyglądała za młodo. Ale chyba Joanie, która wtedy miała dyzur, sprawdziła wszystko. Pamiętam ją, bo ludzie teraz nie zamawiają comforta.

- Wiesz, z kim była?

- Nie. Z drugą dziewczyną. Zdaje się, że blondynka. Po dwudziestce. Strasznie dużo gadały. Wyszły o siódmej czy osmej.

Megan znaleziono na wieży, sto stop nad ziemią, o dziewiątej trzydziestej.

- Były załane?

- Nie. Wypily ze dwa drinki każda, tak bym powiedziała, i wyszły. Wyrzuciłybyśmy je, gdyby coś było nie w porządku. Rozumiesz, odpowiedzialność prawna.

Ale Megan była pijana, gdy sciągnęli ją z wieży. Pamiętał, że znaleźli ją z butelką.

- Jest tu gdzieś jakiś sklep monopolowy?

- Na tej ulicy, trochę dalej. Nasza główna konkurencja. Wrzód na tylnej części ciała. Ale mamy wolny rynek, nie? Tak w każdym razie mówią.

- Dzięki.

- To ja dziękuję.

Ruszył w kierunku drzwi, gdy jeden z chłopaków oderwał się od bilardu.

- Jak leci?

LeFevre pokiwał głową.

- Jakos leci.

Pozostali nadal uśmiechali się łagodnie i przyjacielsko. A jednak...

- Twoje okulary. Cool. Ray-Bany?

- Hmm, nie - odpowiedział zmieszany. - Kupiłem je w Lord & Taylor's. Nie mam pojęcia, co to za firma.

- Lord & Taylor's.

- Cudenko - rzucił jeden z nich.

- Rewelacja. - Chłopak uśmiechał się.

- Moja dziewczyna tam kupuje. - To czwarty.

Do LeFevre'a dopiero teraz dotarło, że nabijają się z niego. I że tak było, odkąd wszedł do baru. Powinien się tego spodziewać: do tego doszliśmy w latach dziewięćdziesiątych w północnej Wirginii. Jesteśmy bardzo daleko od autobusów, szkół i sprawy „Miłość przeciwko stanowi Wirginia”, kiedy zakochana para została aresztowana, ponieważ prawo stanowe zakazywało mieszanych małżeństw. To wszystko naprawdę należy do przeszłości.

Ale serca się nie zmieniają.

Oto przed nim stało czterech młodzieńców, których zapewne mogłoby bez trudu sprac na kwasne jabłko, ale tak naprawdę nic nie mogli zrobić. Byli nietykalni. Nie powiedzieli nic, co można by przeciw nim przytoczyć, nie padło żadne ostre, rasistowskie słowo. Przecież niby nawet nic nie skrytykowali. A jednak gdy patrzył im w oczy, gdy zaglądał w głąb ich serc, poczuł coś gorszego od pogardy, którą musieli znosić rodzice jego matki, ponieważ ta pogarda miała przynajmniej kregosłup, nierzadko podparty mocą boskiej sankcji, nawet jeśli była fałszywa. W oczach tych chłopaków dostrzegł tylko bezinteresowne okrucieństwo - przekonanie, że nie był wart nawet zniewagi.

- Milego dnia - zawolal jeden z chlopakow.

- Lord & Taylor's - powiedzial drugi.

Joshua wyszedl z baru, czujac gniew. I czujac sie frajerem.

W sklepie podlegajacym stanowej Kontroli Napojow Alkoholowych bylo zarazem latwiej i trudniej. Sprzedawca udawal niesmialosc.

Chudy, lysiejacy mezczyzna za lada powtorzyl pytanie:

- Emily? Po dwudziestce? Blondynka? Southern comfort? - Oznajmil, ze raczej nigdy nie widzial takiej kobiety, ale nie mial pewnosc.

Co oznaczalo: rozpoczynaj licytacje.

Dochodzenie, nauczyl sie LeFevre, opiera sie na dwoch filarach - chciwosci i strachu. Albo jestes policjantem uzbrojonym w paragrafy, albo cywilem z kasa. Wyciagnal ponownie portfel.

Pokazal banknot dwudziestodolarowy.

Ale to nie wyleczylo amnezji sprzedawcy. Mezczyzna odwrocil sie, by obsluzyc klientke, ktora podeszla do kasy i poprosila o bardzo dobre biale wino kalifornijskie.

- Nie prowadzimy wina, psze pani. No, chyba ze wirginijskie. Tylko takie.

- Przeciez to sklep monopolowy? Idziemy z mezem na przyjecie.

- Po wino musi pani pojsc do spozywczego.

- Ach, tak.

- Cakebread Vineyard Chardonnay - odezwal sie obojetnie LeFevre. - Roczniak '90 lub '91. Zrobi wrazenie na gosciach.

Sprzedawca zamrugal.

- Trudno kupic. Ale moze pani wziac '92.

- Bedzie pani smakowalo - zapewnil kobiecie LeFevre.

Sprzedawca potaknal, wyraznie bedac pod wrazeniem. Nie chcial byc pod wrazeniem. Ale byl.

- Ach, tak - powiedziala kobieta, wpatrujac sie w oprawki w ksztalcie lez. - Naprawde?

- Niech pani zapyta w Food Lion po drugiej stronie ulicy - powiedzial sprzedawca.

Gdy kobieta wyszla, LeFevre zwrocil sie znow do sprzedawcy:

- Na czym to stanelismy?

- Zagladalismy do panskiego portfela.

Cena - ze zniżka dla koneserow wina - wyniosla szescdziesiat dolarow.

- Emily, jasne. Przychodzi tu raz w tygodniu. Czasem kilka razy. I mial pan racje z tym southern comfort. Nigdy wczesniej tego nie kupowala. A wiec byl pan w Napa i Sonoma?

- Spedzilem lato w dolinie Loary. Tamtejsi winiarze zawsze sprawdzaja konkurencje. To bardzo podejrzliwy narod ci Francuzi.

- Loara. To kolejne miejsce, dokad chcialbym pojechac.

- Jak ona ma na nazwisko?

- Emily? Nie mam pojecia. Zawozilem jej raz zamowienie, gdy miala grype. Dlaczego chce pan sie z nia spotkac?

- Mam do niej kilka pytan.

- Aha. Mieszka na parkingu dla przyczep Oak Ridge w Oakton. Bylem u niej jakis rok temu. Nie pamietam, ktora przyczepa. Jakos na tyloch.

LeFevre wyciagnal jeszcze raz portfel i otworzyl go nie na przegrodce z zielonymi, ale na celofanowych przegrodkach na zdjecia.

- Czy byla z nia ta dziewczyna?

Sprzedawca zrezygnowal z wypytywania, o co chodzi.

- Tak, byla - odpowiedzial po prostu.

Piec minut pozniej LeFevre przejezdzal miedzy slupami tworzacymi brame parkingu przyczep.

Wystarczylo zapukac do drzwi zaledwie dwoch ruchomych domow. Emily - osoba samotna, ktorej nazwiska starszka nie znala - mieszkala na koncu Maiden Lane, tam gdzie parking konczyl sie tuz przy podstacji elektrowni, z ktorej rozchodzily sie tysiace transformatorow i kabli.

LeFevre zapukal glosno do drzwi i zajrzal do srodka. W malenkich pomieszczeniach panowala ciemnosc, nikt sie nie ruszal. Siegnal do klamki, ale drzwi byly zamkniete. Rozejrzal sie i zauwazyl, ze kobieta, ktora udzielila mu informacji, przyglada mu sie zza azurowej firanki.

Jej obecność zniechecila go do wybijania okna, totez oddalil sie od przyczepy. Zapukal do drzwi dwoch innych domkow w poblizu, ale zadna z gospodyni domowych, ktore mu otworzily - kazda z wygladajacym zdaniem LeFevre'a identycznie grubym bialym dzieckiem na reku - nie wiedziala, gdzie moze byc Emily. Zauwazyl krytyczne spojrzenia obu kobiet, gdy wymienial imie - wyraz

twarzy, który mógł znaczyć wiele, ale najpewniej to, że obie wolałyby, żeby kobieta pokroju Emily nie mieszkała w sąsiedztwie ich meżów.

Wrocil do przyczepy.

Co teraz?

Czy Konnie moglby zdobyc nakaz rewizji?

Przez chwile stal podparty pod boki, po czym dostrzegl nieco dalej ubita ziemie w miejscu do parkowania, tuż za szpalerem drzew. Podeszedl bliżej. Ziemia byla wilgotna po porannym deszczu, widac wiec bylo kilka swiezych sladow opon. Wyciagnal szkic, który wykonął na stacji Vienna i porównal go ze śladami w błocie. Nic.

Drugi ślad też nie pasował.

Ale trzeci...

Tak jest. Rysunek zgadzał się w najdrobniejszych szczegółach z ostatnim śladem na parkingu.

Pobiegł z powrotem do pierwszej przyczepy, przy której się zatrzymał, tam gdzie właścicielka wyglądała przez okno sypialni. Znikła natychmiast, gdy tylko się zbliżył. Kiedy zapukał ponownie do drzwi, wydalo mu się, że slyszy przerażony oddech.

- Przepraszam pania. - Staral się mówić z oksfordzkim akcentem. - Czy przypadkiem nie widziała tu pani szarej furgonetki?

- Widziałam, owszem - odezwał się głos spoza podwojnych zamkniętych i z pewnością dobrze zaryglowanych drzwi. Zaslona w okienku lekko się odchyliła. Dostrzegl tylko jej dlon.

- Widziała pani może kierowce albo tablice rejestracyjne?

- Widziałam mezczyzne kolo czterdziestki, ale nie tablice.

- A dziewczynne, blondynke?

- Nie.

- Nie ma pani pojecia, dokad mogla pojechac ta furgonetka?

- Skrecila na zachod na Fredericks i nie jestem pewna, ale mam wrazenie, ze jesli sie nie mieszka na tej ulicy, to jezdzi sie nia tylko do autostrady.

- Ktorej autostrady?

- Szescdziesiatej szostej. Wjazd na zachod jest dwie przecznice stad.

I-66. Biegnaca przez caly cholerny kraj. Az do Los Angeles.

- Musze koniecznie zadzwonic.

- Zadzwonic - odezwal sie przytlumiony glos.

Cisza. Drzwi sie nie otworzyly.

- Tak, z pani telefonu. Bardzo krociutko. Rozmowa lokalna.

- Ach, moj telefon. Niestety. Zepsul sie.

- To bardzo wazne.

- Wlasnie czekam na naprawe. Powinni przyjechac za kilka godzin. A moze jutro. Przepraszam, musze sprawdzic piekarnik.

Zaslona wrocila na swoje miejsce.

Rozdział 15

Joshua LeFevre wrzucił czwórdolarówkę do automatu telefonicznego koło 7-Eleven i złapał Tate'a w domu. Opowiedział mu o wszystkim, czego się dowiedział.

- Joshua znalazł Emily - powtórzył Tate, najprawdopodobniej do Bett. I znowu do słuchawki: - A więc jest i tajemniczy mężczyzna. Który może miał jej walizkę lub ubrania... Kolejna sympatia?

- Nie sadze - odparł LeFevre. - Ale Megan nie opowiadała mi zbyt wiele o swoim życiu osobistym. - Poczul ukłucie w sercu na wspomnienie rozmowy w zeszłym miesiącu, kiedy chciał się z nią umówić, ale ona wykreciła się, mówiąc, że ma randkę z Bobbym.

Zazdrość to paskudne uczucie, prawda? - pomyślał.

- Czy pan Konstantynopol jest u państwa?

- Konstantinakis. Nie. Właśnie usiłowałem się do niego dodzwonić. Nie ma go też w biurze. Ale zostaw wiadomość, to oddzwoni.

Gdy się rozłączyli, LeFevre nagrał wiadomość w biurze policji stanowej, zostawiając numer automatu. Oparł się o budkę, skrzyżował ręce i zmarszczył czoło. Podszedł jakiś biznesman, spojrzał na LeFevre'a, zrezygnował z dzwonienia i zniknął.

Telefon odezwał się pięć minut później.

Nie potrafił się oprzeć.

- Kto nawija?

- Dalej wyglądasz jak pierdolona reklama markowych pizam?

- Mam działki za dziesiątaka, mam działki za miedziaka.

- Niech cie, LeFevre - rzucił szybko Konnie - wpakowałeś się w szambo. Ta linia jest monitorowana przez wydział do spraw narkotyków.

- Rany, człowieku, hej, panie władzo... - LeFevre zorientował się, że to żart, dopiero gdy usłyszał zduszony śmiech policjanta. - To nie było zabawne.

- Może nie - odpowiedział detektyw - ale ton twojego głosu był.

- Ma pan coś ciekawego? - LeFevre położył akcent na „pan”, żeby zasugerować, że on ma.

Konnie chrząknął.

- Owszem, zły humor - odparł.

- Mam się przejmować pańskimi humorami? - spytał ostrożnie, jeszcze nie do końca przekonany, że Konnie najbardziej lubi tych, którzy traktują go najgorzej.

- Wielkie gówno. Amtrak to całkowita ściema. Jeśli kupiła bilet, to nie na swoje nazwisko. Jestem teraz na National. I tu też nic. Tak na marginesie, pieprzony ruch w tym mieście.

- Ja coś mam. Trop. Tak to nazywacie, prawda?

- Naoglądałeś się seriali. A jak, do cholery, mielibyśmy to nazywać?

Opowiedział Konniemu o mężczyźnie w szarej furgonetce i o Emily.

- Niezłe, Sherlocku. Znasz jej nazwisko?

- Nie, tylko adres. Parking przyczep w Oakton.

Podał adres policjantowi.

- W porządku. Reszcie znajdziemy.

- Mogła pojechać z tym gościem z furgonetki. Megan też.

- Znasz tablice?

- Co?

- Tablice rejestracyjne.

- Nie.

- Cholera. Z jakiego stanu? - warknął Konnie.

- Nie wiem.

- Niech to szlag.

- Powiedz mi, jak mam dalej postępować, Konnie.

- Tak, mozesz sie do mnie zwracac per Konnie, jesli o to pytasz.

- Nie o to.

- A jak sadzisz, co powinnismy zrobic?

- Mialem nadzieje, ze uda sie zdobyc spis szarych furgonetek albo cos takiego.

- Znasz model?

- Cholera. - LeFevre uprzedzil Konniego.

- Och, jakze przydatne. Takie poszukiwanie da nam zapewne milutka liste okolo szesciu tysiecy samochodow. Zakladajac, ze rzeczywiscie byla szara. A nie sinofioletowa, oliwkowa albo brudnobiala. Albo ze jej nie przemalowano. Albo nie ukradziono w Trenton, Paoli czy Anchorage.

- To dosc ciezka robota, prawda?

- Czemu przestales gadac jak Murzyn?

- Mozesz mowic: jak czarnuch, sam tak mowie.

- Nie mam ochoty.

- Bo studiowalem malarstwo w Yale, Oksfordzie i na Sorbonie.

- To jakies szkoly? Ucza tam ludzi?

- Jestes zabawny, Konnie.

- Okej. Oto moja propozycja. Wydruk z bazy danych nic nie da, jesli bedziemy mieli do czynienia z tyloma samochodami. Trzeba te liczbe zredukowac.

- Jak? Co mam zrobic?

- Z twoim tropem?

- Tak. Tate Collier mowi, ze jestes specem.

- Zabierzmy sie do tego razem. Mamy, twoim zdaniem, szara furgonetke. Ktora przypuszczalnie pojechala na zachod szosa I-66. Facet zapewne zaprowadzil auto Megan na dworzec?

- Tak sadze.

- A w srodku sa byc moze ciuchy Megan i kobieta, z ktora pila tej nocy, kiedy wspielala sie na wieze cisnien w Fairfax. Ty Tak Sadzisz. Oki-doki, zajme sie sprawdzeniem tej Emily. A twoj przydzial... Jestes gotowy?

- Mam nawet ołówek.
- Nie będzie ci potrzebny. Zadam ci tylko jedno pytanie, które wskaże ci drogę.
- A brzmi ono?
- Czego potrzeba samochodom?

Zabrało mu to dziesięć długich, bardzo długich sekund.

- Nie pomyślałem o tym.

- Właśnie dlatego to ja jestem glina, a ty dupkiem z włosami jak szczotki do przetykania rur. Muszę spadać.

Ten świat nie jest doskonały.

Ale czasami Bóg daje nam w życiu to, czego pragniemy najbardziej - wyjaśnienie rzeczy niewyobrażalnych. A gdy już to otrzymamy, znikają wszelkie zapory odcinające nas od szczęścia i zadowolenia. Oto przed nami jest przedmiot wszystkich naszych pragnień, przepustka do rozkoszy nieba.

Megan McCall była dla Aarona Matthews'a właśnie takim wyjaśnieniem.

Siedział koło jej bezwładnego ciała w mniszej celi, która przygotował w glebi jednego ze skrzydeł Katedry wśród Sosen. Leżała na sznurkowym łozku. Bez przescieradła, bez koca, bez poduszki. W pokoju było tylko łozko i jedno krzesło. Nie zostanie tu długo.

Przykleknął i pochylił głowę. Nie do modlitwy, ale żeby rozebrać dziewczynę.

Wszystkie okna budynku miały kraty, a drzwi zaopatrzone w mocne podwójne zamki. Nie wydostanie się z pokoju, nie mówiąc już o budynku. Będzie jednak musiał zostawić ją na chwilę samą, ponieważ ma jeszcze kilka niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia, lecz odebranie jej ubrań zniechęci ją do wszelkich myśli o ucieczce.

Najpierw bluzka, potem stanik. Dzinsy, majtki i skarpetki. Jego oczy krążyły po jej ciele. Ale dotknął jej tylko raz - nie pogłaskał piersi ani pokrytego jasnymi włosami wzgórka łonowego, ale włożył jej palec między zęby i nacisnął język, różowy koniuszek języka. Cofnął palec i poczuł chłodny oddech na skórze i paznokciu.

Zostawił ją, zabrał ubrania, zamknął drzwi i przeciągnął wielką kłódkę przez skobel na zewnątrz. Następnie wszedł na dół, przeciął prymitywną kaplicę pokrytą pleśnią i zagłębił się w kolejną plataninę długich, ciemnych korytarzy. Słychać było głośne kapanie wody. Spod jego stóp umykały szczury. Nie zwracał na nie uwagi (jeśli nie liczyć mruczanego pod nosem „Wszystkie stworzenia głoszą chwałę Pana”). Otworzył drzwi do dużego pomieszczenia i wszedł do środka. Zawiasy zaskrzypiały głośno. Błysnęło światło, ukazując skomplikowany warsztat.

Zanim ojciec Aarona Matthews'a obral ścieżkę Boga, był wynalazcą. Wybudował to pomieszczenie wiele lat temu, gdy jedyną budowlą na tej działce była mała szopka, w której mieszkał wdowiec z kilkuletnim synem. Mroczne, wilgotne, przesycone gryzaczami oparami oleju, środków czystości i pleśni, teraz wypełniały je rozmaite narzędzia do obróbki drewna i metalu. Ale zamiast transformatorów i bakelitowych osłon znajdowały się tu teraz przedmioty religijne - obrazy i dziwaczne konstrukcje z drewna, pior, metalu i gwoździ.

Gdy Matthews syn okazał się cudownym dzieckiem i przerosł swojego ojca, stary człowiek zmienił się, ale na gorsze. Prowadził nadal Katedrę niczym opętany mania wielkości arcybiskup, ale w jego twarzy widac było poczucie zdrady ze strony Boga, toteż zamknął i wyrażał się głównie w rekodzie. Wykonywał krucyfiksy, tryptyki, ikony. Prymitywne średniowieczne malowidła przedstawiające sceny bardziej przerażające niż ilustracje Dorego do „Piekle”: ofiary z ludzi, inkwizytorzy okaleczający grzeszników, kobiety gwałcone mieczami, kastrovani mężczyźni. Biczowania i śmierć w ukropie. W tym właśnie czasie poświęcił dwadzieścia cztery godziny szalenstwa na wykonanie posagu anioła umieszczonego nad bramą Katedry.

W końcu starzec zajął się tym, co miało być jego ostatecznym wynalazkiem - telefonem tłumaczącym angielski na mowę Boga. Nie na hebrajski, aramejski czy jakiś indoeuropejski język, ale na mowę czystego dźwięku: tony bólu, tęsknoty, winy, błagania i duchowej ekstazy. James Matthews, przekonany, że Bóg go opuścił, niezdolny usłyszeć Jego głosu, a co dopiero mówić tym głosem, uznał, że potrzebuje skrajnych środków do porozumienia się z Wszechmogącym.

Matthews stał teraz przy warsztacie, na którym jego ojciec odgrywał Aleksandra Grahama Bella dzwoniącego do bożego Watsona. Jego aktualny projekt nie był jednak tak wyrafinowany technicznie. Obrócił koło szlifierki i zaczął formować żelazny pret w długi, ostry gwoździec.

Złote iskry spadały na podłogę i oświetlały spoconą twarz. Miał wykonać trzy ostrza, ale nie spieszył się, ponieważ musiały być doskonałe - wystarczająco długie, żeby utrzymać ciało, ale nie za grube, żeby zbyt szybko nie wykrwawiła się na śmierć.

Megan McCall...

Dziewczyna, której śmierć wyjaśni niewytłumaczalne tajemnice życia Aarona Matthews'a, zapłaci za wszystkie niesprawiedliwości, jakie go spotkały.

Przykładając metal do karborundu, patrząc, jak wznoszą się języki ognia, Matthews pograził się w marzeniu, wizji tego, co stanie się pojutrze, w piątkowy rano.

Naga Megan zostanie przybita długimi gwoździami do krzyża wzniesionego w kaplicy. Przez jakiś czas będzie wic się w mecie, wrzeszcząc w wygłuszonym, szczelnie zamkniętym pomieszczeniu. Ale potem, wiedział to, przyzwyczai się do bólu. Zemdleje kilka razy, ale odzyska przytomność. Szczury zgromadzą się pod krzyżem i będą szczypać jej zakrwawione dłonie i stopy.

Później, tuż przed zachodem słońca - miał nadzieję, że wytrzyma tak długo - gdy będzie zbliżał się koniec, on wsunie noż między jej zęba, ale za jej zęby i tam wykona ostateczne ciecie. Uniesie swoje trofeum. A ona krzyknie i umrze.

I rzekłem: „Bede... zważał na ścieżki moje, abym nie zgrzeszył językiem”. I zamilkłem. Odwrocilem się od mowy. Moje meki zwiększyły się, a serce me splonelo.

Umrze w cierpieniu, ponieważ jest koscia z kosci Tate'a Colliera. Jego pierworodna. Bog wskazał mu, że tak będzie dobrze i sprawiedliwie. Tate Collier popełnił morderstwo. Tate Collier zgrzeszył.

Wyobraz sobie to, co najgorsze, i zejdz głębiej...

Meka Colliera będzie to, że reszta życia przeżyje w niepewności. Nigdy nie dowie się, co spotkało jego córkę. Pozostanie mu tylko list od niewygodnego dziecka, jej ostatnie okrutne słowa skierowane do niego, i to pytanie powtarzane w nieskończoność: Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? Gdzie jest moje dziecko?

Matthews przyłożył kolejny kawałek metalu do kamienia szlifierki.

Niepewność. Największym przekleństwem człowieka jest niewiedza. Czy Jezus wznosił się do nieba? Czy przyczaił się i ukrył gdzieś w Izraelu lub na Krecie? Czy ukrzyżowanie było tylko sztuczka?

Świat tego nie wie.

Tate Collier też się nie dowie...

I zamilkłem. Odwrocilem się od mowy. Moje meki zwiększyły się, a serce me splonelo. Moj umysł zajął się ogniem i nie mogłem już strzymać. Zakrzyknąłem: „Panie, daj mi poznać mój koniec i liczbę dni moich. Ukaz mi, jak krótkie będzie moje życie”.

Zaczął prace nad kolejnym ostrzem, a eksplozja iskier rozświetliła ciemne pomieszczenie.

Myslał o Megan.

Myslał: piątek piątek piątek...

Czego potrzebują samochody?

Dzięki, Konnie.

Joshua LeFevre zerknął na licznik. Przejechał starym zniszczonym volvem kolejne dwadzieścia mil I-66. Uchylił szyberdach i usłyszał wiatr jęczący wśród szprych i kabli roweru umocowanego na bagażniku.

No, pomyślał, patrząc przez okno, oto numer trzynastcie. Może będzie szczęśliwy.

Ale sprzedawca na tej stacji benzynowej przy drodze 66 nie potrafił pomóc wiele więcej niż poprzednich dwunastu. Podejrzał, że jeśli Megan z kims uciekła, to zatankowali do pełna przed wyjazdem. A na pewno, jeśli ktoś ją porwał, to zatroszczył się o pełny bak przed robotą.

Ale szczegoly sa najwazniejsze, wiec Joshua LeFevre zatrzymywal sie na kazdej napotkanej stacji benzynowej i pytal kazdego sprzedawce, czy widzial szara furgonetke, ktorej kierowca zatrzymal sie po benzyne, olej, wode, slodycze, by skorzystac z ubikacji... po cokolwiek.

Poznym popoludniem przejechal za Shenandoah i ujrzal przed soba zamglone Blue Ridge. Nie byly dzis stalowe, podpowiedzial siedzacy w jego duszy artysta, ale pokrywal je zielony szron wiosennej roslinnosci. Zatrzymal sie na pieciu nastepnych stacjach; poczucie beznadziejnosci wciaz wzrastalo, az wyjechal za Front Royal i zatrzymal sie na stacji Shella. Glownie dlatego, ze musial isc do toalety.

Tu wlasnie chudy, ponury sprzedawca z dlugimi, brudnymi wlosami wystajacymi spod bejsbolowki przypomnial sobie mezczyzne w szarej furgonetce.

Wydobycie z niego tego wspomnienia wymagalo troche wysilku. Wyglad „grozny dla spoleczenstwa” nie dzialal tu, w gorach, totez LeFevre musial powrocic do osobowosci w stylu Sidneya Poitiera, zeby zlamac tego wrogo nastawionego dupka. W koncu dowiedzial sie, ze mezczyzna kolo czterdziestki w szarej furgonetce zatrzymal sie, zatankowal, przycisnal guzik placenia karta na dystrybutorze, po czym najwyrazniej zrezygnowal z karty i zaplacic gotowka.

LeFevre usmiechnal sie szeroko, speszony, trzymajac ciemne okulary w rece, zapytal uprzejmie o szczegoly. Sprzedawca owijal sobie wlosy wokol palca i gapil sie na LeFevre'a wzrokiem, ktory mowil: Moge ci dokopac, czarnuchu, kiedy i gdzie tylko zechce.

- Czy w furgonetce byl ktos jeszcze? - upieral sie LeFevre. Zachowal pozory szacunku, ale postanowil zrezygnowac z nadmiaru grzecznosci. Sidney Poitier rzucil piorunujace spojrzenie Roda Steigera.

- Nie widzialem.

- Wrocil na autostrade?

- Nie. Chyba pojechal Parker Road, o tam - odpowiedzial chlopak, usilujac wykombinowac, dlaczego Murzyn, ktory moglby byc ciezarowcem, gada jak bohater jakiegos pedalskiego zagranicznego filmu.

LeFevre podszedl do skraju asfaltu. Zapach benzyny mieszal sie z zapachem wiosennej roslinnosci i gliniastej ziemi.

- To jest Parker Road?

- No.

Wijaca sie ku gorom droga znikala w cieniu sosen i szczwolow.

- Dokad prowadzi?

- Donikad. No, do paru domow. I sa tam tylne wejścia do ktorejs z tych wielkich grot. Jakies stare

koscioly. - Młody mężczyzna upchnął kosmyk włosów pod czapka. - W sumie sześć mil. Dochodzi dość wysoko. Po czym zawraca jak waz.

- Jak waz. Mieszkają tam jacys ludzie?

- Nie bardzo. Było tak, że jak ludzie tu przyszli, to mieszkali nawet na samej górze. Ale nie mogli utrzymać ziemi, przynajmniej większość. Kłopoty z kasa, kumasz? Zaczeli sprzedawać rządowi pod park albo bogatym, co chcieli mieć działki wypoczynkowe, a rodziny przeprowadzały się na dół. Teraz prawie wszyscy są w dolinie.

- Wspólny mianownik.

- He?

- I nie pomyślałeś, że to dziwne, że ta furgonetka tam pojechała?

- Niewiele myślę. Głównie o zmianie oleju i wywazaniu kół.

LeFevre zadzwonił do Tate'a i zrelacjonował mu nowości.

- I nikt nie widział Megan w tej furgonetce?

- Nie. Emily też nie.

Tate uznał, że nie wygląda to na ciekawy trop, a LeFevre przyznał mu rację. Doszli do wniosku, że powie o tym Konniemu i zobaczą, czy uda się sprawdzić szare furgonetki zarejestrowane we Front Royal albo okolicy. A LeFevre wróci do Fairfax i pomoże Bobby'emu Carsonowi rozmawiać z kolegami Megan.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu. Wyjął kluczyki z kieszeni, ale nie otworzył drzwiczek. Patrzył na drzewa tworzące brama nad Parker Road.

- Co pan powiedział?

- Tylko sześć mil - LeFevre powtórzył słowa, które, jak sądził, wypowiedział do siebie.

- Tylko, jak tylko.

Zdarzyło mu się przejechać na rowerze sto trzydzieści mil w jeden dzień.

A potem w nocy miał jeszcze dość siły, żeby kochać się z Megan.

- Chciałbym zostawić tu samochód na jakąś godzinę albo dwie.

- Nie mamy parkingu.

- No więc proszę zmienić olej i wywazać koła. - Wyciągnął z portfela trzy dwudziestodolarówki.

- Ile czasu to zajmie?

Chłopak chwycił banknoty.

- Jakas godzinke albo dwie.

LeFevre podszedł do samochodu, zdjął rower z bagażnika i oparł go o samochód. Volvo było białe i rzuciłoby się w oczy z odległości kilku mil. Rower był czarny i bezgłosny, a nawet pomalowany w kamuflujące plamy. Zdjął kurtkę skórzana i znalazł w bagażniku granatową bluzę. Włożył ją. Już miał zatrzasnąć bagażnik, gdy zawahał się, sięgnął po wędkarski przyborek i wyciągnął skórzana pochwę z nożem z hartowanej stali o siedmiocalowym ostrzu. Przypiął go do pasa, zastanawiając się, co robią miejscowe gliny z uzbrojonym czarnuchem włączającym się po bocznych drogach.

Rzucił kluczyki sprzedawcy i postawił stopy na pedalach. Ruszając z miejsca - ulubiony moment w jeździe na rowerze - wskoczył na siodełko niczym John Wayne na konia. I zaczął szybko pedałować, aż beton, budynki i samochody zniknęły za nim, a świat wypełniła czarna kora, cienie i poruszające się ramiona poszarpanych konarów.

Błąda jak albinos dziewczynka wpatrywała się w niego. Miała ogniste rude włosy, jasną skórę i ledwie widoczne brwi. Nie spuszczała z niego wzroku ani się nie uśmiechała.

LeFevre zahamował i zatrzymał się pod zwieszonymi galezmi szczwołu. Przejechał już jakieś trzy albo cztery mile od stacji benzynowej.

Dziewczynka miała na sobie sukienkę z żółtego płótna. Nie potrafił określić jej wieku: równie dobrze mogła mieć siedem, jak siedemnaście lat.

- Dobry wieczor - powiedział.

Skinęła głową.

- Widziałas tu może dziś samochód? Szara furgonetka?

Potrząsnęła głową.

- Czy ktoś tam mieszka?

- Nie mieszka. Ale jest tam miejsce. - Miała silny miejscowy akcent.

Nie spuszczała z niego wzroku, ale w jej oczach nie dostrzegł ciekawości, aczkolwiek z pewnością był pierwszym czarnym facetem z dreadami jadącym na rowerze za siedemset dolarów, jakiego widziała w tych lasach.

- Jakie miejsce?

- Oboz.

- Oboz harcerski?

- „Oboz" w tej okolicy znaczy tylko jedno, prosze pana.

- Odnowa religijna. - Emma Vinton LeFevre byla dumna ze swojego dziadka, pastora baptystow. Miala stare nagrania koscielnego choru z lat czterdziestych przebrane na tasme i czesto je puszczala, zwlaszcza gdy na obiad przychodzili pravicowi politycy. - Opuszczony?

- Podobno. Czasami czuc dym i widac swiatla. Ale nikt tam nie chodzi. Nawet ja, chociaz ja chodze wszedzie. O kazdej porze dnia i nocy.

- Myslisz, ze ktos mogl sie tam wprowadzic?

- Tak mowia dzieciaki. Mowia, ze jest tam stary. Nazywa sie James Matthews.

- Kto to jest?

- Kupil te ziemie w latach piecdziesiatych i glosil tu kazania, ale to jego chlopak mial naprawde dar, tak wszyscy twierdza. Stary, mowi moja mama, zwariowal. Wie pan, co zrobil?

- Powiedz mi - poprosil, przygladajac sie bladym piegom na jej pozbawionej wyrazu buzi.

- Byla taka dziewczyna, co grzeszyla w calym miescie, rozumie pan, byla latwa dla chlopakow. Jej rodzice przyszli do wielebnego i prosili, zeby modlil sie za jej dusze. Ale on tego nie zrobil. Wzial noz i ktorejs nocy wszedl do jej sypialni. Zatkal jej usta, sciagnal spodnie od pizamy i niezle ja pochlastal. Pan rozumie, o czym mowie? Pocial ja tam, zeby nic nie czula, jak bedzie z chlopakami.

- Tak zrobil? - LeFevre wyszeptal przerazony.

- Tak. Zamkneli go, ale uciekl i zniknal. Cztery albo piec lat temu. Policja myslala, ze wrocil do obozu, ale nikt go nie znalazl. Ludzie mysla, ze ciagle sie tu wloczy. A moze jego duch. Ja wierze w duchy. Nie wierzylam, poki mieszkalysmy z mama w Karolinie. Tam nie ma duchow. Ale jak tylko przenioslismy sie do Blue Ridge, zobaczylam, ze wokol nas sa duchy.

- Myslisz, ze ktos moglby sie tam ukryc i zostac niezauwazony?

- Moglby. Ale nikt by nie chcial.

- Gdzie to jest?

- Jakas mile stad, moze troche wiecej. Wyglada tak, jakby droga sie konczyla, ale nie konczy sie. Trzeba jechac dalej, jak sie pomysli, ze to juz koniec.

- Bylas tam kiedys na nabozenstwie?

- Nie, prosze pana. Wierze w Jezusa i w to, ze on jest mostem, po ktorym moja dusza przejdzie do nieba. Ale nigdy bym nie poszla do tamtego obozu. Jesli to miejsce jest mostem, to nie do naszego

Pana. Nie, prosze pana, nie. Musze juz isc. - Ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie ruszyła droga.

- Nie wiesz, czy jest tam ktos teraz? - zawołał LeFevre.

Ale zanim skończył zdanie, zeszła z drogi i zniknęła.

Wsiadł z powrotem na rower i ruszył w górę stromego zbocza, silnie naciskając na pedały. LeFevre regularnie jeździł na stumilowe wycieczki rowerowe, ale ta droga wyciągnęła z niego energie. Głównie przez błoto. Ono było najgorsze.

Jego nogi poruszały się z zawrotną prędkością, gdy wjeżdżał we wznoszący się tunel o ścianach ze szczwołu i sosen roztaczających aromat w wieczornym powietrzu. Wokół kładła się mgła, wypelzając spomiędzy drzew i znad ziemi. Czuł się obserwowany. Pewnie przez sowy.

Droga znikła w chwili, gdy zbliżył się do wycieczki w wysokiej skalnej ścianie. Ale jechał dalej i gdy już wydawało się, że nie będzie dokąd jechać, chyba że sto stop pionowo w górę, okrzyk potężny głos i zobaczył, że droga schodzi w szeroką dolinę.

Most do niebios...

Był spocony, kiedy dotarł do płaskowyzu i mógł zmienić przeczutkę, ale tylko część potu wzięła się z wysiłku.

Zobaczył to tuż przed sobą i zacisnął ręce na obu hamulcach tak mocno, że spadł z roweru i potoczył się w błoto. Oczekiwał napadzi, spodziewał się, że jego serce eksploduje ze strachu, zapomniał o nożu, zasłaniał twarz oburącz.

Długa chwila ciszy.

I bezruchu.

LeFevre opuścił ręce i spojrzał przed siebie. To była rzeźba wznosząca się tuż nad nim, wykonana z pnia, splecionych galezi i mchu. Wydawało się, że wyskakuje na niego spomiędzy drzew, ponieważ zlewała się z otoczeniem, a on nie zauważył jej, dopóki nie znalazł się tuż przy niej. Anioł. Uznał, że artysta, który to wykonał, miał talent, był pomysłowy i zupełnie chory.

Uspokoił się i spojrzał poza rzeźbę. Zobaczył siatkę zwieńczoną drutem kolczastym, stare zabudowania na polanie zalanej mgłą, ziemię pokrytą gnijącymi liśćmi i zwałonymi drzewami.

A na podjeździe stała szara furgonetka.

LeFevre ustawił rower pod wysokim krzewem szczwołu i wyciągnął noż z za pasa, czuł radosne podniecenie i zdawał sobie sprawę z własnej głupoty, ale ruszył ku siatce.

Rozdział 16

Mieli zrobić drobiazgową rewizję pokoju Megan.

Była żona zaprowadziła Tate'a Colliera do swojego domu. Rzadko tu bywał - w tym małym pietrowym domu w angielskim stylu, z okapami, siatkami małych szybek zamiast okien, lukrowatymi futrynami drzwi. W ciągu ostatnich dwóch, trzech lat tylko raz wszedł do środka. Na przyjęcie z okazji szesnastych urodzin Megan. Wygłosił przemówienie, został przez godzinę i uciekł.

Tate uważał, że pomysł Konniego z przeszukaniem pokoju był dobry: nie mógł uwierzyć, żeby siedemnastolatka tak dopięła na ostatni guzik plan ucieczki, by nie zostawiła żadnych śladów. W pracy prokuratora najbardziej fascynowało go zajmowanie się psychologią zbrodni, ewidentne błędy popełniane nawet przez recydywistów wydawały się celowe, jakby sprawcy pragnęli być ujęci.

Tate zatrzymał samochód i wysiadł. Dom wyglądał jak z bajki: obrosnięty oplątwa brodawkowata i niesamowitymi pnączami winobluszczu. I wszedobylskim gestym kudzu, które zdaniem matki Tate'a - zapalonej ogrodniczki - miało romantyczną duszę, ponieważ łączyło rozdzielone na zawsze drzewa.

W pokojach paliły się słabe żarówki, okna zakrywały gęste firanki i grube kotary zamiast zasłon. Wszystko razem przypominało sklep newage'owy. Kryształki, piramidki, pentagramy. Spory zestaw kart do tarota. Unoszący się w powietrzu lekki zapach kadzidelka. Za czasów ich małżeństwa Betty Susan McCall z entuzjazmem zgiebiała nauki tajemne.

- Jestem PKD, Tate - wyznała wiele lat temu. - Świetnie mi idzie odczytywanie tarota, ale gdy usiłuję w to uwierzyć, napotykam mur.

PKD. Porządna Katolicka Dziewczyna.

Tate rozglądał się po pokoju. Zauważył, że było tu mnóstwo ozdób. Interes Bett związany z wystrojem wewnątrz musi niezłe prosperować. Koło sofy stał wielki bukiet złotych róż w kryształowym wazonie. Wykreślił szyję i przeczytał kartkę: *Dla M2 - Z mnóstwem buziaków. B.* Obok leżał paryski „Vogue” za szesnastę dolarów. Na czole dziewczyny z okładki przyklejona była cena.

Megan McCall.

To od Brada, uswiadomil sobie Tate z doza zniechecenia. Narzeczony Bett wybral idealny prezent dla siedemnastolatki, ktora spedzila noc w szpitalu. Tate pomyslal, ze jego pluszowy mis musial sie wydac dziewczynie glupi.

Sprawa rodzinna.

Alez on zazdroscil Sedziemiu. Senior rodu Collierow zawsze umial wziac smutne dziecko na strone, porozmawiac z nim i w cudowny sposob uleczyć mloda dusze. Sedzia kochal i rozpieszczal swoja zdziwaczala zone, zawsze ze wspolczuciem wysluchiwal jej opowiesci o przesadach i chorobach. Pozyczal braciom pieniadze i dbal o splaty dlugow albo przedluzenie terminow weksli. Przewodniczyl zjazdom rodzinnym podczas swiat, pogrzebow i narodzin. Sedzia zawsze byl obecny, w przeciwienstwie do swojego syna - ojca Tate'a, ktory od rodziny wolal strumienie pelne pstragow.

Tate czul gleboka odraze do ukochanej przez ojca samotnosci. Ulubionym filmem ojca byl „Jezdziec znikad”. Samotnik. Marzeniem Tate'a bylo cofnac sie wstecz o pokolenie i odtworzyc dokladnie swiat Sedziego. Ozenil sie z Bett w przyplywie namietnosci, planowal gromadke dzieci, zbudowal wielka wiejska posiadlosc w samym srodku pola kukurydzy.

Ale Tate nie dorownywal Sedziemiu. Teraz zyl samotnie, spotykal sie z czarujacymi laseczkami (jak okreslala je Megan) dla samej przyjemnosci i podreperowania ego, i czekal, az wielka poludniowa rodzina w cudowny sposob wyrosnie wokol niego. Czekal na to prawie od dwudziestu lat.

- Dlaczego rewizja ma byc drobiazgowa? - spytala Bett.

- Zeby nic nie przeoczono.

- Aha.

Od godziny Tate i Bett przegladali dokladnie szafy, komody, biurko, materac, lozko, kosz na smieci i dziwaczne pudelka, ktore Megan kolekcjonowala. Nic nie znalezli.

Ani pamietnikow, ani listow od przyjaciol w Kalifornii, Londynie lub na Alasce, pelnych zapewnien, ze Megan bylaby mile widziana. Zadnych sekretnych notatek ani numerow telefonow. Nic. Kartka od Amy przypieta do korkowej tablicy. Tate przyjrzel jej sie. Z Bermudow. „Wszedzie chlopcy! A ja jestem ze starymi. Bez szans na p... nie na tej wycieczce. Buziaki, Amy”.

Pstryknal kartke kciukiem i rozejrzal sie po pokoju.

- Brak tajemnic - powiedzial, podpierajac sie pod boki i przygladajac plakatowi z Richardem Gere.

- Popatrz.

Bett otworzyla papierowa torbe i wyjela mydelniczke - porcelanowy koszyk ozdobiony fiolkami.

Polozyła ja na łozku Megan.

- Moze to prawda, Tate. Moze wlasnie jest tak, jak sie nam wydaje - ona naprawde nas nienawidzi.

To brzmialo tak gniewnie.

- Wiele ludzi sie gniewa - odrzekl szybko. - Z tym daje sie zyc.

- Ale to cos wiecej niz gniew - zauwazyla. - To... to niemal okrucienstwo.

Tak, w pewnym sensie miala racje. Ale Tate Collier uwazal, ze nie da sie naprawde kochac kogos, nie poznawszy go calkowicie, a nie da sie nikogo poznac calkowicie, jesli nie doswiadczy sie jego okrucienstwa. Co sie robi po doznanym okrucienstwie, pozostaje oczywiscie wielka niewiadoma. Odejdzie sie czy zostanie? Drogi rozejda sie czy polacza? Wszystko zalezy od czlowieka.

Myslal o pogrzebie.

Czy wszystko sie do tego sprowadza?

Tak, podejrzewal, ze tak.

Spojrzal na pocztowke trzymana w rece.

- Chodźmy do niej. Do tej Amy. Przekonajmy sie, dlaczego tak sie zezlosila na Megan.

Bett wzruszyla ramionami.

- Zadzwoń do niej.

W drzwiach Tate odwrócił się i spojrzal jeszcze raz na łozko Megan, na prawie puste sciany, porządek w szafach, czyste biurko.

- Amy jest w domu - zawolala Bett z dolu. - Ale mozemy miec problem.

- Dlaczego?

- Jesli przyjdziemy, wezwie policje. Za zadne skarby nie bedzie z nami rozmawiac. Powiedziala: „Mozecie sobie, kurwa, darowac”.

Tate zamknal drzwi pokoju Megan z cichym stukciem.

- Bierzemy moj samochod czy twój?

Aaron Matthews wyjechal z Katedry i minal posag aniola w powrotnej drodze do hrabstwa Prince William. W taki ponury wczesny wieczor powinno byc chlodno, ale kwietniowe powietrze ogrzalo

sie za dnia, przepelniał je smrod gnijacych zeszlorocznych lisci i rozkladajacych sie szczatkow jakiegos zwierzecia, ktore psy niedawno zagryzly.

Zamierzal wlasnie przyspieszyc, gdy uslyszal trzask, a furgonetka przechylila sie na prawo.

Powietrze uchodzilo z sykiem, gdy zahamowal.

- Skurwysyn. - Matthews nigdy nie wzywial imienia Pana nadaremnie, ale nie mial problemow ze swieckimi przeklenstwami.

Wysiadl i podszedl do tylu furgonetki.

Spojrzal na ciecie zadane nozem w opony i odwrocil sie, zeby wyciagnac pistolet ze schowka.

Za pozno.

Mlody mezczyzna trzymal noz niezgrabnie, ale z wystarczajaca determinacja, zeby Matthews zamarl i podniosl rece. Chlopak mial potezne muskuly. Wygladal na urodzonego boksera.

- Oddam portfel. A tu...

- Gdzie ona jest?

Aj. Mamy problem.

- Gdzie? - spytal chlopak.

Coz za piekna mieszanka. Karolina, Karaiby, lekka domieszka soczystej Anglii lagodzaca tamte dwa. Ten facet moglby uwiesc kazda kobiete, tylko mowiac jej, ze jest piekna, niezaleznie od tego, czy bylaby to prawda.

- Kto?

- Megan.

- Nie ran mnie - powiedzial Matthews desperacko.

Iskierka niepewnosci pojawila sie w ciemnych oczach mlodziencza.

- Nie jestem pewny, czy potrafilbym zabic, ale na pewno moge cie niezle pochlastac.

- Proszę! - Matthews pozwolil, by jego glos sie zalamal.

Kto to jest, zastanawial sie, wracajac w myslach do sesji z Megan. Mial w pamieci zarys tego, co mowila. *Przez jakis czas spotykalam sie z Joshua. On mieszka w dystrykcie i jest superartysta. Ale zerwalismy. No dobra, to on mnie rzucil... Pojawil sie znowu...*

Istnial jakis problem rasowy, przypomniał sobie. A wiec to jest Joshua. Przyjrzał się dokładnie

młodzieniowi.

Dobra, zapytał milczący terapeuta siedzący w Aaronie, wcale nie jesteś bokserem, prawda? Dlaczego czujesz się winny, skąd ta niepewność?

Matthews miał w schowku pistolet, a w tylnej kieszeni noż myśliwski. Ten chłopak, którego podkrecało zdenerwowanie, znajdował się zaledwie cztery stopy od niego i jeśli poczuje się zagrożony, zadzga go na śmierć, niezależnie od uprzejmych zapewnień.

Jak się tu dostał, Matthews nie umiał powiedzieć. W każdym razie znaczyło to, że ktoś - Collier, a może jego żona - nie uwierzył do końca w listy, tylko pomyślał, że Megan została uprowadzona.

- Zostawiłeś jej samochód na stacji i wzięłeś ten.

Matthews uśmiechnął się i opuścił ręce. Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ty musisz być Joshua.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Znasz Megan?

- Oczywiście.

- No więc czemu tak dziwnie się zachowujesz?

- Hej, pomyśl no. Nikt nigdy nie groził mi nożem. - Matthews uspokoił się i zaczął spokojnie rozważać sytuację. Nie ma policji. Gdyby to było oficjalne śledztwo, spadliby na niego jak szarancza. To tylko samotny najazd. Młodzieniec pewnie nawet nie dzwonił jeszcze do nikogo w Fairfax. Przypuszczalnie najpierw przyjechał tutaj, żeby zobaczyć, czy znajdzie jakiś trop. - Posłuchaj - powiedział spokojnie Matthews - odłóż tę zabawkę, pomóż mi zmienić koło i powiedz, czego chcesz.

- Nie ruszaj się.

Ponownie przyjrzał się chłopakowi. Dostrzegł inteligencję kryjącą się za pozorami buty, niepewność. Chociaż chłopak był potężnie zbudowany, widac było, że nie czuje się pewnie. Matthews przypuszczał, że ma przed sobą człowieka, który jest zdecydowany podreperować watle ego.

- Gdzie ona jest? - powtórzył gorączkowo Joshua.

Matthews skrzyżował ręce. Nie uśmiechał się już.

- Czego ty dokładnie chcesz?

- Wiesz, gdzie ona jest!

Konfuzja.

- Oczywiście. - *Och, alez bedziesz cierpial, zanim to sie skonczy.* Matthews przechylil glowe i odezwal sie wspolczujaco: - Joshua, nie wyrzadzaj sobie krzywdy.

Mlodzieniec zamrugal oczami.

- Zapomnij o niej.

- O czym ty mowisz?

- Jechales tu za mna, tak?

- Tak.

Nieprawda, wiedzial Matthews. Jakos wysledzil furgonetke, ale nie jechal za nim. Matthews byl ostrozny, co pietnascie minut sprawdzal, czy ktos nie siedzi mu na ogonie.

- Jak myslisz, dlaczego zatrzymalismy sie na lotnisku Dullesa?

Wielka czarna dlon zacisnela sie na koscianym trzonku noza.

- Nie widziales, jak ja wysadzilem?

- Ja...

- Jest juz w polowie drogi do Kalifornii.

- Po co wiec zamieniles samochody na stacji?

- Megan ma przyjaciolke, Amy. - Zawahal sie.

- Wiem - odpowiedzial Joshua.

- Amy pozycza jej samochod. Zostawilismy go na parkingu i wzielismy furgonetke.

- Nie, powiedzialaby mi o tym. Klamiesz.

Matthews uniosl blagalnie rece, tak jak zwykl czynic w obliczu grzesznikow odrzucajacych zbawienie.

- Skad wiesz, kim jestem? - spytal chlopak.

- Joshua, odloz noz i wracaj do domu. Zapomnij o Megan. Zapomnij o mnie. To tylko przysporzy ci bolu.

- O czym ty, u diabla, mowisz?

- Sluchaj, ona wyjechala na troche do Kalifornii. Moze zreszta na stale.

Niepewnosc i bol w jego oczach byly rozkoszne.

- Dlaczego?

A wiec jest uczuciowy. Co jest jego przeklenstwem? Zaloze sie, ze gniew. Moze boi sie rodzicow albo starszego brata?

Gniew jest druga strona strachu.

Joshua postapil krok do przodu.

- Powiedz mi, ty sukinsynu, co tu sie dzieje?

Matthews z rozszerzonymi ze strachu oczami oparl sie o samochod i wyciagnal przed siebie rece w obronnym gescie. Udal, ze potknal sie o galazke i upadl ciezko na ziemie. Skulil sie i przywarl do drzewa. Plonal gniewem.

- Niech to! W porzadku! Chcesz znac prawde? Megan cie nienawidzila.

Na twarzy mlodziencza odmalowalo sie niedowierzenie.

- Spotykala sie ze mna od dawna - ciagnal Matthews. - Przez caly czas, odkad chodzila z Bobbym.

- Nie! Powiedzialaby mi.

Matthews zacisnal usta.

- Nie, nie powiedzialaby. Poniewaz musialaby ci powiedziec, ze sypialismy ze soba, odkad cie rzucila.

Jeknal.

- Klamiesz. Wiem, ze klamiesz.

- Nie wierzysz, ze jestesmy kochankami?

- Nie.

- Ach. Co powiesz o tym pieprzyku tuz pod jej lewym sutkiem?

Joshua nie wytrzymal drwiacego spojrzenia Matthews'a i spuscil wzrok na mech pokrywajacy przewrocony pien.

- A co powiemy o jej wlosach lonowych? Jasne jak na glowie. A co lubi w lozku? Lubi mezczyzn, ktorzy zajmuja sie nia przez cala noc. I lubi pieprzenie w tylek.

Ale najwyraźniej nie w twoim wykonaniu. Matthews dostrzegł szok na twarzy młodzieńca.

- Przestani!

- Nie byłeś w niej zakochany - ciągnął drwiako Matthews. - Nie mogłeś być. Nie odrzuciłbyś jej tak szybko. - Podniósł się na nogi i splunął. - Wiesz, jak cie nazywała? Kundlem.

Oczy zaszkliły się, gdy skalpel dotknął mięśni gładkich jego duszy.

Wybornie.

- Byłeś wielkim mniejszościowym eksperymentem. Chciała pieprzyć się z czarnym. I postanowiła załatwić sobie grzmocenie.

- Do diabła z tobą!

- Chcesz znać prawdę? To przez ciebie wyjechała. Chciała wymazać ze swojego życia twoją żalostną facjatę. Nie dalałbyś jej spokoju.

Wystarczy.

Zgodnie z przewidywaniem Matthews'a gniew w końcu eksplodował, ale o ile w kims innym mogłoby wyzwolic bezlitosne i przemyślane działanie, o tyle Joshua rzucił się szalenczo na Matthews'a, wymachując na oslep piściami, zapominając o tym, że miał noż.

- Nie mogła tego powiedzieć! - krzyczał. - Nie mogła tego powiedzieć, nie mogła tego powiedzieć, nie mogła...

Te żalobne litanie przerwał cios myśliwskiego noża Matthews'a wymierzony w nogę młodzieńca. Joshua wrzasnął i upuścił własny noż. Matthews uskoczył przed piścią, po czym ciał mocno w ramię. Joshua upadł na plecy, chwytając się za tryskającą krwią ranę, a Matthews dopadł go w kilka sekund.

Dzgnął go raz w gardło - ostrze zagłębiło się bez trudu w struny głosowe. Chłopak odepchnął Matthews'a, obrócił się i podniósł na kolana, krztusząc się. Krew tryskała mu między palcami. Matthews uderzył ponownie, ale Joshua wykrecił się zwinnie niczym wegór i usiłował poczołgać się ku zabudowaniom.

Matthews wstał powoli i podszedł do tablicy kontrolnej. Naciśnął guzik i patrzył, jak brama się otwiera. Joshua pokustykał przez nią, przeszedł trzydziści stop po otaczającym budynki polu i upadł na kepe turzycy.

Matthews podszedł powoli do niego.

Zatrzymał się i spojrzał w dół. Pochylił się, wpatrzony w fontannę krwi tryskająca z szyi.

- Megan nie żyje, Joshua.

Z gardła chłopaka wydobyło się żalostne bulgotanie. Zaczął pluć krwią i wyszeptal coś. Podniósł się na czworakach i usiłował się odczołgać.

Matthews wrócił do bramy, zamknął ją i zagwizdał. Nadbiegły psy. Najpierw dwa, potem pozostałe.

Wyglodniałe zwierzęta skoczyły. Matthews się cofnął. Zbiły się w stado i powaliły Joshue, zanim odczołgał się na dziesięć stop.

Gdy psy otoczyły i zaczęły rozszarpać chłopaka, Matthews pochylił się do przodu, z zachwytem przyglądając się walce młodzieńca. Niezle walczył - cisnął jednym z psów o pień sosny.

Zwierzęta bolesnie zawyły. Ale zaraz znów rzuciło się na ofiarę. Joshua nie był jednak godnym przeciwnikiem dla tych bestii. Gdy wielki samiec zacisnął wreszcie olbrzymie szczęki na jego karku i zaczął nim potrząsać, Joshua zadrżał raz i nagle opadł bezwładnie jak szmata. Zwierzęta zaciągnęły go do wybiegu. Widac było tylko warczące, zakrwawione pyski, które rozszarpują ciało.

Matthews otworzył brame, wprowadził furgonetkę z powrotem między zabudowania i zostawił ją na podjeździe. Pobiegł do garażu po drugi samochód, wyprowadził go i zamknął za sobą brame. Popędził na autostradę. Włączył radio i opuścił szyby, wpuszczając do środka ciepłe kwietniowe powietrze. Ale Aaron Matthews nie słyszał nic poza głosem w głowie, może własnym, może nie, cytującym Objawienie św. Jana.

Ja jestem alfa i omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec. Byłem umarły, lecz oto żyje na wieki wieków i mam klucze śmierci i piekła. Byłem umarły, lecz oto żyje...

Myslał o tych, którzy pozostali w Fairfax, a ku którym zmierzał teraz anioł śmierci, których twarze miał musnąć wspaniałymi skrzydłami, tak miękkimi i chłodnymi.

- Może zdechnać i pani też.

- Proszę...

Drzwi się zatrzasnęły.

Tate i Bett stali na progu dużego domu w zamożnej części Fairfax, w pobliżu Clifton. Dzielnicy bogatych polityków i biznesmenów oraz - najwyraźniej - ich niewychowanych dzieci.

- Może Konnie wystraszyłby te małe suki - zaproponowała Bett.

Tate nacisnął ponownie dzwonek.

- Amy, proszę.

- Odpieprzcie się! - odpowiedział stłumiony głos ze środka.

- Mogłby ją wrzucić na noc do więzienia - upierała się Bett.

Tate zrozumiał, że w tej debacie będzie miał za przeciwnika nie młodą dziewczynę, ale jej historię. Najtrudniejszy rodzaj dyskusji.

- Amy, proszę - powtórzył.

Po chwili drzwi frontowe otworzyły się ponownie, ale między Amy i nimi pozostała zewnętrzna siatka. Tate wyobraził sobie, że Amy traktuje tak samo napalonych chłopaków po randkach - trzyma ich na dystans. Jednakże pamiętał kartkę znalezioną w pokoju Megan i uznał, że rzadko odgrywa rolę strony, która się broni.

- Czy moglibyśmy wejść? - spytał szczerze. - Na pięć minut. To bardzo ważne.

- Cholera.

Amy Walker, niższa nawet od Bett, określiła kosmyk długich włosów na palcu grubym od pierścionków. Jej czerwona sukienka była bardzo krótka i tak opięta, że dziewczyna przypominała butelkę keczupu. Miała równomiernie opalona skórę, ale jej pulchna twarz pokrywał przesadny makijaż, jak to u nastolatków. Paznokcie malowała na ostry czerwony kolor.

Jakim cudem te dziewczyny mogły się przyjaźnić? - zastanawiał się Tate. Amy była przeciwieństwem Megan.

- Rozmawialiśmy z Bobbym. Powiedział, że dzwoniłaś do niego.

- Ta suka przysłała mi list.

Bett zjeżyła się na to określenie. Chciała zaprotestować, ale Tate powstrzymał ją ruchem ręki.

- Co napisała?

- Nic. Mnóstwo cholernych bzdur. Chciała mnie zranić.

- Dlaczego napisała list, jak myślisz? Dlaczego nie zadzwoniła?

Amy nie odpowiadała. Zaciskała i rozluźniała dłonie.

- Dlaczego napisała coś, co nie jest prawdą? - spróbował Tate.

- Bo kłamstwo sprawia jej przyjemność.

- Martwimy się o nią. Jak myślisz, gdzie ona może być?

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

- W poniedziałek była z dziewczyną o imieniu Emily. Wtedy, gdy miała kłopoty. Sądźmy, że mogły razem wyjechać. Znasz te Emily?

- Emily? Nie. Nie miała żadnej koleżanki o imieniu Emily, w każdym razie ja nie słyszałam.

- Ona mieszka w przyczepie w Oakton.

Amy potrząsnęła głową.

- Nie mówiła o jakichś miejscach, dokąd chciałaby pojechać? - spytała Bett.

- Nie wiem. Czasem o Kalifornii. San Francisco.

- Ostatnio?

- Nie - przyznała dziewczyna.

- A może o kims, z kim chciała wyjechać?

- Słuchajcie - Amy rozszalała się nagle. - Rece mi się trzęsa. Jutro mam klasówkę. Jak, do cholery, mam się uczyć? Nie mogę zaważyć historii. Ona wiedziała, że muszę dostać dobry. Dlatego to zrobiła!

Amy otworzyła torebkę, wyjęła kosmetyki, podeszła do lustra i zaczęła poprawiać makijaż.

- Może martwiła się czymś?

- Byłam jej przyjaciółką! Dlaczego mi to zrobiła? Nigdy nie myśli o innych, tylko o sobie.

- Proszę, Amy - łaski się Tate. - Martwiła się czymś?

- Bobbym. - Spojrzała na nich podejrzliwie. - To był jej chłopak.

- Wiemy.

- Zerwanie z nim było dla niej trudne.

- Coś jeszcze? Proszę.

- No - mruknęła dziewczyna. - Ciężko przeżyła Annie.

- Kogo?

- Te dziewczynę, która popełniła samobójstwo. Annie Devoe.

Tate potrząsnął głową. Bett pamiętała tę sprawę i opowiedziała Tate'owi o córce członka parlamentu stanowego, dziewczynie, która utopiła się w marcu.

- Były przyjaciółkami?

- Niezupełnie. Annie wszyscy lubili. Nikt nie przypuszczał, że mogłaby się zabić. To było

absolutnie niesamowite.

- Moglibysmy zobaczyc ten list? - spytal Tate.

- Nie.

- To bardzo wazne - odpowiedzial Tate.

- Nie! To prywatny list.

Bett poruszyla sie niespokojnie, jakby zamierzala sie odezwac. Ale Tate znow potrzasnal niemal niezauwazalnie glowa.

Wymysl, dlaczego to konieczne, myslal Tate negocjator. Wymysl potrzebe i podsun jej.

- Amy - powiedzial z naciskiem Tate. - My tez dostalismy listy od Megan i jestesmy na nia dosc wkurzeni. Tez mamy jej sporo do powiedzenia. Zupelnie jak ty. Ale najpierw musimy ja znalezc.

- Nie obchodzi mnie, co sie z nia stalo - odparla, ale ogien jej gniewu przygasal.

- Jest twoja przyjaciolka.

- Nie po tym, co napisala. Juz nie.

- A co napisala?

Odwrocila sie ku nim na piecie.

- Klamstwa! - Wydela dziecinna buzie.

- Prosze, pokaz nam to.

- O, niech to. Prosze.

Rzucila list na stol i odwrocila sie z powrotem do lustra.

Tate przebiegl list wzrokiem:

Nie moge po prostu uwierzyc, ze moglas dobrac sie do Steviego wlasnie tak i nie zapytac mnie, czy miedzy mna i Steviem cos jest. Co za cholernie kurewskie postepowanie! Jakbys wbila mi noz w plecy...

Podsunal kartke Bett, zeby tez mogla przeczytac.

Ale nigdy nie wybacze ci, ze nie zadzwonilas do mojej mamy w poniedzialek, kiedy nie przyszlam, choc sie umowilam. Moze pieprzylicie sie ze Steviem, gdy ja bylam na wiezy? Nawet o mnie nie zapytalas. Moglam zostac zgwalcona, zabita, a ciebie to nic nie obchodzilo. Nienawidze cie i nie chce cie juz nigdy widziec.

Tate poczul wspolczucie dla dziewczyny. Poniewaz slowa Megan to nie byly klamstwa. Klamstwa mozna zniesc, oszustwo to lekki grzech. Nie umiemy sie broniec przed prawda rzucona nam w twarz.

Niewygodne dziecko...

- Nic nie zrobilam! - krzyknela z wsciekloscia Amy.

- Nikt nie twierdzi, ze zrobilas, kochanie.

- Przyjaznilysmy sie. Nie miala wielu przyjaciol. Byla typem samotnika. Tak jak ja. Trzymalysmy sie we dwie przeciwko calej reszcie. Ma sie tylko przyjaciolki. Chlopcy przespia sie z toba i odchodza. Rodzice rozwodza sie i wyjezdza. Powinna pielegnowac nasza przyjazn.

- Czy wspominala kiedykolwiek o facecie, ktory by sie za nia wloczyl? Starszym mezczyznie?

Po policzkach Amy plynely lzy. Gniew wyparowal.

- Nie umawialysmy sie, ze ona przyjdzie wtedy, gdy sie upila. Tak, Stevie przyszedl. Ale my nigdy nie planowalysmy. To bylo tak: moze zadzwonie, moze nie. Naprawde.

- Amy...

- Nie jestem jej siostra. Zapomnialam o jednym cholernym telefonie. Dlaczego to ma byc az taka wielka sprawa?

- Znajdziemy ja, Amy - powiedzial Tate. - Porozmawiasz z nia. Wszystko bedzie dobrze.

Ale dziewczyna odwrocila sie juz do lustra. Czerwone dlonie oparla o polke.

- Wszystko zepsute! Zepsute! - Tate nie potrafil powiedziec, czy chodzilo o Megan, czy o makijaz.

Idac do samochodu, Tate poczul podniecenie. Jak na polowaniu. Wracal do przeszlosci - wczesnych etapow postepowania w sprawie kryminalnej, dochodzenia, odkrywania faktow. Humor zdecydowanie mu sie poprawil. Byla piata. Postanowil zaprosic Bett do Starbucks na cafe mocca lub espresso.

Odwrocil sie do niej i juz mial sie odezwac, ale napotkal lodowate spojrzenie.

- Co sie stalo? - zapytal.

- Jesli chcesz, zebym sie nie odzywala, to z laski swojej popros mnie o to. Albo przynajmniej uprzedz. Moze niektore z twoich mlodych przyjaciolek reaguja na komendy jak psy, ale ja nie jestem tak wytresowana.

- Nie zamierzalem...

- Ale udalo ci sie - odpowiedziala tonem nieznoszacym sprzeciwu. - Kazales mi sie zamknac trzy razy. Dwa pierwsze odpuscilam. W barze i u Bobby'ego Carsona. Uciszales mnie reka.

- Nie zamierzalem...

- Tak samo robiles, gdy bylismy malzenstwem. Przypominalo mi to te protekcyjnalna postawe twojego dziadka wobec jego zony.

- Sedzia? I moja babka? On nigdy...

- Wrecz przeciwnie. Ty po prostu tego nie zauwazales. Zawsze chcialam jej to powiedziec. Powinnam. Powinnam takze cos powiedziec tobie.

Wsiadla i zatrzasnela drzwiczki.

Tate po chwili siadl obok niej. No tak, to jest nowa Bett McCall. Przez wszystkie lata ich malzenstwa nigdy mu sie nie odgryzla, nigdy go nie poprawila, nigdy sie nie poskarzyla. Poczul dziwne uklucie, a kiedy fala gniewu szybko minela, odezwal sie:

- No coz, przepraszam.

- Przeprosiny przyjete - odparla niedbale.

Jechali w milczeniu az do 7-Eleven.

- Moglbys sie zatrzymac? - poprosila Bett.

Zerknal na nia szybko, myslac, ze nadal jest wsciekla, chce wysiasc i zawolac taksowke. Ale nie. Najwyrazniej mu przebaczyła.

- Pomyslalam, ze warto by odsluchac twoja sekretarke.

Skinal glowa. Zapytal, czy odsluchaja rowniez jej sekretarke. Wskazala na pager i wyjasnila, ze gdyby Megan chciala sie skontaktowac, zadzwonilaby najpierw pod ten numer. Dziewczyna wiedziala, ze to jedyny pewny sposob szybkiego zlapania zapracowanej matki.

Tate zjechal na parking i podszedl do telefonu.

Wrocil do samochodu.

- Nic od Joshuy, Konniego i Carsona. Ale bylo jedno nagranie. Nie zgadniesz, kto dzwonil.

- Kto?

- Ten doktor Peters. Mowi, ze martwi sie o Megan i o nas, i pyta, czy nie wpadlibysmy porozmawiac o tym, co sie stalo. Bedzie w gabinecie za jakies czterdzieci minut.

- To mile z jego strony - powiedziała Bett, śmiejąc się zaskoczona. - Większość ludzi nie zadaje sobie nawet trudu, żeby zapytać, jak leci.

Rozdział 17

Kim on jest? Kim?

Megan unosiła się nad czarnym oceanem, a w jej myślach powracało to jedno, jedyne pytanie. Otworzyła oczy i chwyciła sznury, na których leżała. Pokój zakolysał się i zachwiał.

Była senna i kreciło jej się w głowie. W ustach czuła bolesną suchość, przymknięte powieki były napuchnięte. Przewróciła się na plecy, ocierając skórę o sznury, i rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Przegniła tapeta, odpadający tynk, szafa bez drzwi. Sufit popekany, zwisające płyty tynku. Smród pleśni i... czegoś obrzydliwego. Co to było? Mieso. Gnijące.

Podniosła się szybko i poszukała światła. Nie znalazła. Pokój był ciemny, a niebo zasłane chmurami. Późne popołudnie albo wczesny ranek, nie miała pewności. Przez moment słodki zapach przytłumił smród, zerknęła więc na stolik przy łóżku. Biały kwiat... Tak, kwiat lilii. Podniosła go i wciągnęła zapach do płuc. Był znajomy... Pamiętała, że ktoś dał jej kiedyś taki. On? Peters, doktor Peters?

Nie, inne nazwisko. Jakie? Jak on sam siebie nazywał? Matthew...

Nie, Aaron Matthews.

Kim on jest?

I czego chce?

Cisze rozdarł ryk, świat przed oczami Megan roztrzaskał się na czarne kawałki; dziewczyna opadła z powrotem na łóżko i zemdlała.

Jakis czas później znów otworzyła oczy, zdołała usiąść, odczekała, aż mina mdłości, po czym pokustykała do małej łazienki. Usiadła na muszli klozetowej, rozsunęła nogi i w końcu odwążyła się zbadać. Nic jej nie boleło. Westchnęła z ulgą, zrobiła siusiu, umyła ręce i twarz w umywalce, strzasnęła wodą z raku - ręczników nie było. Napila się lodowatej wody. Podnosząc się, dostrzegła własne odbicie w metalowym lustrze przybitym do ściany. Jęknęła na widok bladej, wyniszczonej twarzy, potarganych włosów i czerwonych, zapuchniętych oczu. Zezłoscil ją strach malujący się na

twarzy, dlatego szybko odwróciła się od lustra.

Poszukiwała ubrań. Nic. Nie znalazła też niczego, w co mogłaby się owinąć. Brakowało przescieradeł czy zasłon. Gdy na całym ciele ujrzała czerwone odciski od sznurów łożka, zaczęła płakać. Zwinęła się w kłębek i lkała, myśląc o mamie i tacie.

Zastanawiała się, jak długo była nieprzytomna. Dzień, tydzień? Nie była bardzo głodna, nie musiała błyskawicznie iść do toalety, toteż uznała, że wciąż jest środa. Tuz przed zmierzchem.

Czy ktoś jej szuka?

Czy ktoś wie, że zniknęła?

Rodzice, rzecz jasna. Nie przyjechała na lunch.

I Joshua też. Miała do niego zadzwonić w sprawie kolacji. Ale wcześniej dała mu kosza. Może więc pomyśli, że po prostu była sobą, że świadomie zmieniła zdanie.

Och, Joshua...

Nagle poczuła rozpaczliwą tęsknotę. Była na niego tak wkurzona, gdy z nią zerwał, że nie chciała go już nigdy widzieć. Pamiętała, jak z wściekłością wymazała tę zabawną odpowiedź, którą nagrała na jej sekretarce. Potrzebowała sześciu wypełnionych bólem miesięcy, żeby dać sobie z nim spokój. Pamiętała, jak niechętnie przyjęła propozycję spotkania się z Bobbym, po to tylko, żeby łatwiej zapomnieć o Joshu. Przypomniła sobie radość, gdy w zeszłym tygodniu zadzwonił. Jak walczyła ze sobą, żeby zachować spokój. Może chciał, żeby po prostu zostali przyjaciółmi? A może była jakaś szansa na coś więcej? Może wreszcie znalazł w sobie dość ikry, by powiedzieć tej wiedźmie, swojej matce, żeby się odchrzanila? Powiedzieć jej, że będzie znowu chodził z Megan, i tyle.

Stanawszy przy łożku, wyjrzała przez pozbawione zasłon okno na podwórze - wielkie pole wysokiej trawy i chwastów. Mnóstwo ściętych drzew wałowało się i prochniało. Pośrodku pola znajdowała się zniszczona estrada, jakies dwadzieścia na dwadzieścia stop, zwrócona ku polanie między drzewami.

Cofnęła się przerażona, gdy potworny czarno-brazowy pies przebiegł pod oknem i zatrzymał się, wpatrując w nią. Z jego pyska zwisał kawał zakrwawionego mięsa, czerwony niczym strzep rozdartego mięśnia. Oczy zwierzęcia były niesamowicie - zbyt ludzkie - i zdawały się ją rozpoznawać. Nagle pies zamarł, obrócił się i zniknął. Wpatrywała się w dal, ale nie widziała go. Zastanawiała się, czy nie był przywidzeniem.

Przyjrzała się dokładnie oknu. Na zewnątrz znajdowały się żelazne kraty, tak gęste, że nie dałoby rady się przecisnąć.

Sfrustrowana cisnęła krzesłem przez całą długość pokoju.

Kim on jest?

Megan podeszła do drzwi, chwyciła i pociągnęła mocno. Oczywiście zamknięte. Znowu lzy; potoczyły się na jej piersi o sutkach bolesnie sterczących od wilgoci i zimna, panującego w tym okropnym pokoju.

Usłyszała szuranie pod sufitem. Szczury, pomyślała. Spojrzała w górę i zobaczyła gromadę pajaków. Wielki czarny pajak najwyraźniej właśnie się rozmnożył. Co najmniej setka małych czarnych kropek jego potomstwa rozpełzała się po ścianie jak czarna woda.

- Nie! - krzyknęła przejęta odrazą, czuła, jak dostaje gęsiej skórki. Rzuciła się do drzwi, uderzyła w nie całym ciałem, upadła na pełną drzazg podłogę. Człgała się po brudnych deskach, odrywała te przegniłe, usiłowała znaleźć jakieś słabe miejsce. Wprawdzie była już prawie dorosła, ale często chodziła boso; jej pięty i podeszwy stop pokrywały żółtawe odciski. Usiadła na podłodze i spróbowała przebić się przez ścianę. Mury wprawdzie były nierówne i pochyle, ale również bardzo mocne. Pod podłogą szafy słyszała pusty pogłos, ale drewno okazało się zbyt grube, żeby się przez nie przebić.

No jasne. To przecież człowiek, który myśli o wszystkim. *Szczegóły*, Josh. Przemyslał wszystkie szczegóły.

Szalonej Megan znowu zbiera się na płacz.

Przez pół godziny ostukiwała sufit, ściany, podłogę. Wbiła sobie w palec twarda, drobna drzazga i z jakiegoś powodu ta ranka doprowadziła ją na skraj rozpacz. Zwinęła się w kłębek na łóżku, przybita, palec pulsował z bólu.

Po chwili zerknęła do łazienki, zmrużyła oczy i otarła łzy. Płyta o wymiarach mniej więcej dwanaście na osiemnaście cali była przybita do ściany obok toalety. I pomalowana z tuzin razy. *Co może się za nią znajdować?*

Weszła do środka, przykucnęła i przesunęła dłoń po krawędzi metalu. W narożnikach wyczuła trzy wcięcia i główki śruby. Gdyby zdołała zdrapać farbę, mogłaby pociągnąć płytę do góry i albo zgnać metal i odłamać go, albo wykrecić śrubę.

Ale emalia była gruba, kleista, a jej paznokcie za krótkie, by uchwycić krawędź płyty. Pomyślała o Amy i jej zabojujących pazurach. Takie by się jej teraz przydały.

Przeszukała jeszcze raz sypialnię, ale nie znalazła niczego, co mogłoby posłużyć za narzędzie. Westchnęła i wróciła do łazienki, położyła się na podłodze i opukała metalową płytę. Odpowiedziała głucho, kuszac obietnicą pustego szybu po drugiej stronie.

Zaczęła walić w nią pięściami, aż knykcie jej posiniały i spuchły. Odwróciła się i kopnęła pięta. Środek płyty wygiął się nieco, a na krawędzi pojawiło się cieniutkie pęknięcie, toteż kopnęła i kopnęła, aż do chwili gdy stopa niemal jej pękła.

Odwróciła się znowu i spróbowała chwycić krawędź płyty krótkimi paznokciami, desperacko wbijając je w emalię. Nie były dość długie, żeby zaczepić o pęknięcie, dlatego Megan zawyla z

rozpaczy i rzuciła się do przodu, przycisnęła twarz do ściany i usiłowała wbici zęby w szczelinę.

Dziasło pękło na szorstkiej farbie i gipsie. Szczeka eksplodowała bólem, usta zalała krew. I nagle z lekkim trzaskiem jej przedni ząb wsunął się w szczelinę i odciągnął trochę płyty od ściany. Megan odchyliła się, ujęła twarz w dłonie i wypłula krew. Po czym chwyciła płytę i szarpnęła z taką wściekłością, że metal poddał się natychmiast, wyrwijąc śrubę ze ściany. Megan potoczyła się do tyłu.

Usiadła i gdy zobaczyła światło, krzyknęła z radości. Wsunęła głowę w otwór i zajrzała do sąsiedniego pomieszczenia. Płyta najwyraźniej zakrywała dawny szyb doprowadzający gorące powietrze. Po drugiej stronie znajdowała się cienka kratka, która bez trudu wykopała. Kratka upadła na podłogę z brzękiem. Megan zamarła. Cicho, upomniała się.

Wsunęła się głową do przodu w otwór. Była szeroka w ramionach, ale w końcu zdołała się precyzować. Musiała sięgnąć ręką, drapać ramię, i osłonić piersi, żeby nie poranić ich o ostrą krawędź szybu. Posuwała się cał po cał. W końcu wysunęła głowę i przyjrzała się pomieszczeniu po drugiej stronie. Kraty w oknie. Ale drzwi nieco uchylone. A za nimi ciemny korytarz.

Przesunęła się do przodu, sześć cali, osiem i wreszcie...

Biodra. Zaklinowała się.

Bez trudu przycisnęła je przez otwór w łazience, ale wylot szybu po drugiej stronie był nieco węższy. Próbowала wciągnąć się, napiąć mięśnie, liznąć palce i zwilżać skórę śliną, ale wciąż nie mogła się ruszyć - utknęła w połowie drogi między pomieszczeniami.

Nie ma mowy, pomyślała. Nie będę tu tkwić. Poczula straszliwy napad klaustrofobii. Zwalczyła go, poruszyła się lekko i przesunęła może o cal do przodu, zanim ponownie zamarła, gdy usłyszała pisk i skrobanie pazurów.

O Boże, nie.

Serce waliło jej, jakby miało wyskoczyć z piersi.

Znowu pisk.

Tuż nad miejscem, w którym utknęła. Wyglądało na to, że szczury są dwa. A potem nadbiegło ich więcej: zbierały się w miejscu, gdzie ściana łączyła się z sufitem. Pewnie z tuzin.

Megan się rozplakała. Dźwięk małych czarnych stóp biegnących po kamieniu. Stłumiła krzyk, gdy coś - kawałek izolacji lub drewna - musnęło jej skórę.

Piski przybierały na sile. Zwierzeta gromadziły się tuż nad nią, ciekawskie i głodne. Pomyślała o małych pajakach. Setki okropnych stworzeń zmierzających ku jej unieruchomionemu ciału powoli, ostrożnie, ale nieodwołalnie.

Następne szczury.

Piski i tupot, coraz bliżej. Bada ze dwa tuziny. Wyobrazila sobie ostre jak szpilki zolte zebv.

Bliżej i bliżej. Przyciagal je zapach. W lazience nie bylo papieru toaletowego, totez nie podtarla sie po zrobieniu siusu, a kilka dni temu skonczyl sie jej okres. Wyczuwaly krew.

Popedza dokladnie w jej kierunku. Zaczna sie wgryzac...

Zamknela oczy i lkala przerazona. Wydawalo sie, ze cala sciana sie rusza. Dziesiatki, setki szczurow zmierzajacych ku niej. Coraz bliżej i bliżej.

Pi pi pi. Pi pi pi.

Megan wpila sie palcami w sciane i pociagnela z calej sily, rozpaczliwie kopiac nogami. Jeden ze szczurow z odglosem przypominajacym wiertlo dentystyczne skoczyl prosto na jej pupe. Krzyknela i poczula, ze serce jej zamiera ze strachu. Uderzala w sciane, wijac sie wsciekle. Zaskoczone zwierzv zeskoczylo, a ona poczula zeslizgujacy sie po jej udach ogon.

- Och - zakrztusila sie. - Nie...

Gdy walila piesciami w sciane obok siebie, a nogami kopala w podloge lazienki, kolejne zwierzv wyciagnelo ostroznie lapke i zeskoczylo na jej krzyz. Ten szczur byl odwazniejszy: jej rozpaczliwe ruchy wcale go nie wystraszyly. Poczula cztery lapy. Zaczely sie ruszac. Mokry nos i wasy dotknelv jej chlodnego ciala, gdy stworzenie weszylo w poszukiwaniu drogi w dol bioder i ku kroczu, wczepiajac sie bolesnie pazurkami.

Poruszyla obolalymi rekami i w tej samej chwili stopa znalazla oparcie na brzegu toalety w lazience, i Megan zdolala ruszyc sie jakies dwa, trzy cale do przodu. Wystarczylo, zeby uwolnic biodra. Szczur zeskoczyl, a Megan wpadla do sasiedniego pomieszczenia. Odczolgala sie jak najszybciej do przeciwnleglego kata, a cztery szczury wyskoczyly i znikly w uchylonych drzwiach.

Skulila sie, dyszac, obmacujac sie jak szalona, zeby miec pewnosc, ze nie uczepilo sie jej zadne zwierzv. Po pieciu minutach sie uspokoila. Powoli zblizyla sie do szybu i nasluchiwala. Tupot i popiskiwanie. Zamknela wylot szybu kratka. Reszta szczurow zniknela w gorze. Z dziury dobiegl gniewny syk.

O Boze...

Upadla na ziemie, usilujac odepchnac od siebie okropne wspomnienie obmacujacych ja drobnych pazurkow, brudnych i wilgotnych.

Megan rozejrzala sie po pokoju i dostrzegla w kacie sterte starych, pozolklych gazet. Przez pietnascie minut rolowala je i przywoływala odwage, zeby poutykac je wokol otworu. Potem, poslugujac sie krata jak strugiem, obskrobala gipsowe krawedzie szybu, poszerzajac go o cal lub dwa. Zdmuchnela gipsowy pyl.

Upadla na ziemie, drzac z wyczerpania niczym ogluszony ptak. Gdy przygladala sie scianom, jej uwage przyciagnela czarno-biala amatorska fotografia wiszaca obok krucyfiksuv. Wstala i nie

spuszczając oczu ze szczerzej dziury, podeszła do zdjęcia, które przedstawiało dwóch mężczyzn stojących na niskiej estradzie - zapewne tej na podwórzu. Obaj mieli na sobie ciemne garnitury i wąskie czarne krawaty. Jednym z nich był Matthews, drugi wyglądał na starszego o jakieś trzydzieści lat. Matthews stał z przodu ze wzniesionymi rękami, jakby miał wygłosić mowę. Drugi mężczyzna siedział za nim i wpatrywał się biernie w obiektyw.

Zdjęła ramkę ze ściany i wyciągnęła zdjęcie. Z tyłu znalazła napis: *Dla Prawdziwie WIELEBNYCH Jamesa i Aarona Matthewsów. Niech WAS Bog błogosławi, ponieważ to dzięki WAM ujrzelismy Światło!*

Pod spodem nabazgrany podpis.

A więc to miejsce to kościół. A Matthews jest pastorem?

Pastor mnie porwał?

Wrocila pamięć do sesji, tuż przed tym, jak straciła przytomność. Powiedział: „Bóg przysłał cię do mnie”. I ten hymn. Śpiewał stary hymn.

A James to pewnie jego ojciec. Megan wpatrywała się w podobną do czaszki głowę starca, który, jak uznała, był nie tyle bierny, ile szalony. Wzdrygnęła się i powiesiła zdjęcie z powrotem. Oparła się głową o ścianę, usiłując powstrzymać łzy.

Nie, nie. Pozbieraj się. Kontroluj się. Kontroluj się!

Szalona Megan wpakowała się w niezłe szambo. Teraz trzeba się z niego wydostać.

Wstała i wyrzwała na mroczny korytarz. Słabe, zamglone światło zmierzchu wpadało przez zakratowane i zasłonięte okiennicami szyby. Podeszła do jednego z okien i spróbowała oderwać kratę, ale mocno siedziała w ścianie. Spróbowała z innymi. To samo.

Megan zatrzymywała się co kilka kroków i nasłuchiwała, ale nie dobiegały żadne głosy. W jednym końcu korytarza znajdowało się spore pomieszczenie - coś jakby salon. Ciemna, śmierdząca stęchlizna jama. Zakrztusiła się pełnym kurzu powietrzem. Ściany wykonano z nagiego drewna, podłoga z nieheblowanych desek, na których leżały strzępy dywanu. Powietrze było wilgotne, ciężkie i coraz chłodniejsze. Gardło scisnęło się jej bezwiednie, gdy poczuła odor gnijącego mięsa. I jeszcze jakiś zapach. Przypominał jej dom pogrzebowy, w którym mazał ciotki Susan spoczywał przed pogrzebem. Ten sam aromat: słodki jak jabłko, obrzydliwy jak zepsute jajko.

Po jednej stronie budynku znalazła kuchnię i jadalnię, w drugą stronę odchodziły dwa długie korytarze. Ciągnęły się esowato przez sto stop, ale większość drzwi była zamknięta naглуcho. W niezamkniętych pokojach były zakratowane okna, a z niektórych przejść dochodziło skrzypienie i kapanie wody.

Kościół i więzienie, pomyślała bezradnie.

Megan straciła cierpliwość do dalszych poszukiwań w tym miejscu i wrocila do salonu, by

przyjrzec się solidnym kratom zamykającym okna i drzwiom zaryglowanym na potężne zamki. Pomieszczenie to było równie zaniedbane jak sypialnia. Kawalki dywanu wyblakły na słońcu, inne zachowały pierwotny kolor - tak jakby przez lata leżał na nich gruz, który dopiero co został uprzatniony. Ściany były poplamione i pokryte pleśnią. Pekniecia w drewnie zalatano smugami niewygladzonego gipsu. Tynk i przegniła tapeta zachowały upiorne kształty zabranych stąd obrazów. Wszędzie czuć było odor odchodów zwierzęcych, rozkładu, pleśni i brudu.

W każdym pomieszczeniu co najmniej na jednej ścianie wisiał krucyfiks.

Przeszukała dokładnie kuchnię, ale nie znalazła noży ani innej broni. Żadnych narzędzi oprócz nietkniętego pudełka plastikowych noży, widelców i łyżek. Zrezygnowana wrzuciła je z powrotem do szafki.

Krótki korytarzyk prowadził do tylnych drzwi. Zatrzymała się przy nich. Gdy wyciągnęła rękę ku klamce, usłyszała szum elektryczności. Od klamki i zawiasów do sufitu biegły kable. Przewody elektryczne. Klamka była podłączona do prądu. Szum był głośny.

On myśli o wszystkim.

Przez szparę w drzwiach dostrzegła garaż. Był pusty.

Uznawszy, że Matthews wyjechał, nabrała odwagi i wróciła do korytarza prowadzącego do jej pokoju. Minęła go i przeszła następne pięćdziesiąt stop do miejsca, gdzie natknęła się na szerokie kamienne schody wiodące do podziemi.

U stop schodów pod lukowatym sklepieniem znajdowały się drzwi z grubego drewna. Wysokie na prawie dziesięć stop. Popchnęła je. Otworzyły się ze skrzypnięciem i Megan znalazła się w kaplicy.

Była wielka jak cały dom jej matki. Przed stojącym na podwyższeniu ołtarzem ustawiono dziesiątki ławek. Megan rzadko bywała w kościele. Bett twierdziła, że wierzy w Boga, ale zbyt często była atakowana przez widmo katolicyzmu, żeby myśleć o przystąpieniu do jakiegoś kościoła. Gdy Megan w wieku pięciu albo sześciu lat była u Tate'a na Wigilii, zapytała ojca o Boga, a on wygłosił chaotyczną mowę o Wielkim Duchu. Słuchała, popijając ajerkoniak, nie rozumiejąc ani słowa, aż wreszcie przerwała mu pytaniem:

- Czy Bóg istnieje?

Zamrugła oczami.

- Tak - odpowiedział i zabrał ją na pasterkę.

Megan zbliżała się teraz powoli do ołtarza, czuła tylko chłodny beton pod bosymi stopami i przeraźliwy strach. Czy zdoła stąd uciec? Ale tu nie było drzwi, a jedyne okna okazały się witrażami zawieszonymi na grubych kamiennych ścianach.

Spojrzała na ołtarz. Ciemne drewno, ozdobione prymitywnymi malunkami przedstawiającymi ludzi w długich szatach - może jakichś świętych, Jezusa, Mojżesza. Kto wie? Przypominały ten chory

obraz, który Matthews postawił przed nią w furgonetce - ciała postaci były prawie normalne, ale twarze powykrzywiane.

Kolejne korytarze prowadziły dalej pod ziemię. Weszła w jeden z nich i usłyszała kapanie wody, tupot kolejnych szczurow, jęk wiatru.

Wariuje. Calkowicie, kurwa, wariuje. Zdusiła łzy i obejrzała pomieszczenie, szukając drogi ucieczki.

Nic. Absolutnie nic.

Zamierzała wyjść, gdy za ołtarzem dostrzegła niewielki ruch.

Podeszła ostrożnie. Ciemnoczerwona draperia zakrywająca tylną ścianę poruszała się jakby na lekkim wietrze.

Powoli przeszła za ołtarz i chwyciła zasłone. Odciągnęła ją w bok. Drzwi! Nad progiem poczuła ruch powietrza.

Blagam, powiedziała w duchu. Po czym ujęła klamkę oburącz i pociągnęła z całej siły.

Zaryglowane. Na amen.

Uderzyła ramieniem w drzwi. I jeszcze raz. I jeszcze. Na nic. Debowe drzwi ani drgnęły. Megan obmacala całą ścianę, szukając słabych miejsc. Ściana wyglądała na niedawno wzniesioną - znowu była jakaś robota, ale tym razem użyto zwykłych płyt gipsowych. Wiedziała, że są słabe, ale po dziesięciu kopniakach stało się jasne, że ściana nie podda się jej nagiej stopie.

Megan zamrugła oczami, odpedzając łzy, i pochyliła się, by zajrzeć przez szparę pod drzwiami. Zobaczyła niewielki pokój i najwyraźniej następny zaraz za nim - spod kolejnych drzwi dochodziło bowiem słabe światło. *Też mogą być zamknięte, pewnie, ale skoro te są, to tamte może nie.*

W tej chwili usłyszała szuranie.

Odwrocila się i poczuła, że gardło zaciska jej się ze strachu, a płuca wypełnił znowu ohydny smród tego miejsca. Kroki, powłóczące kroki. I cichy charkot jak uderzenia kruchych skrzydeł. Ktoś zbliżał się do kaplicy. Stuk, stuk, stuk - niczym ślepiec z laską.

Odskoczyła od ołtarza i skuliła się pod ławką. Przykryła głowę. Zimny beton wbijał się w odkryte piersi i brzuch, aż o mało co nie jęknęła z bólu.

Cicho. On prawie tu jest.

Szur, stuk. Szur, stuk.

Coraz bliżej.

Sprawiał wrażenie bardzo starego - te kroki, swiszczący oddech.

Bala się zamknąć oczy, bala się trzymać je otwarte. Poczula, że wszedł do kaplicy i zawahał się. Drzwi zaskrzypiały. A może to jęk wiatru? Nie potrafiła powiedzieć.

Przybliżał się. Szur, stuk. Spod ławki nie widziała nic poza starymi zniszczonymi spodniami i skarpetkami poplamionymi moczem - tak to w każdym razie wyglądało - żółtymi i podartymi. Musiał być stary - szedł sztywno i rzeczywiście miał łaskę. Megan omal nie krzyknęła, gdy ją zobaczyła - łaska przypominała długą pozolną kość, kość z nogi zwierzęcia, popekana i zaostrzona na końcu.

Czy to ojciec Matthews'a? Megan wyobraziła sobie starego człowieka ze zdjęcia. Poczula ulgę i zaczęła wychodzić ze swojej kryjówki. Ten człowiek jej pomoże. Odda jej ubranie, uspokoi ją, zapewni, że jego syn jest nieszkodliwy - chory, tak, potrzebuje pomocy, ale...

Nie, nie, nie...

Co ona wyprawia?

Megan wczuwała się z powrotem pod ławkę i schowała głowę.

Jeśli starzec tu mieszka, to Matthews musiał mu o niej powiedzieć. Cholera, pewnie zostawił tu ojca, żeby jej pilnował.

Megan objęła kolana rękami, walczyć z panicznym strachem, nieodpartą chęcią, żeby krzyknąć, uciekać. Zadrzała i zacisnęła zęby, by nie zaczęły szczekać.

Starzec kustykał koło niej, chodząc tam i z powrotem po nawach.

Stuk, stuk, stuk.

Oczywiście niewykluczone, że Szalona Megan właśnie zwariowała na amen.

Może wcale nie ma żadnego starca. Wszystko jej się sni, wszystko jest uludą.

Nieziemski jęk wypełnił budynek.

To. Tylko. Pieprzony. Wiatr.

Zawył znowu, niczym zwierzę zwolujące stado. Nie było wątpliwości - to był głos.

Megan uderzyła głową o beton, rozległ się głuchy stuk. Zamarła, powstrzymując oddech. Dziesięć minut później - miała wrażenie, że godzin - uznała, że starzec sobie poszedł.

Wysunęła się spod ławki, podniosła powoli i rozejrzała. Nic. Pospieszyła ku drzwiom, które prowadziły na główny korytarz, i stanęła jak wryta.

Koło lukowatych drzwi dostrzegła starą drewnianą trumnę. Stała na stojaku za skrzydłem drzwi,

dlatego nie zauwazyła jej wcześniej. Była wykonana z ciemnego drewna, zniszczona i popekana. Pokrywa była zamknięta, ale na krawędzi zauwazyła zaschnięte plamy krwi i strzępy starego ciała.

Wokół trumny ciągnęły się ślady stop.

Nagich stop starca okrazającego trumne.

Co kryło jej wewnątrz?

Stłumiła krzyk, gdy jęk wiatru dobiegł ponownie z ciemnego korytarza po drugiej stronie kaplicy, jedyne korytarza, do którego nie odwazyła się wejść.

Tylko że teraz czuła w głębi duszy, że to nie wiatr. To znowu ten krzyk. Jęk gniewu i grozby.

Cicho: stukanie.

Coraz głośniejsze.

Megan wybiegła z kaplicy i popędziła schodami w korytarz, który wiodł do jej sypialni, a za sobą słyszała chrapliwy jęk starca i stukot jego dziwacznej laski.

Wbiegła do pokoju sąsiadującego z jej sypialnią i zaczęła przeciskać się przez szybę do łazienki. W połowie drogi usłyszała sobie, że jej pupa jest doskonale widoczna.

Pomocy. Tate, Bett... Mamo, prosze...

Brnęła do przodu, pochlipując. Piec cali, sześć, stopa, dwie. W końcu chwyciła muszlę klozetową i wysunęła się z szyby, a następnie umieściła metalową płytę na miejscu.

Nasłuchiwała.

Stukot przybliżał się i przybliżał, po czym się oddalił. Usiadła na lodowatej podłodze, przyciskając płytę rękami, aż całkiem zdrtwiła. Potem zwinęła się na podłodze i rozplakana, modliła się o to, żeby miłosierny anioł śmierci przyszedł do niej we śnie, dotknął jej czoła i zaniósł ją na wieki w czarną spokojną noc.

Rozdział 18

Czekał na nich w słabo oświetlonym gabinecie. Była szosta po południu tego dnia, w którym wszedł w posiadanie przedmiotu swego pozadania.

Aaron Matthews, znany również jako doktor James Peters, usiadł i przyglądał się regalom, zastanawiając się nad zadziwiająca droga, która przebył, by zostać psychoterapeuta.

Uciekł z Katedry wśród Sosen po dziesięciu latach nauczania - wraz z kobietą, która została jego żoną - i osiedlił się niedaleko Waszyngtonu. Zaczął pracować jako programista komputerowy (spokojna robota; pracował samotnie i brał nocne dyżury, kiedy tylko się dało) i przez jakiś czas dawał sobie nieźle radę.

A potem pojawiły się pierwsze objawy. Bezsenność, dezorientacja, omamy.

I złość. Zadziwiająca wściekłość. Dostawał napadów szału i zanim się zorientował, co się dzieje, na podłodze leżały dziesiątki potłuczonych naczyń, a żona i syn albo koledzy z pracy patrzyli na niego przestraszeni i zdumieni.

Stracił pracę, stał się drażliwy i wredny, nie potrafił obcować z ludźmi. Żona zaczęła spędzać coraz więcej czasu poza domem, aż wreszcie odeszła od niego. Tylko syn, któremu brakowało pewności jak wszystkim dzieciom i który potrzebował opieki, dotrzymywał mu towarzystwa.

Rozpoczął cotygodniowe, a potem codzienne sesje terapeutyczne, wpadając w bagno klasycznej freudowskiej i jungowskiej psychoanalizy. Jego wynurzenia na kozetkach fascynowały lekarzy; były tak przepelnione archetypowymi wyobrazeniami, podawanymi jego najlepszym kaznodziejskim barytonem, że często przedłużali sesje, byle tylko móc go słuchać. Gdy stan Matthews'a się nie poprawił, wsadzili go w końcu na osiemnastym miesiącu do Szpitala Psychiatrycznego im. Lee w Fairfax.

Przede wszystkim patrz w oczy, dowiedział się Matthews w młodości. A potem słuchaj.

Dobry kaznodzieja musi nauczyć się słuchać. Nigdy nie wygłaszał kazań w gabinetach doktorów Crowna, Sadlera i Bellamy'ego, ale uważnie słuchał lekarzy. Uczył się, jakim oni są typem kaznodziejów. W pokoju leżał nieruchomo w łóżku, a kroplówka dozowała inhibitory MOA, lit lub

thorazyne, lub dreczylo go uczucie mrowienia, ktore zawsze przychodzi po elektrowstrzasach, i wtedy przetrwawial slowa lekarzy. Sluchal rowniez, gdy pacjenci na spacerze zbierali sie w grupy i rozmawiali o nim, tak jakby jego nie bylo, jakby unosil sie nad nimi niczym aniol, jakby byl kupa szalonego miesa.

A on zawsze sluchal.

I przechowywal w pamieci wszystko, co uslyszal od lekarzy (dobry kaznodzieja musi wyksztalcic znakomita pamiec: pamietac, kto sposrod zgromadzonych grzeszyl, czym, jak czesto i - przede wszystkim - ile zamierza zaplacic za odkupienie).

Podczas tych godzin spedzanych u terapeutow Matthews mial wrazenie, ze naprawde rownolegle odbywaja sie dwie sesje: jedna miedzy lekarzem a nim oraz druga - prawdziwa - miedzy dwoma Aaronami Matthewsami.

- Powiedzmy, ze jestes swiadkiem katastrofy lotniczej albo wypadku samochodowego - mowil lekarz. - Jak zareagujesz?

- To zbyt przerazajace, zeby wyrazic to slowami. - Krzywil sie. A rownoczesnie wyobrazal sobie, jak chodzi od ciala do ciala, z radoscia wycinajac jezyki ofiarom.

- Co sadzisz o swoim ojcu?

- To porzadny czlowiek. Troche trudny, ale porzadny. Sol ziemi w mlodosci. Zaluje, ze nie moglem zrobic wiecej, zeby mu pomoc. Starosc, rozumie pan.

- On zniknal, prawda? Po tym jak zaatakowal te dziewczyny i uciekl?

- Nigdy wiecej go nie widzialem. Modlilismy sie o jego zbawienie.

Tymczasem prawde chowal gleboko w duszy.

Coraz wiecej czasu spedzal w szpitalnej bibliotece, gdzie przeczytal od deski do deski trzecie wydanie „Kompedium diagnostyczno-statystyczne chorob psychicznych”, ktore pochlonelo go podobnie jak niegdys Biblia. Nastepnie przeszedl do „Psychopatologii zycia codziennego” Freuda. Przed wypisaniem pochlonal sporo ksiazek: „Antyspoleczne zachowania doroslych”, „Natura i wychowanie a ksztaltowanie sie umyslowosci przestepczej”, „Psychologia rozwojowa”, tom 5: „Patologia”, a takze „Problemy rozwojowe w wieku ksztaltowania intymnosci (9-11 lat)”.

- Powiedz mi, Aaronie - zwrocil sie raz do niego lekarz - co sadzisz o tym, ze ojciec zatrudnil cie w tym obozie odnowy religijnej?

Zniszczyl mnie, a nie zatrudnil, pomyslal chytrze Matthews, ale odpowiedzial inaczej.

- Mysle, ze dostrzegl moj talent i jestem mu za to bardzo wdzieczny.

- To bardzo dojrzala postawa, Aaronie. Nadzwyczaj dojrzala. To znak, ze jestes na najlepszej

drodze do wyzdrowienia.

- Nie trzeba dodawac, ze bylo mi bardzo ciezko dojsc do tego przekonania - dodal szczerze pacjent. - To bylo bardzo bolesne, jak pan z pewnoscia wie. - Do oczu naplynely mu lzy, co dla lekarza bylo dodatkowym dowodem na to, jak ciezkie przezycia mial za soba pacjent.

Pewnej nocy, wiedziony impulsem, wymknal sie ze slabo strzezonego szpitala i poderwal jakas kobiete w barze. Uwiodl ja, wykonal szybki numer i lezeli razem przez cala noc, rozmawiajac, rozmawiajac i rozmawiajac. Mowil swoim lagodnym barytonem i kierowal rozmowe na jej poczucie niepewnosci, leki i rozczarowania - a ona otworzyla sie przed nim bez zastrzezen, nie zdajac sobie sprawy z tego, ze pod pozorem pocieszenia podgrzewal te uczucia, przemienial je w niewybaczalny grzech, zwracal je przeciwko niej. Do rana zdolal ja przekonac, ze jest calkowicie bezwartosciowa. Dwie godziny pozniej policyjna grupa specjalizujaca sie w samobojstwach zdjela ja z mostu. Matthews byl niepoczyszony. Gdyby przyjechali piec minut pozniej, mogla stac sie jego pierwsza ofiara.

Aaron Matthews byl kaznodzieja duszy religijnej, a teraz stal sie kaznodzieja duszy swieckiej: psyche. Bog nie umarl, ale przeniosl swoja siedzibe z serca do umyslu. Tak wiec po wypisaniu ze szpitala Matthews zrobil to, co robia wszyscy wielcy amerykanscy przedsiebiorcy. Wywiesil szyld i kusil klientow.

Karany w roznych stanach grzywnami za wykonywanie praktyki bez zezwolenia, przenosil sie gdzie indziej i zaczynal od nowa. Fikcyjny doktor James Peters zawsze mial mnostwo pacjentow, poniewaz ludzie zrobia wszystko, zaplaca dowolna sume kazdemu, kto naprawde bedzie ich sluchal, kazdemu, kto bedzie do nich mowil, kazdemu, kto bedzie wyjasnial.

I pojda za toba, przekonanal sie Matthews, na krance ziemi.

Tego popoludnia siedzial oparty wygodnie w fotelu w swoim gabinecie, wpatrujac sie w regaly z ksiazkami i usilujac wybrac pomiedzy czwartym wydaniem „Kompedium diagnostyczno-statystycznym chorob psychicznych”, trzecim „Wielkiego podrecznika psychiatrii” a Biblia. Sciagnal wszystkie trzy z polki i zaczal czytac, obracajac w kieszeni noz myśliwski.

Czekal na nowych pacjentow.

- To miło z pana strony, że chciał się pan z nami spotkać.

Matthews skierowal wspolczujace spojrzenie na Tate'a Colliera.

- Mieli państwo jakies wieści od corki?

- Nie.

Matthews doznal dziwnego uczucia. Tate Collier goscil w jego myslach codziennie od lat. W podobny sposob geje mysla o AIDS, a ksieza o diable. A jednak gdy zobaczyl go w prostej bialej koszuli i ciemnych luznych spodniach, szczuplego mezczyzne nierozniacego sie znow tak bardzo od niego samego, uznal, ze to wcielenie nie odpowiada zlu gniezdzacemu sie w sercu tego czlowieka, a

zatem Matthews właściwie w ogóle nie był w stanie dostrzec Colliera.

Bett z kolei to zupełnie inna sprawa.

Przyglądał się jej dokładnie. A więc to jest Matka. Czarownica. Zaklinaczka z makijazem, młodymi narzeczonymi i kartami tarota. Niezbyt pewna siebie.

- Proszę usiąść.

Rozejrzała się po pokoju i wybrała krzesło najbliżej biurka Matthews'a.

- Co dokładnie powiedziała Megan, gdy do pana zadzwoniła, doktorze? - spytał zniechęca Collier. Ubiegł Matthews'a.

- Niewiele. Opowiedziała mi o wieży ciśnienia. Słuchałem uważnie, żeby w razie czego wychwycić każdy ślad tego, że usiłowała zrobić sobie krzywdę. Uznałem, że nic z tych rzeczy. Potem powiedziała, że musi na trochę wyjechać.

- Ale powiedziała, że umówi się na późniejszy termin, prawda? - spytał Tate Collier, złotousty diabeł, który nigdy nie rozmawiał z córką.

- Niezupełnie. Powiedziała, że jeśli wróci, to zadzwoni.

- Jeśli? - Bett wyglądała na przerażoną.

Collier okazał się zbyt stoikiem jak na gust Matthews'a, który chciał widzieć gwałtowną reakcję. Cierpia, owszem. Ale niewystarczająco.

- Powiedziała coś, co wskazywałoby na to, dokąd się wybiera?

- Nie - odparł. - Nic. Odniosłem tylko wrażenie, że to miało być daleko i że bardzo jej zależało na wyjeździe. Sprawiała wrażenie rozradowanej.

Bett wyraźnie zmarkotniała. Collier po prostu przyjął to do wiadomości i włożył informacje do odpowiedniej przegrodki. Aaron Matthews uznał, że nienawidzi go nieco bardziej.

Posłał Bett pełne smutku spojrzenie.

- To musi być dla państwa bardzo przygnębiające. Dziecko, które znika... tak niespodziewanie.

Przeniósł wzrok na twarz prawnika. To było niespodziewane, Collier? Możesz powiedzieć, że nie, ale przeszłość jest pierwszym szkicem teraźniejszości.

Matthews przesunął krzesło tak, żeby siedzieć dokładnie naprzeciwko Bett i w naturalny sposób spoglądać na nią.

- Coś wyczuwam - odezwał się po chwili. Bett wytrzymała jego spojrzenie przez chwilę, po czym

odwrocila wzrok. - Cos, czego panstwo mi nie wyjawili.

- Jest cos, co powinniśmy panu powiedziec. Dostalismy listy - wyznala Bett i opowiedziala niemal obojetnie o listach, ktore jej corka napisala w tym pokoju.

Collier rzucil ostrozne spojrzenie na swoja byla zone.

- Myslimy, ze ktos mogl pomoc jej napisac te listy - dodal. - Albo zachecic ja do tego. Ktos, kto chcial namowic ja do uciezki. Moze chcial, zeby spalila za soba mosty...

- On? Podejrzewacie kogos?

Collier wzruszyl ramionami.

- Po prostu mowie „on”. Nie jestem pewny. Byla ta kobieta, z ktora pila w poniedzialek wieczorem...

Zeby dodac rozmowie pikanterii, Matthews zapytal niewinnie:

- Czy corka panstwa jest lesbijka?

Bett sie nastroszyla.

- Oczywiscie, ze nie.

Ale na twarzach obojga odmalowala sie przez chwile niepewnosc.

Matthews zarzucil przyslowiowy haczyk.

- Coz, jestem pewny, ze jako rodzice znaja panstwo wszystkich przyjaciol, z ktorymi moglaby wybrac sie w podroz. Z pewnoscia znaja panstwo jej chlopakow, kolezanki, miejsca, gdzie bywa.

Poczucie winy odmalowalo sie glownie na twarzy Bett. Ku niezadowoleniu Matthews'a Collier pozostawal odporny na te slowa.

- Grupy rowiesnicze sa bardzo wazne w jej wieku. Zaczalbym od jej kolegow. Porozmawialbym z nimi. Przekonal sie, co wiedza.

- Juz to zrobilismy.

- I jakie rezultaty?

Bett spojrzala na swojego meza, czlowieka, ktory nie mial w domu ani jednej ksiazki dla dzieci.

- Wyglada na to, ze ktos w furgonetce prawdopodobnie albo jechal za nia, albo odjechal z nia.

Moze nie bylo az tak zle, jak sadzilem.

Matthews wyobraził sobie pięć rottweilerów pozerających młodego Murzyna. Udał zaniepokojenie.

- Czy ktoś widział kierowcę tej furgonetki?
- Nie.
- Zawiadomili państwo policję?
- Mamy przyjaciela w policji stanowej. Pracuje nad tym.

Matthews unosił brwi.

- Współpracuje z kimś z wydziału do spraw nieletnich. Jak się nazywa ten facet, do którego zawsze dzwonię? - Przerzucił kartki prawie pustego skorowidza.

- Pomaga nam detektyw Konstantinatis.

Pomaga nam. Interesujące. Zatem może to nie jest oficjalna sprawa. Matthews potrząsnął głową i dał spokój księżce adresowej. Zapamiętał nazwisko policjanta.

- To nie ten. Jest dobry?
- Najlepszy.
- Jest jeszcze jeden z jej... - Bett zawiesiła głos.
- Nauczyciel angielskiego - wtracił się Tate. - Rozmawia z jej kolegami z klasy.

Skąd to wahanie? - zastanawiał się Matthews.

- A nikt z jej przyjaciół?
- Mody człowiek, z którym kiedyś chodziła.

To będzie ten czarny dzieciuch. Martwy.

- No i my dwoje - dodał Collier.

Matthews rozważał te słowa. My dwoje. A zatem Collier wciąż myśli o nich jako o parze. Warto wiedzieć. Odchylił się w krzesle i skrzyżował palce.

- Mogę myśleć na głos?
- Proszę bardzo - powiedziała Bett.
- Będą państwo szczerzy?

- Oczywiście.

- Czy był jakiś wypadek w przeszłości? Gdy była mała. Miała może siedem, osiem lat. Coś, co mogło wywołać jej gniew?

- To nie jest gniew - zaprotestowała szybko Bett, podnosząc głos. - To niepodobne do niej. Nie.

- Niech pani pomyśli o tych listach. Mówię o gniewie, którego ona nawet pewnie sobie nie uświadamia. Doszło do jakiejś konfrontacji? Może kiedyś podsłuchiła jakąś rozmowę między państwem? - Pochylił głowę. - To mogło być bardzo dawno. Niech się państwo zastanowia. To może być ważne.

Ich pełne niepokoju oczy wpatrywały się przed siebie. Matthews pozwolił im przegryźć się przez to, po czym odezwał się znowu.

- Gniew... Ale na co? To mnie zastanawia. Albo na kogo? - Zwrócił się do Bett. - Ona mieszka z panią, prawda? Była pani kiedykolwiek świadkiem jakichś wybuchów złości, awantur?

- Nie.

Patrzył jej prosto w oczy.

- Jak pani się czuje?

- Bywało lepiej.

Na jego twarzy odmalowało się współczucie.

- Proszę mnie posłuchać. Muszą państwo chronić samych siebie. Są państwo w wyjątkowo trudnej sytuacji.

- Trudnej sytuacji.

- Nie można państwa winić - powiedział kojaco.

- To nie w porządku - powiedziała Bett, niemal się krztusząc.

Collier wysunął w jej kierunku rękę, ale odsunęła się. Niby przypadkowo, ale Aaron Matthews wiedział, że nie istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności.

- Och, to absolutnie nie w porządku - zgodził się Matthews. Po czym zwrócił się chłodno do Colliera: - Jak często pan się z nią widuje?

- Jestem bardzo zajęty. Mam farmę i kancelarię prawną w Prince William.

Popatrzył na Bett.

- Co kilka miesiecy - odpowiedziala. - Megan jezdzi tam na weekend.

Matthews skinal glowa. Gdy Bett sie odwrocila, pozwolil, by spostrzegla, ze podziwia jej cialo.

- Jakies wieksze zmiany w zyciu Megan? W ciagu ostatnich pieciu lat?

- Nie - Collier wzruszyl ramionami.

Matthews uniosl reke.

- Zmiany w zyciu kogos z panstwa? Nowy malzonek? Zmiana mieszkania? Zmiana pracy?

- Tate zmienil prace - odrzekla Bett. - Odszedl z biura prokuratora stanowego i otworzyl prywatna kancelarie.

- Ale - wtracil prawnik - to nie mialo nic wspolnego z Megan. Nie sadze, zeby wtedy o tym wiedziala.

- Powiedzial jej pan o zmianie pracy. - Matthews nie postawil pytania, ale stwierdzil fakt.

- Niezupelnie. Nie od razu.

- Mnie tez nie powiedzial - dodala Bett. - Zadzwonilam kiedys, zeby zmienic date odwiedzin Megan u niego i uslyszalam, ze juz tam nie pracuje.

Matthews spojrzal na Colliera z pewnym zdziwieniem, gdy ten sie odezwal:

- Zmeczyla mnie praktyka kryminalna. Chcialem czegos, co daje wieksza satysfakcje.

Alez to dla niego klopotliwe.

- Nikt nie wiedzial, dlaczego odszedl - dodala Bett.

- Wlasnie z tej przyczyny, ktora przed chwila podalem - padla pelna irytacji odpowiedz. - Zmeczyla mnie oskarzenia w sprawach kryminalnych.

- A malomiasteczkowa praktyka nie nudzi pana? - spytal Matthews.

- Mysle, ze oddalamy sie od tematu.

Collier byl teraz w defensywie. A Matthews z zadowoleniem stwierdzil, ze udalo mu sie zlozyc - w przekonaniu Bett - wine za znikniecie dziewczyny na barki meza, podczas gdy jej poczucie winy slablo. Och, jakze ona jest pazerna na aprobate, na glaskanie po slicznej glowce i zapewnienia, ze jest grzeczna dziewczynka. Ze jest piekna, ze ma twarz dwudziestopieciolatki. Starala sie dobrze wychowac corke, a jedynym powodem, dla ktorego siedzi teraz w tym gabinecie, a jej corka zniknela, jest maz, czlowiek, ktory oznajmil, ze dziewczynka stanowi przeszkode.

- Doktor twierdzi, że to ważne, Tate. Prawda, panie doktorze?

- Może być ważne - potaknął Matthews.

- Dlaczego? - spytał Collier.

- Wszelkie zmiany w życiu rodziców wpływają na dzieci w znacznie większym stopniu, niż jesteśmy skłonni przypuszczać.

Collier się zarumienił. Wcisnął się nieco głębiej w fotel - nieswiadoma oznaka poddania się, co wie każdy kandydat.

- Musimy liczyć się z dziećmi, podejmując wszelkie decyzje. Inaczej dzieci zaczynają uważać się za odrzucone. Widziałem to wielokrotnie. To wystarczy, żeby wypędzić dzieci z gniazda.

Collier zerknął na zegarek. Matthews zwrócił się do Bett.

- Ale jedno trzeba koniecznie zrozumieć dla własnego dobra: nie jesteśmy odpowiedzialni za czyny naszych dzieci. Nie mamy całkowitej kontroli nad ich życiem. Wygląda na to, że wychowywała ją pani dobrze i dała jej tyle miłości, ile każdy potrzebuje. - Jej oczy były niewiarygodne. Rzuciły liliową poświatę w półmroku i pojawiły się w nich łzy, efekt poczucia winy.

Jej język był rozowawy. Wyobraził ją sobie na krzyżu. Obie. Matkę i córkę. Tuż obok siebie, umierające razem. Był to wspaniały obraz, a jego ciało uczcilo tę wizję silną erekcją.

- Mój wniosek - powiedział w końcu - jest taki, że ona z własnej woli wyjechała na jakiś czas. Chciała uciec od czegoś, choć nie wiem dokładnie od czego. Nie sądzę jednak, żeby trzeba się było martwić o zbrojnych i uwodzicieli. Obojga płci. Tak więc... Przepraszam, obawiam się, że za chwilę mam następnego pacjenta.

Matthews przypuszczał, że jeśli ktorekolwiek z nich odpowie, będzie to Bett. Ku jego zaskoczeniu odezwał się Collier.

- Jeśli uważa pan, że powinniśmy jej na to pozwolić, to ja tego nie przyjmuję. - Wyglądało na to, że tego samego zdania jest również Bett. - Będziemy jej szukać. Nie wiem jak, ale będziemy.

- Niech Bóg was błogosławi - powiedział Matthews z ciepłym uśmiechem.

- Dziękujemy za rozmowę - odezwała się Bett.

W drzwiach położył rękę na ramieniu Colliera i wyprowadził go za próg, a następnie zwrócił się do Bett i ujął jej dłoń w swoją.

- Jeśli mogłbym w jakiś sposób pomóc, jakkolwiek, proszę do mnie dzwonić. - Wsunęła do torebki wizytówkę Matthews'a.

Tate Collier był już za drzwiami i nie zauważył tego.

Rozdział 19

Pierwsza lekcje policyjnego fachu Konnie Konstantinatis odebrał, obserwując własnego ojca, który wymykał się urzędnikom podatkowym niczym szop psom myśliwskim.

Jego staruszek był kretaczem, słabym i niebezpiecznym, skrzyżowaniem wiewiorki i lasicy. Był urodzonym kłamcą i miał nosa do ludzi. Zakładał destylarnie koło wędzarni, koło fabryk i na statkach, udając, że to kurniki. Ukrywał dochody w setkach drobnych przedsięwzięciach. Raz przekonał poborce, żeby zaarrestował jego Bogu ducha winnego szwagra i złożył w sądzie przysięgę, która kosztowała nieboraka dwa lata wykreslone z życiorysu.

A zatem odkąd Konnie skończył lat sześć, zaczął uczyć się uników i oszustw, a potem nauczył się sztuki wykrywania oszustw.

Gdy był śledczym kryminalnym, jego skuteczność wynosiła blisko dziewięćdziesiąt cztery procent, a większość złapanych zostawała skazana lub musiała się bardzo dobrze bronić. Został dwa razy odznaczony, a raz ogłoszony Śledczym Roku przez „Law Enforcement Monthly”.

Ale teraz, gdy wrócił z dystryktu do Fairfax, jego szeroka twarz płonęła ze wstydu, kiedy myślał o własnej niekompetencji.

Najpierw ze wstydu, potem z przelotnego gniewu.

Konnie spędził ostatnie dwa lata na rozmowach z rodzicami o ucieczkach i podejrzanych ścieżkach, przyglądał się, jak zamierają ze wstydu, gdy pytał o ćwierć grama koki wepchnięte głęboko w kieszeń workowatych dzinsów! Takie rzeczy mogły szokować porządnych rodziców z hrabstwa Fairfax, ale Dimitri G. Konstantinatisa śmiertelnie nudziły.

Co gorsza, rozleniwiały go: spacer po pięknym Union Station i przepelnionym lotnisku National, wdychanie zapachu cappuccino i spalin odrzutowców, pytanie urzędników o bilety i czy widzieli te dziewczyny.

Nie tak się to robi.

Dlatego z kogutem na dachu taurusa wrócił do biura na Chain Bridge, do swojego pokoju,

dziękując sukinsynowi tatuskowi za to, że odsiedział wreszcie trzy lata za oszustwa podatkowe, co przypomniało Konniemu, że nawet najsprytniejsi przestępcy popełniają błędy.

Powrot na pole startowe.

Załozmy najgorsze - taka zasada Konnie przyjmował podczas wielu śledztw w ciężkich przestępstwach kryminalnych.

Megan została porwana. Zapomnij o ucieczce, zapomnij o wyjeździe z ukochanym. Jeśli się mylisz, to tym lepiej. Ale na razie załozmy istnienie sprawcy.

A zatem porwanie. Profil sprawcy?

Jego umysł był zamglony, gąbczasty po dwóch latach nieużywania. Konnie sięgnął do szuflady i wyciągnął notatniki z czasów, gdy był początkującym policjantem. Kiedy pracował do trzeciej rano, ślezcac nad wykresami. Nad diagramami. Nad listami. W śledztwie potrzebny jest instynkt, ale też mnóstwo papieru.

Motyw.

Srodki.

Okazja.

Pod motywem porwania napisane było: *pieniądze, seks, przekonania polityczne/religijne, zachowanie psychotyczne, zwiasek z inna zbrodnia (zakładnik, ucieczka po włamaniu, porwanie samochodu).*

Podniósł słuchawkę telefonu i wykrecił numer.

- Halo...

- Czy ktos ja sledzil? - wypalil Konnie.

- Przepraszam, co? - spytal Tate Collier.

- Jacys dziwacy krecili sie wokol niej?

- Ostatnio?

- Tak jakby zeszluszczni dziwacy sie nie liczyl! - burkнал Konnie. - Kiedykolwiek!

Tate skonsultowal sie z Bett.

- Nie - odpowiedzial.

- Zwiaseki z jakimis sektami?

Nawet Konnie dosłyszał cierpkie „Oczywiście, że nie” wypowiedziane przez Bett.

- Ktoś z was miał związek z czymś takim?

- Nie.

- Czy ktoś mający coś wspólnego z tobą albo z Bett wyjechał ostatnio na południe?

- Ja...

- Zanim odpowiesz, zastanów się nad wszystkimi dwudziestojedynolatkami, którym obiecałeś złote góry, a które potem zrobiłeś na szaro.

- Żadnej się nie oświadczałem - odparł Tate, ale urwał nagle, a Konnie wyobraził sobie niezwykle zainteresowanie w spojrzeniu rzuconym mu przez Bett. Chwile później Tate dokńczył sztywno: - Nie, żadne z nas nie miało tego typu kłopotów.

- Tego typu - powtórzył drwiaco Konnie. - A może ktoś chciał się na niej odegrać? Partnerzy w interesach kogoś z was? Klienci?

Znowu narada.

- Nie.

Konnie chrząknął. Zapisał coś i odezwał się znowu:

- Sprawdziłem tę Emily. Nazywa się Rostowski. Dwadzieścia pięć lat. Nic na niej nie ciąży, ale przegrała sprawę o opiekę nad dzieckiem trzy lata temu. Hospitalizowana po dwóch próbach samobójczych w ciągu ostatnich dwóch lat. Z zawodu aktorka, w każdym razie tak twierdzi. Coś wam się kojarzy?

- Nie. - Bett też o niej nie słyszała. - Można by zajrzeć do jej domu?

- Nie wyglupiaj się, Tate, nie aż tak dawno opuściłeś biuro prokuratora stanowego. Na jakiej podstawie?

- Wiem. Miałem nadzieję.

- Ale będę do niej dzwonił. Aha, daje podsłuch na telefon.

- Czyj?

- Twój i twojej żony.

- Bylej.

- Uparcie to powtarzasz. Na wypadek gdyby był telefon w sprawie okupu.

- Myślałem, że to nie jest tego typu sprawa.

- Dla reszty świata nie, dla mnie tak.

- Jaka jest podstawa do zgody na podsłuch?

Wpieprzyłem się, pomyślał Konnie.

- Nie ma czasu na takie pierdoly, Tate. Włącz myślenie. W czasach prokuratorskich bywałeś na pierwszych stronach gazet. Przynajmniej w sezonie ogorkowym. Myślisz, że ktoś widział twoje zdjęcia i uznał, że jesteś VIP-em z córka, która można porwać?

- Od pięciu lat nie pracowałem nad niczym z pierwszych stron gazet, Konnie.

Pięć lat temu... och, tak, to była ostatnia poważna sprawa ich obu.

Zdecydowanie zbyt poważna.

Sprawa, która zmusiła Tate'a do odejścia z biura prokuratora stanowego, a Konniemu podpowiedziała podjęcie przecudownie powolnej formy samobójstwa, co doprowadziło do ucieczki jego żony z domu; punktem kulminacyjnym była nieudana próba unicestwienia za jednym zamachem żolwia i własnej kariery.

- Powiedz mi, co się stało dziś rano u ciebie w domu. I pamiętaj: dokładnie.

Tate opowiedział Konniemu, że Bett była w pracy, gdy Megan pojechała do doktora, a to musiało być około dziesiątej rano.

- Nie widziałeś jej u siebie w domu?

- Nie - odrzekł Tate. - Wrocilem do domu około jedenastej, może kwadrans po, ubrałem się i poszedłem sprawdzić przeciekająca rurę.

- Robotnicy byli na polu?

- Nie. Za bardzo padalo. Dostali wolne.

- A więc jej nie widziałeś?

- Widziałem, jak gasiła światła trochę przed południem.

Ona albo ktoś inny, pomyślał Konnie.

- Wszystkie światła?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie lubi jasnego swiatla. Taka juz jest.

- Padalo, tak?

- To twoje okreslenie. Ja powiedzialbym, ze lalo.

- Wiekszosc ludzi potrzebuje troche swiatla, tak mi sie wydaje. Chyba ze nie chca byc zauwazeni z zewnatrz.

- To prawda.

- Cholera, Tate, zaczekaj. Po co ona mialaby jezdzic do ciebie po plecak? Nie ma zadnych walizek u twojej zony? Przepraszam: bylej zony? Twojej rozwiedzionej malzonki?

Milczenie.

- Dobra uwaga.

- Rzadko widywaliscie sie z Megan - ciagnal policjant.

- Tez prawda. Nie rozumiem, dlaczego zostawila listy akurat u mnie. Moze dlatego, ze i tak miala przyjechac na lunch.

- Ale nie przyjechala. Wyjechala przed posilkiem.

- Tak. Zgadza sie.

- Ale wiedziala, ze masz gotowke - ciagnal Konnie, usilujac dopasowac jakas teorie.

- Zgadza sie, tak. Pewnie dlatego przyjechala.

- Ale - powiedzial detektyw - mogla podjac pieniadze na karte kredytowa?

- Owszem.

- I byloby to znacznie bezpieczniejsze, a tak ryzykowala, ze wpadnie na kogos, kogo zamierzala wkurzyc tymi listami.

- Zgadza sie, Konnie - powiedzial Tate. - Sek w tym, ze nie mam na to odpowiedzi. Po co wiec przyjechala na farme?

- Masz kontakt z jej kolegami?

- Zajmuje sie tym jej nauczyciel, Robert Carson.

- Nauczyciel? - spytal Konnie. - Skad jego zainteresowanie?

- Po prostu martwi sie o nia. Obiecal popytac w szkole. Nie mamy na razie wiadomosci od niego.

Aha, czy Joshua przekazał ci ostatnie informacje o furgonetce?

- Nie. Jakie są ostatnie?

Tate wyjaśnił, że kierowca furgonetki, która została zamieniona z samochodem Megan, mieszka być może w okolicy Front Royal.

- Doskonale! - powiedział radośnie Konnie. - To zawazi poszukiwania. Zadzwoń zaraz do wydziału rejestracji. Dobry chłopak. Jak zmieni fryzurę i przestanie wyglądać jak pokrecony raper, załatwie mu pracę w biurze. A wy coś znaleźliście?

- Nie bardzo.

- Wiesz co, Tate, mój skarbie? W tej sprawie kluczem jest motyw - oznajmił tonem przechwalek Konnie. - Tak jest, zapisz to i przypnij nad biurkiem. Dobra, zabieramy się do roboty. I nie dzwoń na żadne party lines przez najbliższe trzy dni. Twoje dyszenie nagraloby się na taśmie dowodowej.

Konnie się rozłączył.

Kluczem jest motyw, powiedział do siebie.

Ale brakowało im motywu. Wciąż brakowało. Przeszedł więc do następnych punktów.

Okazja i środki.

Okazja? W zbrodni z premedytacją zawsze jest okazja; wszystko zależy tylko od tego, czy chcesz ustrzelić prezydenta czy papieża.

A to zawiodło Konniego do środków. Tych dowodowych szczegółów, które tak kochał. Oświadczenia, włókna, odciski, łuski pocisków, plamy krwi, rekonstrukcje, portrety pamięciowe, ślady. Wszelkie dane, które pochłaniał i które w cudowny sposób układały się w idealny porządek w głowie pokrytej niechlujnym jezem.

Niemniej w tej akurat sprawie było bardzo niewiele danych - ponieważ nie była to sprawa. Normalnie wysłałby najlepszych specjalistów od ekspertyz na miejsce zbrodni, żeby rozebrali samochód i przeszukali całe po domu Tate'a i Bett. Zrobili analizę grafologiczną listów. Określili rodzaj papieru i atramentu, włókien, przebadali wszystko promieniami ultrafioletowymi na obecność krwi, nasienia i innych płynów ustrojowych, przeczesali teren w poszukiwaniu świadków, przejrzyli archiwa szkolne i bazy danych zaginionych nieletnich.

Czuł, jak pięści mu się zaciskają z frustracji na myśl o tylu zmarnowanych szansach popchnięcia tej sprawy do przodu. Wciąż jednak mógł zrobić wiele rzeczy. Rzeczy, które nie wymagały natychmiastowej zgody porucznika „Rozkaz, Panie Komendancie” Dobbsa.

- Genie, słonko - odezwał się do słuchawki - szukam szarej furgonetki zarejestrowanej w hrabstwie Shenandoah, do tego potrzebna mi baza danych. Wszystko w okolicy szarości, może być szaroniebieskie, stalowe, popielate. Najchętniej zarejestrowane we Front Royal.

Gwozdz do trumny, mruknal pod nosem Konnie. Nie myslal o Megan, ale o swojej karierze.

Tydzien od poniedzialku...

- Spoko - odpowiedziala szelmowsko. - Ale bedzie ich kilkaset, zdajesz sobie sprawe.

- Potrzebuje to na godzine temu.

- Zaraz zamowie. Ale ty bedziesz to czytal. - Pauza na dwa uderzenia serca. - Jestes pewny, ze mam to zrobic, Konnie?

- Dobra. Dlaczego pytasz?

- Hmm. Mam meldowac wyzej, jesli zamowisz jakies ekspertyzy.

- Jakiekolwiek?

- Jakiekolwiek. Wraz z numerem sprawy, do ktorej je zamawiasz. I mam ci o tym nie mowic.

Cholera.

- Jaki numer ma sprawa Devoe? - spytal Konnie.

- Dziewiec - piec - jeden - cztery - trzy.

- To wlasnie ten numer, do ktorego zamawiam to wyszukiwanie. Ha. Zbieg okolicznosci czy co?

- Konnie...

- Wiesz co za to dostaniesz, he?

- Cholera, zamowie to dla ciebie. Mam tylko nadzieje, ze wymyslisz jakis dobry powod, dlaczego mnie tak wrobiles.

- Wyjdz za mnie. Wspieraj mnie. Miej ze mna dzieci. Co ty na to?

- Pa, wariacie - odpowiedziala.

Pietnascie minut pozniej dokument lezal na jego biurku - lista 834 furgonetek i terenowek zarejestrowanych w hrabstwie Shenandoah, z czego 104 we Front Royal.

Wrzucil to do teczki z napisem *McCall, Megan* i wsiadl do samochodu. Popedzil na stacje w Viennie. Dzieki wytrychowi dostal sie do tempa Megan w dziesiec sekund; Konnie wlozyl lateksowe rekawiczki i zaczal przeszukiwac samochod z dokladnoscia chirurga poszukujacego guza. Znalazl resztkę skreta, dwa kapsle od piwa, bilet na koncert, trzy puste puszkę po mrozonej herbacie. Srebrne pierscionki, z czego jeden w ksztalcie czaszki. Drewniana pacyfe (gdy podnosil naszyjnik i wrzucal go do worka na dowody, przypomnial sobie sprawe Charlesa Mansona). Trzy pety z filtrami

skreconymi w prawo, na jednym z nich sporo szminki, ten sam odcien, ale w mniejszej ilosci na drugim, jeszcze mniej na trzecim - a zatem wypalone jeden za drugim, lecz nie przez kierowce. Wrzucil je do osobnego worka.

Nastepnie za pomoca malenkiej lupy bedacej w wyposazeniu jego scyzoryka Swiss Army przyjrzel sie smudze talku pod stacyjka. Uznal, ze spokojnie mogl ja pozostawic palec w gumowej chirurgicznej rekawicze.

Otworzył bagaznik; przejrzał go równie metodycznie i znalazł trzy włókna, które mogły pochodzić ze sznurka. Zauważył również, że cała zawartość bagaznika została przesunięta do przodu - po to, żeby zrobić miejsce dla czegoś większego?

Konnie wrócił do własnego samochodu, zapalił silnik i włączył klimatyzację.

Okej, Megan została porwana.

Jak to się stało? Wyobraź sobie. Ktoś porwał ją rano, gdy szła do samochodu, ponieważ nie dotarła do terapeuty. Zmusił ją do napisania listów, a potem pojechał na farmę Tate'a i zaczął, aż prawnik wyszedł na pole, żeby sprawdzić to, co miał sprawdzić. Wtedy porywacz zakradł się do domu, posługując się kluczami Megan, zgasił światło i zostawił listy. A następnie przyjechał tutaj i zamienił jej samochód na furgonetkę.

I odjechał na zachód.

LeFevre umie myśleć.

Konnie ruszył i udał się najkrótszą drogą ze stacji na farmę Tate'a. A następnie powtórzył podróż, wybierając kolejną najkrótszą drogę i - jakby był przemysłowcem z czterdziestoma bankami na mleko wypełnionymi bimbrem w bagażniku - jeszcze raz, ale tym razem określona trasa. Taka, która wybrałby ktoś, kto nie miał ochoty natknąć się na radary, patroli policyjne i świadków.

Ale nawet ta droga nie była całkiem pusta.

Znalazł sklep meblowy bez klientów. Doskonale. Wsiadł z samochodu i przepytal dwóch sprzedawców, którzy popalali jednego papierosa przed sklepem, czy nie widzieli przypadkiem rano niebieskiego forda tempo. Oczywiście nie widzieli.

Trzy kolejne sklepy i dwie restauracje. Nic.

W barze 7-Eleven jeden sprzedawca twierdził, że zapamiętał taki samochód, ponieważ jego syn planował zakup tempa. Urzednikowi wydawalo sie, ze kierowca byl mezczyzna.

Ale nie przysięglby. A już na pewno nie w sędzie.

Mimo to Konnie był podekscytowany, gdy wracał na farmę Tate'a. Zauważył na podjeździe dwa samochody, ale zaparkował na drodze i poszedł energicznym krokiem przez błotniste pole ku domowi. Był wczesny wieczór, ponury i chmurny, toteż używał halogenowej latarki, żeby oświetlać

droge.

Zatrzymał się przy zarosłach bukszpanu, skąd każdy najpewniej szpiegowałby dom. Znalazł cztery ślady stop należące do jednego człowieka. Rozmyły się jednak w deszczu i nie nadadza się na dowód. Nie było petów, puszek po piwie, strzepów materiału, włókien. Przeszedł ku miejscu, które uznał za drugi dobry punkt obserwacyjny. Też nic.

Stanął i wpatrywał się w dom.

Gdy Konnie Konstantinakis stał tak, przyglądając się dopiero co zasianym polom, uswiadomił sobie, że tylko częściowo przyjechał tu po ślady. Również dla zebrania odwagi.

Ruszać i zrobić to, powiedział sobie. Dalej.

Już miał zejść z pagórka, podejść do Tate'a Colliera i wyznaczyć mu, co sprawiło, że zmarł po raz trzeci w ciągu pięciu lat. Prawde mówiąc, Konnie wierzył, że jedynym celem zniknięcia Megan było zmuszenie go do uczynienia tego wyznania.

Ale jeszcze nie był do tego zdolny.

Jaja. Brak jaj.

Śledzenie porywaczy i zbrojczych było znacznie łatwiejsze.

Przeniósł się więc w kolejne miejsce i stanął w koleinie wrytej kołami ciężkiego traktora, co zmusiło go do odwrócenia głowy w kierunku pól uprawnych. Brak śladów porwania. Ale nie wrócił z pustymi rękami. Coś bowiem odnalazł: znane poczucie, za którym tęsknił tak długo - pragnienie, z którym rodzą się istoty ludzkie, pragnienie zrozumienia, odkrywania, ujawniania. A ku swojemu większemu zaskoczeniu odnalazł również wiare - zmartwychwstała pomimo trzykrotnej śmierci, przejszła z butelką i jeszcze cięższych przepraw z wychodzeniem z nalogu, rozpadu małżeństwa i nawet strzelaniny z żółwiem - wiare w to, że Bóg dał każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie cel. I że ich jedyną rolą na Jego ziemi było poszukiwanie tego celu, nawet jeśli zmęczenie, smutki i przedwczesny koniec miałyby dać im przerazliwie mało czasu na wykonanie tego zadania, które On im przeznaczył.

Wrócił do samochodu.

Konnie nigdy nie widział Megan McCall. A jednak była ona teraz, właśnie w tym momencie, jedyną osobą na świecie, za której odnalezienie oddałby życie.

Rozdział 20

Musisz słuchać, ale najpierw przyjrzyj się oczom.

Koniecznienie oczom.

Aaron Matthews oparł głowę o pień drzewa i obserwował mężczyznę w średnim wieku, wspartego pod bokiem, uśmiechniętego, rozmawiającego z grupką dziewcząt w świetle latarni pod szkołą.

Robert Carson.

Zrozumiał, dlaczego Tate i Bett zająknęli się w jego gabinecie, gdy o nim mówili. Nauczyciel, to prawda. Ale również chłopak. Ten, z którym Megan niedawno zerwała. („Bobby? A kto to?"). Matthews przypomniał sobie pytanie, jakie zadał jej podczas sesji. I odpowiedź: zerwałam z nim). Niechlujny, charyzmatyczny, zapewne lubiący wypić, pielęgnujący wygląd, który gwarantuje ugodzenie każdej nastolatki prosto w serce.

Carson rozejrzał się wokół niepewnie, chwycił jedną z dziewcząt za ramię, żeby podkreślić jakieś słowa, i pochylił się, by usłyszeć odpowiedź.

Matthews nie słyszał słów. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ dokładnie widział oczy Carsona kilka razy podczas tej godziny, gdy śledził go na szkolnym podwórku.

Robert Frost mówi o znaczeniu dźwięku. O tym, że aby się porozumieć, nie musimy słyszeć słów, ale możemy domyślić się znaczenia z samego dźwięku - dochodzącego na przykład przez grube drzwi lub ściany. Matthews przeczytał o tym w bibliotece szpitala psychiatrycznego i pomyśl ten bardzo mu się spodobał.

Aaron Matthews głosił kazania w Katedrze wśród Sosen przez ponad dziesięć lat i doradzał pacjentom przez następne dziesięć. Nauczył się odrzucać ich słowa, odrywać się od tego, co słyszalne, i obserwować to, co naprawdę miała do powiedzenia dusza. Nierzadko różnica między przekazem a słowami była szeroka jak Morze Czerwone.

Wychylił się teraz do przodu i przyglądał się Carsonowi - nauczycielowi, który obserwował wszystkie dziewczęta.

Wspinamy sie po drabinie Jakubowej...

Intuicja podpowiedziala Matthewsowi, co zrobic. Wyszedl z za drzewa i przeszedl obok Carsona i grupy uczniow. Nauczyciel spojrzal na niego, nie przestajac usmiechac sie z powodu czego, co powiedziala ktoras z dziewczat. Matthews przelotnie spojrzal na Carsona i dostrzegl niechec, poniewaz usmiech nauczyciela zniknal niczym swiatlo wylaczonej zarowki.

A usta Matthews'a wygiely sie w ledwie zauwazalny luk usmiechu, jakby przylapal Carsona na goracym uczynku. Matthews poszedl w swoja strone.

Wspinamy sie po drabinie Jakubowej... Zolnierze Krzyza.

Retoryka, jak napisal Platon, jest uniwersalna sztuka zdobywania umyslow za pomoca argumentow.

Tate Collier w wieku lat jedenastu uslyszal te definicje z ust Sedziego i uznal, ze kiedykolwiek bedzie „robil retoryke”, cokolwiek mialoby to oznaczac.

Musial czekac trzy lata na swoja szanse, ale wreszcie w szkole sredniej wyblagal dla siebie (jakze by inaczej?) czlonkostwo w klubie debатовym, ktory teoretycznie przyjmowal tylko ludzi z klas wyzszych.

Tradycja turniejow debатовych siega czasow kolonialnej Ameryki i Klubu Szpiegowskiego na Harvardzie we wczesnych latach XVIII wieku. Kobiety zostaly dopuszczone do tych turniejow sto lat pozniej, wraz z utworzeniem Stowarzyszenia Mlodych Dam w Oberlin, ale setki mniej formalnych towarzystw i konkursow zawsze cieszyly sie popularnoscia w koloniach. W czasie gdy Tate chodzil do szkoly, debaty miedzyszkolne staly sie powszechna praktyka.

Tate bral udzial w setkach Narodowych Turniejow Debatowych, a takze w konkurencyjnej formie - turniejach Towarzystwa Krzyzowego Ognia Pytan. Byl czlonkiem honorowych bractw: Delta Sigma Ro, Fi Ro Pi i Pi Kappa Delta, dzialal tez aktywnie w Amerykanskim Towarzystwie Sadowniczym i w Amerykanskim Towarzystwie Czynnych Prawnikow.

W college'u - kiedy w modzie byly nastroje antywojenne i antykorporacyjne - Tate odrzucil dzwony i kolorowe apaszki dla garniturow z waskimi krawatami i bialych koszul. W takim stroju doskonalil swoja technike, logike, rozumowanie. *Jezeli... to... przeslanka, zalozenie, wniosek.* Walczyl z marionetkami, pokretna logika i argumentami *ad hominem* wysuwanymi przez oponentow. Stawal w szranki z najlepszymi z uniwersytetow Wirginii, George'a Washingtona, Duke'a, Karoliny Polnocnej, Penn i Johns Hopkins - i zwyciezal wszystkich.

Z tym talentem (a dokladniej: z Sedzia jako dziadkiem) studia prawnicze byly nieuniknione. Na ostatnim roku Uniwersytetu Wirginii byl reprezentantem stanu w inscenizacjach podczas studenckich Federalnych Mistrzostw Sadowych w dystrykcie. Czesto wykladal na popularnych podyplomowych kursach dla adwokatow apelacyjnych, a jego tasma „Amerykanska Praktyka Procesowa” byla bestsellerem w katalogu Izby Adwokackiej.

Nie istniał nikt, z kim Tate Collier nie mogłoby się zmierzyć na słowa. Niemniej gdy była zona zamknęła lustro w jego mercedesie i zaczęła: „Okej, Tate, powiedz mi” - poczuł, że po raz pierwszy zawodzi go słowa.

- Powiedz mi - drażyla - co się stało? Wtedy gdy zmieniłeś pracę? Czego nie powiedziałeś doktorowi Petersowi?

W domysle: Czego nie powiedziałeś mnie?

- To nie ma nic wspólnego z Megan.

Zastanowił się nad tym i uznał, że to prawda. Nie rozumiał, dlaczego doktor Peters tak na to naciskał.

- Skąd to wahanie?

Ponieważ uważał, że jeśli jej powie, ona zniknie z jego życia równie szybko jak po pogrzebie. Jeśli powie, przetnie tę wątłą nitkę porozumienia, jaka dziś nawiązała się między nimi. I może już nigdy jej nie zobaczy.

Widział jednak, że nie ma wyboru.

- Pięć lat temu - zaczął - oskarżałem w sprawie mężczyzny, który zamordował swoją narzeczoną. To było morderstwo z premedytacją. Zadałem kary śmierci.

Poczuł, że Bett sztywnieje. Była zdeklarowana przeciwniczka kary śmierci i czuła głęboki wstyd, że za czasów ich małżeństwa Tate posłał trzech ludzi na stanowe krzesło elektryczne.

- Oskarżony się nie przyznawał, ale dowody były niepodważalne. Narzędziem zbrodni był nóż kuchenny. Cały pokryty jego odciskami palców. Te same odciski znaleziono też na jej bransoletce i dwóch guzikach bluzki. Jego jedynym alibi było to, że pokłócili się tego dnia, po czym on wsiadł w samochód i pojechał przed siebie, żeby ochłonąć, nie pamiętał nawet dokąd. Dziewczyna była z nim w ciąży. To stanowiło motyw. Chciał, żeby ją usunęła, ale ona się nie zgodziła. A kilka dni wcześniej odkrył, że przez cały czas okłamywała go, że stosuje środki antykoncepcyjne. Chciała zajść w ciążę. Zmusić go do małżeństwa.

- W którym była miesiącu?

- Siodmym.

- O Boże... A dziecko?

- Było nie do uratowania. Wszedł do jej mieszkania dzięki drugiemu zestawowi kluczy. Na nich też zresztą znaleziono tylko jego odciski palców. Twierdził, że mu je skradziono. Niezła robota policyjna - zresztą Konniego. Był głównym detektywem. Chłopcy z dochodzeniówki znaleźli nóż i klucze na dnie strumyka w pobliżu jej domu.

- No dobra.

- Widzisz, normalnie to nie byłaby sprawa kwalifikująca się do kary śmierci.

W Wirginii, wyjaśnił, pojedyncze morderstwo, nawet z premedytacją, nie jest karane śmiercią, chyba że spełnia kilka dodatkowych warunków. Na przykład zabicie policjanta albo wypełnianie zleceń. Osobną kategorią jest masowe morderstwo.

Bett potrząsnęła głową, nie rozumiejąc. Nagle otworzyła szeroko oczy.

- Dziecko?

- Byłem cholernie sprytnym prawnikiem, nie? Stałem tam w swojej nieskazitelnej, wyprasowanej tożsamości. Dziecko. Żywy płód. Tłumaczyłem, że zamierzałem zabić dziecko, ponieważ namawiał ją na aborcję. Dwa zamierzone morderstwa. Lawa przysięgłych kupiła to. Skazali go na śmierć.

Kodeks kryminalny definiował masowe morderstwo - podpadały pod to teksańskie strzelaniny w samo południe i napady na banki z karabinami maszynowymi. Gdy prawnik posłużył się paragrafem przewidzianym dla jednej sytuacji w innej, zupełnie odmiennej, zostaje okrzyknięty geniuszem.

- Oskarżony poszedł do Jarrett, gdzie czekał na krzesło - to było przed przejściem na zastrzyki z trucizną. Coż, facet powiesił się przed urzędowym odwołaniem. Podczas śledztwa okazało się, że ktoś mu powiedział, cytując: „To szambo. Collier wygłosi mowę przeciwko tobie na rozprawie apelacyjnej, więc zapomnij, człowieku. Upaprales się. Już się smażysz”.

- To nie wszystko, prawda, Tate? - Głos Bett był lodowaty.

Kontynuował opowieść. Dwaj świadkowie zeznali, że widzieli oskarżonego w Maryland w czasie, kiedy dokonano zabicia. Ale on ich rozbroił. Podważył ich zeznania, ich trzeźwość, ich charakter. Jeden wybiegł z sali sądowej z płaczem. Gdy zeznawał sam oskarżony, Tate ujawnił w jego zeznaniu setki dziur. Zmusił go do przyznania, że był wściekły na narzeczoną, że pokłocił się z nią fatalnego dnia, że nie pamiętał, gdzie się znajdował w chwili morderstwa. Maryland. Nie, Wirginia. Nie, Pensylwania. Lawa przysięgłych obradowała przez dwie godziny. Wrocili z werdyktem: morderstwo pierwszego stopnia.

- Teraz przychodzi czas na drugą fazę procesu - okoliczności łagodzące. - Prokurator stanowy domaga się kary śmierci, a obrońca podważa jego argumenty.

Adwokat oskarżonego, podsumował Tate, przywołał argument, że ten człowiek nigdy nie miał konfliktu z prawem. Nigdy nikogo nie pobił. Nigdy nie został skazany. Ale Tate również odrobił zadanie domowe i znalazł problemy, jakie miał młodzieniec. Poważne zatargi z rodzicami w wieku dojrzewania. Problemy emocjonalne, wybuchy niekontrolowanej złości. Nienawidził swojej rodziny.

Tate był nieugięty.

- Zalecenie kary śmierci padło po czterogodzinnej naradzie. Wypowiedzi przysięgłych po werdykcie? - Tate rozesmiał się ponuro. - Powiedzieli, że ich zahipnotyzowałem. Jeden z nich

zamierzał iść na cmentarz i modlić się na grobie ofiary.

- A on był niewinny, prawda? - spytała Bett.

Prawa dłoń Tate'a zacisnęła się na kierownicy. Rozluźnił ją i wytarł w spodnie.

- Trzy dni po tym, jak się powiesił, policja stanowa w Marylandzie przejrzała taśmę z kamery przemysłowej na stacji benzynowej w Ellicott City. Cztery miesiące wcześniej było tam włamanie i znaleźli świadka. Puszczali mu te kasety. Jeden z policjantów zauważył samochód zaparkowany na dalszym planie. Kierowca kupował wodę mineralną. Rozpoznano markę samochodu i numer rejestracyjny. Przesłali wiadomość z hrabstwa Fairfax. Tak, kierowca był ten człowiek, którego skazałem. Znajdował się o pięćdziesiąt mil od miejsca zbrodni niemal dokładnie w tej chwili, w której dziewczyna została zamordowana.

Człowiek może wątpić w to, co słyszy.

To, co widzi, też może podać w wątpliwość.

- Zagadalem tego chłopaka na śmierć, Bett. Zaczarowałem ławę przysięgłych. Po mojej stronie był dar, nie prawo.

Zniszczyłem rodzinę, pomyślał. Ale nie odważył się powiedzieć tego na głos.

Ale nie może zwątpić w to, co robi.

Czekał na jej odrazę lub gniew. Albo na to, czego się spodziewał - uprzejmą prośbę o odwiedzenie do domu, jako że w takiej prośbie zawarta byłaby uwaga: Mówiłam ci, że tak się to skończy, Tate.

Ale ku swemu zaskoczeniu, poczuł dotyk jej dłoni na kolanie.

- Przykro mi - powiedziała. Spojrzał na nią i nie dostrzegł łaski ani wyrzutów, ale żał z powodu jego cierpienia. - Wywalili cię? Z biura?

- Och, nie. Po prostu odszedłem. Straciłem zadanie.

- Nigdy nie słyszałam o tej sprawie.

- Biuro ja, rzecz jasna, zatuszowało. Naturalnie. Rodzina skazanego nigdy nie wniosła oskarżenia, nie powiadomiła prasy. Sprawa umarła na kolumnie lokalnej gazety. - Wpatrując się w szosę, wyznał wreszcie: - Chciałem ci powiedzieć. Kiedy dowiedziałem się o tej taśmie, sięgnąłem po telefon, żeby w pierwszej kolejności zadzwonić do ciebie. Przed rozmową z Konniem. Nie widziałem cię przeszło rok. Może nawet dwa lata. Ale właśnie tobie chciałem powiedzieć.

- Szkoda, że tego nie zrobiliście.

- Nienawidziłam mnie za te wyroki śmierci. Przed chwilą pomyślałem, że może w ten sposób

jakos to wyrownam. To znaczy, szukajac z toba Megan.

Nastala dluga chwila ciszy, jakby Bett rozwazala te mozliwosc. Wreszcie odezwala sie:

- Mysle, ze wystarczajaco dlugo siedziales w wiezieniu z powodu tej sprawy. Wiekszosc wiezniow ma mozliwosc ubiegania sie o zwolnienie warunkowe, prawda?

Polozył dlon na jej dloni i splotł palce z jej palcami.

Istoty ludzkie dotkniete sa szczegolnym przeklenstwem: jako jedyni sposrod zwierzat wierzymy w mozliwosc zmiany nas samych i tych, ktorych kochamy. Ta zdolnosc moze nas zniszczyc albo - jakze rzadko - uratowac nasze przeklete serca. Sek w tym, ze nie wiemy, w ktora strone to zdaza, az czesto jest za pozno.

- Co teraz, Tate?

- Czekamy - odparł po dluzszej chwili.

Ostroznie, pomyslal Robert Carson.

Nie mial pojecia, kim byl ten czlowiek, ktory przeszedl obok boiska i spojrzal na niego. Dostrzegl w jego oczach pogarde. Moze z powodu mojego niechlujnego ubrania, bandziocha wskazujacego na naduzywanie trunkow, zmierzwionych wlosow?

Ale moze dlatego, ze wlasnie poglaskal szczuplutkie jak u ptaszka ramie Carole.

Musi zachowac ostroznosc.

Znaczylo to jak zawsze: Kontroluj sie, na litosc boska.

Kontrola byla zazwyczaj problemem. Ale nie tego wieczora, poniewaz dzis mial sie czym przejmowac. Rozmawial juz z blisko dwudziestoma uczniami w szkole - zaczekal do poznego popoludnia i wczesnego wieczora, kiedy robilo sie tu mniej tloczno, a zagadywanie uczniow przechadzajacych sie po korytarzach i boisku po zajeciach nadobowiazkowych powinno wygladac naturalniej. Zaledwie kilku znalo dobrze Megan, ale nikt nie slyszal, zeby wyjechala z miasta albo myslala o wyjezdzie. Nikt nie potrafil pomoc.

Az do rozmowy z Carole.

Carole o slicznej twarzy i chlopiecej sylwetce. Pracowala w sklepie z kartkami w starej dzielnicy Fairfax, w poblizu sadu. Megan tez tam pracowala przez kilka miesiecy i dziewczeta sie zaprzyjaznily. Carole powiedziala, ze widziala rano, jak Megan - najwyrazniej tuz przed zniknieciem - parkuje samochod na Maple Street.

- Zamierzalam ja zawolac i pomachac, wie pan. Ale wygladala na strasznie wkurwiona.

- Jak to wkurwiona? - spytal Carson. Juz dawno przestal go szokowac jezyk nastolatkow.

- No tak jakby wcale nie chciała tam być - wyjaśniła dziewczyna.

- Co tam robiła?

- Wchodziła do domu. Jakiegoś, wie pan, małego biura.

Carson zapytał Carole, gdzie dokładnie widziała koleżankę, i dziewczyna opisała miejsce.

Po kwadransie zaparkował samochód dokładnie w tym miejscu, w którym Carole widziała Megan.

Przed gabinetem doktora Jamesa Petersa.

A zatem Megan jednak była u niego.

A to daje nam do myślenia, mruknął do siebie Carson, oddalając się od krawężnika.

Doktor skłamał, mówiąc, że Megan odwołała wizytę.

Kim dokładnie jest ten doktor Peters?

Carson wykonał zwrot i popędził do swojego bungalowu z prędkością, jakiej nikt by się nie spodziewał po jego samochodziku.

Rozdział 21

Wieczor.

Może osma. Może dziewiąta.

Wieżenie Megan wypełniało blade światło księżyca wznoszącego się nad wzgórzami za obozem.

Megan obserwowała, jak ciemność zakrada się minuta za minuta do jej pokoju, zalewając go jak woda, dusząc, grożąc utopieniem.

Zewszad dobiegał szelest małych pazurków: szczury skradaly się po ścianach i podgryzały gazety, którymi utkała swoją drogę ucieczki. Sprawiały wrażenie poirytowanych. Pewnie były głodne.

Pisk.

Podciągnęła kolana pod brode i wyjrzała przez okno na niebo. I odpłynęła w świat halucynacji. Matowoszara materia przepływających chmur zaczęła przybierać kształty niedzwiedzi, aniołów, macek, owadów, czaszek...

Niedzwiedzi.

Przypomnił jej się ojciec.

Szepczące niedzwiedzie.

Potem przypomnieli jej się ojciec i matka.

Szukacie mnie, prawda?

Może matka nie będzie wiedziała, co właściwie robić. Pojdzcie na policję i opowie wszystko nie tak, jak należy, będzie rozhisteryzowana i bezradna.

Ale w końcu jej wysłuchają.

A ojciec... sprytny i chłodny, z wszelkimi swoimi koneksjami - sędziami, policjantami,

przyjaciółmi w Richmondzie - pociągnie za sznurki i rozpocznie pociąg. Gdy czegoś chce, nie sposób go powstrzymać. Bett twierdziła, że gadaniem potrafiłaby trafić do piekła i z powrotem. Złotousty diabeł...

Jasne, że ja znajdzie.

Megan skuliła się naga na sznurowym łóżku, wpatrując się w niebo, i nie wiedząc czemu przypomniawszy sobie popołudnie sprzed wielu lat. Miała wtedy trzy lata. Za domem rodziców miało właśnie zacząć się przyjęcie. Było gorące listopadowe popołudnie. Halloween przeszło już jakiś tydzień temu, a na Dzień Dziekczynienia było jeszcze za wcześnie. Wszyscy sprawiali wrażenie smutnych. Mama wieszła lampiony na drzewie, Megan siedziała na ogrodowej ławce, układając faszerowane jajka na polmisku.

Co się dzieje?

Ojciec wyszedł powoli z domu, przystanął na chwilę na tylnym ganku, przyglądając się Bett i Megan. Bett odwzajemniła spojrzenie i wróciła do wieszania lampionu. Megan poczuła się bezpiecznie. Mama była blisko. Ojciec przyglądał im się opiekunczo. Wypytywał czyhających o niebezpieczeństwach.

Megan zawsze wracała do tego wspomnienia, gdy miała pewność, że on jej nie kocha, gdy była samotna, gdy rozpaczliwie pragnęła szczęścia. Myślała wtedy: To, że do mnie nie mówi, nie znaczy jeszcze, że mu na mnie nie zależy. Ta myśl była niczym starożytna złota moneta - cenna i pocieszająca.

Ale potem uświadamiała sobie nagle, że wszystko zrozumiała opacznie.

Zrozumiała to jeszcze tamtego dnia wiele lat temu. Tata wcale nie patrzył na nią. Patrzył przez nią. Stało się coś niedobrego i on myślał tylko o tym. Pewnie nawet jej wtedy nie zauważył. Była niewidzialna.

Nie przejmował się mną wtedy, a teraz nie obchodzi go, że zniknęłam.

Miłość Tate'a Colliera do niej polegała wyłącznie na zamasztywanym podpisywaniu rachunków za obiad. Kupował jej nieodpowiednie prezenty albo w ogóle nie kupował żadnych, czytał jej bajki, które nie były bajkami dla dzieci. A potem porzucił ją i poszedł w swoją stronę.

Ojciec w najlepszym razie poprawny.

Stanowił jej jedyną nadzieję, ale powinna była wiedzieć od początku, że to beznadziejne.

Niedzwiedzie nie umieją mówić.

Nie, nie przyjedziesz po mnie. Nie zależy ci, masz to w dupie. Drobną przeszkodą zniknęła z twego życia.

Szalona Megan płakała przez jakiś czas.

Az w jej myslach pojawil sie kolejny obraz. Megan siedzaca na kozetce w gabinecie doktora Petersa. Placze, spoglada na list lezacy na kolanach, gdy doktor ozywia gniew w jej duszy.

Gniew.

Teraz tez go czuje.

Ale teraz zwrocony jest przeciwko niemu, jego klamstwom, jego zdradzie.

Usiadla i otarla lzy. Zatem zrobie to sama. Wlosy rozsypaly sie wokol jej twarzy, gdy zeskokczyła z lozka. Schylila sie ku sznurom i wgrzyla sie w jeden z nich. Oddarla go i zwiadzala wlosy w konski ogon, po czym - czujac sie mala i nieszczesliwa - pobiegla do lazienki i raz jeszcze oderwala metalowa plyte od sciany.

Nachylila sie i zajrzala do sasiedniego pokoju. Panowala tam cisza, a pomieszczenie wydawalo sie puste, aczkolwiek starzec mogl stac przy otworze i czekac, zeby przebic ja ostrą kosciana laska.

Jesli jest zywy, musi oddychac, a wtedy go uslysze.

A jesli jest duchem, nie moze zrobic mi krzywdy.

W dziurze popiskiwalY szczury. Spadajcie z drogi, male cholery! Uderzyla mocno w gips i uciekly. Poczula przyplyw pewnosci siebie. Wystraszyła na smierc przynajmniej jednego nieprzyjaciela.

Gleboki wdech. Raz, dwa, trzy...

Wpelzła w dziure. Kark bolesnie otarl sie o sciane, ale zdolala jakos odsunac od siebie przerazajaca wizje szczurow i starca. Pomoglo przywołanie jednej mysli, czegos, co pochlonelo cala jej uwage - niczym mantry, ktore Bett powtarzala podczas medytacji. Ta mysł przywołala nawet slaby usmiech na twarz Megan. Poniewaz nie myslala o starcu, szalonych kaznodziejach, szczurach ani szepczacych niedzwiedziach. Ani nawet o rodzicach. Myslala jedynie i z pelna jasnoscia o czerwono-bialej skrzynce pelnej malych plastikowych sztuccow, w cenie 1,39 dolara za sztuke plus VAT.

Umysl poety.

Irracjonalny, nielogiczny; siedlisko - prawa polkula.

Robert Carson byl poeta, to prawda, ale tez bardzo sprytnym czlowiekiem. Zyl wystarczajaco dlugo, zeby docenic umiejetnosc kalkulowania - a mial taka slabostke, ze stalo sie ono konieczne.

W drodze do bungalowu instynktownie przywolal te umiejetnosc i sformulowal teorie wyjasniajaca, co sie stalo z Megan.

Ten doktor Peters musial gdzies widziec dziewczyne - na imprezie, w restauracji, moze w gabinecie jej internisty lub ginekologa - i dostal na jej punkcie obsesji. Jakos doprowadzil do tego,

ze sie spila tamtej nocy i umowila sie z nim na sesje terapeutyczna. Zachecil ja lub zmusil do napisania tych listow, zeby upozorowac ucieczke, a teraz trzyma ja zwiazana w piwnicy swojego domu.

Carson potrafil recytowac z pamieci „Cantos” Ezry Pounda i umialby napisac wiersz heksametrem daktylicznym przez sen, ale czytala rowniez namietnie „National Enquirer”, a slowa, ktore nie przestawaly go przesladowac, gdy myslal teraz o Megan, brzmialy: niewolnica seksualna.

Istnialy oczywiscie pewne drobne szczegoly, ktore nie pasowaly do ogolnej teorii. Ale jedna rzecz Carson rozumial bezblednie - obsesje, a w szczegolnosci obsesje na punkcie Megan McCall. Grzechy, ktore najszybciej dostrzegamy u innych, sa zazwyczaj rowniez naszymi grzechami.

Carson zatrzymal samochod na podjezdzie i wbiegl ciezko do srodka, nie zwracajac uwagi na sterte poczty - broszury wydawnictw uniwersyteckich i katalogi ekskluzywnych publikacji. Byl w polowie drogi do telefonu, kiedy zauwazyl, ze w pokoju ktos jest i mu sie przyglada.

- Jezu! - krzyknal Carson. - Kim pan jest, u diabla? Jak pan sie tu dostal?

Mezczyzna byl mniej wiecej w wieku Carsona, szczuply, bardzo powazny. Bylo w nim cos prostackiego. Mial brudne dzinsy, zniszczone wysokie buty i poplamiona robocza koszule. Zul gume lub tyton.

To on! Mezczyzna, ktorego widzial na boisku godzinie temu, ten, ktory mu sie przyjrzel, gdy rozmawial z Carole i jej kolezankami.

Serce Carsona zaczelo walic jak szalone.

To oznacza klopoty, powazne klopoty.

Zerknal w strone telefonu, ale wiedzial, dlaczego mezczyzna sie tu znalazl, i policja mu w tej chwili nic nie pomoze.

- A wiec to pan - odezwal sie intruz z wyraznym akcentem z gor. - Nic szczegolnego.

- Kim pan jest?

- To pana jaskinia, he? Nauczyciel nie zarabia wiele.

- Widzialem pana. Dzis pod szkola. Pan mnie sledzil.

- Obserwowalem przez jakis czas.

Carson spojrzal na pogrzebacz lezacy obok kominka. Mezczyzna uniosl koszule, pokazujac kolbe pistoletu.

- Jestem niezlym mysliwym i bez klopotu dam panu rade.

- Czego pan chce?

- Niech mi pan cos powie, panie nauczycielu.

Carson nie odpowiadat.

- Jak bylo, tyle chce wiedziec.

Drobna iskierka zaplonela w sercu nauczyciela. Niczym lont.

- Nie powiedziala mi, ile miala lat, gdy po raz pierwszy to z nia zrobiles. Powiedziala, ze troche bolalo. Opowiedziala mi tez rozne inne rzeczy. Ma kompletny metlik w glowie. Ale nie az taki, zeby nie wyznac, ze pieprzyl ja nauczyciel.

Kim on jest? - zastanawial sie Carson. Oprócz Megan byly tylko dwie. Sara? Jenny? Chwileczke, juz wiem. Jenny. Chuda z mlodszej klasy. Chyba pochodziła z gor w Karolinie Polnocnej. I byla dziewczica. Wydawalo mu sie, ze nie miala ojca, ale nie potrafil sobie teraz przypomniec. Twierdzila, ze ma osiemnascie lat, ale on zobaczyl jej swiadectwo i z przerazeniem odkryl, ze jest o dwa lata mlodsza. Doskonala uczennica, przeskoczyla druga i szosta klase.

Jenny. Sliczna blondynka. Nawet teraz, mimo rozpaczliwej sytuacji, poczul mile cieplo na wspomnienie chwil spedzonych z nia w lozku.

- Jak mogles? - Splunal ojciec dziewczyny. - Jestem mezczyzna i odwracam glowe na widok ladnej buzi jak kazdy inny. Ale nie dziewczynek. To najgorsze, co moge sobie wyobrazic. Nie wiem, jak ktokolwiek moze cos takiego zrobic.

To samo pytanie dreczylo jakze czesto Carsona.

Opadl na stol.

- Ona jest teraz w szpitalu.

- Jenny? W szpitalu?

Mezczyzna potaknal.

- Najpierw dreczyly ja koszmary, potem przestala jesc i myc sie. Mowia, ze przechodzi zalamanie. Moje dziecko... co ty zrobiles mojemu dziecku?

- Powiedziala mi, ze jest starsza niz w rzeczywistosci.

- Pierdu, pierdu - odpowiedzial szyderczo tamten. - Nie chce tego sluchac. Ona byla dzieckiem. Ale ty jej to odebrales, skurwysynu.

Cos jest nie w porzadku z jego oczami, pomyslal Carson. On nie jest zly, ale wyrachowany.

- Ona uważa, że to wszystko jej wina. Usiłowała się zabić. Wiesz, co zrobiła? Wzięła benzynę. Chciała spalić sobie twarz, bo twierdziła, że czuje, jak spuszcza się na jej policzki. Tak powiedziała.

- Nigdy tego nie zrobiłem!

A może jednak? Nie pamiętała. Benzyna?

O Boże, co ja zrobiłem.

- Znalazłem ją w chwili, gdy chciała zapalić zapalke, i uratowałem.

- Boże, nie! - Carson zawsze był taki ostrożny. Wybierał tylko zrównoważone dziewczyny. Dojrzałe, inteligentne, niezależne. Osiemnastolatki lub prawie. To, co robił, było złe, grzeszne, ale starał się zachowywać ostrożność. Być pewny, że jeśli pojawiał się ból, to tylko taki, jaki jest do przyjęcia w każdym związku.

Niemniej gdzieś głęboko miał świadomość ryzyka.

Carson się rozplakał.

- Tak mi przykro.

- Myślałem, żeby cię zabić. Myślałem o szantazu. Myślałem, żeby powiedzieć wszystko w szkole i na policji, żeby obgryzli cię do kości. Ale to nie pomoże mojemu dziecku. A to jej chce pomóc.

- Pieniądze? Jak...

- Pierdol się. - Mezczyzna splunął. - Myślisz, że przyjąłbym od ciebie jednego niedźnego dolara?

- Przepraszam. - Carsonowi brakowało tchu. Siegnął po butelkę szkockiej. Nalal sobie drinka i wypił go do dna. - Jak mogę pomóc?

- Ona powtarza, że to wszystko jej wina. Że zrobiła coś okropnego. Chce wypalić wszystkie miejsca, których dotykała. Chce zedrzyć z siebie skórę. Mówi tylko o tym.

- Biedactwo. - Lkając, Carson nalal sobie kolejnego drinka.

Ojciec dziewczyny spoglądał na niego z odrazą.

- Placzesz jak dziecko. Co z ciebie za mężczyzna?

- Przepraszam.

- W porządku. - Głos tamtego złagodniał. - Przestani. Nie chce tego słuchać. Oto dlaczego przyszedłem. Chce, żebyś jej powiedział, jak bardzo żalujesz tego, co zrobiłeś.

- Juz jade. Gdzie...

- Nie, moj panie. Nie chce, zebys sie do niej zblizal. Musza ja uspokajac za kazdym razem, gdy myslis o tobie. - Mezczyzna nachylil sie, oczy mu plonely.

- Co mam zrobic?

- Powiedz jej, ze to nie jej wina. Napisz do niej, przekonaj ja, ze jest wartosciowa osoba, a to ty popelniles blad. Jesli to zrobisz, nie powiem nikomu. Jesli odmowisz, pojde na policje. Nie chce tego, to dla niej bedzie za trudne, gazety i tak dalej. Ale zrobie to. Zrobie, zeby ocalic moje dziecko.

Carson spojrzal w mroczna przyszlosc i ujrzal swoja kariere nauczycielska w gruzach, te i kazda inna, jaka rozpocznie. Nauczyciel uwodzacy uczennice - jedyna zbrodnia, ktora na zawsze zamyka bramy szkol.

Pojawila sie perspektywa ratunku.

- Oczywiscie.

Wzial kartke papieru i wyciagnal z glinianego kubka olowek. Czarny ogryzek - taki, jakim pisal swoje wiersze, taki, jakiego uzywal Thomas Wolfe.

Ojciec Jenny wstal i zaczal sie przechadzac.

- Co mam napisac? - spytal Carson.

Pociagnal trzy razy z butelki i otarl rekawem twarz. Usilowal powstrzymac drzenie rak. Nie udalo sie.

- Napisz, ze to nie jej wina. Ze zrobiles cos okropnego, niewyobrazalnego. I ze nie daje ci to zasnac. Zzera cie w dzien i w nocy, rozdziera na strzepy. To nie jej wina. Ty ponosisz cala odpowiedzialnosc. I oddalbys wszystko, byle to sie nie wydarzylo.

- Tak, tak - mamrotal Carson, piszac.

- Napisz to.

Bazgroly Carsona byly zazwyczaj czytelne tylko dla niego. Ale gdy wyobrazil sobie nieszczesna dziewczynke lezaca na szpitalnym lozku, staral sie powstrzymac drzenie rak. Pisal powoli, starannie. Kazde slowo plonelo na papierze niczym czarny ogien.

Dopiero gdy napisal ostatnie zdanie i postawil pelen zawijasow podpis, uswiadomil sobie, ze karolinski akcent tego czlowieka oslabl, prawie zanikl. Zmarszczyl brwi. Chwileczke, pomyslal. Ten prostak uzyl slowa „niewyobrazalne”?

Spojrzal na to, co wlasnie napisal.

O Boże, nie...

Swiszczący oddech uwiązł mu w gardle. Odwrócił się powoli, po policzkach płynęły mu łzy. Zrozumiał.

- Pan jest lekarzem Megan - szepnął. - Pan ją ma.

Mężczyzna wyrwał mu list palcami w gumowej rękawiczce i odezwał się zupełnie innym głosem, pozbawionym akcentu, całkowicie spokojnym i racjonalnym.

- Kiedy napominasz kogoś, aby ukarać jego grzech, sprawiasz, że to, czego pozada, roztopia się. Każdy śmiertelny byt jest tylko technieniem wiatru.

Carson krzyknął i uskokzył, gdy poczuł na kolanach chłód lodowatego płynu.

- Nie!

Podskoczył, rozpaczliwie usiłując strzepnąć z siebie benzynę.

Tuż nad uchem usłyszał pstryknięcie zapalniczki. Zaczął krzyczeć.

Rozdział 22

Szalona Megan nie jest już szalona.

Jest wkurzona.

Sciska w rece pudełko plastikowych sztuccow, stojac w zagłębieniu mrocznego korytarza w polowie drogi do kaplicy.

Blade światło księżycy wlewa się przez zakratowane okna i tworzy geometryczne wzory na brudnej posadzce. Megan przemknęła się do mrocznej wnęki, po czym przytulila do sciany, nasluchiwała.

Jest!

Usłyszała szuranie i stukot przekletej laski starca. Może też szelest oddechu, trzepot skrzydeł.

Po czym doszła do wniosku, że nie ma znaczenia, czy on żyje w tym okropnym miejscu czy też w zakamarkach jej wyobraźni. Mogł ją zabić. Zniszczyć jej umysł strachem.

Kolejne szuranie, kolejny stukot.

Wciągnęła powietrze i zamknęła oczy, stojac całkiem bez ruchu. To nie szalenstwo. To starzec. Jest prawdziwy. Cholera. Tuz obok. Ale gdzie? Gdzie on, do cholery, jest?

Urywany oddech zaraz koło niej. Jego oddech.

Megan przyłgnęła do sciany i zaczęła w milczeniu przypominać sobie składankę Janis Joplin, utwor po utworze. Zaplakala bezgłosnie przy „Me and Bobby McGee”, po czym odzyskala odwage, gdy doszła do „Down on Me”.

W koncu chłód zmusił ją do ruszenia się z miejsca. Zimne powietrze, w którym czuło się odor rozkładu, wirowało wokół niej, a żeby zaczęły szczekać jej tak głośno, że musiała przygryźć język, żeby się uspokoić. Po dziesięciu długich minutach dotarła do kaplicy i wkradła się do środka cichutko, zaglądając w cienie za drzwiami.

Nic. Ani starcow, ani duchow.

Omijajac z daleka trumne, pospieszyła ku oltarzowi i wsunela sie za ciemnoczerwona kotare. Zatrzymala sie, nasluchujac; brak krokow, stukow, chrzestu obrozy, straszliwego zawodzenia. Nic. Megan usmiechnela sie, kladac rece na scianie.

Płyty gipsowe.

Pamietala dzien w domu ojca kilka lat temu. Spotykal sie wtedy z kobieta, która miała trojke dzieci. Jak zwykle myslal o tym, zeby sie z nia ozenic, i posunal sie nawet tak daleko, ze zamowil ekipe remontowa, zeby podzielic sypialnie na dole na dwa mniejsze pokoje. Ale w polowie robot zerwal z nia i budowy nigdy nie dokonczono. Ale Megan zapamietala murarzy przecinajacych bez trudu plyty gipsowe niewielkimi pilami.

Wyciagnela z pudelka plastikowy noz. Byl maly - prawie jak zabawka - i przez moment poczula beznadziejnosc calego planu. Ale po chwili zaczela ciac. Tak! Po pieciu minutach wyryla w scianie mala szczeline. Noz okazal sie nadspodziewanie ostry.

Wyszeptala krotka modlitwe dziekczynna, zakladajac, ze jesli Bog istnieje, to na pewno ma poczucie humoru i nie powinien miec nic przeciwko temu, ze okazala Mu wdziecznosc za pomoc w wydostaniu sie z kosciola.

Po kwadransie zaczęło jej isc całkiem niezle. Po czym w jednej chwili zabkowane ostrze stalo sie gladkie i tepe. Schowala noz pod pulpit i wziala nastepny. I znow zaczela ciac. Ale przy pierwszym ruchu jeknela z niewiarygodnego bolu, jaki przeszl jej reke. Upuscila noz i dotknela delikatnie swojej dloni. Wybrzuszenie na raczce pierwszego noza otarło jej skore w samym srodku linii zycia. Megan przylozyla dlon do policzka i poczula wilgoc krwi lub plynu surowiczego z pekniatego pecherza.

Syczac z bolu, oparla glowe o gipsowa scianke i wdychala kamienno-wilgotny zapach, który przypomnial jej Joshue. Czasami malowal na gipsowych plytach, ten ostry aromat przypominal wiec jego pracownie. Lzy naplynely jej do oczu.

Nie, powiedziala sobie. Nie mysl o nim. Nie potrzebujesz go. Nie potrzebujesz nikogo. Swietnie dajesz sobie sama rade. Podparla jedna reke druga i nacisnela mocno. Czekaajac, az bol zelzeje, zmierzyla szczeline w sciance. Jakies siedem cali. A wiec osiem albo dziewiec nozy powinno wystarczyc, zeby wyciac dziure, przez ktora sie przeslizgnie.

Ile czasu to zajmie? Cztery godziny? Piec?

Tyle tylko, ze nie wziala pod uwage dwoch rzeczy. Po pierwsze, jej prawa reka jest bezuzyteczna; przede wszystkim z powodu okropnego babla, ale tez ze wzgledu na skurcz pomiedzy miesniami dloni i przedramienia.

Po drugie, uslyszala samochod wjezdzajacy na dlugi, wysypany zwirem podjazd przed budynkiem.

W panice Megan zgarnela noze i wsunela je pod pulpit, po czym zdmuchnela gipsowy pyl z

podlogi wokół szpary. Sama szczelina była ukryta za aksamitną kotarą.

Rozległo się skrzypienie automatu otwierającego drzwi do garażu, ale nie słyszała starca. Najwyraźniej zasnął.

Chyba, że czekał na nią w korytarzu.

Albo pod jej łóżkiem.

Albo w jej łóżku.

Megan wybiegła z kaplicy i popędziła przez korytarz, trzymając się w cieniu. Gdzieś daleko w budynku trzasnęły drzwi. Rozległy się kroki.

Na czworakach zajrzała do swojej kroliczej nory.

Kroki słyszała gdzieś za sobą, ale się zbliżały. Nie szuranie, tylko zdecydowane kroki.

Kroki człowieka, który myśli o wszystkim.

Nasłuchiwała, ale z jej pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Wzięła głęboki wdech i wpełzła ponownie do dziury. Przyciągnęła kratkę na miejsce i przycisnęła metalową płytę w łazience po swojej stronie szybu.

Kroki się zbliżały.

Słuchając ich, pomyślała ze łzami w oczach, że on ma na nogach buty.

Och, jak bardzo chciałaby mieć parę butów.

Blżej. Megan wspięła się na łóżko, zwinęła się i zamknęła oczy.

Kroki zatrzymały się za drzwiami.

Nie-rusz-zadnym-mięsiem.

Co on robi? Wejdziesz do środka? Zgwałci, zabije, sfilmuje?

Oddychała tak szybko, że piersi podskakiwały jej jak sztormowe fale. Uspokój się. Uspokój się. Szczekała zębami z zimna i strachu. Jeszcze raz przygryzła język.

I nic.

Drzwi się nie otworzyły. Zapadła długa chwila ciszy, po czym kroki ruszyły dalej. Prawdopodobnie Matthews poszedł na poszukiwanie ojca. Żeby dowiedzieć się od starca, czy gość dobrze się sprawował.

Wciąż cisza. Spokoj minal, Megan zaczęła się denerwować. *Gdzie on jest? Co się dzieje?*

Cierpla jej skora na mysl, ze on jest na zewnatrz, ale jeszcze gorsza byla niewiedza, gdzie moglby sie podziewac.

Minelo piec minut. Dziesiec. Pietnascie. Konopny sznur wrzynal sie w skore. Ale bala sie poruszyc.

Ty fiucie, pomyslala. Jak sie stad wydostane...

I nagle nad glowa, tuz za oknem, uslyszala ciche poruszenie. Oczy miala przymkniecie, ale zauwazyla wielka wrone, ktora przysiadla na oknie. Zlozyla skrzydla. Ciemnosc wypelniła niebo nad jej glowa.

Megan wciagnela glosno powietrze ze strachu i zamarla.

Stal tuz nad nia i zagladal do pokoju. Aaron Matthews. Mial na sobie dlugi czarny plaszcz. Oczy w szczuplej twarzy przygladaly jej sie tesknie. Lkala bezglosnie, ale nie poruszyla zadnym miesniem.

Cien zniknal.

Aniol smierci, pomyslala.

Nie chciala, ale pomyslala.

Powoli podniosla wzrok i w swietle ksiezycy dostrzegla ciemna sylwetke Matthews'a, ktory szedl przez podworze, oddalajac sie od budynku.

Przycisnela twarz do zimnego szkla. Zauwazyla, ze trzy albo cztery czarne psy, podobne do tego, ktorego widziala, zbily sie w stado na polance niedaleko domu. Wpatrywala sie w to miejsce dosc dlugo, az uswiadomila sobie, ze patrzy na szczatki czegos, co kiedys bylo zywe. Krzyknela. Krwawe kosci i strzepy materialu. Cokolwiek to bylo, zwierzeta obgryzly to do kosci.

Poczula, ze zbiera sie jej na mdlosci.

Matthews wyszedl na duza polane, na ktorej stala szara estrada. Spod niej wyciagnal cos duzego, rzucil to na ziemie i lopata o dlugim trzonku zaczal kopac dziure w miekkiej ziemi. Swiatlo ksiezycy odbijalo sie niebieskawo od narzedzia i dlugich rak Matthews'a. Gdy wykopal dol na jakies dwie, trzy stopy, wydostal sie z niego i podniosl to, co wyjal spod prowizorycznej estrady.

Moj plecak, uswiadomila sobie Megan. Ten, ktory trzymala u Tate'a w domu. Wygladal na pelny.

Kiedy on go zdobyl? Po co?

Wrzucil plecak do dziury. I przysypal ziemia.

Nastepnie wspial sie na scene i zaczal sie przechadzac, spogladajac na trawe oszroniona poswiata ksiezycy. Uniosl rece i wydawalo sie, ze przemawia. Najpierw lagodnie, a potem z coraz wieksza pasja. Przypominal dyrygenta orkiestry.

Potem znow gwałtownie. Z zacisnietymi piesciami. Paradowal po scenie, grozac palcem wymaginowanym sluchaczom, usmiechajac sie, marszczac brwi i krzyczac.

I nagle, jakby zawolala go po imieniu, Matthews odwrocil szybko glowe i spojrzal prosto w jej okno.

Z jej ust wydobyl sie krotki krzyk.

On mnie widzi!

Ksiezyc swiecil jej prosto w twarz, bialoniebieski, oslepiajacy. Jego oczy kryly sie w cieniu, ale Megan wiedziala, ze patrzy na nia. Opuscil rece i odwrocil sie do niej.

Aniol smierci zszedl powolnym krokiem z estrady.

Upadla na lozko, szlochajac w panice.

Odejdz! Proszę! Niech on odejdzie!

Zwinela sie w klebek, sparalizowana. Bala sie zamknac oczy, boby nie wiedziala, gdzie on jest. Bala sie trzymac je otwarte i ujrzec go znow nad soba.

Piecdziesiat stop stad?

Dziesiec?

Gdzie-on-jest?

Pozostawala bez ruchu, nasluchujac odglosu krokow. Nic. Czekala, ze wfrunie przez okno, by przytrzymac ja, podczas gdy starzec zatopi w jej ciele swoja ostra laske. Czekala, ze wyniesie ja na pole i pochowa zywcem w plytkim grobie...

Nasluchiwala, ale nie slyszala nic poza szumem krwi w uszach i urywanym oddechem.

Gdzie?

Nic nie slyszala.

Zalkala i zwinela sie na podlodze, ukrywajac glowe w ramionach.

Gdzie on jest? Gdzie, gdzie?

Tuz przed polnoca dali sobie spokoj z wydzwanianiem do Joshuy LeFevre'a.

Tate i Bett usilowali sie do niego dodzwonic dziesiatki razy. Nie odbieral telefonu i nie odpowiadal na pozostawione wiadomosci. Pojechali nawet do dystryktu, zeby porozmawiac z sasiadami, ale nikt go nie widzial od wczesnego popoludnia.

Przykleili na drzwiach karteczke z wiadomoscia i wrocili do Fairfax. Ale gdy Tate zmienil pas przed zjazdem prowadzacy do dzielnicy Bett, zapytala:

- Czy moglibysmy jeszcze troche pojezdzic?

- Jasne.

Pojechal dalej do Centreville, ktore jest mniej podmiejskie niz Fairfax, zjechal z autostrady i skrecil w pusta wiejska droge.

- Tate - odezwala sie Bett - jesli ja znajdziemy...

- Kiedy ja znajdziemy.

- Co bedzie, jesli okaze sie, ze jest na nas tak wsciekla, ze nie bedzie chciala wrocic do domu?

- Przekonamy ja - zapewnil.

- Myslisz, ze potrafilbys to zrobic? Namowic ja na powrot do domu?

- Nie wiem. Mysle, ze tak.

- Twoja praca polega na przekonywaniu ludzi do roznych rzeczy.

Rozesmial sie.

Wspolczesny angielski czasownik to *talk*, mowic, pochodzi od staroangielskiego *talian* - dyskusja. Tate szanowal wszelkich uczonych i sadzil, ze maja racje. Ale wolal wierzyc, ze slowo to jest spokrewnione z lacinskim przodkiem slowa *talon* - szpon jastrzebia.

Czy bedzie potrafil przekonac Megan do powrotu do domu?

Istnieje taki mistyczny moment w debacie, kiedy po stronie oponenta jest logika i fakty, a moze nawet wiekszosc sluchaczy, a jednak ty wygrywasz. Prowadzisz go w okreslonym kierunku i zmuszasz do zbudowania calego wywodu na czym, co sie wydaje niepodwazalnym fundamentem o nieskazitelnej logice, ktora pozniej nagle rozbijasz.

Czujecie sie, powtarzal Tate swoim studentom, zupełnie jak w szermierce, kiedy symboliczne serce zostaje dotkniete tępym ostrzem. Bez fint, zwodow czy silnych uderzen, tylko proste, niespodziewane dotknięcie.

Wszystkie koty widza w ciemnosci. Polnoc jest kotem. A zatem Polnoc widzi w ciemnosci.

Nie do podwazenia.

Chyba ze Polnoc jest slepa.

Jak bardzo chciałby siedzieć teraz naprzeciwko Megan, tłumaczyć jej, że owszem, było ciężko, wszyscy popełnili błędy, życie nie potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami, ale jeszcze nie jest za późno, na pewno nie.

- Sprowadzimy ją do domu - zapewnił Bett.

- Gdzie twoim zdaniem ona teraz jest? - zapytała po chwili. - Właśnie w tej chwili? Co robi?

Nie odpowiedział.

Bett wyciągnęła lusterko, żeby poprawić makijaż. Tate powrócił nagle pamięcią do tej nocy, kiedy się poznali - na imprezie w Charlottesville. Odwiozł ją potem do domu i spędził pół godziny na przednim siedzeniu, usuwając ślady szminki.

Piec tygodni później zaproponował, żeby zamieszkali razem.

Dwuletni romans na uczelni. Skończył prawo w tym samym roku, kiedy ona otrzymała licencjat. Opuszcili sielankowe Charlottesville i przenieśli się do dystryktu; Bett znalazła pracę jako kierownik księgarni. Żyli zwykłym, prostym życiem, jakie Waszyngton oferuje młodym parom startującym w dorosłe życie. Pocięcha dla Tate'a była jego praca, dla Bett to, że wreszcie znajdowała się blisko swojej siostry bliźniaczki, mieszkającej w Baltimore, zbyt chorej, żeby podróżować do Charlottesville.

Pobrali się w maju.

Jego plantacja powstała następną wiosną.

Megan urodziła się dwa lata później.

A po następnych trzech latach się rozwiedli.

Gdy spoglądał wstecz na ich związek, zawodziła go pamięć, która zawsze miał doskonałą. To, co sobie przypominał, było jak ostre szczyty górskie wznoszące się nad wodą z olbrzymiego podmorskiego pasma górskiego. Eteryczna kobieta, którą poznał na zabawie, śpiewająca smutną żeglarską piosenkę pożegnalną. Spacerowanie na wsi. Jazda przez Blue Ridge ku górcom Massanutten. Miłość w lesie w pobliżu jaskin Luray. Tate zawsze lubił życie na świeżym powietrzu, pola kukurydzy i grilla w ogrodzie. Bett zaczęła interesować się światem za drzwiami domu dopiero o zmierzchu.

- Kiedy granica między światami jest najwęższa - powiedziała mu kiedyś, siedząc na werandzie zajazdu daleko w Appalachach.

- Jakimi światami? - zapytał.

- Ciii, posłuchaj - odparła, oczarowując go, mimo że doskonale wiedział, że to iluzja, która zapewne jest najmocniejszym istniejącym oczarowaniem.

Betty Sue McCall, bardzo przywiązana do swojej siostry, z którą łączyła ją jakaś mistyczna więź,

irydująca racjonaliste Tate'a. Bett McCall, zachrypnięta piosenkarka folkowa, zbieraczka tego, co niewyjaśnione, tajemnicze, niewidzialne...

Tate nigdy nie rozumiał, czy jej wysublimowany mistycyzm wyolbrzymił ich miłość do fałszywych rozmiarów, zaciemnił ją czy też stanowił istotę tej miłości.

W końcu przestało to oczywiście mieć jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ rozstali się, odsuneli od siebie emocjonalnie, jeśli nawet nie fizycznie. Betty Susan McCall stała się dla niego tym, czym była, gdy po raz pierwszy go oczarowała: kobieta jego marzeń.

Dzisiaj pstryknęła twarz w lusterko, potarła jakąś niewidzialną bliznę - pamiętał te ruchy. Zamknęła lusterko.

- Zatrzymaj się, Tate.

- O co chodzi?

- Po prostu się zatrzymaj.

Zatrzymał się przy wjeździe do skansenu „Pole bitwy pod Bull Run”.

Bett wysiadła z samochodu i weszła na łagodne wzgórze, uciszając stado cykad. Tate poszedł za nią, a gdy znaleźli się na płaskim szczycie, zatrzymali się i jednocześnie popatrzyli w górę na miliony gwiazd.

- O co chodzi, Bett? - spytał, ale nurtowały go inne pytania: Czym ona mnie tak trzyma? Co to za zaklęcie? - To nie chodzi o nią, prawda? - spytał ostrożnie.

- Nie.

Rozesmiał się słabo, widząc, jak wpatruje się w nocne niebo.

- Szukasz spadającej gwiazdy, żebyś dopomógł sobie w podjęciu decyzji?

Odwrociła wzrok od deszczu gwiazd nad ich głowami.

- To pewnie by pomogło, tak. Ale szczerze mówiąc, wolalabym ducha albo dwa.

- A więc to odpowiednie miejsce. General Jackson wypadł zza tych drzew i zatrzymał chłopców Unii. To właśnie tu zasłużył sobie na przydomek Stonewall, Kamienny Mur. - W oddali księżyc odbijał się w lufach armat Unii.

Bett odwróciła się nagle i przyciągnęła go do siebie, przylgnęła rozpaczliwie do jego twarzy i ucałowała go mocniej - tak mu się wydawało - niż kiedykolwiek.

Odstąpili od siebie, oboje zaskoczeni, z oczami zwróconymi ku górze, i stali tak, wpatrując się w niebo. Gdy nie pojawiły się żadne duchy, a błyskawice białego ognia nie przecięły nieba, otoczył ją

ramieniem i poprowadził do samochodu. Wrocili do jego domu, gdzie poprowadził ją do łóżka i oboje zdumieni się, jak szybko obcość przemieniła się w bliskość, gdy zwarli swe ciała w rytmie, którego żadne z nich nie zapomniało. A potem, w ciemności wczesnego poranka, pograżyli się we śnie, wtuleni w siebie, oddychając równo, on z ręką na jej piersi, w pozycji, w której zwykli leżeć wiele lat temu.

CZWARTEK

Grzechy ojców

Sluchajcie niebios, i uwaznie przysluchuj sie, ziemio!

*Gdyz oto Pan mowi: Synow odchowalem i wypiastowalem,
lecz oni odstapili ode mnie.*

Ksiega Izajasza 1,2

Rozdział 23

Oto jak Tate wspominał ją, gdy wspominał pasję.

Potem.

Rano.

Biała skóra Bett na białym przescieradle, grube pukle rudych włosów na poduszce. Światło poranka wpadało przez zasłony sypialni, która razem zbudowali, malowało scenę w monotonnych pastelach.

Zamknął oczy i przez chwilę wydawało mu się, że znikł cały szmat życia i oto obudził się w kwietniowy dzień w tym samym domu, w tym samym łóżku, ale prawie dwie dekady wcześniej, a między chwila obecna i wcześniejsza nie było żadnych tragedii, radości, żadnych wydarzeń - jakby on i Bett znaleźli się w jakiejś cudownej faldzie czasu. Życie czekało na nich, a oni mogli uczynić z nim, co chcieli.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Wyrzucił na podwórze i pobliskie pole. Patrzył na te ziemie tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

Uprawy Tate'a Colliera były bardziej konserwatywne niż na większości piedmondzkich farm: cztery pola obsiewane na zmianę soją, kukurydza i żytem.

- Posłuchaj, Tate - powiedziałaby Sedzia.

Chłopiec zawsze słuchał.

- Co to są rośliny strączkowe?

- Groszek.

- Tylko groszek?

- No, fasola też, tak mi się wydaje.

- Groszek, fasola, koniczyna, lucerna, wyka... to wszystko rośliny strączkowe. Pomagają glebie. Jeśli co roku będziesz siał zboża, to co się stanie?

- Nie wiem, dziadku.

- Twoja gleba zmieści się w koszyku.

- Dlaczego, dziadku?

- Ponieważ strączkowe pobierają azot z powietrza, a zboża z gleby.

- Aha.

- Będziemy uprawiać odmianę Mamut na kiszonki, a także wirginijską soję. Wilson i Haerlands są dobre na nasiona i siano. Jak przygotujesz ziemię?

- Tak, jakbym miał siał kukurydze - odparł chłopiec zgodnie z wcześniejszą nauką. - Będę siał szeroko z siewnika do pszenicy.

Sędzia nie stał, nie zawał spoglądał na chłopaka i pytał:

- Zdarza ci się przeklinać, Tate?

- Nie, dziadku.

- Masz. Przeczytaj. - Wsunął Tate'owi w rękę stary biuletyn wirginijskiego Departamentu Rolnictwa i Imigracji. Zakreślony artykuł ubolewał nad rosnącą wulgarnością języka młodych farmerów. („Nawet część naszych dziewcząt nabrała tego ubolewania godnego zwyczaju”).

- Będę o tym pamiętał, dziadku - powiedział Tate, przypominając sobie bez poczucia winy „niech to piorun trzasnie” na meczu w zeszły czwartek.

Sędzia mówił dalej, spoglądając na pola.

- Jeśli kiedyś jednak uznasz za konieczne ułżyć sobie, to uważaj, czy w pobliżu nie ma kobiet. No, pora na kolację. Chodźmy do domu.

Tate mieszkał w domu dziadków równie często jak u rodziców i często tam jadł. Sędzia przewodził przy skrzypiacym drewnianym stole, a babcia Tate'a szeptała:

- Fasole można siał tylko w Wielki Piątek.

- To przesada, babciu - odpowiadał jej młody Tate. Była kobieta takiej łagodności, że brała brak zgody za komplement. - Sójkę możesz siał przez cały czerwiec.

- Nie, młody człowieku. Posłuchaj. - Zerknęła w górę, żeby upewnić się, że ma nie słyszy. - Jeśli będziesz się śmiać głośno podczas siania kukurydzy, narobisz sobie kłopotów. Poważnych kłopotów.

Ziemiaki i cebule dobrze jest sadzić podczas nowiu, a kukurydze wysiewać podczas pełni.

- To bez sensu, babciu.

- Wracz przeciwnie. Bulwy i cebule idą pod ziemię, więc lepiej je sadzić podczas nowiu. Zboża rosną nad ziemię, toteż się je przy świetle.

Tate musiał przyznać, że jest w tym jakaś logika.

- A zarzucanie knurow podczas nowiu przynosi nieszczęście.

- Knurom niewatpliwie - podsunął Tate.

Tego ranka Tate, gdy spoglądał na pola, usłyszał za sobą głos.

- Hej, dzień dobry.

Bett przewróciła się na bok i przykryła piersi przescieradłem. Wrócił do łóżka. Chwyliła go za rękę i ścisnęła, po czym odgarnęła włosy z twarzy.

- Co się stało? - spytała.

- Ziemia się poruszyła.

Rozesmiała się i wtuliła w niego twarz w dziewczęcym geście, do którego się uciekała, gdy była zażenowana i szczęśliwa.

- Gdy dzieje się coś takiego - machnęła ręką - czy nie powinniśmy zapytać, co się między nami wydarzyło?

- Nawrot małżeński.

- Nawrot eksmałżeński.

Oznajmił, że nie sadił, że to musi obowiązkowo znaleźć się w rozkładzie dnia, a ona przyznała mu rację.

- A to co? Popatrz.

Spojrzał na ptaka, który przysiadł niepewnie na parapecie.

- To, jak sadię, cytrynka czarnolica. Buduje gniazda na ziemi, a pożywienia szuka na drzewach.

Ptak poderwał się na dźwięk jej śmiechu.

- Znasz wszystkie takie szczegóły. Skąd to wiesz?

Przyjaciółka, dwudziestotrzyletnia, lubiła obserwować ptaki.

- Dużo czytam - odpowiedział.

- O czym myślisz? - zapytała po chwili.

Pytanie, które wszystkie kobiety lubią zadawać, gdy leżą w łóżku z mężczyzną.

- O niedokończonych sprawach? - podsunął.

Zastanowiła się nad tym.

- Zawsze sądziłam, że między nami wszystko skończone. Ale potem zaczęłam myśleć, że to jak spisywanie testamentu, zanim wsiądziesz do samolotu.

- Nie rozumiem.

- Jeśli się rozbijesz, to wszystkie luźne watki wskoczą na miejsce, ale czy nie wolałbyś jednak zostać tu jeszcze trochę?

Rozesmiał się.

- Niezła metafora.

Bett przez chwilę lustrowała pokój.

- Pamiętasz, jak występowałaś przed Sądem Najwyższym pięć lat temu? Ta duża sprawa o prawa obywatelskie? A „Washington Post” napisał o tobie? Mówiłam wszystkim, że to mój eksmąż. Byłam z ciebie naprawdę dumna.

Zaskoczyła go.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy, gdy o tobie czytałam? Że w czasie małżeństwa ty byłeś moim głosem. Nie miałam własnego.

- Rzeczywiście, raczej milczałaś - powiedział.

- To właśnie nam się przytrafiło. Przynajmniej po części. Musiałam znaleźć własny głos.

- A kiedy szukałaś... tak długo... Nie uznawałaś polsrodków, kompromisów, targowania. - Powiedział to szczerze.

Dawna Bett zamarłaby albo popadła w swoje tajemnicze milczenie. Ale ta kobieta, która teraz leżała koło niego, była kims innym. Przytaknęła.

- Zgadza się. Byłam taka sztywna. Znalazłam wszystkie właściwe odpowiedzi. Jeśli coś nie było doskonale, to po prostu to rzuciłam. Praca, studia... masz. Och, Tate, nie jestem z tego dumna. Myślałam, że się zmieniam. Megan... Coż, kiedy ma się dziecko, wszystko się zmienia. Stajesz się bardziej...

- Rodzinny?
- Zawsze znajdziesz właściwe słowo.
- Nigdy nie miałem pojęcia, o czym wtedy myślałaś - rzekł.

Mysli Bett mogły dotyczyć obiadu. Króla Artura. Przypisu w pracy semestralnej. Mogła myśleć o ostatnim układzie kart tarota.

Mogła nawet myśleć o nim.

- Zawsze białam się przy tobie odezwac, Tate. Czulałam, że język mi staje kolkiem. Jakbym nie miała do powiedzenia nic, co mogłoby cie zainteresowac.

- Nie kocham cie za twoje zdolności oratorskie. - Urwał, gdy zauważył, jakiego użył czasu. - To znaczy, nie to robiło wtedy na mnie wrażenie.

Przez długą chwilę wyglądało, jakby biła się z myślami, ale Tate uznał, że już wcześniej dokładnie rozważyła to, co powie.

- Coś mi przyszło do głowy w związku z tobą, Tate. Coś sobie pomyślałam.

- Co takiego?

- Co sądzisz o swoim dziadku?

- Podziwiałem go. Wiesz o tym.

- A o ojcu?

- Do czego zmierzasz?

Milczała przez chwilę.

- Chciałaś być jak Sędzia, prawda?

Zastanowił się.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Chciałaś mieć dużą rodzinę.

- Oczywiście.

- Jak Sędzia.

- Zapewne - przyznał.

- Dlaczego twój ojciec został wydziedziczony?

- Nie został. - Zarówno ojciec, jak i brat Tate'a dostali udziały w sporym majątku powierniczym ustanowionym przez Sedziego. Ale jej nie o to chodziło. - Chodzi ci o to, dlaczego to mnie przypadła farma i tradycja rodziny Collierów?

- Tak, właśnie o to.

- Ponieważ Sedzia i ja byliśmy sobie bardzo bliscy.

Tate zastanawiał się, do czego to prowadzi. Westchnął.

- No dobra. Prawda jest taka, że Sedzia chciał, żeby ojciec został prawnikiem. Adwokatem apelacyjnym. A tata nie miał na to ochoty. Pamiętasz go. Był samotnikiem. Kochał górskie strumyki, wędkowanie, psy. Był milczący.

- Sedzia pragnął syna, który byłby nim. A kiedy go nie dostał, zrobił się mściwy.

- Nie - odpowiedział Tate, ale w jego głosie brzmiała niepewność.

- To cię dreczy, prawda?

- Niezupełnie. No dobra, dreczy. - I pomyślał: O Boże, kogo ja leżę? Czy to ta sama kobieta, która ledwie się odzywała, gdy byliśmy małżeństwem?

- Czy coś się stało? Jakis wypadek albo coś?

- Nie - odrzekł szybko.

Rzecz jasna, za szybko.

- Co to było, Tate?

- Nic wielkiego.

- Ale jednak coś? - podpowiedziała.

- Nic szczególnego. Ale raz... czasem wciąż o tym myślę. Miałem trzynaste lat. To były...

- Nie bój się, Tate.

- To były urodziny taty. Poprosił, żebym poszedł z nim na ryby.

- Nie lubisz wędkarstwa. Nudzi cię.

- Właśnie. I nie poszedłem.

- A co zrobiłeś zamiast tego?

- Poszedłem oglądać dziadka w sądzie. Toczył się ważny proces... Nie, właściwie nie taki znowu ważny. To była moja wymówka. Dla taty i mamy. I dla mnie. Przesłuchanie w sprawie naruszenia stref. Nudniejsze od wedkarstwa. Ale ja chciałem być z nim. Chciałem iść do sądu, oglądać jego znajomych, wrócić do domu, w którym moja babcia zrobiła wielką kolację, przebywać z moimi kuzynami, bratem i mamą.

- Zamiast z ojcem.

- Rodzina zawsze postrzegala ich dwoch jako serdecznych wrogów. Brat zawsze mówił, że Sedzia i tata byli jak koledzy z West Point walczący po przeciwnych stronach podczas wojny secesyjnej. Kochali się, ale gotowi się byli pozabijać, gdyby zaszła potrzeba.

- To na razie nie wygląda na wielką zbrodnię - powiedziała Bett. - Powiedziałeś ojcu, że nie interesuje cię wedkarstwo.

- Skazałem go na samotność w jego urodziny. - Tę Tate zaczerwienił się na to wspomnienie.

Bett zastanawiała się nad tym przez moment.

- Chciałaś, żebyś była jak twoja babcia. Chciałaś zaludnić ten dom małymi Collierami i zostać starym południowym dżentelmenem jak Sedzia. Tylko że to nie dla mnie. I nie sądzę, żeby tak naprawdę dla ciebie.

- Kochałem cię - oznajmił z zapalem.

- Ale czy to na pewno mnie kochales? Myślałem, że jakaś część ciebie bardziej pragnęła czegoś innego. Albo tak jej się wydawało. Południowej plantacji. Myślałem, że to był twój błąd, Tate. Zawsze uważałam, że jesteś bardziej podobny do ojca. Samotny wilk. Po prostu nie chciałaś się do tego przyznać.

Ojciec Tate'a, Wendall, został sprawozdawcą sportowym. Był inteligentny i lubił prawo w sensie teoretycznym, ale nie interesowała go praktyka, mimo iż Sedzia cały czas wywierał na syna presję, usiłując posłać go na studia prawnicze. Zatarł pogłębił się, gdy Sedzia uparł się, by jego najstarszy wnuk został nazwany imieniem jednego z Pięciu Niesmiertelnych - senatorów uznanych przez Kongres za najlepszych mówców wszech czasów. (Stąd pełne imię Calhoun Tate Collier). A gdy Sedzia podarował Tate'owi farmę w dniu, kiedy wnuk uzyskał dyplom wydziału prawa Uniwersytetu Wirginii, pomijając własnego syna, podejrzewano, że teraz wojna rodzinna wybuchnie z całą mocą.

Tymczasem nie stało się tak. Jak na ironię, ojcu Tate'a najwyraźniej wcale na tym nie zależało, a Tate zastanawiał się teraz, czy w ogóle istniało cokolwiek, co byłoby zdolne pogodzić tych dwóch ludzi. W każdym razie z punktu widzenia ojca Tate'a. Tate otrzymał imię na cześć Johna Calhouna z powodu nacisku kogoś innego, ale ojciec zapewne uważał, że to ładne imię, w niczym nieumniejszające spokojnej miłości, jaką żywił do swojego syna. Ten człowiek miał dobre życie, skromne. Było w nim miejsce dla dwóch synów, kochającej żony, książek i gazet. Miał poza tym swoje strumienie i ryby, którymi chętnie by się dzielił z Tate'em i nawet parę razy tak się zdarzyło.

Tate pamiętał łagodny uśmiech na twarzy ojca, kiedy spotkali się po raz pierwszy po tym, jak Tate stał się właścicielem rodzinnej ziemi. Młody prawnik bał się reakcji ojca. Teraz domyślił się, że powściągliwy wyraz twarzy nie skrywał gniewu. Zapewne był dokładnie tym, czym się wydawał - skromnym wyrazem radości z powodzenia syna. Tate uswiadomił sobie teraz, że aczkolwiek to Sedzia miał pozycję i charyzme, z nich dwóch jego ojciec był szczęśliwszym człowiekiem.

- Wiesz, kiedy najbardziej za toba tęskniłam? - odezwała się nagle Bett. - Nie w święta czy na piknikach. Gdy byłam w Cozumel...

- Co?

- Pamiętasz, że zawsze marzyliśmy o wyjeździe na Jukatan?

Czytali książkę o języku Majów i lingwistach, którzy podróżowali po dżunglach Meksyku i Belize, aby badać ruiny i odczytywać znaki indiańskie. Te tereny fascynowały ich oboje i planowali wycieczkę. Ale nigdy na nią nie pojechali. Najpierw nie mogli sobie na to pozwolić. Tate właśnie skończył studia i zaczął pracować w biurze prokuratora za mniejszą pensję niż sekretarki w kancelariach adwokackich. Potem budowali dom. Później Tate miał pierwszą rozprawę przed Sędzią Najwyższym, co wykresliło mu kilka miesięcy z życia. A potem, kiedy już zbierali wystarczającą kwotę, siostra Bett miała poważny nawrót choroby i o mało co nie umarła, toteż Bett nie mogła jechać. Wkrótce się rozwiedli.

- Kiedy tam byłaś? - zapytał.

- Trzy lata temu w styczniu. Megan ci nie mówiła?

- Nie.

- Byłam z Billem. Wiesz który to?

Tate potrząsnął głową.

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak. Świetnie. Upał gorszy niż w piekle. Naprawdę gorąco.

- Ale ty lubisz upały. Widziałaś ruiny?

- No cóż, Bili nie przepadał za ruinami. Widzieliśmy jedno. Jednodniowa wycieczka. Ja... Wiesz, chciałam po prostu powiedzieć, że... załowałam, że nie jesteś ze mną.

- Dwa lata temu w lutym - powiedział Tate.

- Co?

- Też tam byłem.

- Nie! Zartujesz? - Rozesmiala sie gorzko. - Z kim byles?

Miala kwasna mine, gdy przez chwile usilowal sobie przypomniec imie swojej towarzyszki.

- Z Cathy. - Uznal, ze byla to Cathy.

- A wy odwiedziliscie ruiny?

- No, niezupełnie. To byla raczej wycieczka zeglarska. Nie moge w to uwierzyc... A wiec w koncu tam pojechalismy. Rozmawialismy o takich wakacjach przez wiele lat.

- Nasza pielgrzymka.

- To fantastyczne miejsce - powiedzial, zastanawiajac sie, jak bardzo nieszczerze to zabrzmialo. - Nasz hotel mial naprawde swietna restauracje.

- Bylo fajnie - odpowiedziala z przesadnym entuzjazmem. - I ladnie.

- Bardzo ladnie.

- Czy nie byloby zabawnie wpasc tam na siebie?

- Zbieg okolicznosci. No, no.

- Jak to sie skonczy - rzekla nagle - jak juz ja znajdziemy, pomyslimy o tej wycieczce?

- Do Meksyku?

- Tylko my dwoje.

- A co z Bradem? Ty masz kogos.

- Bede musiala to przemyslec.

- Zobaczymy - powiedzial Tate. - Chyba mi sie to podoba. Ale zobaczymy.

Zamilkli, a slonce zniklo za ciezкими chmurami. Tate usiadl. Bett sprawiala wrazenie, jakby chciala wstac z lozka, ale sie wahala. Skromnosc, pomyslal. Pamietal, ze w nocy wylaczala swiatlo, zanim sie rozebrala. Minelo pietnascie lat, odkad widzieli sie nawzajem nago.

Wstal, podszedl do szafy i polozyl na lozku szlafrok, po czym odwrocil wzrok jak dzentelmen.

- Nadal umiem robic niezla jajecznice - powiedzial. - Ale ty nie jadasz sniadan.

- Wystarczy kawa - odrzekla i wstala z lozka nago. Spokojnie podeszla wprost do niego, pocalowala go mocno, przytulila sie do niego calym ciałem i udala pod prysznic, zostawiajac szlafrok na lozku.

Nacisnal dzwonek raz, potem drugi, nastepnie przytrzymał palec dluzej.

Daj spokoj, Tate, widze twoj samochod.

Zaparkowany obok samochodu twojej bylej. O co nie zamierzam pytac.

Konnie otworzył zewnętrzne drzwi i zapukal glosno.

Z wnetrza dobiegły niewyrazne protesty.

Tate otworzył drzwi.

- Podaj mi jeden powod, dlaczego nie mialbym cie zastrzelic. Jezu Chryste, dopiero osma rano.

Konnie wszedl do przedpokoju, mijajac Tate'a. Nie usmiechal sie. Zerknal na Bett McCall - w takim samym szlafroku - i powiedzial:

- On nie zyje.

- Kto? - spytala Bett.

- Robert Carson.

Drzwi zamknely sie z glosnym trzaskiem.

Bett jeknela.

- Ktokolwiek to zrobil - powiedzial Tate - ma Megan. Dzwon do wydzialu zabojstw, Konnie.

- To bylo samobojstwo.

- O Boze. - Bett usiadla z wytrzeszczonymi oczami. Bezmyslne gladzila sie po policzku.

- Nie, nie bylo - odrzekl Tate. - Jakos zostalo upozorowane.

- Tez tak mysle. Ale zostawil list samobojczy na szybie samochodu. A potem wszedl do domu i podpalil sie. Napisal list do jednej dziewczyny, ktora uwiodl. Jednej ze swoich uczennic. Rozmawialem z dziewczyna i jej matka. Owszem, zrobil to.

- Nie obchodzi mnie, Konnie...

- Zaczekaj, panie radco, nie zaprzeczam twoim slowom. Zbyt duzo dziwnych rzeczy sie tu dzieje. Usiluje ci tylko powiedziec, ze w biurze slysza to, co chca uslyszec.

- Nie zyje - szepnela Bett. Splotla palce i wygiela dlonie w dziwacznym, nerwowym gescie. - Och, Tate.

- A gdzie jest ten dzieciak z muskulami i fryzem?

- Joshua? Nie odpowiada na telefony. Zostawiliśmy mu wieczorem wiadomość w mieszkaniu.

- Gdzie był, kiedy dzwonił ostatni raz?

- We Front Royal. Wczoraj późnym popołudniem. Wyszedł furgonetkę aż tam i zniknął. Miał wracać.

Konnie zerknął na zegarek. Ośma trzydziesta.

Dwadzieścia cztery godziny na dostarczenie raportu o możliwej przyczynie śmierci Anne Devoe na biurko kapitana Dobbsa. Jak na razie nie wykonał w tej sprawie najdrobniejszego ruchu.

Jutro Wielki Piątek. Ukrzyżujcie mnie.

- Oto co zrobimy. Czy było to samobójstwo, czy nie, przyjmijmy najgorszą wersję. Wyobrazmy sobie, że Carson odkrył coś, co dla nas było dobre, a złe dla nich, kimkolwiek są. Co on robił? Dokładnie, Tate.

- Rozmawiał z kolegami Megan, miał się dowiedzieć, czy zamierzała pojechać w jakieś konkretne miejsce. Czy ktoś widział ją wczoraj. Czy jakichś nieznajomych dopytywali się o nią.

- Uczniowie, nauczyciele - odpowiedziała Bett.

- Powiedział wam coś konkretnego?

- Nie.

- Dobra. Pojść po jego śladach i...

Konnie urwał na widok twarzy Bett. Była blada, wyglądała jak skulone dziecko. Gładziła się po policzku, ciemne paznokcie poruszały się tam i z powrotem.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Spojrzała na niego.

Tate również odwrócił się do niej i spytał, czy wszystko w porządku.

- Wczoraj - powiedziała - gdy rozmawialiśmy z Carsonem, pomyślałam, że to okropny człowiek. To, co zrobił z Megan. I pamiętam, że pomyślałam, że życzyłabym mu śmierci. Nigdy tak o nikim nie pomyślałam.

- Bett...

- Pomyślałam - szepnęła - że dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby po prostu się zabił.

- Hej - odezwał się łagodnie Konnie - Bóg nie słucha takich modlitw.

Zaskoczył sam siebie tym szczerym współczuciem.

Bett wyjrzała przez okno na mżawkę rozlewającą się po brudnym szkle.

I wtedy Konnie popatrzył na Tate'a i pomyślał: powinienem mu powiedzieć. Natychmiast. Zrob to, a będziesz miał z głowy.

Trzecia śmierć, to o niej myślał. O wyznaniu.

Powiedz mu właśnie teraz. Przynajmniej przestaniesz umierać.

Piec minut. Tyle to zajmie.

- Konnie? - odezwał się Tate, widząc utkwiony w sobie niepewny wzrok.

Ale znowu nie potrafił tego zrobić. Nie teraz. Ponieważ skala długów była przechylona na jego korzyść. Złożyłby wyznanie człowiekowi, który był mu coś winien, i wiedział, że prawnik musiałby powiedzieć: W porządku, Konnie. Wszystko w porządku.

Później, pomyślał. Zrobię to później.

Zły na samego siebie Konnie uśmiechnął się do nich łobuzersko.

- Musicie odszukać tego rowerowego artystę. Ja idę na boisko szkolne. Wiecie, po prostu uwielbiam przypiekac dzieci na ruszcie. Rzucić je na grill i słuchać jak skwierczą.

Rozdział 24

Za każdym razem, o jaki poszerzała się droga jej ucieczki wycięta w sciance z płyty gipsowej, rozpacz Megan malała.

Myslała. Niedzwiedzie nie umieją mówić, nie, i nie mówiły do niej, ale może nie musi tak być. Nie zawsze. To, co jest prawdą dzisiaj, nie musi być jutro.

Pracowała teraz lewą ręką, na pewno i na niej robiła się pecherze. Kolana jej płonęły, podobnie jak czoło - przycisnięte do ściany dla zachowania równowagi. Plecy również strasznie bolały. Ale Megan McCall czuła dziwne podniecenie. Myslała o życiu poza tym więzieniem.

Zawsze zakładała, że w przyszłym roku wyprowadzi się z domu. Nie myślała o college'u. Chciała podróżować. Marzyła, że Joshua wróci do niej i będą wędrować razem. Nawet gdyby nie mieli zostać już kochankami, mogliby wyjeżdżać razem (aczkolwiek nie umiała wyrzucić z pamięci tych chwil, kiedy się kochali).

Teskniała za nim bardziej, niż byłaby skłonna przyznać.

Co za błąd ten romans z Bobbym Carsonem. Wiedziała to od początku. Był czarujący - ta jego wiedza o latach sześćdziesiątych - tak różny od tych wszystkich powierzchownych chłopaków, z którymi chodziła. Ale to był błąd. Wielki błąd. Była dumna z tego, że poznała się na nim i go rzuciła.

Josh... co pomyślałaś, gdy nie zjawiliś się wczoraj wieczorem? Pewnie, że zrobiłam cię na szaro.

Wiedziała, co sadił o jej ojcu, i podejrzewała, że nie zadzwoni do jej rodziców, żeby dowiedzieć się, co się stało. Może zadzwoni za tydzień albo dwa, kiedy ona nadal nie będzie się odzywać. Tydzień albo dwa.

A do tego czasu ja...

Nie, pomyślała Megan. Do tego czasu będę bezpieczna w domu.

Ciała dalej.

Szczegoly, Josh. Mysle o szczegolach. Tym razem wlasciwych.

Tak jak wtedy, gdy pojechali z ojcem do Pentagon City w naglym porywie zadzy zakupow i Tate pozwolil jej poprowadzic mercedesa w drodze powrotnej do domu. Powiedzial tylko:

- Strzalka zatrzymuje sie na stu czterdziestu. Mandat placisz sama.

Zlozyli dach i smiali sie przez cala droge.

Jak wtedy, gdy razem z matka poszly na jakis nudny newage'owy wyklad. Po kwadransie Bett szepnela: „Spadajmy stad”. Wymknely sie ze szkoly tylnymi drzwiami, znalazly sanki na boisku i zjechaly na nich, wrzeszczac i smiejac sie przez cala droge ze wzgorza. A potem poszly do Starbucks na goraca czekolade i ciasteczka.

I jeszcze jej szesnaste urodziny - jedyny raz w ciagu ostatnich pieciu czy szesciu lat, kiedy widziala rodzicow razem. Przez chwile stali blisko, przy stole bufetowym; ojciec wyglosil piekna mowe, a Megan plakala. Rodzina tworzyla idealny trojkat i przez jakies szesc, siedem minut zycie wydawalo sie normalne i pelne nadziei.

Jesli wroce do domu, pomyslala... Nie: kiedy wroce do domu, porozmawiam z nimi. Usiade z nimi. Wyobraze sobie te grupke, jaka byla moja rodzina podczas przyjecia i...

Stuk, stuk, stuk...

Megan wciagnela szybko powietrze, uslyszawszy zniebna ten dzwiek.

Szuranie.

Nie!

Byla nieuważna. Zatracila sie w marzeniach i nie uslyszala zblizajacego sie starca. Byl blisko, coraz blizej, szedl jednym z korytarzy. Ale ktorym?

Podniosla sie i omal nie upadla. Nogi jej scierply. Bolesne klucie przebieglo przez cale cialo.

Skad dochodzi dzwiek?

Z tylnego korytarza, z tego korytarza z kapiaca woda?

Megan pokustykala ku drzwiom wejsciowym.

Nie! Wlasnie stamtad nadchodzil.

Stanela jak wryta.

Chowac sie czy uciekac?

Nie mogła uciekać. Scierpnięte nogi o mało co znów się nie ugięły, gdy kustykała przed siebie, chwytając się lawek, omal nie krzycząc z powodu bolesnych skurczów.

Cień starca pojawił się na ścianie. Był coraz bliżej. Ujrzała ciemny zarys łaski, strzępy łachmanów, łysa, podobna do czaszki głowa. Zbliżał się powoli.

Za kilka sekund wejdzie do kaplicy, a ona nie zdoła uciec w żadne sensowne miejsce. Z wyjątkiem...

Trumna.

Pokustykała ku niej. Dotknęła pokrywy. Jest pusta?

Stukanie rozlegało się tuż za drzwiami. Był tuz-tuz.

Megan uniosła wieko.

Brudna, ale pusta.

Wsunęła się do środka i ułożyła na zakrwawionym atlasie, kuląc się z obrzydzenia. Była bliska wymiotów i zemdlenia. Opuszczała wieko. Duszac się od kwasnego odoru ciała, chwyciła mocno spód wieka i przytrzymała je resztką sił.

Nie daj się, nie zwymiotuj, nie rzygnij! Zaciśnięła powieki i usiłowała wdychać jak najmniej powietrza, walcząc jednocześnie z klaustrofobią.

Usłyszała ciche szuranie i stukot wokół trumny. Zatrzymał się, po czym przybliżył. Stał teraz dokładnie nad nią.

Puk...

Wciągnęła powietrze. Łaska uderzała o ściankę trumny.

Kolejny stuk.

Poczuła, że usiłuje unieść wieko. Trzymała je zamknięte z całej siły, aż scierpły jej ręce. Chwycił mocniej i spróbował jeszcze raz.

Usłyszała starca, nie mógł wziąć głębszego wdechu, nabrać powietrza do zużytych płuc.

Lzy nabiegły jej do oczu; lzy przerażenia, ale i bólu.

Boli, tak strasznie bola mnie ręce.

Pociągnął mocniej wieko.

Usłyszała na zewnątrz urywane sapanie - szeleszczący szept starca.

Co powiedział? Czy to było moje imię? Pomysłala, że niewykluczone. Czy to oznacza, że on wie, że nie ma mnie w pokoju?

Nasłuchiwała, przestała już tak kurczowo trzymać wieko.

Pociągnął mocniej.

Nie!

W chwili gdy poczuła, że już nie da rady, kiedy ból eksplodował jej przed oczami złotym światłem, uchwyt zwolnił się, starzec zostawił wieko w spokoju. Też je puściła i przycisnęła dłoń do ramion. Mogłby teraz bez kłopotu unieść wieko i przebić ją swoją łaską. Nic na świecie by go nie powstrzymało. Jej dłonie nie nadawały się już do niczego.

Usłyszała kolejny dźwięk. Jeknęła cicho. Drapanie czymś twardym po wieku trumny. Nożem? Oстрыm koncem łaski? Chwyciła raz jeszcze wieko, ale dźwięk zamikł i usłyszała oddalający się stukot. Odchodził.

Odczekała pięć minut i uniosła wieko. Rozejrzała się po kaplicy. Nagle nabrała pewności, że starzec przyczaił się po drugiej stronie trumny i czeka tylko, żeby ją chwycić, gdy wyjdzie na zewnątrz.

Spanikowana wyskoczyła z trumny, obracając się, gdy tylko dotknęła stopami ziemi.

Nikogo.

Chwyciła wieko, zanim upadło na miejsce. Zamknęła je cicho.

I skurczyła się ze strachu.

Och, nie...

Nie...

Nachyliła się, wyciągnęła rozpaczliwie rękę, żeby dotknąć liter, które wydrapał na wieku trumny.

Napisane przez kogoś wiekowego, artretycznego, o drzacej ręce. Ale kogoś dzierzacego śmiertelną bronią: szpikulec łaski, jak podejrzewała. Wyrył jedno słowo w starym drewnie.

M-E-G-A-N

Wiedział, że tu była.

To było ostrzeżenie. Żeby wróciła do pokoju. Żeby się poddała.

Nic z tego, dupku.

Niemniej, gdy podbiegła do ołtarza, żeby kontynuować swoją pracę, stwierdziła, że nie da rady. Dłonie jej krwawiły, były śliskie od poszarpanych pecherzy. Nie miała jak chwycić plastikowego noża. Poza tym potrzebowała odpoczynku, a niech i starzec nabierze przekonania, że ją przestraszył.

Megan wycofała się do korytarza i wróciła do swojej względnie bezpiecznej nory.

Aaron Matthews obserwował nieoznakowany samochód policyjny, który zaparkował przed szkołą. Wsiadł z niego wysoki detektyw.

Była to druga wyprawa policjanta do szkoły w ciągu kilku godzin, Matthews zaczął się więc martwić. Dlaczego on tak się uparł na to miejsce?

Może prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Carsona. Ale może chodzi o coś jeszcze.

Potężny detektyw rozmawiał tym razem z grupą chyba ze czterdziestu uczniów. Nie chciał dać spokoju.

Matthews podszedł bliżej i obserwował, jak funkcjonariusz indaguje dwóch młodych, nerwowych koszykarzy.

Oczy. Matthews przyglądał się oczom policjanta. Ale nie zobaczył w nich nic, co mogłoby mu się przydać. Ten człowiek sprawiał wrażenie zaciętego, pozbawionego poczucia humoru, cynicznego, nieustraszonego. Trudno dostępnego, niepodatnego na manipulację. Najgorszy rodzaj parafianina i pacjenta.

W końcu detektyw wrócił do samochodu. Matthews ruszył za nim na zachód, w kierunku, jak się wydawało, starej części Fairfax.

Co tu się dokładnie dzieje, zastanawiał się Matthews.

Detektyw Konstantinakis pomaga przyjacielowi.

No coż, żaden dobry uczynek nie powinien ujść bezkarnie, panie władzo.

Zaparkowali w pobliżu sadu. Gliniarz wysiadł i ruszył sztywno chodnikiem w kierunku Cards Plus, niewielkiego sklepiku z kartkami, gdzie Matthews wypatrzył Megan, gdy pracowała tu około Bożego Narodzenia. Detektyw zabawił w środku tylko minutkę, po czym wyszedł, zapisując coś w czarnym notesie.

Matthews dostrzegł twarz policjanta, malowała się na niej satysfakcja, zadza walki. Dowiedział się czegoś od dziewczyny za ładą. Matthews zajrzał do środka i z przerażeniem zobaczył tę samą dziewczynę, z którą wczoraj rozmawiał Robert Carson.

Detektyw zatrzymał się, spojrzal na zegarek, minal samochód i poszedł dalej chodnikiem.

Matthews, znajdujący się po drugiej stronie ulicy, przyspieszył nieco kroku, wysforował się przed policjanta i zerkal od czasu do czasu za siebie, przyglądając się twarzy detektywa.

Na co to zerkamy, panie władzo?

Nie na ładne studentki z George Mason, nie na ich sterczące piersi i krotkie spodniczki.

I nie na studentów z George Mason.

Policjant nie spojrzał na wystawę sklepu z ciuchami dla nastolatków. Księgarnia też nie przyciągnęła jego wzroku. Sklep ze sprzętem sportowym zwrócił jego uwagę na moment - zatrzymał się i obejrzał wedki. Ale to nie było dla Matthews'a żadną pomocą. Policjant ruszył powoli chodnikiem.

Czyżby ten facet był czysty? Bezgrzeszny?

Grzech jest peryskopem, który daje nam wgląd w dusze.

Nie przestawał obserwować policjanta. I wreszcie zobaczył. Za ledwie drobny ruch oczu - zerknięcie na wystawę sklepową. Po czym detektyw ruszył dalej.

Tylko jedno spojrzenie. Ale wystarczyło.

Rozdział 25

W malej restauracji Matthews podszedł do stolika.

Zatrzymał się i odetchnął głęboko. Czuł się nieswojo.

- Przepraszam pana?

Detektyw Konstantinakis spojrział w górę.

- Wie pan, właśnie byłem w tym sklepie tam dalej. Cards Plus, tak? - Przelknął ślinę i uśmiechnął się niepewnie. - Usłyszałem, że pytał pan o Megan McCall.

- Owszem - odburknął policjant.

Widelec zawisł nad puree ziemniaczanym.

- Nazywam się Henry Blakesly. Jestem pedagogiem w szkole w Fairfax. Pracowałem trochę z Megan. To jakiś zbieg okoliczności, że właśnie przyszedłem do sklepu kupić kartkę urodzinową, a oni mówili, że pan o nią pytał.

- Detektyw Konstantinakis, policja stanowa.

Matthews przybrał poważny wyraz twarzy.

- Czy z Megan wszystko w porządku?

- Proszę usiąść.

Usiadł niepewnie na krześle naprzeciwko policjanta i odsunął nieco na bok szklanke mleka, które pił detektyw.

- Niewykluczone, że uciekła z domu. Usiłuję dowiedzieć się, czy ktoś coś o tym wie.

- Megan? Uciekła? - Matthews zaczął się zastanawiać.

Policjant wpatrywał się w talerz, nie przestając jeszcze. Popijał każdy kęs mlekiem i ocierał białe wazy trzykrotnym pociągnięciem serwetki.

- Mam wrażenie, że nie dziwi to pana. A może źle to interpretuje?
- Megan zawsze mówiła o wyjeździe.
- Naprawdę?
- No. Nie żeby powiedziała mi dużo. Jaki jest ten stek?
- Niezły.

Matthews zawołał kelnerkę.

- Poproszę piwo. Budweisera. A więc uciekła. To się często zdarza dziewczętom w jej wieku.
- Często.

Matthews spojrzał na twarz detektywa, gdy ten zwilżył wargi językiem.

- Jej ojciec... jak on się nazywa? Tate McCall?
- Collier. Tate Collier.
- Ach, prawda. Sprawia wrażenie dobrego człowieka.
- Nie znam lepszego.

Kelnerka przyniosła piwo. Matthews unosił kufel.

- Panskie zdrowie.

Detektyw zawahał się, po czym tracił się szklanka.

Matthews wypił piwo do połowy, odetchnął z zadowoleniem i postawił kufel na stole.

- Upał jak na kwiecień, nie wydaje się panu?
- Ano - mruknął detektyw. A następnie zadał z tuzin pytań dotyczących dziewczyny, notując odpowiedzi w czarnym notesie.

Był inteligentniejszy, niż się wydawało, i bardzo dobry w stawianiu pytań. Dociekliwy. I trzymał się linii przesłuchania niczym bulterier. Matthews odpowiadał wprost, ale bez konkretnych czy faktów tak szczegółowych, żeby dać się później przyszpilic.

- Pan na służbie? - zapytał Matthews, gdy policjant zamilkł na chwilę, żeby przejrzeć notatki.

- Skąd to pytanie?

- Przerwa na lunch to chyba nie jest czas służbowy. Taki upał... Dopij pan to mleko, to postawie panu prawdziwego drinka. - Stuknął palcem w piwo.

- Nie, dziękuję.

- Ejże, nie ma to jak piwo w upalny dzień.

- Prawde mówiac, od kilku lat nie pije.

Matthews wyglądał na niepokieszonego.

- Och, przepraszam.

- Nie ma za co.

- Nie pomyslałem. Mezczyzna, który pije mleko w knajpie... Nie powinienem był tego zamawiac.

Policjant unosił uspokajajaco reke.

- Nie ma problemu. Nie mam zwyczaju zmuszac innych do zmiany przyzwyczajen.

Matthews podniósł kufel.

- Moze powinienem to wylac?

Gdy gliniarz popatrzył na piwo, jego oczy rozblysy - zupełnie jak przed wystawa sklepu monopolowego dziesiec minut temu.

- Nie - odpowiedział. - Nie moze udawac, ze to nie istnieje. - Zjadł jeszcze troche ziemniakow. - Było jakies miejsce, dokad Megan szczegolnie chciala pojechać?

Matthews rozkoszował sie kazdym lykiem piwa. Detektyw zerkał na niego co chwila.

- Do jakiegoś duzego miasta, tak sadze. Chciala znalezc prace. Moze w Nowym Jorku. Moze w Los Angeles. Mysle, ze mniej wazne było, dokad pojedzie, wazniejsze - skad sie wyrwie. Jesli rozmawial pan z jej kolegami, na pewno pan o tym slyszal.

- Niby o czym?

- O tym, ze byla wsciekla na rodzicow.

- Nie miala dobrych ukladow z mama i tata?

Matthews rozesmial sie.

- Jej zdaniem nie dbali o nia. Twierdzila, ze stanowila dla nich przeszkode. Prosze sobie to

wyobrazic.

Blysk w oku powiedział Matthewsowi, że policjant czytał listy napisane przez Megan w trakcie sesji. Dopil piwo i rozejrzal się.

- Alez upal. Niech pan sobie wyobrazi te bitwe.

- Bull Run?

- Nazywam ja Pierwsza pod Manassas, ale to dlatego że pochodze z Pensylwanii, detektywie Kon...

- Mow mi Konnie. Wiekszosc ludzi tak mnie nazywa. A jak juz przy tym jestesmy... - detektyw odlozyl widelec na biały talerz z gluchym brzekiem. - Dlaczego nie powiesz mi, co naprawde tu robisz, Blakesly? He?

- Co masz na mysli? - Matthews az się spocil, ale postaral się wygladac na urazonego.

- Otoz sledziles mnie pod szkola, a potem przyszedles za mna tutaj - rzekl policjant. - I stawiam dolary przeciw orzechom, że nie kupowales zadnych cholernych kartek.

To brzmialo zle. Upozorowal sytuacje, która bez trudu mogła obnazyc prosta prosba policjanta o pokazanie dowodu tozsamosci. Matthews miał w kieszeni noz myśliwski, ale wokol było zbyt wielu swiadkow, a poza tym muskularny detektyw byłby paskudnym przeciwnikiem.

Musi pokonac tego czlowieka. Natychmiast. A to jest mozliwe tylko dzięki wyznaniu, które niebezpiecznie zbliży się do prawdy.

Zacnijmy od propozycji...

Matthews spuscil oczy i pociagnal lyk. Przelknal.

- W porzadku, panie wladzo. Nie bylem calkowicie szczery.

Policjant dal glowa znak, żeby kontynuowal, i wsunal do ust kolejny widelec pelen ziemniakow. Otworzył notes na pustej stronie i czekal.

- Slyszal pan o tym wypadku z wieza cisnien w poniedzialek? Wypadku Megan.

- Jasne.

- Miala w tej sprawie umowiona na wczoraj wizyte u psychoterapeuty Jima Petersa.

- Znasz tego Petersa?

- Pracowalem z nim kiedyś.

- Podsylałes mu pacjentów? - spytał ostro Konnie.

Ten policjant jest dobry. Za dobry. Matthews przelknął więcej piwa, rozpaczliwie usiłując poskładać myśli.

- Tak.

- Poleciles go Megan?

Matthews wciągnął głęboko powietrze.

- Prawde mówiac, tak. Przez opiekę społeczną.

- A co to ma do tego, że łazisz za mną jak jakiś cień?

- Pan tego nie wie... Megan często zakochuje się w starszych mężczyznach.

Błysk w oku poinformował Matthews, że Konnie już o tym wiedział. Słyszał o Robercie Carsonie albo coś podejrzewał.

- Gdy Megan poszła wczoraj na te wizyty...

- Wydaje mi się - wtracił detektyw - że Peters mówił, że się nie zjawiała.

Dobre pytanie, pomyślał instynktownie Matthews, czując, że obrał właściwą strategię.

- Skłamał - szepnął. - Była u niego.

- O dziesiątej trzydziestej?

Bez szczegółów, upomniał samego siebie Matthews. Nie wiesz wszystkiego.

- Nie wiem. O tej, o której byli umówieni.

- I co dalej?

- No, wczoraj w nocy Jim zadzwonił do mnie. Niepokoił się. Słyszał, że Megan uciekła, i podejrzewał dlaczego. Powiedział, że podczas sesji Megan zaczęła zachowywać się, no, prowokacyjnie. Powiedziała, że właśnie z kims zerwała, z jakimś starszym facetem, i że źle się z tym czuła. Był w tym wyraźny komunikat. Jim zrobił to, co należało - zakończył sesję. Megan rozgniewała się i oznajmiła, że wyjeżdża z miasta, a jeśli zamierzają ją wpakować do więzienia za wieże ciśnienia, to będą ją musieli najpierw złapać. Jim bał się, że rozejdzie się plotka, że w jakiś sposób odpowiada za jej zniknięcie. No i wymyślił, że powie wszystkim, że nie przyszła do niego.

- A ty usłyszałeś, że dopytuje się o Megan, i pomyślałeś, że może szukam twojego kumpla, doktora Jima. I postanowiłeś nieco poweszyć. Hej, niezła lojalność. Nie spotyka się tego w dzisiejszych czasach.

Cynicznemu uśmiechowi na twarzy policjanta trudno było się oprzeć. Co za umysł!

Matthews westchnął. Obrócił kufel niespokojnie w rękach i odpowiedział z rezygnacją:

- W porządku, panie władzo...

- Dlaczego nie wyznasz, co naprawdę powiedział twój kumpel? I tak go o to spytam. No, dalej. Nie wpakowałeś się w nic poważnego. Jeszcze nie.

- No więc mieli te sesje, wszystko przebiegało jak należy, Jim mówił mi, że doszli do mnóstwa szczegółów dotyczących Megan i jej uczuć do rodziców. Powiedziała, że nabrała ochoty na wyjazd. Zamierzała zostawić im listy i wyjechać samotnie. Dlatego Jim zadzwonił do mnie i poprosił, żebym każdemu, kto będzie pytał, mówił, że nie była u niego.

- Dlaczego?

- Jim czuł się nieswojo w związku z tym, jak potoczyła się sesja.

- Dlaczego? - powtórzył Konnie.

- Terapeuci tak nie postępują. Nie gada się z pacjentem przez godzinę po to, żeby namówić go do pojechania na National i lot do Kalifornii.

Dobrze rzucić trochę szczegółów. Ale policjant, zgodnie z przewidywaniem Matthews'a, zignorował obiecujące szczegóły, zajmie się nimi później. Teraz miał przed oczami jeden cel.

- Zbliżamy się, ale ciągle nie dotarliśmy do sedna. Mów dalej - powiedział Konnie.

Toteż Matthews mówił dalej.

- Celem terapii nie jest ucieczka. Celem jest rozpracowanie problemu.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale celem terapii nie jest również sypianie z pacjentami w porze lunchu, prawda?

Matthews otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zamknął je i wzdrygnął się.

- Nie zrobił tego.

- Jesteś pewny?

- Ja...

- Zastanów się dobrze, Blakesly.

- Powiedział, że nie.

- Nie pytam, co ci powiedział. Pytam, czy to zrobił.

Matthews zamowil kolejne piwo.

- Mysle, ze to niewykluczone. Tak.

- I dlatego powiedzial, ze do niego nie przyszla?

Matthews przytaknal.

Konnie skinal glowa.

- Mow dalej. Ciagle nie powiedziales, dlaczego wpadles tu, zeby przygladac sie, jak wsuwam obiad.

- Martwilem sie o Megan. To oczywiste. Poslalem ja do terapeuty, ktory - byc moze - ja uwiodl.

Niech sie tym zajmie. Jest do tego zdolny.

- Ale dlaczego to stanowi dla ciebie problem? To mnie zastanawia.

- Po prostu dreczy mnie sumienie.

- Sumienie? - spytal policjant, jakby takie slowo nie istnialo. - Powiedz mi cos. Nie wiesz przypadkiem, czy twoj kumpel zrobil cos podobnego w przeszlosci?

O tak, on jest dobry.

Pojawilo sie piwo i Matthews nalal sobie cwierc kufla.

- Slyszałem o paru wypadkach, gdy praktykowal w Nowym Jorku.

- I wysylasz dziewczyny do takiego goscia? Nie swiadczy to o tobie zbyt dobrze.

- Przysiegal, ze to juz historia.

- Zwlaszcza jesli odpalal ci dzialke za podeslanych pacjentow.

- Nie! - warknal Matthews, po czym rozejrzal sie i znizyl glos. - Nigdy tak nie bylo. Nigdy nie zaplacil mi ani centa.

- Powiedz mi, Blakesly, ty tez masz prywatna praktyke, co?

Wiecej piwa. Matthews przesunal palcem po krawedzi kufla.

- No dobra. On tez podeslal mi kilku pacjentow.

- Kilku znaczy ilu?

- Moze...

- Podaj liczbę.

- Nie wiem. Raz na miesiąc.

- Zatem przyjrzyjmy się temu. W zamian za to, że doktor Jim przysyłał ci pacjentów, ty posyłałaś do niego dziewczyny, choć wiedziałaś, że miał w przeszłości romanse z pacjentkami.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakbym był alfonsem. Wiesz, w jakie tarapaty mogłem się wpackować, gdybym wiedział, co on zamierza?

Sekretem, którego nie znali zastraszeni parafianie Matthews'a w Katedrze wśród Sosen, było to, że jeśli przyznasz się do lekkiego grzechu, słudzy boży rzadko będą dążyć dalej w poszukiwaniu cięższych wykroczeń.

Matthews upił kolejny łyk piwa, wciąż patrząc w blat stołu.

- Kalifornia? - spytał Konnie.

- Przepraszam?

- Pojechała do Kalifornii?

- Jim twierdził, że z jakiegoś powodu chciała pojechać do San Francisco. Spędzić tam kilka tygodni, a potem wrócić. Nic szczególnego.

- Nie uważał, że warto by powiadomić jej rodziców?

- Na jednej szali były ich uczucia, na drugiej jego kariera, jak sądzi.

- A to wszystko o tym, że była zła na starych, to tylko cholerne bzdury, które mają odciągnąć psygonce?

- Nie - odrzekł z nagłym zapalem Matthews. - Przykro mi, ale nie. Tak naprawdę Megan to dziewczyna z problemami. Jest w niej dużo gniewu. W większości na rodziców.

Konnie wbił wzrok w swój talerz.

- Właśnie dowiaduje się, że Megan była jednak u Petersa. Zastanawia mnie, dlaczego to nie pasuje do tego, co on powiedział jej ojcu.

A więc był świadek. Carson i Konnie odkryli, że była w gabinecie.

- Ten Peters. Co wydarzyło się w Nowym Jorku?

- Nie wiem na pewno. Kilka drobnych romansów z pacjentkami. Dostał upomnienie od komisji etyki zawodowej i przeprowadził się tutaj.

- Cos gorszego poza tym? Tylko romanse?

- Gorszego?

- Sledzil je, grozil im?

- Jim? - Matthews sie rozesmial. - Och, nie, on nie jest niebezpieczny. - Przybral nagle powazny wyraz twarzy. - Prosze posluchac...

- Nie rob takiej przerazonej miny, Blakesly, ja tylko wyswiadczam przysluge przyjacielowi. Chce znalezc te dziewczyny. Nie jestem z jakiej cholernej komisji etyki, ale jesli jeszcze kiedykolwiek poslesz kogos do...

- Na pewno nie, prosze mi wierzyc. Juz wczesniej tak postanowilem. Nie zamierzam stracic pracy przez taka glupote jak podsylanie pacjentow.

- Za to ja musze pogadac z twoim kumplem.

Konnie zamknal notes, wsunal go do kieszeni i zjadl jeszcze troche ziemniakow.

- Nie zamierza pan... - zaczal Matthews.

- Twoje nazwisko nie pojawi sie w tej sprawie.

- Dziekuje - powiedzial Matthews, saczac radosnie piwo i oddychajac z ulga. A po chwili dodal:
- A wiec skonczyl pan kurs?

- Ze co?

- Dwanascie krokow.

Policjant zerknal na swoje wielkie dlonie.

- A tak, owszem. Dwa lata temu.

- Ja osiem.

Kolejny blysk w oku. Policjant zerknal na budweisera.

Matthews sie rozesmial.

- Jesteś, gdzie jesteś, Konnie. A ja jestem, gdzie jestem. Pilem dziennie pol litra niezbyt eleganckich napojow. Co najmniej. A czasem zrywalem akcyze z drugiej butelki zaraz po obiedzie.

- To cholernie mocne picie.

- O tak, tak bylo. Tak, chlopie. Wiedzialem, ze to mnie zabija. A wiec skonczylem z tym. Z toba tez bylo zle?

Policjant wzruszył ramionami i zaczął jesc groszek i ziemniaki.

- To zaszkodziło mojemu małżeństwu - powiedział Matthews.

Blysk.

- Mam wrażenie, że moje małżeństwo zabiło - odparł niechętnie policjant.

- Przykro mi - odrzekł Matthews, wzdrygając się na widok smutku w oczach drugiego mężczyzny.

- I przypuszczalnie pewnego dnia mnie zabije.

- Co pijales?

- Szkocka. I piwo.

- Ja też. Dewara i buda.

Oczy Konniego zwilgotniały w obliczu tego niespodziewanego braterstwa.

- A więc... co? - Policjant wskazał głową wysoko butelkę. - Co się stało? Nawrot, he?

Matthews przybrał światobliwy wyraz twarzy.

- Powiem ci świętą prawdę. - Wypił z rozkoszy łyk piwa. - Wierze w przeciwstawianie się słabociom. Nie uciekam przed nimi.

Policjant mruknął z uznaniem.

- Całkowicie rzucić picie to zbyt łatwe. Uznałem to za tchorzostwo. Wszystko albo nic - w obu wypadkach słabosc.

- Ma to pewien sens - powiedział powoli policjant.

Matthews nalal sobie więcej piwa i zakrecił nim obojętnie. Zapach był wspaniały.

- Rzuciłem całkiem na dwa lata. Tak jak postanowiłem. Wszystko zostało zaplanowane. Czasem było ciężko, nie ma co czarować. Ale Bog mi dopomógł. Gdy tylko wszystko znalazło się już pod kontrolą, dokładnie co do dnia po dwóch latach wypilem pierwszego drinka. Szklaneczka dewara. Potraktowałem ją jak lekarstwo. A potem nic przez następny tydzień. Potem znow szklaneczka i jedno piwo. I miesiąc przerwy. Nalalem szklanke szkockiej. Postawiłem przed sobą. Patrzyłem na nią, wahałem, wypilem. I znow przez miesiąc nic.

Policjant potrząsnął głową z podziwem.

- Brzmi to tak, jakbyś był jakimś masochistą czy jak ich tam zwa.

Ale w jego śmiechu pobrzmiwała rozpacz.

- Uważam, że czasem należy tak robić, nieprawdaz? Znajdować to, co dla nas najtrudniejsze, ustawiać przed sobą i przyglądać się temu. Schodzić w głąb. Tak głęboko, jak się da. Na tym polega odwaga.

- Masz mój pełny szacunek.

- Przez ostatnie sześć lat piłem tyle, ile chciałem. Ale nigdy się nie upiłem. Pamiętasz to uczucie, kiedy pierwszy raz się napiłeś? Byłeś rozluźniony, spokojny, szczęśliwy. Wydobyło to z ciebie twoją dobrą stronę. Teraz też tak jest. - Matthews nachylił się i położył rękę na ramieniu policjanta. - Jestem z siebie dumny. Czuje, że postąpiłem słusznie w obliczu Pana.

- Twoje zdrowie. - Policjant stuknął w jego kufel szklanka mleka i wypił. Jego wzrok przesliznął się po złotej powierzchni piwa.

O ty biedny, nieszczęsny głupcze, pomyślał Aaron Matthews. Nie masz do kogo ust otworzyć, co?

- Czasami - ciągnął z namysłem - gdy mam poważny problem, gdy coś mnie gryzie, jakies poczucie winy pali mi duszę... wypijam szklaneczkę. To wszystko zagłusza. Pomaga mi przetrwać.

Widział, że już znacznie mniejsza góra ziemniaków.

Zejdźmy w głąb.

Dotknij tego, co najbardziej boli...

- Gdybym znalazł się w takiej sytuacji, że kobieta, którą kocham, oddalalaby się z powodu tego, jaki się stałem - co, potrafiłbym stanąć twarzą w twarz z tym, co by ją odrzucało. W ten sposób dowiedziałbym się może, jak ją odzyskać. Albo znalazłbym inną i umiałbym ją zatrzymać. Kontrola. Oto klucz.

Twarz policjanta poczerwieniała i wydawało się, że w gardle urosła mu gęzina, która przeszkadza oddychać. Matthews pociągnął jeszcze piwa.

- Nienawidziłem samotności. Budzenia się w niedzielne ranki. Marcowe niedziele, kiedy niebo jest szare... Samotne święta... Boże, jak ja tego nienawidziłem. Żona odeszła... Jedyna osoba na świecie, której potrzebowałem. Jedyna osoba, dla której zrobiłbym wszystko...

Detektyw siedział sparalizowany.

Matthews ciągnął swe smętne rozmyślenia.

- Coś ci pokazać. Popatrz. - Zawołał kelnerkę. - Szklaneczkę dewara.

- Jedna? - spytała dziewczyna.

- Jedna.

Policjant w milczeniu patrzył, jak przyniosła szklanke.

Matthews teatralnym ruchem sięgnął po nią i podniósł do ust. Nachylił się, powachał trunek, po czym wychylił małego lyczka. Postawił szklanke na stole i podniósł rece.

- To będzie wszystko. Jedyny mocniejszy trunek od dwóch czy trzech tygodni.

- Potrafisz tak? - W głosie policjanta brzmiało zdumienie.

- To łatwe, bezproblemowe. - Powrócił do swojego piwa i zawołał ponownie kelnerkę. - Wybacz, złotko. Zapłać za to, ale zmieniłem zdanie. Lepiej zachowam świeżość umysłu na dzisiejsze popołudnie.

- Oczywiście, proszę pana.

Reka policjanta była szybsza niż kelnerki. Dziewczyna zamrugła zdziwiona gwałtownością gestu wielkiego mężczyzny.

- Mam to jednak zostawić?

Policjant zerknął na Matthewsą, po czym zwrócił błagalny wzrok na kelnerkę.

- Tak. I proszę przynieść jeszcze jedno piwo mojemu przyjacielowi.

- Dwa piwa.

- Oczywiście, panowie. Dopisać do pańskiego rachunku?

- Och, nie - uparł się Matthews. - Ja zapłać.

Matthews w chirurgicznych rękawiczkach wyprowadził samochód Konniego za miasto. Policjant siedział na miejscu pasażera, sciskając butelkę szkockiej między nogami niczym drzątek szybownika. Głowa obijała mu się o szybę taurusa.

Matthews zaparkował na bocznej drodze, zabrał Konniemu butelkę i wypił niewielki lyczek.

- Jak się czujesz?

Wielki mężczyzna spojrzał ponuro na otwartą butelkę. Po drodze dramatycznym gestem otworzył okno, wyrzucił zakretkę i zamknął okno. Deklaracja dobrych chęci, uznał Aaron Matthews.

W sklepie, gdzie kupili piątą butelkę, Matthews wyrzucił do kontenera na śmieci czarny notes policjanta, wydruk z bazy danych z listą furgonetek zarejestrowanych w hrabstwie Shenandoah i Front Royal, a także teczkę podpisaną *McCall, Megan*.

Pozostała już tylko jedna rzecz do wyrzucenia.

- No wiec jak bedzie, panie wladzo? Ja wyznalem ci moj drobny grzech. Zaloze sie, ze i ty chcialbys cos wyznac, nieprawdaz? Widze to po twojej minie. „Wybacz mi, Ojczy...”.

- Nie chce... nie chce juz wiecej.

- Jasne, Konnie. O co chodzi? Cos nie daje ci spokoju. Widze to. - Jego glos oplywal miodem. - Mozesz mi opowiedziec.

- Nic. - Zamknie oczy, glowa wsparta o okno.

Matthews sie usmiechnal.

- Nie jest latwo mowic, co? Opowiadac ludziom o samym sobie. Nawet o dobrych rzeczach. Przyszlo ci to kiedyś do glowy? Jak nielatwo jest powiedziec komus komplement? Podziekowac? A gdy mamy powiedziec ludziom cos zlego o sobie, no, to chyba juz nie ma nic trudniejszego.

Konnie przytaknal.

Matthews spojrzal policjantowi w oczy i upewnil sie, ze Konnie nie widzi nic poza miloscia i wspolczuciem. Uniosl szyjke piatej butelki, a policjant wypil trunek niczym jagnie pijace z dzieciacej butelki w zoo.

- Trzecia smierc... - wymamrotal.

- Smierc?

- Umarlem trzy razy - szepnal policjant. - Moja trzykrotna smierc... Em, trzecia smierc. - W ciemnych oczach pojawily sie lzy. - Ludzie nie rozumieja.

- Czego nie rozumieja?

- Jakie szambo trzeba ogladac, gdy sie jest policjantem. Tyle gowna... Rodzice krzywdzacy dzieci, duzi mezczyzni bijacy kobiety. Em, dzieci zabijajace inne dzieci... za pare pieprzonych tenisowek. To moze... zlamac serce.

- A ty bardzo chcesz to naprawic.

- Naprawic? - warknal i rozesmial sie chrapliwie. - Cholera. To jak proba utrzymania, em, glowy nad woda. - Odwrocil sie gwaltownie do Matthewsza.

- Mow do mnie. Pan ci przebaczy.

Matthews podniosl butelke do swoich ust, wzial niewielki lyk, po czym oddal ja Konniemu, który pil dlugo.

- Nie chcialem tego. Gdyby, em, gdyby byla inna droga... - Lzy splywaly mu po policzkach.

Och, wznosimy sie do najwyzszego nieba, pomyslal Matthews.

- Co mialem zrobic? Mialem wiekszosc dowodow. Em, odciski palcow, klucze, noz...

- To byla sprawa, nad ktora pracowales?

- Tate i ja, pracowalismy razem. To byl, em, wiesz, facet, ktory zabil swoja... cztery, piec lat temu.

Matthews nachylil sie.

- No i co z ta sprawa?

- Ten facet zostal, em, zaaresztowany za morderstwo.

- Kto?

- Jej narzeczony. Taak, taa. Ale byly dowody! Ja niczego nie zmyslilem. Niektorzy tak robia. Em, strzelaja do kogos, a potem wtykaja mu w reke pistolet. Ale ja nie... - Konnie zgubil watek.

Poniewaz, Matthews wiedzial to doskonale, takie mysli sa nie do zniesienia.

Scisnal lekko ramie policjanta.

- Idz glebiej, Konnie. Dotknij tego, co boli najbardziej.

Zaszlochal.

- To boli.

- Tylko bol moze przyniesc rozgrzeszenie.

- No wiec. Ja... dostalem faks z Marylandu o tej nocy morderstwa. Napisali, oni tam napisali...

- Tak?

- Ktos doniosl... omal sie nie zderzyl z samochodem, ktory mial tablice rejestracyjne podejrzanego. W czasie morderstwa. Swiadek, wiesz... Czlowieku. Niedobrze mi.

- Miales swiadka, ktory twierdzil, ze podejrzany rzeczywiscie byl w Marylandzie?

- Nie byl pewny, em, pewny tego numeru, ale pamietal marke samochodu. Nie... nie chce juz.

- Napij sie, Konnie. Wszystko w porzadku. Mozesz przestac, kiedy tylko zechcesz.

Policjant przechylil butelke. Byla w trzech czwartych pusta.

- Zadzwon do Genie. Potrzebuje Genie.

- Genie?

- Nie, do mojej zony. Chce zadzwonic do zony.

- Co z tym faksem, Konnie?

- O Boze, podarlem go. Widzisz, ja wiedzialem, ze chlopak jest winny. Wiedzialem.

- Ale nie byl.

- Nie, byl niewinny jak cholera. Znalezli te pieprzona tasme z jego samochodem, z kamery przemyslowej. Ale to bylo, wiesz, juz po jego smierci. Po tym jak sie zabil. To byla jego tablica. Byl w Marylandzie. - Lzy plynely strumieniem. - O Boze. Gdybym powiedzial jego adwokatowi...

- Rozumiem.

- Nie powiedzialem przyjacielowi. Temu, ktory oskarzal w tej sprawie...

- Tate'owi Collierowi?

Konnie potaknal. Uderzyl glowa w okno.

- Od chwili gdy chlopak sie zabil, Tate juz nie jest taki sam... Rzucil prace... Moja trzecia smierc. - Konnie pociagnal gleboko. - Chlopak umarl i Tate umarl, i ja umarlem. Co ja zrobilem? O Boze, co ja zrobilem?

Matthews pomogl Konniemu napic sie jeszcze raz. Zajrzal w zalzawione oczy policjanta i powiedzial:

- Czy czas nie jest krotki? Och, z pewnoscia jest. Ale dzien moze byc rownie dobry jak cale zycie. Pomysl o tym tak: rodzimy sie rano, uczymy sie troche, wygrywamy w jednych sprawach, przegrywamy w innych, rozmawiamy z Bogiem i On nas slucha albo ignoruje, a my sie dziwimy. A potem w nocy umieramy w Jego ramionach.

Glowa Konniego opadla do tylu. Policjant jeknal.

Matthews wlozyl butelke z powrotem w dlon Konniego. Nachylil sie nad nim nisko, wdychajac pot, whisky i zapach wlosow. Pocalowal policjanta w policzek.

- Judaszu - szepnal. - Ty Judaszu.

Rozdział 26

Ted Beauridge był pierwszy na miejscu wypadku.

- Och, nie - wymamrotal. - O, dobry Boże.

Dwa radiowozy policji stanowej wpadły na pole niemal jednocześnie. Jeden należał do kapitana F. W. Dobbsa, jak się okazało. Przyjechał też turkusowy samochód policji hrabstwa Prince William, a za nim dwa z Fairfax. Wezwanie mówiło o wypadku samochodowym i ofiarach. Co nie jest niczym szczególnie nietypowym w Fairfax, krainie kretych dróg, testosteronu i sportowych samochodów.

Ale w tym wypadku wziął udział służbowy taurus detektywa policji stanowej, a zatem na wezwanie odpowiedziało kilka jednostek.

Dobbs podszedł do zgruchotanego samochodu. Przygarbił się, zamknął oczy w nietypowym dla kapitana wyrazie szacunku.

Wypadek był jednym z najgorszych, jakie Beauridge kiedykolwiek widział, a przez trzynastcie lat w policji oglądał wiele straszliwych tragedii.

- Nie wiedziałem, że znow zaczął pic - powiedział Dobbs głosem pozbawionym emocji.

- Nie zaczął.

- Nie? - Tym razem w głosie Dobbsa brzmiała ironia: kapitan przyglądał się technikowi wynoszącemu w worku na dowody pusta piątą butelkę.

- Nic nie poczuli - mruknął drugi technik. - Przynajmniej tyle.

To zapewnienie, nieprzeznaczone dla kogokolwiek konkretnego, zaskoczyło Beauridge'a, ponieważ technicy policyjni widzieli już wszystko i powinni być odporni na jatke.

Para młodych ludzi zginęła na miejscu, gdy samochód Konniego zjechał nagle na ich pas. Policjant musiał jechać siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt na godzinę, ale ponieważ nie hamował, nie można było ustalić rzeczywistej prędkości po śladach kol. Poduszki powietrzne w małym

zagranicznym samochodzie tamtych dwojga otworzyły się, ale nie mogły obronić pasażerów przed wielką policyjną limuzyną, która przetoczyła się po masce ich mazdy, pozbawiając głowy zarówno meza, jak i zone. Reka kobiety zamarła wyciągnięta w kierunku, z którego nadeszła śmierć. Paznokiec wskazującego palca był pociągnięty lśniącym, opalizującym rozem.

Policyjny samochód zatrzymał się tuż za mazdą. Konnie leżał rozciągnięty na przednim siedzeniu, ciężko ranny, ale żywy. Ekipa ratownicza usiłowała go wydobyć za pomocą piły łańcuchowej.

- Nie wierze w to. Po prostu w to nie wierze - szepnął znow Beauridge.

Kapitan Dobbs, człowiek, który przede wszystkim opierał się na namacalnych dowodach, najwyraźniej wierzył, ale był równie zalamany.

- On nadal jest z żoną?

- Zostawiła go jakiś czas temu. Dlatego poszedł do AA.

- Ma kogośkolwiek?

- Nie wiem.

Szary mercedes zatrzymał się tuż za kregiem utworzonym przez samochody policyjne i karetki. Tate Collier podbiegł do samochodu Konniego. Chłodnym okiem ogarnął jatkę w mazdzie i odwrócił się do samochodu detektywa. Uskakując przed iskrami i lekceważąc protesty ratowników, wsunął głowę przez tylne okno i położył Konniemu rękę na ramieniu.

- Nie powinno go tu być - warknął Dobbs.

Ale Beauridge milczał, Dobbs nie drażył więc sprawy. Nie słyszeli, co mówił Collier, ale wyglądało na to, że Konnie płacze i macha ręką, jakby odganiał pszczołę. Collier ścisnął mocno ramię detektywa.

- Panie Collier - zawołał w końcu Beauridge - niech pan pozwoli im pracować.

Prawnik mówił jeszcze przez chwilę do Konniego, po czym odsunął się od okna i spojrzał na Beauridge'a i Dobbsa. Podszedł do nich.

- Jakie zarzuty?

- A jak pan myśli? - Dobbs zerknął na zgruchotaną mazdę. - Prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu, zabójstwo. Prokurator stanowy pewnie zmieni kwalifikację na morderstwo.

Collier podał mu wizytówkę.

- Będzie go reprezentował. Nie jest w stanie zrozumieć swoich praw. Pozwoli na przetrzymanie go w szpitalu przez dzień lub dwa przed aresztowaniem, pod warunkiem że nie będą czynione próby uzyskania zeznań pod moją nieobecność.

Dobbs skinął głową.

Zatrzymał się kolejny samochód, cywilna limuzyna z czerwoną lampką na dachu. Wyskoczyła z niego, nie zamykając drzwiczek, umundurowana policjantka o kreconych jasnych włosach. Genie Briscoe z biura. Podbiegła do samochodu Konniego, chwyciła go za rękę i nachyliła się nad nim, mówiąc coś szybko. Otarła łzę z policzka i jeszcze raz scisnęła jego rękę.

Gdy odsunęła się od samochodu, Collier podszedł do niej i objął ją ramieniem. Rozmawiali przez kilka minut. Kiwała głową. Collier pochylił się, raz jeszcze zajrzał przez okno, mruknął coś do Konniego i wrócił do swojego samochodu, po czym szybko odjechał.

- To Collier? - spytał Dobbs, spoglądając za samochodem. - Znam skądś to nazwisko. Skąd?

Beauridge westchnął i odwrócił wzrok, woląc patrzeć na wrak, niż zmierzyć się z nieuniknionym.

- To jego córka zniknęła wczoraj.

- Boże, Konnie chyba nie zajmował się tą sprawą, co?

- Obawiam się, że owszem. Trochę.

- Cholera. Zajmował się przez cały czas sprawą Devoe. To w każdym razie miał robić. Cholera.

- Zdaje się, że tylko pytał trochę tu i tam. Pod maza znaleźli zaskakująco dużo krwi.

- Mamy po uszy pracy, a ten jedzie i zabija dwoje ludzi podczas wykonywania roboty bez pozwolenia. Niech to diabli. Niech się to sprzeda w prasie.

- Może nikt...

- Zaczekaj, Ted. Ty nie byłeś w to zamieszany, prawda?

- Odebrałem tylko zgłoszenie o ucieczce. To wszystko. - Beauridge odwrócił wzrok.

- To wszystko, czego potrzebujemy. Pijany detektyw oddaje w godzinach pracy osobista przysługę i wyskakuje na zieloną trawkę, żeby dokonać milego zbrojstwa na drodze. A nam siedzi na karku lokalny polityk.

- Konnie tego nie zrobił - wymamrotał Beauridge. - Tu się zdarzyło coś dziwnego. Nie wiem co.

- Rany boskie, Beauridge - przejrzyj na oczy! Zajmiesz się tym, rozumiesz? Ty osobście. I powiedz prokuratorowi stanowemu, że będziemy bardzo chętnie współpracować. Człowieku, ja muszę dzwonić do Devoe. Cholera. - Oddalił się do swojego samochodu.

A Beauridge utkwil wzrok w ziemi, gdzie krew spod sportowego samochodu wsiąkała w kurz na poboczu, i myślał, że powinien coś zrobić dla kolegi. Ale nie potrafił wymyślić co. Odchrząknął i splunął z niesmakiem, po czym podszedł powoli do samochodu, żeby zadzwonić do biura

prokuratora.

Teczka, która ukradł, była niewłaściwa. Zatrzymawszy samochód niedaleko miejsca wypadku, sfrustrowany Tate uderzył dłonią w szarą teczkę.

- A niech to.

Bett była u niego w domu, bezskutecznie usiłowała odnaleźć Joshue LeFevre'a. Tate zostawił ją, gdy wydzwaniła po szpitalach i posterunkach policji hrabstwa Shenandoah, ale chłopak przepadł bez śladu.

Tate przezwycięzył przerażenie, które go ogarnęło na widok Konniego, i jeszcze raz otworzył teczkę.

Kiedy po raz drugi wsunął głowę przez okno samochodu przyjaciela, nie tylko go pocieszał, ale też zabrał akta, które powinny nosić imię Megan i zawierać wydruk z bazy danych oraz notes Konniego. Ale teczka nie miała nic wspólnego z Megan.

Nagle Tate zauważył nazwisko na okładce. *Devoe, Anne*.

Koleżanka Megan. Amy opowiedziała im o niej. Dziewczyna, która popełniła samobójstwo. Skupił się na zawartości teczki.

Z uczuciem rozpaczki stwierdził, że otworzyli ponownie tę sprawę, starając się o zmianę statusu z samobójstwa na morderstwo lub zabójstwo. A Konnie miał przygotować raport o tym, czy istniała przyczyna... O Boże, on miał to przygotować na jutro na dziewiątą rano. A zamiast tego pomagał nam.

A jego rozprawa jest za tydzień od poniedziałku.

Aczkolwiek po tym, co Tate zobaczył na drodze, rozprawa Konniego stała się zagadnieniem czysto akademickim.

Poczuł wzbierający gniew.

Cos się tu dzieje, pomyślał. Za dużo cholernych zbiegów okoliczności. Zniknięcie Joshuy, samobójstwo Carsona. Konnie zaczyna pic na nowo...

W tej samej chwili zauważył coś w aktach. Wśród policyjnych notatek znalazł zeznanie matki Anne Devoe. Przeczytał kserokopie starannego pisma.

W miesiącu poprzedzającym samobójstwo Anne odwiedzała trzy razy terapeuta.

Nazywał się James Peters.

Tate potrzaskał powoli głową, bezmyślnie kresząc palcem spirale na zakurzonej tablicy rozdzielczej obitej niebieską skórą. Powrócił myślami do spotkania z gładkim doktorem Petersem. Och, Tate doskonale zdawał sobie sprawę z manipulacji, z taktyki zastosowanej w gabinecie. Zbyt

dlugo uczestniczył w roznych debatach, zeby umknelo to jego uwadze. Ale zlozyl to na karb prostego faktu, ze Peters uderzal do jego bylej zony. Tate zdziwil sie, jaka poczul zazdrosc w trakcie tej rozmowy.

Ale to byla krytyka *ad hominem*. Co Tate naprawde myslal o Petersie? Zastanowil sie przez chwile i uznal, ze doktor nie mogl byc bezposrednio zamieszany w znikniecie Megan. Gdyby naprawde byl pedofilem albo sfiksowal na jej punkcie, nie zaprosilby jego i Bett na rozmowe. Na pewno nie przyznalby sie, ze jest jej terapeuta. Wczesniejszy zwiazek ofiary i sprawcy jest kluczem do rozwiazania zagadek wielu zbrodni.

Zaczal sie zastanawiac, czy jakis pacjent Petersa mogl byc w to zamieszany. Moze ktos, kto uslyszal o Megan od Anne.

To mialo wiekszy sens. Ktos z obsesja na punkcie mlodych dziewczat. Tate pozwolil myslom plynac swobodnie. Ta kobieta, z ktora pila Megan - moze to tylko przykrywka? Emily. Moze to ona zadzwonila do Petersa, udajac Megan, i odwolala wizyte? A potem porwala Megan, zanim ta doszla do gabinetu?

Wrocmy do poniedzialku. Kobieta spotyka Megan w barze.

I upija ja. Ida do parku. Umawia ja z Petersem, a nastepnie odwoluje wizyte.

Ale po co?

Dlaczego?

Przypomnial sobie slowa Konniego: motyw jest kluczem do tej sprawy.

Gdyby potrafil przewidziec dlaczego, oni mogliby wymyslic kto. Z takiego wlasnie powodu zazwyczaj arestuje sie podejrzanych. To jest glowny powod, dla ktorego sa skazywani na podstawie drobnych dowodow: motyw. Czasem sprytne ogladziny miejsca zbrodni, niekiedy zrudne przesluchania. Ale najczesciej jest to motyw. Zazdrosni mezowie zabijaja zony, partnerzy zabijaja partnerow w interesach, porywacze zabijaja zakladnikow.

Jaki jest powod?

Nie umial wymyslic zadnego.

Jeszcze nie. Ale gdyby zajrzal w akta pacjentow Petersa, moglby sie czegos dowiedziec. W budce telefonicznej sprawdzil adres doktora. Facet mial mieszkanie w Fairfax jakies pol mili od gabinetu. Tate uznal, ze trzeba sprawdzic w obu miejscach. Wykrecil numer gabinetu i gdy po trzech dzwonekach uslyszal glos Petersa, odwiesil sluchawke. A zatem najpierw mieszkanie.

Nie istnieje cos takiego jak absolutna tajemnica lekarska. Tate uznal, ze potrzebny bedzie podobny stosunek do nakazow rewizji jak w przypadku szkolnej szafki.

Rozdział 27

Szalona Megan wpatruje się w biały plastikowy noz.

Falliczny kształt poplamiony krwią i płynem surowicznym z jej zmasakrowanej dłoni, przeznaczony do tak niewinnych zadań jak rozsmarowywanie masła orzechowego na herbatnikach podczas pikników.

Rozesmiała się i wróciła do pracy.

Pilowała w przód i w tył, półprzytomna, z zamkniętym umysłem, usiłując zapomnieć o bólu - pecherzach, ściętych mięśniach, zadrapaniach i siniakach - który rozrywał jej ciało.

Po dziesięciu minutach przyjrzała się płycie gipsowej. Wycięła w niej półksiężyc o wymiarach mniej więcej dwie stopy na jedną. Wystarczy. Właź. Megan obroczyła się, oparła stopy o ściankę i pchnęła mocno. Kawalek płyty poddał się z głuchym trzaskiem i runął. Odwróciła się szybko i zaczęła wczolgiwać do środka. Poczula uderzenie gorącego, zgnilego powietrza - o mało co nie zemdlała od smrodu gnijącego mięsa.

A więc to tu znajdowało się źródło odoru przenikającego budynek. Rozejrzała się. Pomieszczenie było ciemne, aczkolwiek pod następnymi drzwiami - w ścianie mniejszego pokoju - dostrzegła światło.

Megan przecisnęła się przez dziurę, starając się oddychać jak najpłycej. Umieszcila kawałek płyty na miejscu. Wstała, patrząc wyzywająco na następne drzwi.

Proszę, nie bładźcie zamknięte.

Proszę, proszę, proszę.

Sięgnęła do klamki...

Zamknięte na glucho.

Cholera! Ciągnęła i ciągnęła, chociaż jej obolałe dłonie poddały się na długo przedtem, nim

zuzyla wszystkie sily. Upadla na kolana, szlochajac. Wyciagnela reke, zeby uderzyc piescia w drzwi, ale powstrzymala sie w ostatniej chwili, gdyz przypomniala sobie, ze starzec moze blakac sie po kaplicy. Oparla czolo o podloge i plakala cicho, az wyczerpanie pozbawilo ja oddechu.

Omdlenie trwalo jakies dziesiec minut, a gdy minelo, podniosla sie na kolana i wstala. Westchnela i zaczela powoli rozgladac sie po pokoju. Byl to magazyn, ale znajdowaly sie w nim tylko papiery; w wiekszosci ksiazki religijne i sterty gazet. Miala nadzieje, ze znajdzie jakies narzedzia, ewentualna bron, ale nie dostrzegla nic ciezkiego ani ostrego. Zobaczyla dlugi, szary lach, pobrudzony kurzem i bejca, ale serce jej podskoczilo, gdy sciagnela go z polki. Ubranie! Przyjrzała mu sie. Bylo na tyle dlugie, zeby zwiazac je w pasie jak krotka spodnice. Albo przykryc piersi jak krotkim podkoszulkiem.

Ale nie miala watpliwosci, co zrobic. Przedarla szmate na pol. Buty, pomyslala. Tego potrzebuje. Ludzie sa najbardziej bezbronni na bosaka. Najbardziej nieludscy. Potrzebowala oslony dla stop - zeby biec, zeby walczyć. Obwiazala stopy szmata i poczula, ze wraca jej pewnosc siebie.

Zostaly trzy noze. Trzeba wyciac kolejna dziure.

Bierzmy sie do roboty.

Podeszla do zamknietych drzwi i zajrzala przez szpare na dole. Tak, przez duze okno wpadalo swiatlo dzienne. Nie miala pojecia, ktora moze byc godzina, ale swiatlo sprawialo wrazenie bladego, jak przy chmurnym popoludniu, co z kolei przywolalo wspomnienie dawnych dni. Kolejne mile wspomnienie. Gdy zabrala sie do wycinania dziury w kolejnej scianie, bladzila mysalami: Idzie z ojcem po jego dopiero co obsadzonym polu kukurydzy, on po jednej stronie niskich, ciemnozielonych roslin, ona po drugiej. On idzie, a ona skacze. Bawia sie w nazywanie kazdej rosliny po imieniu.

- Kuba, Piotrek - mowila Megan, wskazujac kolejne lodygi palcem. - Kaczor Donald.

- Konstancja, Gertruda.

- Kermit.

- Terminator - odparowal ojciec, wskazujac szczególnie wyrosnieta rosline.

- Flip i Flap! - odpowiedziala Megan. - Jesteś glupiutki, tato.

- Oboje jestesmy, kochanie.

Teraz ze lzami w oczach Megan zastanawiala sie, gdzie kryly sie te wspomnienia: nie myslala o tym przez lata. Zamknela je najpewniej gdzies razem z zakupami w Pentgon City i sankami. W gabinecie doktora Petersa mogla myslec tylko o zlych rzeczach. A oto kolejne mile wspomnienie. Ona i Tate rozmawiaja, smieja sie. Okruch pamieci. Zastanawiala sie, czy wokol niego kryja sie inne dobre wspomnienia - wczesniejsze lub pozniejsze. Uznala, ze na pewno.

Wrocmy do domu i przekonajmy sie, pomyslala, pilujac sciane. Chwile pozniej poczula, ze peka jej pecherz na kolanie, a bol rozlewa sie po calej nodze. Krzywiac sie, wstala i podeszla do sterty

pozolklych gazet. Wziela lezaca na gorze i rzucila ja na ziemie, zeby na niej ukleknac. Zauwazyla, ze gazeta nie byla zlozona zwyczajnie, ale otwarta na konkretnym artykule. Przeczytala.

Samobojstwo pacjentki Szpitala Psychiatrycznego w Fairfax

Kobieta przechodzaca leczenie psychiatryczne w Szpitalu Psychiatrycznym Lee w Fairfax odebrala sobie wczoraj zycie.

Roberta Parsons, lat 46, zostala znaleziona przez sanitariuszy w swoim pokoju, kiedy nie zeszla na sniadanie. Powiesila sie na linie wykonanej z przescieradel.

Rzecznik szpitala powiedzial, ze u pani Parsons stwierdzono depresje, ale rutynowe badania wstepne nie wykazaly sklonnosci samobojczych. Parsons zostawila list, w ktorym wyznala, ze wstydzi sie swojego grzesznego zycia.

Megan wrocila do sterty gazet i wyciagnela kilka innych na chybil trafil. Przyklekla i podniosla jedna z nich do swiatla dochodzacego spod drzwi, nie zwazajac na bol w nogach.

Samookaleczenie w stanowym Szpitalu Psychiatrycznym Pacjentka Szpitala Psychiatrycznego Lee w Fairfax doznala dzis powaznych obrazen, gdy usilowala uciac sobie jezyk. Jej stan jest obecnie stabilny.

Dwudziestosiedmioletnia pacjentka, ktorej nazwiska wladze szpitala nie ujawnily, byla leczona na powazna schizofrenie.

Nie wiadomo, skad wziela noz do miesa, ktorym sie okaleczyla. Niektorzy z pacjentow maja dostep do niestrzezonej jadalni, gdzie uzywa sie ostrych sztuccow, ale okaleczona kobieta przebywala na strzezonym oddziale i nie miala dostepu do niebezpiecznych narzedzi.

Kobieta zazywala przepisana dawke thorazyny, leku majacego lagodzic objawy schizofrenii, do ktorych zalicza sie omamy i irracjonalne, nierzadko niebezpieczne zachowanie.

Zaraz po wypadku kobieta napisala kilka listow, w ktorych twierdzi, ze musiala odciac sobie jezyk, poniewaz kilkakrotnie popelnila niewybaczalny grzech, uprawiala seks oralny. Oznajmila, ze Bog kazal jej to uczynic.

Artykul z gazety z Maryland sprzed trzech lat:

Grzywna za praktyke bez zezwolenia

James Peters z Baltimore, 39 lat, oskarzony o wykonywanie zawodu lekarza bez zezwolenia, zrezygnowal z obrony. Zostal ukarany grzywna w wysokosci pieciuset dolarow.

Peters, ktory przez ostatni rok prowadzil gabinet terapeutyczny w Towson, kilkakrotnie oswiadczył tajnemu agentowi udajacemu pacjenta, ze jest licencjonowanym terapeuta z dyplomami Harvardu i Yale. Policja twierdzi, ze nigdy nie studiowal na zadnej z tych uczelni i ze nie skladal egzaminu wymaganego przez Departament Zdrowia.

Rodzina bylego pacjenta zlozyla skarge do prokuratury, gdy pacjent, ktory leczyl sie u Petersa na depresje, zaczal miec mysli samobojcze. W akcie oskarzenia stwierdzono, ze pacjent - wystepujacy jako N.N. ze wzgledu na anonimowosc - jest gorliwym metodysta i nigdy wczesniej nie wykazywal sklonnosci samobojczych.

Megan zmruzyla oczy i spojrzala na fotografii ilustrujaca artykul. Widzial na niej mezczyzna wychodzacy z budynku sadu. Mial brode. Ale byl to z pewnoscia ten sam James Peters, u ktorego miala sesje. Czlowiek, ktory byl rowniez Aaronem Matthewsem.

Czula, ze powinna zabrac sie do wycinania dziury, ale artykuly ja wciagnely.

Samookaleczenie

Stan Irwina L. Campbella, lat 46, zamieszkalego w Luray, ktory odcial sobie czlonka, jest juz stabilny.

Rzecznik Szpitala Hrabstwa Shenandoah powiedzial, ze Campbell, byly kierowca ciezarowki, czul sie przygnebiony i „winny jak diabli”, poniewaz zadawal sie z prostytutkami na parkingach dla ciezarowek w Wirginii Zachodniej, Wirginii i Tennessee. W zeszlym roku przyznal sie do winy, oskarzony o molestowanie seksualne.

Wedlug doniesien Campbell byl zwiazany z ruchem odnowy religijnej we Front Royal i uznal, ze odciecie czlonka bedzie jedyna metoda uwolnienia sie od popelnionego grzechu.

Lekarzom udalo sie przyszyc organ, ale watpia w mozliwosc odzyskania przez Campbella zdolnosci seksualnych.

Megan wyciagnela ze sterty nastepna gazete. Sprzed czterech lat.

Samobojstwo Colby

Zastepcy szeryfa twierdza, ze Loretta Colby, 48 lat, zamieszkala we Front Royal, popelnila samobojstwo.

Pania Colby, wdowe, znalazla jej corka, ktora nastepnie bezskutecznie probowala przywrocic ja do zycia. Zdaniem biura szeryfa przyczyna smierci bylo przedawkowanie srodkow uspokajajacych i alkoholu.

Corka powiedziala, ze miala sie spotkac z matka na zakupach po jej powrocie z Katedry wsrod Sosen, osrodka odnowy religijnej na obrzezach Front Royal, do ktorego pani Colby uczeszczala od pietnastu lat.

Wielebny Aaron Matthews, przywodca kosciola, ktory nie jest zwiazany z zadnym oficjalnym wyznaniem zielonoswiatkowym ani innym, oswiadczył, ze istotnie spotkal sie z pania Colby tuż przed jej samobojstwem. Czula sie od jakiegos czasu przygnebiona z powodu samotnosci oraz przekonania, ze zyła w grzechu - powiedzial, ale dodal, ze nic nie wskazywalo na to, ze zamierzala odebrac sobie zycie.

Megan odlozyła gazete i wyciągnęła kilka następnych.

Samobójstwo we Front Royal

Policja stanu Wirginia ujawniła, że Janet Lynne Baker, lat 35, zamieszkała przy Cedar Grove Road 345 we Front Royal, popełniła w sobotę samobójstwo.

W pozostawionym liście, przyznała się do romansu, w którym oddawała się seksowi analnemu i innym „grzechom przeciwko Bogu i ludziom”. Oznajmiła, że jej śmierć będzie odpowiednią karą za winy. Zdaniem policji stanowej przyczyną śmierci było zatrucie i krwotok wewnętrzny spowodowany wypiciem butelki z płynem do udrażniania rur.

- Nie rozumiemy tej tragedii - powiedziała jej siostra, Alice Kent. - Dopiero co nawróciła się i została aktywnym członkiem miejscowego kościoła. Była dumna z ponownych narodzin. Nie wyobrażamy sobie, że mogła targnąć się na własne życie.

Megan wstała i zaczęła grzebac w pudłach, zrywając wieka i wyciągając osobiste papiery. Sporo zeznan podatkowych i dokumentów finansowych. Ale na dnie jednego z zaplesniałych pudeł znalazła grubą szarą teczkę, z pieczęcia *Osobiste i tajne. Nie wynosić ze szpitala.*

Na teźce widniało logo Szpitala Psychiatrycznego Lee.

Zawierała akta pacjenta Aarona Matthews. Znajdowało się tam jego zdjęcie. A więc to był fikcyjny doktor James Peters.

Megan przeczytała raport. „Przyjęty z diagnozą depresji, halucynacji o charakterze socjopatycznym, zachowan granicznych”. Zauważyła, że przez wiele lat leczyli go wszelkimi możliwymi lekami i że odbył sporo sesji terapeutycznych.

Znalazła zapisy sesji.

Matthews: Jak pan sądzi, gdzie w ciele przebywa grzech? W szyszynce, języku, penisie czy lechtaczkach? A może w paluchu?

Dr Felling: Grzech to abstrakcja, Aaronie. Myślę, że można by powiedzieć, że mieści się w korze mózgowej. Jeśli musisz tak na to patrzeć.

Matthews: A więc jak go wytrzebić? Wyciąć jak guza? Bog chce tego od nas. Wiem to na pewno.

Dr Felling: Czy słyszysz głos Boga, Aaronie?

Matthews (ze śmiechem): Nie, ale czytam Biblię. A pan nie?

Podjęrzewała, że albo go zwolnili, albo uciekł, zabierając ze sobą akta. Był szalony. Jak seryjny morderca. Przekonywał ludzi, żeby zabijali samych siebie. A może namawiał ich do pisania listów samobójczych i ich mordował. Rzuciła okiem na kolejny artykuł.

Władze hrabstwa zamykają ośrodek odnowy religijnej.

W związku ze skargami parafian i zaleceniami ze strony kilku wirginijskich kościołów zielonoswiatkowych władze hrabstwa zamknęły Katedrę wśród Sosen, oboz odnowy religijnej pod Front Royal.

Jako przyczynę cofnięcia kościołowi zezwolenia na organizowanie zebranych publicznych władze podały przypadki łamania przepisów bezpieczeństwa i higieny, ale z dobrze poinformowanych źródeł dowiadujemy się, że kościół przyciągał uwagę władz, gdy czwarty parafianin popełnił samobójstwo.

- Policja sądzi - powiedział miejscowy pastor, który pragnął zachować anonimowość - że kościół miał zadatki sekciarskie. Jak sekta Koresha w Teksasie.

Założony przez samozwanczego wielebnego Jamesa Matthews w końcu lat 50. kościół stał się popularnym miejscem spotkań ewangelizacyjnych, odkąd syn Matthews, Aaron, zaczął głosić kazania w wieku jedenastu lat. Chłopiec został uznany za cudowne dziecko i przez dziesięć lat przyciągał ludzi do obozu.

Katedra wśród Sosen nie jest związana z żadnym oficjalnym wyznaniem chrześcijańskim.

Aaron Matthews od wielu lat nie był związany z kościołem, ale powrócił, gdy James Matthews zniknął pięć lat temu, niedługo po aresztowaniu w związku z napadami na córki dwojga swoich parafian. Do wszystkich samobójstw doszło po powrocie Aarona Matthews do głoszenia kazań i kontaktów z wiernymi.

- Nie wątpię w uczciwość wielebnego Matthews - powiedział miejscowy pastor - ale czasy kazań o ogniu piekielnym minęły. Byłem na kilku spotkaniach tego ruchu. On straszył ludzi, bardzo ich straszył. Rzucił im grzechy w twarz. Tego się już nie robi.

Aaron Matthews, którego chcieliśmy poprosić o komentarz w tej sprawie, był nieuchwytny.

W ręce Megan wpadła najnowsza gazeta i dziewczyna poczuła, że serce jej zamiera.

Nie była pozostawiona jak pozostałe. Miała datę zaledwie sprzed miesiąca. Megan stłumiła szloch. Nie musiała czytać artykułu. Czytała go dziesiątki razy, znała go na pamięć. Wystarczył nagłówek.

Śmierć córki kongresmena Devoe - prawdopodobnie samobójstwo.

On to zrobił! Och, Annie... Dlaczego ty?

Megan przypominała sobie rozwiane włosy dziewczyny, jej jasne oczy, łagodny głos. Dlaczego?

Matthews... ty skurwysynu...

Zaczeka na niego, postanowiła. Zerwie aksamitną zasłonę, żeby wiedział, gdzie jest, a sama schowa się za drzwiami. Gdy zajrzy tu, rzuci się na niego, krzycząc, i zada mu cios w plecy. On

obroci sie, a ona uderzy go w oczy, w twarz...

W tym przyplywie determinacji zacisnela obolale palce na jedynej broni, jaka miala - nozu. I pomyslala: Nie, to nie jest zadna bron, to lichesy kawalek plastiku. Moze mi pomoc tylko w wydostaniu sie stad.

Niemniej, gdy odwrocila sie z powrotem do sciany, odetchnela gleboko, zeby uzbroic sie przeciwko bolowi, i zaczela pilowac; poczula, ze gniew w niej wzbiera. Nie wyparuje. Bedzie pelzl po jej ciele, szukajac miejsca, by sie zagniezdzić, zwinac sie i czekac. I moze rosnac.

Po pieciu minutach ostrze przebilosciane i Megan musiala uzyc obu rak, zeby chwycic plastik, ale zaczela ciac mocno, klezczac i przyciskajac czolo do plyty gipsowej. Przyszlo jej do glowy, ze wyglada nie jak uciekajacy wiezien, ale pokorna pokutnica pograzona w modlitwie.

Rozdział 28

Juz prawie piątek.

Aaron Matthews nie myślał jednak o córce, ale o matce.

Bett McCall.

Było wokół niej coś tajemniczego. Megan nie miała do końca racji podczas sesji. Tajemniczość Bett nie była udawana, nie była tylko próbą podreperowania własnego ego. Naprawdę dostrzegł w niej jakąś głębię. Piękność stanowiła jej część, na pewno. Jej milczenie? Tak, to zapewne też; była osobą zamkniętą, utrzymującą iluzję, że jest właśnie ta kobieta, której pragniesz, idealnym przedmiotem pożądania.

Pojął, dlaczego Tate Collier jej pozadał, i zrozumiał, że mógłby ugodzić go jeszcze bolesniej, gdyby odebrał mu również Bett.

Była prawie dziewiąta wieczór i Matthews pakował się w gabinecie, ponieważ następnego dnia zamierzał opuścić granice stanu. Usiadł na obrotowym krześle i zamknął oczy. Wyobraził sobie, że leży na Bett McCall. Ze się kochają. Wyobraził sobie, że później wbija jej igły w szyję. Rzecz jasna będzie się bronić, ale jest tak drobna, że bez trudu da jej rade - jej córka była większa, silniejsza, a uporał się z nią bez problemów.

I co potem?

Samobójstwo - nie. Nie po śmierci Carsona. Zbyt podejrzane.

Może wypadek.

Obrocił się na krześle w zamysleniu. Nie, nie - wcale tego nie chce. Wypadek samochodowy, upadek - to mógł łatwo zaaranżować. Ale tak naprawdę Matthews chciałby ją związać naga, wsunąć jej noż do ust i wyciągnąć język, później by krzyknęła, a dusza uleciałaby z konającego ciała.

Chwycił podporki krzesła spoconymi dłońmi. Dlaczego nie? - pomyślał. Jutro wyjedzie na zachód. Opuści na zawsze ten rejon. Nie będzie już musiał dbać o pozory. Nareszcie nie będzie

musiał martwić się o wyjaśnienia i zacierać śladów. Bett McCall może po prostu zniknąć.

Ale to nie będzie łatwe do zorganizowania. Pomimo tego, co Megan powiedziała mu podczas sesji, Tate i Bett sprawiali wrażenie nierozłącznych - w każdym razie podczas poszukiwania córki. Czy to nie za trudne? Nie odważyłby się narazić swoich planów związanych z Megan. Może będzie musiał odpuścić sobie Bett...

Poczytał przez dziesięć minut Biblię, studiując lirykę Psalmów. Zadzwoił telefon.

- Słucham?

- Doktor Peters? - W głosie kobiety pobrzmiwało wahanie.

- Tak. - Az się wyprostował ze zdziwienia.

- Tu... tu Bett McCall. Matka... - powiedziała.

- Poznałem panią po głosie. - Matthews zamknął Biblię. Twarz mu płonęła niespodziewanym ogniem niecierpliwości. - Ma pani jakieś wiadomości od niej? - zapytał.

- Nie. Ale zastanawiałam się...

- Tak?

- Czy mogłabym wpaść do pana? Wiem, że już późno, ale zupełnie wariuje i nie wiem, co... - Głos jej się załamał. - Przepraszam. Po prostu bardzo się tym wszystkim martwię.

- Nie ma za co przepraszać. - Matthews usiłował stłumić nagłą erekcję. Denerwowała go. - Chętnie się z panią spotkam. - Urwał. - Tylko z panią?

- Mam nadzieję, że pana nie urazi, ale mój mąż jest nieco sceptycznie nastawiony do terapii. Chciałabym przyjść sama. - Chwila milczenia. - Zamierzałam mu o tym nie mówić. O ile uważa pan, że tak wypada.

- Nie ma żadnego problemu. Mam teraz wolną chwilę. Proszę wpaść.

- Czy potrzebuje polisy ubezpieczeniowej albo czegoś takiego?

- Zajmiemy się tym później - odpowiedział uspokajająco.

Zaluzje opuszczone, książki i czasopisma ponownie wypakowane i ustawione na miejscu, żeby niczego nie podejrzewała.

Matthews uśmiechnął się i wstał, przyglądając się dokładnie kobiecie. Miała na sobie obcisłe czarne dzinsy i czarny podkoszulek, ekstrawaganckie kolczyki się kolysały: sierpy księżycy i meteory. Wyczuł delikatny zapach perfum.

W jej ciemnych oczach malowało się dokładnie tyle niepewności, ile się spodziewał.

Oczy. Zawsze oczy.

- Proszę bardzo. Proszę siadać. - Zerknął w stronę kozetki, ale ona wybrała krzesło. - Ciesze się, że mnie pani złapała. Właśnie pakowałem się na weekend.

Strzykawka była już napelniona, czekała pod kserokopią artykułu z „Journal of the American Association of Psychopathology”.

Zaplanował dokładnie wszystkie działania. Zrobi jej zastrzyk, zawiezie ją w odludne miejsce w parku Bull Run, który jest po drodze do Katedry wśród Sosen. Tam rozbierze ją, zwiąże, otworzy jej usta i zabierze trofeum - prezent dla jej córki.

A miejscem spoczynku Bett będzie płytki grób.

Noż myśliwski parzył go w udo. Uśmiechnął się ponownie.

- Jak się pani czuje?

- Bywało lepiej.

Potrzaskał głową.

- Gdy państwo tu byli, wyczulem, że pani cierpi najbardziej.

- Tate... - szukała słów.

- Mam wrażenie, że się nie przejmuję.

- Nie, to nie tak. Po prostu on nigdy nie był silnie związany z Megan.

- Istnieje związek rodzicielski.

- Ale miał pan rację co do jego odejścia z biura prokuratora. Chodziło o coś więcej, niż powiedział.

Matthews unosił brew.

- Skazał niewinnego chłopaka, który popełnił samobójstwo.

- To smutne. - Matthews się skrzywił. - Czy jego ponowne pojawienie się w pani życiu jest źródłem problemów?

- Tak, trochę. Czuję zamieszanie.

- A więc nie przyszła pani tylko z powodu córki, tak?

Zawahala sie. Po czym skinela glowa.

- Chyba tak.

- Musze pani cos wyznac - powiedzial Matthews. - Przyciagnela pani moja uwage, gdy tylko pani weszla wczoraj do gabinetu.

Spojrzala mu prosto w oczy. Ostroznie, ale bez przykrosci. Matthews widzial to.

Rozesmial sie.

- To nie grzecznościowa formułka. Moja reakcja na pania jest ważna, ponieważ po części dyktuje mi, jak postępować.

- Co jeszcze panu mówi?

- To się zobaczy.

- Pan mnie nie zna.

- Nie znam? Myślę, że znam. Wiem, że jest pani namietna, że robi pani wszystko, co w pani mocy, żeby odnaleźć córkę, którą pania odrzuciła, wiem, że mąż bardzo pania zranił, wiem, że potrzebuje pani miłości.

- Mówi pan jak wrożka. Spotkasz tajemniczego bruneta. Wyjedziesz w podróż. A co z moją reakcją?

- Na co?

Bett zawahala sie.

- Na cokolwiek.

Co znaczyło: Na ciebie.

- To właśnie musimy zrozumieć, prawda? - Matthews odchylił się na krześle i spojrzał w dół, żeby upewnić się, że Bett nie może zobaczyć strzykawki. - Twierdzi pani, że córka jest zagniewana. Coż, muszę przyznać, że jest. Ale powiedziałbym, że w pani też jest gniew. Na meza. - Podniósł rękę. - Czuje pani gniew w tym najbardziej kłopotliwym miejscu, w podświadomości. Musi pani coś z tym zrobić. Pani to wie, ale równocześnie się boi.

Zacisnęła usta, w oczy wkraśl się chłód. Ale Matthews spodziewał się takiej reakcji. Chwile później odezwała się zamysłona:

- Może to prawda. Nie wiem. Niewykluczone.

- Pani mąż wyciągnął coś na powierzchnię. Pani nie wierzyła w siebie jako kobietę, gdy byliście

malzeństwem. Czy tak?

Boisz się odpowiedzieć, Bett McCall, ale twoje oczy mówią za ciebie.

- Ale nauczyła się pani niezależności - ciągnął. - Nauczyła się pani być kobietą, gdy zerwaliscie. - Mówił łagodnie. Wstał i usiadł na kozetce koło niej.

Odrzuciła włosy - bardziej nerwowo niż uwodzicielsko. Ale trochę uwodzicielsko.

Najpierw przeleci ją na kozetce. Przed zastrzykiem. A może później. To bez znaczenia.

- Nie powinnam była tu przychodzić.

Ilu ludzi mówi mi nie, mimo że jest to ostatnia rzecz, jaką chcę powiedzieć?

- Ależ powinna pani. Serce nas prowadzi. Jest mądrzejsze od wszystkiego innego: umysłu, duszy, zwierzęcego instynktu. Nasze serce.

Dziewczecym ruchem owinęła sobie kosmyk włosów wokół palca.

Dotknął lekko jej kolana. Wyglądała na zaskoczona, ale nie cofnęła się ani nie drgnęła.

- Myśli pan, że to serce mnie tu przywiodło?

Potaknął.

- Tak myślę.

- Dlaczego?

- Ponieważ w pani życiu czegoś brakuje. Nawet pani tego nie wiedziała, dopiero spotkanie z mężem to pani uświadomiło. Czy mogę panią pocałować?

- Nie - szepnęła.

Pocałował. Ich usta się rozwarły. Oddał pocałunek. Mocno.

- Ja... Nie, ja mam narzeczonego.

- I byłego męża - dodał Matthews. Jego ręka osunęła się na jej piers. Wzdrygnęła się, ale nie z niechęci. - Ale przede wszystkim jest pani sobą.

- Tylko o tym nie wiem.

Pogładził dłoń jej sutka.

Krzyknęła na dźwięk elektronicznego dzwonka w torebce.

- Och...

- Pager cnoty - szepnal.

Rozesmiali sie oboje.

Wciagnela gleboko powietrze, przeczesala reka wlosy, odsunela sie.

- Przepraszam. Moge zadzwonic? To moze byc Megan.

- Oczywiscie.

Odczytala numer z cieklokrystalicznego ekraniku pagera i wykrecila.

Matthews usiadl na krzesle, zerknal na kserokopie i zacisnal palce na strzykawce.

Wybierajac numer, Bett McCall zerknela w oczy Petersa, po czym odwrocila wzrok. Wiedziala, kto dzwoni. Tate Collier zakonczyl wlasnie przeszukiwanie mieszkania doktora.

Tate opowiedzial jej o dziwnym zwiazku miedzy Anne Devoe i Petersem, postanowili wiec, ze ona zatrzyma doktora w gabinecie, podczas gdy on przetrzasnie mieszkanie w poszukiwaniu akt pacjentow. Z poczatku czula opor wobec takiego oszustwa, ale wyrzuty sumienia znikly.

Ten dupek lubieynie mnie dotykal.

I beznadziejnie calowal.

Dwie rzeczy, ktore postanowila ukryc przed swoim bylým.

Tate odebral sluchawke automatu.

- Bett?

- Tak, ja...

- Posluchaj bardzo uwaznie - powiedzial glosem cichym i naglacym. - Nie jedz do niego.

Spuscila wzrok.

- Jak powaznie mam to traktowac?

- Chyba nie jestes tam, prawda? W gabinecie?

Zerknela na doktora i skrzywila sie.

- Moj partner w interesach. Mamy na oku niezla okazje. - Przyslonila sluchawke dlonia tylko czesciowo, zeby Tate uslyszal. A do telefonu powiedziala lekko: - Nie moglibysmy odlozyc tego do jutra?

- Uciekaj stamtad. Natychmiast!

- Mam własnie bardzo wazne spotkanie. - Nigdy jeszcze nie slyszala w jego glosie takiego ponaglenia. Czula, ze rece sie jej poca.

- Posluchaj - powiedzial. - Znalazlem co nieco w tym mieszkaniu. Pamietasz ten proces sprzed kilku lat? Ten, o którym ci opowiadalem, z tym chlopakiem, który powiesil sie w wiezieniu?

- Tak, chyba sobie przypominam. - Usmiechnela sie i szepnela na boku: - Tylko minutke.

- Oskarzony nazywal sie Peter Matthews.

- Tak? - spytala niewinnie. Czula, ze rumieni sie z przerazenia.

- James Peters nie istnieje. Znalazlem paszport. To jest Aaron Matthews, ojciec tego chlopaka. Jestem pewny, ze porwal Megan, zeby wyrownac ze mna rachunki.

Bett poczula pustke w glowie, chwycila mocno sluchawke. Matthews przygladal sie jej teraz z pewnym niepokojem.

- Tak, rozumiem - zmusila sie do odpowiedzi. - To troche dziwne, zwazywszy na okolicznosci. Masz jakis pomysl?

- Uciekaj natychmiast - odpowiedzial Tate. - Wyjdz.

- Skoro to tak wazne... - Jej glos moglby sluzyc za wzorzec zatroskanej bizneswoman. - Musze przyznac, ze to mi bardzo komplikuje sprawy.

- Powiedz mu, ze musisz... - zaczal Tate. Rozlegl sie cichy trzask i nagle glos jej bylego meza, zniekształcony przez statyke, wypelnil caly pokoj - ...wyjsc do toalety i uciekaj gdzie pieprz rosnie!

Matthews nacisnal przycisk glosnika.

Z usmiechem polozyl reke na widelkach.

- No, no - powiedzial.

Ich oczy sie spotkaly. Jego lagodny wyraz twarzy nie zmienil sie, ale oczy w niesamowity sposob nabraly twardosci stali, gdy powolnym ruchem podniosl strzykawke z biurka.

Wstal z kozetki, wciaz powoli, i zakladajac, ze Bett rzuci sie do ucieczki, stanal miedzy nia a drzwiami.

To byl blad. Bett poczula w sercu wybuch wscieklosci na czlowieka, który porwal jej corke i z pewnoscia naszpikowal tym samym lekiem, który zamierzal jej teraz zaaplikowac. Udala, ze biegnie do drzwi, a Matthews dal sie nabrac. Skoczyl w tym kierunku i zorientowal sie zbyt pozno, ze ona nie ma zamiaru uciekac. Cofnela sie w glab gabinetu, chwycila stojaca na biurku ciezka szklana

popielniczke i rzuciła ją w Matthews. Uchylił się, ale uderzyła go rykoszetem tuż nad uchem, aż oparł się ogluszony o regał, zrzucając książki.

Bett cisnęła niewielką ławą i trafiła go w żołądek. Upuścił strzykawkę i zgwałcił się w pole, chwytając za brzuch. Bett rzuciła się na niego, bijąc i tłukąc, drapiąc paznokciami, celując w oczy. Ale on był potężnym, wysokim mężczyzną, gdy więc pokonał ból, usiadł i odepchnął ją od siebie. Zamierzył się, by uderzyć ją w twarz. Gdy się zasłoniła, chwycił ją mocno tuż poniżej piersi. Przydusił ją i upuścił na ziemię. Podniósł się, dysząc ciężko, i otarł krew z policzka i oka.

- Gdzie ona jest? - wycharczała Bett.

- Niedługo ją zobaczysz - szepnął Matthews z uśmiechem.

Wyciągnął rękę, chwycił Bett za włosy i postawił na nogi.

- Nie! Przestani!

Omdlała na chwilę, a kiedy rozluźnił uchwyt, wyrwała mu się i podniosła strzykawkę. Matthews wyciągnął szybko lewą rękę i chwycił ją za nadgarstek, sciskając mocno. Trzymała strzykawkę nieruchomo nad ich głowami. Prawą ręką wydobyl z kieszeni wielki składany noż. Otworzył go zębami, a Bett z przerażeniem dostrzegła ciemne plamy na ostrzu. Matthews odwrócił noż ostrzem do góry i - wciąż trzymając jej prawą rękę w gorze - przycisnął Bett do ściany.

- W imię Ojca - szepnął - i Syna, i...

Nacisnęła tłoczek i trysnęła mu lekarstwem prosto w twarz. Krzyknął z bólu. Bett wyrwała rękę i uskoczyła w bok, a noż minął ją o kilka cali.

Kopnęła stojącą lampę, która upadła z trzaskiem, i w pokoju zapadła ciemność. Matthews ruszył w kierunku dźwięku i uderzył ponownie. Bett uniknęła ostrza i pobiegła do drzwi. Otworzyła je szarpnięciem i dostrzegła na ścianie drugiego pokoju nie portret Freuda czy Junga, ale rozmodlonego świętego przebitego strzałami, a następną rzeczą, jaką zapamiętała, było docisnięcie pedału gazu do deski. Wskoczyła na jezdnię tak szybko, że mijająca ją ciężarówka zjechała na krawężnik i w krzaki.

Volvo rozpedziło się już do sześćdziesiątki, a światło na skrzyżowaniu mignęło jej przed oczami jak rozmazana czerwona spadająca gwiazda.

Rozdział 29

Collier: Panie i panowie, obrona powiedziała, że oskarżony Peter Matthews jest synem i wnukiem kaznodziejów związanych z ruchem odnowy religijnej. Ze jego ojciec był człowiekiem o rozchwianej psychice, miewającym depresje i omamy, człowiekiem, który przez pewien czas wierzył, że przemawia przez niego Bóg.

Człowiekiem, którego ojciec został aresztowany za okaleczenie młodej dziewczyny, należącej do jego wiernych, ponieważ uważał, że zgrzeszyła przeciwko Bogu.

Ale wedle prawa jak syn nie jest odpowiedzialny za grzechy ojca, tak umysłowe problemy ojca nie usprawiedliwiają czynów syna. Peter Matthews miał dzieciństwo mniej sielankowe, niż można by pragnąć. A kto z nas nie miał? Niemniej reszta nas nie wykorzystuje przykrych wspomnień jako usprawiedliwienia dla zabijania.

Tate i Bett siedzieli pod gabinetem Petersa w jej samochodzie. Tate zadzwonił na 911, gdy tylko usłyszał dźwięk rozłączonego telefonu. Wezwał policję hrabstwa i stanową. Bett pognęła do budki telefonicznej w pobliżu mieszkania Petersa, gdzie mieli się spotkać, i zabrała go. Natychmiast wrócili do gabinetu, żeby czekać na policję.

Nie, oskarżony nie był doprowadzonym do ostateczności chłopakiem, który wpadł w sidła słepej pasji. Nie mamy na to cienia dowodu. Jest inteligentny, opanowany, chłodny, racjonalny.

I do jakiego to celu wykorzystał oskarżony to swoje opanowanie 13 grudnia zeszłego roku?

Przyjrzyjmy się temu razem. Panie i panowie, zamknijcie oczy... Proszę. Zamknijcie oczy. Chodźcie ze mną. Jest 13 grudnia w Fairfax w Wirginii, dzień zimny, pochmurny, wilgotny. Wrocmy tam. Przejdźmy przez drzwi mieszkania Rose Marie Dobrith. To małe mieszkanie. Jedna sypialnia na Burke Station Road. Dzielnica zamieszkała przez rodziny i młodych ludzi startujących w dorosłe życie. Niedaleko jest kawiarnia, w której Rose Marie często je śniadanie przed pojsciem do pracy w sklepiku na Chain Bridge.

Wchodzimy do wąskiego korytarza i saloniku. Rose Marie wprowadziła się dwa miesiące temu, ale bardzo chciała nadać temu miejscu osobisty charakter i ciężko nad tym pracowała.

Macie zamknięte oczy, wyobrazacie to sobie?

Na niewielkim stoliku z drewna klonowego stoja zdjęcia Rose Marie z jej ojcem Edwardem i matka Kendrick, która umarła sześć lat temu. Zdjęcie Rose Marie z przyjaciółką na wakacjach w Disneylandzie. Porcelanowy czarny kot z wypreżonym grzbietem. To prezent od narzeczonego - człowieka, który zamierza ją zamordować za dziesięć minut.

Ten sam człowiek siedzi dziś w sądzie. Oskarżony Peter Matthews.

Jesteśmy w mieszkaniu Rose Marie w tę wilgotną noc 13 grudnia. Rose Marie siedzi na podrobie wschodniego dywanu. Jest północ. Rose Marie ma na sobie niebieski szlafrok, czesze długie rude włosy. Ogląda prezenty, które dostała dla dziecka od przyjaciół tydzień temu. Jest w ciąży od siedmiu miesięcy i czterech dni.

W drzwiach przekreca się klucz. Gdyby usłyszała pukanie, byłaby zaskoczona, zaniepokojona. Ale jest jeden człowiek, który ma klucze do tego mieszkania - oskarżony. Wstaje podekscytowana. Z jednej strony cieszy się, że go widzi, bardzo się cieszy. Jest w nim zakochana. Ale z drugiej strony - niepokoi się. Wcześniej tego dnia się pokłócili. Byli na zakupach i pokłócili się.

Na środku hali rozplakala się z powodu okropnych rzeczy, jakie jej powiedział. Wyszła ze sklepu, zostawiając zakupy. Oskarżony krzyknął za nią: „Nie oddalaj się, dziwko!”.

Tak właśnie rozstali się po południu. A teraz Rose Marie podnosi wzrok i widzi go. Czuje ulgę. On czasami pije, ale dziś nie pił. Jest absolutnie trzeźwy. Ma niczym niezakłócony osad rzeczywistości. Rose Marie także ma nadzieję. On ją przytula.

Rose Marie pozostało tylko osiem minut życia.

Co do siebie mówią? Nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy, że dochodzi do bojki. Stół jest przewrócony, szklanki potłuczone. Ona drapie go po twarzy, usiłując się bronić. On kopie ją w powiększony brzuch, w którym spoczywa ich nienarodzona córeczka.

Czy macie oczy zamknięte, panie i panowie? Czy wyobrazacie sobie tę scenę?

Cztery minuty życia.

Oskarżony przechodzi do kuchni, bierze długi noż. Ten, który oglądaliście. Nie, nie patrzcie teraz na niego. Nie otwierajcie oczu. Wyobrazcie sobie, jak oskarżony wraca do pokoju z nożem w ręce.

Rose Marie pozostały dwie minuty życia. Może krzyknęła: „Nie, nie krzywdź mojego dziecka!”.

Ale on zbliża się z nożem i uderza raz i drugi, i kolejny.

Widzicie ja, panie i panowie? Widzicie wyraz smutku na jej twarzy w tej ostatniej minucie życia?

Juz! Otwórzcie oczy! Spójrzcie na oskarżonego, na człowieka, który zabił swoją narzeczoną i swoją córkę. Zabił je, ponieważ mogły stanowić przeszkodę w jego hulawczym, zepsutym życiu. Nie mogliśmy pomóc Rose Marie, gdy błagała go, żeby przestał.

Ale możemy jej pomóc teraz. Możemy pomóc jej ojcu i siostrze. Możemy pomóc jej przyjaciółom. Możemy pomóc jej nienarodzonej córeczce, której nie dano żadnej szansy. Możemy ubiegać się o karę śmierci dla oskarżonego - karę, którą ludzie w stanie Wirginia wymierzają za zbrodnie takie jak ta, za jego zbrodnie, za zbrodnie nie do opisania.

Dante pisze w „Boskiej komedii”, że najlepsza odpowiedź na zły czyn jest milczenie czynów. Nie słowa, nie debaty, nie obietnice. Milczenie czynów. Proszę was, żebyście czynem odpowiedzieli na zadanie przez prawo stanowe sprawiedliwości, wydając wyrok śmierci.

Dziękuję, panie i panowie.

Bett poruszyła się, odrywając Tate'a od zapisu odtwarzanego w myślach.

- Gdzie oni są? - zapytał, mając na myśli policję.

Dzwonił dwa razy. Raz, żeby zgłosić napad na Matthews'a, drugi - żeby podać markę jego samochodu. Matthews najwyraźniej ukrył gdzieś szarą furgonetkę i jeździł teraz ciemnoniebieskim Buickiem, aczkolwiek Bett nie dała rady spisać numerów podczas pośpiesznej ucieczki z gabinetu.

Matthews nie mógł uciec daleko. Wydadzą pełny list gończy i znajdą go. Czy ujawni, gdzie jest Megan, to już inna sprawa.

Jesli dziewczyna żyje.

Fenomenalna pamięć Tate'a Colliera raz jeszcze przebiegła akta sprawy *Stan Wirginia kontra Matthews*, ogromna masa dokumentów. Podobnie jak akta spraw kryminalnych na całym świecie była ona godna podziwu, ponieważ - jako jedyna na świecie - zawierała ostateczną prawdę. W protokole wspólna opinia ławy przysięgłych zamienia się w świętą, niepodważalną prawdę.

Tyle że w przypadku syna Aarona Matthews'a niebiosy skłamały.

Argument: Zdrapania na twarzy Petera, które zdaniem Tate'a (przekonał o tym ławę przysięgłych) pochodziły z bojkotu z Rose Marie, mogły się pojawić, kiedy został schwytany przez policjantów podczas aresztowania. Pod paznokciami ofiary nie znaleziono śladów jego skóry.

Argument: Peter Matthews mógł mówić prawdę - czemu Tate zaprzeczył w pierwszym podejściu - gdy zeznał, że był z wizytą u narzeczonej na dzień przed morderstwem i zostawił odciski na nożu, przygotowując kolację.

Argument: Pani psycholog - jej zeznanie zostało podważone przez krzyżowy ogień pytań Tate'a - mogła mieć rację, gdy oznajmiła, że jej zdaniem chłopak tak tęsknił za normalną rodziną, że był niezdolny do przemocy wobec kogoś, kogo kochał. Raczej dążył do zabicia kochance, niż skrzywdził ją w samoobronie, powiedziała, a kłótnia w supermarkecie była wyłącznie sprzeczka dwojga

młodych ludzi.

Argument: Chłopak, niewinny jak Izaak, powiesił się w celi śmierci na trzy dni przedtem, jak Tate miał występować na jego procesie apelacyjnym w Richmondzie.

- Myślisz, że ona jest cała i zdrowa? - spytała cicho Bett.

Dotknął jej ramienia i nie odpowiedział. W milczeniu przytuliła się do niego. Włączyła radio. Bili Monroe i Bluegrass Boys zaintonowali piosenkę o niewiernych kochankach.

- Tate?

- Na pewno. Gdzie, u diabła, podziewa się policja?

W tej chwili w oddali zobaczył światła kogutów. Zbliżały się z obu stron. W ciszy. Bez syren. Wylączył radio.

Trzy samochody zahamowały ostro przy chodniku, a pięciu potężnych funkcjonariuszy wyskoczyło z wyciągniętymi pistoletami.

Tate również wysiadł z samochodu, wskazując na gabinet Petersa.

- Dzwoniłem pół godziny temu! Gdzieście się podziewali? On ucieknie.

- Pan jest Tate Collier?

- Tak, to ja. Macie nakaz aresztowania? Myślałem, że pojechał na zachód. Tam jest oboz odnowy religijnej, który założył jego ojciec, sędze więc...

- Może pan tu podejść? - Policjant wskazał swój samochód.

- Nie ma czasu! Trzeba działać!

- Rece proszę położyć na dachu.

- Co?

- Mam nadzieję, że nie będzie pan nam utrudniał pracy.

- Co wy, u diabła, wyczyniacie?

Nie odpowiedzieli. Nie od razu. Dwaj policjanci najpierw go obszukali. Następnie zakuli w kajdanki i odczytali mu jego prawa. Dopiero gdy skończyli, poinformowali go, że został aresztowany za morderstwo.

Aaron Matthews uwijał się w mieszkaniu, które wynajął jako James Peters. Pakował się.

Powrót tutaj był ryzykowny. Tate najwyraźniej przeszukał mieszkanie - może nawet Bett

wykretila z gabinetu ten numer. Ale nie mial wyboru. Chcial zabrac ksiazki i obrazy ojca. A przede wszystkim chcial zabrac dziesiec tysiecy dolarow gotowka - czesc oplac wnoszonych przez parafian Katedry przez dlugie lata.

Ryzyko, owszem. Ale zabezpieczyl sie na wypadek odkrycia - wlasnie wykonal anonimowy telefon na policje i doniosl na Tate'a. Ocenial, ze ma jakies piec albo szesc godzin, zeby pozbierac dobytek i wrocic do Katedry. Zeby doprowadzic sprawy do konca.

Zatrzymal sie i oparl o sciane. Byl wyczerpany, ale przede wszystkim rozczarowany. Ucieczka Bett McCall. I tym, ze go zdemaskowali.

Ze jego wielka intryga nie wyszla tak, jak sobie zaplanowal.

Udalo mu sie zatrzec slady dzis wieczor, ale wkrótce wypuszcza Tate'a i wysla policje do Katedry wsrod Sosen.

Wyobraz sobie cos najgorszego.

Prawie dwa lata pracy i wszystko roztrzaskane w jeden dzien. Przygotowywal sie na Megan, zabijal dla Megan. Byla jego. A teraz...

Rzesiste lzy poplynely po policzkach. W gardle czul pieczenie.

Mysle, o Panie, o tych wszystkich latach, zanim wpuscilem Cie do mego serca. Czy zmarnowalem je? Nie, nie zmarnowalem. Nie! Jesli czlowiek na lozu smierci spojrzy w oczy aniola smierci i powie: „Przyjalem Jezusa do mojego serca”, jego zycie jest odkupione od urodzenia. Jego wiara przemienila wszystkie jego dni.

Nie, nie pozwoli, zeby jego dni poszly na marne. Zakonczy robote w Katedrze i polecaci do Kalifornii. Swiat potrzebuje nowego Davida Koresha, nowego Jima Jonesa.

Co jest najgorsze?

Zyc zawsze w niepewnosci.

Zajrzal w glab swego serca i ujrzal, ze wykonanie woli Boga wobec Tate'a Colliera bylo celem jego zycia. Mowilo do niego, wzywalo go. Nie potrafi sie od tego odwrocic.

Megan...

Jaka jest druga najgorsza rzecz?

Odebrac czlowiekowi dziecko.

To musi zrobic.

Ojciec pozna los Megan, nie bedzie zyl w niepewnosci. Ale Matthews uczyni z niej tak

przerazający spektakl, że Collier nigdy nie zapomni tego obrazu. Przybije ją do krzyża, użyje noża, zostawi ją. I ucieknie.

Collier będzie oglądał setki kolorowych zdjęć z miejsca zbrodni z jej okaleczonym ciałem i każdej nocy do końca życia będzie go dreczyć pytanie, jak bardzo cierpiała.

Lazarzu, wróć do grobu. Wróć, wróć. Spij.

Spij na wieki, krwi i kości.

PIATEK

Milczenie czynow

W wedrowce zycia, na polowie czasu,

Straciwszy z oczu slad niemylnej drogi

W glebi ciemnego znalazlem sie lasu.

Dante Alighieri

Rozdział 30

- Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć. Ale, na miłość boską, posłajcie kogoś na poszukiwanie mojej córki.

- Proszę zacząć od początku.

- Jestem pewny, że jest przetrzymywana w obozie odnowy religijnej gdzieś w pobliżu Front Royal. Przez człowieka, który nazywa się Aaron Matthews. Konnie Konstantinakis miał wydruk z bazy danych, listę szarych furgonetek zarejestrowanych w tym rejonie. Matthews jeździ właśnie takim samochodem i...

- Mamy własną listę zadań, panie Collier - odezwał się szorstko detektyw z wydziału zabójstw, tracąc cierpliwość. - Pozwoli pan. Możemy zacząć jeszcze raz od początku? Jest mnóstwo rzeczy do omówienia.

Ich własna lista zadań. Och, oczywiście. Nawet taki prawnik jak Tate, który od pięciu lat nie parł się sadownictwem, potrafił się zorientować, że to podejrzana sprawa. Gdy Tate siedział już w radiowozie pod gabinetem Matthews'a, policjanci spisali oświadczenie Bett, w którym potwierdziła wszystko, co Tate powiedział o szalencu. A potem, niezbyt grzecznie, kazali jej się wynosić.

- Pani pojedzie do domu. To nie pani sprawa.

Popędzili na sygnale do głównego biura policji stanowej i zostawili Tate'a w pokoju przesłuchań prawie na dwie godziny, podczas których myślał, że zwariuje. Krzył po pokoju i zwracał się z błaganem do lustra weneckiego. Nikt nie odpowiedział.

W końcu zaraz po północy w pokoju zjawili się dwóch detektywów, którzy rozpoczęli przesłuchanie, nie zwracając uwagi na uparte prośby Tate'a, żeby przynajmniej powiadomili policję hrabstwa Shenandoah.

Westchnął.

- Czy jest gdzieś w okolicy Ted Beuridge?

- Nie. Proszę od początku.

- Czy mogą mi panowie przynajmniej powiedzieć, o co chodzi?

- Otrzymaliśmy anonimowy telefon, że ktoś widział, jak zakopuje pan na swoim polu coś, co wyglądało na zwłoki...

- Zwłoki? Czy wyszli poszaleli?

- Ofiara nazywała się Emily Rostowski. Sprawdziliśmy, że rozpytywał pan o nią. Bardzo zależało panu na tym, żeby ją znaleźć. Chyba wiemy dlaczego. Dlaczego ja pan zabił?

- Kiedy otrzymaliście ten telefon? Zaraz po tym, jak zadzwoniłem w sprawie Matthews'a. Nie widziacie? To on was zmylił! To wszystko zasłona dymna.

- Ten tajemniczy Matthews - mruknął policjant. I zwrócił się do drugiego: - To chyba diabeł wcielony.

- Musiał ją zabić i zakopać na moim polu. - Tate zawahał się i przypomniał sobie środowy ranek.
- Proszę posłuchać, wydawało mi się, że ktoś obserwował dom w tym dniu, kiedy Megan zniknęła.

- Złożył pan doniesienie?

- Nie.

- Dlaczego?

Ponieważ gdy stał przy oknie, pijąc poranną kawę, pomyślał, że widzi Martwego Reba.

- Po prostu nie złożyłem. Ale może ta Emily była świadkiem porwania Megan i on dlatego ją zabił. Może była jego współniczka i nie chciał, by żyła. Gdy zrozumiał, że go rozgryzłem, zadzwonił, żeby donieść na mnie, a sobie dać czas na ucieczkę do obozu, gdzie zabije moją córkę.

- To bardzo wymyślne, proszę pana. A jak pan wytłumaczy fakt, że ta dziewczyna została zabita nożem kuchennym, na którym są paskie odciski palców?

- Proszę porozmawiać z Konniem. On...

- Był detektyw Konstantinatis jest w szpitalu i nie może z nikim rozmawiać. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę.

- A więc z Beauridge'em. Jestem pewny, że Matthews włamał się do mojego domu w środę i podłożył listy, które rzekomo napisała Megan. Wtedy zapewne ukradł noż.

- Przyczyną śmierci była utrata krwi po poderznięciu gardła. Ach, poza tym miała wycięty język. To stało się, gdy jeszcze żyła.

- Obrzydliwy rodzaj zaboju - dodał drugi detektyw.

Tate czuł coraz większy niepokój. Myślał o twarzy Megan, jej ustach...

- Przeszukaliśmy pański dom...

- Zakładam, że mieliście nakaz.

- Mnóstwo nakazów - odpowiedział radośnie detektyw. - Stwierdziliśmy, że większość rzeczy córki jest spakowana. Jej pokój wygląda jak magazyn.

- Ona mieszka u matki.

- Nie ma żadnych jej zdjęć, ubrań, nic osobistego. Odniesliśmy wrażenie, że chciał się pan z nią pożegnać już jakiś czas temu. Dlatego zastanawia nas cała ta historia o porwaniu przez wariata.

Tate zmarszczył brwi. Nakaz? Odciski palców? Tkwiący w nim prokurator zaczął się niepokoić sprawą. Procedury, które powinny trwać cały dzień, zajęły im godzinę albo dwie.

- Chwileczkę, panowie. Jaki był powód mojego aresztowania?

- Prawde mówiąc, proszę pana - powiedział sztywno detektyw - to my prowadzimy przesłuchanie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- Właśnie zaczynam mieć - odrzekł Tate. - Kiedy otrzymaliście sądową ekspertyzę noża? Po godzinie temu? Aresztowaliście mnie z powodu donosu i ciała znalezionego w okolicy mojego domu. To nie przejdzie, panowie.

Byli niezli. Twardzi jak stal. Tylko jeden z nich okazał jakiegokolwiek emocje, drobny błysk w oku, który jednak szybko zniknął.

- Jeśli pan pozwoli...

- Trzymaliście mnie tu przez dwie godziny, czekając na ekspertyzę. Nie zwróciliście uwagi na oświadczenie mojej żony. I skleciłiście jakąś bzdurę, żeby dostać nakaz przeszukania mojego domu.

Uśmiechnęli się, ale stracili nieco na pewności siebie.

- Sugeruje pan, że sfabrykowaliśmy dowody?

Tate nie potrafił przestać myśleć o obozie odnowy religijnej Matthewsów. Przypomnił sobie zeznanie Petera Matthewsów o tym niesamowitym miejscu: ojciec wygłaszający kazanie do pustego pola o północy.

- Czy znalazł pan Anne Devoe? - Teraz policjanci przejęli inicjatywę. Co potwierdziło wszystko, co Tate powiedział na temat tej sprawy.

- Była przyjaciółka Megan. Matthews był również jej terapeutą.
- Do tej pory Matthews był kaznodzieją. Teraz stał się terapeutą.
- To ten sam człowiek. Udawał Jamesa Petersa. James to imię jego ojca. Peter był jego synem.

On...

- Jasne. - Kazali mu jeszcze raz opisać wypadki tej nocy, kiedy zniknęła Megan.
- Skoro jestem aresztowany, mam prawo do adwokata.
- Oczywiście - odparł sennie młodszy z detektywów.

Tate wyobraził sobie Megan, związana i zakneblowana, leżąca gdzieś w zabudowaniach Matthewsów.

- Muszę powiedzieć, panie Collier, że wygląda pan na niezłe zdenerwowanego.

Tate wściekł się.

- Moja córka...
- Czy miał pan kiedykolwiek stosunek z Anne Devoe?

Powstrzymał gniew.

- Nigdy jej nie widziałem.
- W rzekomym liście samobójczym było napisane, że miała romans ze starszym mężczyzną. To był pan, prawda?
- Powiedziałem już, że nigdy jej nie widziałem!
- Czy wysłał pan gdzieś córkę, ponieważ wiedziała o pańskim romansie z Anne Devoe? I upozorował pan porwanie?
- Zwariowaliście?
- Czy zabił pan Anne Devoe?

Dolaczył drugi detektyw.

- Czy zabił pan Emily Rostowski, ponieważ wiedziała, że zabił pan Devoe?
- To bzdury!
- Nie odpowiedział pan na pytania.

- Nie.

- Skąd wzięły się policyjne akta panny Devoe w pańskim samochodzie?

A więc o to chodzi. Tate zrozumiał w nagłym ośnieniu. Oczywiście. Gdzieś pojawiło się słowo, że Tate przyczynił się do opóźnienia ponownego postępowania w sprawie Devoe. A może był jedynym podejrzanym, jakiego w tej chwili mieli. Dzięki tej teorii spiskowej łatwiej im będzie oznajmić państwu Devoe, że nie udało im się znaleźć podstaw do oskarżenia kogoś o zamordowanie ich córki.

Pobawia się z nim przez całą noc, spisza jedno czy dwa zeznania i jutro wypuszcza. Przepraszamy za kłopoty. Jeśli chce pan złożyć skargę, proszę skontaktować się z naszym przełożonym... Nawet gdyby zdołałścią tu prawnika, powiedzmy za pół godziny, procedura *habeas corpus* potrwa do rana. Nic nie mogli zrobić.

A z każdą mijającą minutą Aaron Matthews przybliżał się do Megan.

Postanowił spróbować współpracy.

- Wziąłem teczkę Devoe przez pomyłkę. Szukałem czegoś dotyczącego mojej córki.

- Jasne - odrzekł jeden z detektywów, a następnie zapytał, kiedy ostatnio prowadził samochód Megan.

- Jakis miesiąc temu, jak przypuszczam.

- Tak wytłumaczy pan obecność swoich odcisków na klamce?

- Chyba właśnie tak.

W tej chwili Tate zerknął na kalendarz i poczuł przerażenie. Zobaczył tabelkę tygodni.

Jutro... Wielki Piątek. Nie! Już po północy. Dzisiaj jest Wielki Piątek.

- Pani Collier, czy pan nas słyszy?

Peter Matthews powiesił się w Wielki Piątek pięć lat temu. Rozprawa apelacyjna była wyznaczona na dzień po Wielkiej Nocy. Tate naradził się z adwokatem, który zazartował coś o zmartwychwstaniu, gdy zadzwonił telefon z dystryktu, że chłopak nie żyje.

- Czy możemy jeszcze raz omówić wydarzenia sprzed jej zniknięcia?

- Sprzed?

- Powiedzmy z poprzedzającego tygodnia.

Tate westchnął. Spojrzał na drzwi i zmrużył oczy na widok czegoś, co tam zobaczył. Przeniósł

wzrok z powrotem na detektywów.

- Dobrze już, dobrze. Olewam moje prawa i powiem wam wszystko, co przychodzi mi do głowy. Pełne zeznanie. Nie wyznanie, ale oświadczenie w sprawie Devoe. Ale potrzebuje kawy i będę musiał skorzystać z kibla.

Wymienili spojrzenia i potaknęli.

- Pojde z panem - mruknął jeden z detektywów.

Tate się rozesmiał.

- Byłem prokuratorem stanowym przez dziesięć lat. Nie ucieknę.

- On pojdzie z panem - odburknął drugi.

- Jak tam chcecie - mruknął Tate.

Wyszli z wydziału kryminalnego na zaniedbany korytarz, przypominający podmiejską szkołę. Zbliżyli się do męskiej toalety.

- Przepraszam - powiedziała kobieta, która wpadła na Tate'a i pośpiesznie odeszła, stukając obcasami.

Tate nic nie odrzekł, patrzył tylko, aż znikła za rogiem z dwiema grubymi księgami pod pachą.

Dwaj mężczyźni weszli do łazienki i podeszli do sąsiednich pisuarów. Tate usłyszał rozpinanie rozporzki spodni tamtego, odczekał pół minuty i przyłożył detektywowi do ucha pistolet, który Bett przekazała mu na korytarzu.

- O kurwa. Skąd to wzięles? - Policjant sprawiał wrażenie równie zdziwionego jak niezadowolonego.

Tate wyciągnął pistolet detektywa z kabury i wrzucił go do klozetu.

- Zapnij rozporzki.

- To bzdury. Nie może pan...

- Cicho - warknął Tate.

Wepchnął policjanta do kabiny i posadził.

- Klucze. W której kieszeni?

- Pierdół się.

Tate znalazł kolko.

- Ten jest od kajdanek? - Wybrał mały kluczyk na lancuszk.
- Popelnia pan karygodny blad, Collier. Odsiedzi pan sporo lat.
- Uznałem, że i tak mnie to czekalo. Jako morderce i tak dalej.

Tate schował klucze i przykuł detektywa do rury. Zakneblował go papierowym recznikiem i obwiązał mu usta krawatem w paski.

Wyszedł szybko na korytarz. Ubrana w garsonke Bett stała w pobliskiej wnece, blada i zdenerwowana. Na jej piersi kolysał się jeden z jego starych identyfikatorów z biura prokuratora stanowego. Żeby dodać sobie wiarygodności jako prokurator, sciskała nadal pod pachą dwie potężne księgi, które znalazła na biurku w jego domu. „Kontrakty prawne”, tom pierwszy i drugi.

Gdy przechodzili koło dyżurnego sierżanta, machając mu sennie na dobranoc, Bett powiedziała:

- Przyjechałam tu twoim samochodem, Tate. Bada go szukać, prawda?

- Schowamy go gdzieś w pobliżu - odpowiedział, podnosząc klucze, które zabrał detektywowi. - A potem dodamy do naszej listy dzisiejszych wykroczeń niewielką kradzież.

Rozdział 31

Wielki Piątek, pomyślała Megan z ironią, wyglądając przez szparę w gipsowej ścianie.

Uciekam z kościoła w Wielki Piątek.

Przerwała na chwilę, zwinęła obolałe dłonie i przyjrzała się swojemu dziełu. Szpara w drugiej ścianie tworzyła spory polksieczyc. Dziura będzie nieduża, ale Megan miała nadzieję, że się przez nią przecisnie. Oparła nogę o gips i popchnęła. Rozległ się trzask. Serce podskoczyło jej, gdy zobaczyła pęknięcie - bez trudu się wtedy przecisnie.

Został jej jeden noz. Wsunęła go do szmacianego buta. Na wszelki wypadek.

I zaczęła mocno kopac.

Po pięciu solidnych uderzeniach gips poddał się i wpadł do następnego pomieszczenia. Przecisnęła się przez otwór i wstała, po czym niemal natychmiast przewróciła się, dusząc się i czując zawroty głowy od zgnilego odoru, który dosłownie wyzerał oczy. Zemdliło ją. Zajrzała do środka z drzeniem. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek poza słabą poświatą padającą zza okien, które sprawiały wrażenie niemytych od wielu lat.

Okna bez krat!

Przesuwiała się wzdłuż ściany. Wspaniale! - pomyślała. To pomieszczenie było kolejnym magazynem pełnym narzędzi. Wybrała duży sekator i podeszła do okna.

Otoczył ją ponownie obrzydliwy, duszący smród zgnilizny. Ruszaj się, ponagliła sama siebie, zapomnij o smrodzie, zapomnij o wszystkim poza ucieczką. Wzięła ze stołu długi żelazny pret i odchyliła się jak palkarz przygotowujący się do odebrania szybkiej piłki.

Zegnajcie, swiry, pomyślała. Usmażcie się w piekle.

Szkló rozprysło się z cudownym muzycznym brzękiem, kawałki poleciały dookoła. Megan odskoczyła, gdy żelazny pret uderzył w betonową ścianę po drugiej stronie szyby i odbił się w jej stronę. Przykucnęła i zdusiła krzyk.

Nie!

To było okno, owszem, ale nie otwierało się na przykład na podwórzu. Ktoś zamurował je betonową ścianą, która łączyła się z murem kaplicy jakiegoś pieca czy sześć stop nad oknem. Poswiata, która widziała, pochodziła z niewielkiej żarówki zwisającej nad drzwiami prowadzącymi do dalszych pomieszczeń w piwnicy, teraz również zamurowanych.

Jej wymarzone słońce stanowiło tylko iluzję.

Megan rozplakała się, chwyciła ponownie pret i uderzyła w ścianę, niepomna rozdierającego bólu w dłoniach. Rozległ się brzek, po czym pret upadł na podłogę. Megan osunęła się na kolana i zaszlochala. Mięśnie jej zwiędziały i po chwili leżała na ziemi.

Po jakimś czasie odwróciła się w nadziei, że znajdzie kilof albo cokolwiek, czym przebiję ścianę.

I wtedy zobaczyła.

Podniosła się z jękiem.

Nie. O Boże, nie.

Potknęła się, chcąc się cofnąć. Krzyczała.

- Nie, nie, nie!

Pomocy, proszę...

Światło żarówki wpadało przez strzaskane okno. Oswietlało zakurzona podłogę pełną śladów nienależących do niej. Wyciągało z półmroku narzędzia i warsztat, poplamione ściany i stare mahoniowe rzeźby ołtarzowe. Krzyże, Biblie, bicz i prymitywne obrazy religijne.

I padło na wznoszące się nad nią dwa krucyfiksy rozmiarów człowieka, z figurami spoglądającymi na nią smętnymi oczodolami. W całej swojej przerażającej chwale. Gdy przedostała się przez ścianę, znajdowały się w cieniu.

Przyglądała im się, czując, że uchodzą z niej resztki siły i woli, przemieniając się w paniczny lek. Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk.

Figura po lewej przypominała posąg anioła na dziedzińcu. Miała sześć stop wysokości i wisiała na starym, zniszczonym krzyżu z nieheblowanego drewna. Przez dłonie i stopy przechodziły czarne, przerdzewiałe gwoździe. Ale między ta figurą a tamtym posągiem była zasadnicza różnica. Ta była kiedyś żywym człowiekiem.

Wychudłe ciało, wysuszone i skurczone, pociemniałe z wiekiem, ubrane w rozpadającą się przepaskę biodrową, odpadające, zwisające kawałki ciała. Puste oczodole spoglądające ku dołowi, do nagiej czaszki przybita rdzewiejącymi gwoździami korona cierniowa. Ciało składało się z mchu, materii i pajęczyn, które niegdyś były żywą tkanką. Musiało tu wisieć od lat, uswiadomiła sobie

Megan. Skora skurczyła się i odpadła od gwozdzi, pozostawiając blizny jak po ostrych ciecicach.

Z ust tego człowieka, rozciągniętych w grymasie bardziej przypominającym uśmiech niż zastygłe oblicze śmierci, zwisało coś, co wyglądało jak język - ale nie tego mężczyzny. Został wepchnięty do jego ust niedawno, szary, rozkładający się... Pokryty stadem much i pajaków.

To był starzec. Ojciec Matthews. Wciąż rozpoznawalny, nawet teraz.

Na drugim krzyżu wisiało ciało dużo młodszego mężczyzny. On również nie żył od kilku lat. Ciało było wyschnięte i napięte.

A potem zobaczyła kolejny krzyż, trzeci, leżący na podłodze między tamtymi. Jeszcze niezbity.

To dla mnie, uswiadomiła sobie z przerażeniem. Wielki Piątek...

To dla mnie.

Potykając się, Megan ruszyła z powrotem ku dziurze w ścianie - ku drzwiom, które miały ją ocalić. Drząc w panice i szlochając, przecisnęła się z powrotem, raniąc sobie policzki i ręce, i rzuciła się na podłogę po drugiej stronie. Leżała na boku na zimnej posadzce magazynu, łapiąc spazmatycznie powietrze.

Nawet nie podskoczyła z zaskoczenia, gdy jakaś ręka zaczęła delikatnie gładzić ją po włosach. Otworzyła oczy i zobaczyła, że wewnętrzne drzwi, te do kaplicy, są otwarte.

- Nie - wyszłochala.

- Widziałas ich? - odezwał się Aaron Matthews. - Widziałas? To mój ojciec i syn.

- Proszę, nie...

Odwrocił ją. Krzyknęła na widok jego twarzy. Była przerażająca, poplamiona zakrzepłą krwią spływającą z rany nad uchem. Włosy też miał sklezione, a oczy dziwnie zaczerwienione. Wyglądał jak dzikie zwierze, jak hiena. Chwycił ją za ręce, a na jego usta wypełził szalony grymas.

- Spojrz na swoje dłonie! Stygmaty! Czyż Bóg nas nie zaskakuje?

Otworzył drzwi do pomieszczenia z krucyfikami i popchnął ją.

- Nie, nie kazał mi tam wracać. Proszę! Zrobisz, co zechcesz - szlochala. - Proszę, nie, ja nie mogę... Nie mogę.

Znow ją popchnął. Upadła na ziemię u stóp krzyża, na którym wisiał ojciec.

- Był głupcem - powiedział Aaron, spoglądając na wiszącego mężczyznę. - Gdy uciekł policji, wrócił tutaj. Naprawdę myślał, że będzie go ukrywał. Kazałem mu pracować nad jego telefonem. Chciał osobiście rozmawiać z Bogiem. Był już wtedy całkiem szalony. Nie zauważył, że

wprowadzilem pewne zmiany w okablowaniu. Upiekl sie zywcem. Potrzeba bylo pol roku, zeby pozbyc sie smrodu.

Odwrocil sie do drugiego krzyza.

- A Peter... moj syn. Ty i Peter stworzycie doskonala pare. Wiedzialem, ze go polubisz.

Matthews chwycil Megan za ramie, przyciagnal ja do sciany, skrepowal jej rece i przywiazal do rury.

Po czym podszedl do lezacego na podlodze krzyza i zaczal przybijac poprzeczna belke do pionowej.

- Wspinamy sie po drabinie Jakubowej... - zaspiewal.

Megan zamknela oczy. Jeczala i szlochala przy kazdym uderzeniu metalu o metal.

Rozdział 32

Wjeżdżając do Shenandoah, przenosimy się w inny czas - nie wojny secesyjnej, jak można by się spodziewać, ale epoki zawieszony w jakimś okresie zdecydowanie wcześniejszym niż teraźniejszość, choć niezupełnie przeszłym. Zwłaszcza o trzeciej rano. Wychudłe psy zerkają niespokojnie na zielone ląki za skrytymi w cieniu domami. Porzucone budowle. A na zboczach wzgórz: czarne okna prowadzące w labirynt jaskiń, które ciągną się pod całym pasmami Shenandoah i Blue Ridge.

Tate i Bett pedzili ukradzionym samochodem wzdłuż ścian złowrogiego lasu - wyniosłych sosn, karłowatych debow, turzycy, młodego kudzu i winobluszczu. Tate przysiągłby, że widział oczy wyglądające spod między drzew i pomyślał o Martwym Rebie.

Ale nieszczęsny konfederata nie mógł zejść tak daleko na zachód, upomniał się w duchu Tate.

- Joshua mówił, że dzwoni z jakiejś stacji benzynowej we Front Royal.

- Pewnie są ich dziesiątki.

- Ale on jechał szesćdziesiątką. To pewnie będzie ta, którą zobaczył z autostrady. To dobra wiadomość. Takie stacje są otwarte przez całą noc.

- Jak sądzisz, co się z nim stało? - spytała Bett. - Mam na myśli Joshue.

Tate się nie odezwał; oboje znali odpowiedź.

Była druga rano. Nie sądzili, że dyżur będzie miał ten sam sprzedawca, który powiedział Joshui, że widział szarą furgonetkę w srode. Mieli jednak nadzieję, że może ktoś słyszał o Aaronie Matthewsie.

Ale nikt nie słyszał.

Młody chudy pomocnik z wielkim złotym krzyżem na szyi rozesmiał się, gdy pytali o obozy odnowy religijnej.

- Te wzgorza sa nimi usiane. Doslownie usiane. Jeden z tych kaznodziejow wyleczyl moja babcie z raka, a szkoda, ze panstwo nie widzieli, jakiego miala wielkiego guza.

Dziesiec minut pozniej, juz glebiej w Blue Ridge, Tate zjechal na stara stacje benzynowa Sunoco. Starszawy sprzedawca przyjrzal im sie podejrzliwie, gdy zapytali o oboz wielebnego Matthews.

- Matthews, he? Jestescie jego kumplami?

- Niezupełnie. Cos nie w porzadku?

- Niby wszystko w porzasiu. Jesli nie liczyc calej rodzinki. Dalbym se reke uciac, ze James Matthews byl calkiem pomyłony, jak go arestowali za to, ze sie na dziewczuszke z nozem rzucil. - Tate i Bett wymienili spojrzenia. - A ten jego chlopak, Aaron... gdy przejal interes, to zamkneli kosciol.

- Gdzie to jest?

- Podjedzcie do stacji Shella jakies trzy mile stad. Zaraz za stacja skreccie w prawo w Parker Road. Potem bedzie z piec, szesc mil w gory. Jak sie droga skonczy, to jedzcie dalej. Nie ma zadnych znakow, trza jechac na wyczucie. Kiedys byla taka wariacka rzezba przy wejsci. Cos jakby aniol. Nie chcialbym tam jechac o tej nocnej porze, nie, prosze pana, ale chcieliscie wiedziec, jak dojechac, a nie, co o tym sadze.

Tate podal mu banknot dwudziestodolarowy i wrocil na szose.

Zaledwie kilka minut pozniej uslyszeli jakies cwierc mili za soba syrene. Rozejrzeli sie. Lokalny patrol. Kogut rozjarzyl sie, a samochod przyspieszyl.

- Myslisz, ze wie, ze to my? - spytala Bett.

- Nie przekroczylem predkosci. Musieli sie domyslic, ze zabralismy samochod. - Stopa Tate'a zawahala sie nad pedalem gazu. - Co mam zrobic?

- Pruc przed siebie - odpowiedziala Bett.

Posluchal jej.

Prul jak szalony przez jakies dwie mile.

Szwedzi robia niezle samochody, ale nie moga sie one rownac z silnikiem poscigowego plymoutha.

- Nie dam rady - powiedzial Tate.

Zdjal noge z pedalu gazu.

- Pogadam z nim. Moze przynajmniej posle samochod do obozu.

- Nie - odparła Bett.

- Ze co? - Tate skierował samochód ku zwirowemu poboczu.

- Oni nie wiedza, że jestem z toba, prawda? - spytała.

- Chyba nie. Co zamierzasz?

Bett otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebac. Zawahała się, odetchnęła głęboko i wyprostowała się, zerkając w lusterko i gładząc policzek charakterystycznym dla siebie gestem.

Co ona robi? - zastanawiał się Tate.

Nagle rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Bett trzymała w ręce ostry kawałek lusterka z puderniczki.

- Bett! - krzyknął Tate.

Uniosła odłamek do twarzy, krzyknęła i oparła się o drzwi. Z głębokiej rany na policzku popłynęła krew.

- Oj - jęknęła żalownie Bett. - To boli.

Tate zatrzymał samochód na poboczu i patrzył na krew płynącą po jej ustach, podbrodkiem, spadająca na dekollet.

- Wsiadać z samochodu! - rozległ się metaliczny głos w prostokątnej paszczy głośnika na dachu.

Młody funkcjonariusz stanął przy otwartych drzwiach radiowozu, mierząc Tate'owi w głowę z rewolweru, który wydawał się nieduży w wielkiej dłoni policjanta. W drugiej ręce trzymał mikrofon.

- Wsiadać z samochodu. Ręce do góry.

Przez moment nikt się nie ruszył.

A potem drzwi po stronie Bett otworzyły się szybkim ruchem - tak szybko, że Tate pomyślał, że kolejny zastępca szeryfa podkradł się do nich niezauważony.

Krzyknęła głośno i stoczyła się na trawę pobocza. Nadgarstki miała owinięte paskiem torebki, jakby związane. Uderzyła mocno o ziemię, nie mogąc sobie pomóc rękami. Kurz zmieszał się z zaskakującą ilością krwi spływającej z jej policzka.

- Pomocy! - krzyknęła. - On mnie porwał!

- Nie ruszać się! Nikt się nie rusza! - zawołał policjant, przesuwał pistolet w kierunku Bett. Tate siedział bez ruchu, z rękami na kierownicy.

Bett podpełzła do policjanta.

- On ma noz! - krzyknęła. - Pomocy, prosze. Skaleczył mnie. Jestem ranna. Pomocy! - Jej lament przypominał płacz przerazonego dziecka; czółgała się w stronę radiowozu. - Zamierzał mnie zgwałcić! Zabierzcie mnie stąd! Proszę, och...

Policjant uległ instynktowi.

- Wszystko będzie w porządku, tutaj, proszę pani. To ten gość z Prince William, tak? Ten, który zabił tamtą dziewczynę? Gdzie jest noz?

- Ma go za pasem. Zabral mnie z baru przy autostradzie - płakała. - Porwał mnie, dotykał.

- Wyżej ręce - zawołał policjant do mikrofonu. - Ale już!

Tate unosił ręce.

- Co się stało? - policjant zwrócił się do Bett, która była już całkiem blisko.

- Skaleczył mnie... zgwałcił... potrzebuje lekarza... - Słowa ginęły w szlochu.

- Ty w samochodzie. Trzymaj prawą rękę tak jak teraz, a lewą sięgnij do okna i otwórz drzwi. Nie ruszaj prawą ręką.

Tate się nie ruszył.

- Nie będę powtarzał. Mam...

- Odłóż to! - wrzasnęła Bett tuż za jego uchem. Pistolet Tate'a dotykał lufą szyi policjanta.

- A niech to.

- Już.

- Mam go na celowniku, proszę pani. Jeśli pani coś mi zrobi, to już po nim. Zastrzele go. Przysięgam... - Ale powiedział to ze wstydem, a nie zdecydowaniem, toteż kiedy Bett krzyknęła:

- Szukamy córki i, do cholery, zabije cie, jeśli będę musiała! - Niechety pomruk policjanta poprzedził stuk jego wielkiego Smitha & Wessona o ziemię.

Bett odsunęła się od gorzącego nad nią mężczyzny, który zmartwiał na widok dzikości malującej się na jej twarzy; może zastanawiał się, jak blisko śmierci się znalazł.

Policjant oparł się o samochód.

- W porządku - mruknęła Bett. - Proszę się położyć na ziemi. Na brzuchu.

Tate wysiadł z samochodu i podbiegł do nich.

- Jada następane samochody, prosze pani. Beda tu za dwie minuty.

- Tym bardziej musimy sie pospieszyc.

Dal za wygrana. Bett podala Tate'owi rewolwer policjanta.

- Zostan tu - zwrocil sie do niej Tate. - Zatrzymaj go, a gdy przyjedzie reszta, postaraj sie przekonac ich, zeby poslali przynajmniej jeden samochod do obozu.

Skinela glowa, przyciskajac lewa reke do okropnej rany na policzku.

- Posluchaj - ciagnal z powaga. - Gdy przyjada, poloz pistolet na ziemi i podnies rece. Beda zdenerwowani i gotowi strzelac. Rob dokladnie to, co ci kaza. Zrozumialas?

Potaknela. Dotknal jej policzka, ocierajac nieco krwi.

- Jedz, Tate. Jedz i znajdz ja.

Ucalowal ja w czolo i pobiegl do samochodu.

Docisnal pedal gazu, obryzgujac patrolowy woz zwirem i pylem. Przejezdajac przez wzniesienie na drodze - predkosciomierz zblizil sie do czerwonego polksiezycza ostrzezenia - zobaczyl jeszcze we wstecznym lusterku Bett, ktora kucala obok wyciagnietego na ziemi policjanta i bez watpienia szczerze go przepaszala. Niemniej pistolet, ktory mocno sciskala oburacz, nadal byl wycelowany w jego twarz.

Ojciec po lewej, syn po prawej.

Ja w srodku.

Megan przygladala sie, jak Matthews pospiesznie miesza beton na cokol trzeciego krzyza.

- Zabiles Annie - szepnela. Nie doslyszal albo udal, ze nie slyszy, powtorzyla wiec te slowa.

- Wiedzialem, ze sie przyjaznilyscie - wyjasnil. - Gdy cie sledzilem, czesto widywalem was razem. Zaczepilem ja ktoregos wieczora i porozmawialismy troche, namowilem ja na terapie. Musialem dowiedziec sie paru rzeczy o tobie. Annie miala swoje grzeszki, leki, winy, jak kazdy. Ja tylko pomoglem jej to zrozumiec.

Megan krzyknela cicho i szarpnela sznur. Rece miala unieruchomione.

Matthews wzial z warsztatu mlotek i trzy dlugie gwozdzie. Polozyl je obok krzyza, podszedl do niej i zaczal rozwiazywac sznur.

Przytulila sie do sciany.

- Prosze, nie...

Ostatni kawalek sznurka trzasnal w jego silnych dloniach.

Pociagnal ja w kierunku krzyza, rzucil na kolana. Wyciagnal z kieszeni cos bialego i miekkiego.

Kielich lilii. Wpial go w jej wlosy.

- Dla ciebie nie ma korony cierniowej - powiedzial lagodnie, gladzac szlochajaca po wlosach. - Sadzilem lilie, kiedy zadzwonil straznik, ze Peter sie powiesil. Zawsze o tym mysle, gdy patrze na lilie. Teraz mysle rowniez o tobie.

Podniosl jeden z dlugich ostrych gwozdzi.

I wtedy przez swoj szloch Megan uslyszala wznoszacy sie dzwiek.

Wiatr?

Tak. Nie.

Dzwiek ukladal sie w slowa. Nie, w jedno slowo. Jej imie.

- Megan...! - Nioslo sie po zabudowaniach. - Megan! - Upiorny, nieludzki.

Starzec, pomyslala. Nie, to niemozliwe. On nie zyje. Co to jest?

Matthews rowniez zamarl. Odwrocil glowe w kierunku, skad dochodzil dzwiek, otwierajac szeroko oczy. Po raz pierwszy na jego twarzy odmalowala sie niepewnosc. I przerazenie.

I wtedy uswiadomila sobie, ze calkowicie zwolnil uchwyt.

Upadla na ziemie, zanim zdazyl zareagowac, i chwycila mlotek w obie rece. Uderzyla go mocno tuz pod klatka piersiowa. Osunal sie na kolana, chwytajac za brzuch. Megan zamachnela sie ponownie mlotkiem, ale on juz sie podniosl i wymachiwal gwozdzem ostrym jak sopol lodu. Stracila rownowage, upuscila mlotek i rzucila sie do drzwi.

Nie biegla w zadnym konkretnym kierunku. Pedzila przed siebie gnana panika - wybiegla z kaplicy, w gore schodami, potem w dol, jednym z niekonczacych sie korytarzy w zabudowaniach. Jej nogi wreszcie chronilo prymitywne obuwie.

Szarpala wszystkie drzwi, ale byly zamkniete. Dobiegla do konca korytarza, ogarniala ja coraz wieksza rozpacz. Minela okno. Ale bylo zakratowane jak wszystkie pozostale. Biegla dalej. Korytarz skrecil w lewo, po czym skonczyl sie niespodziewanie kolejnymi drzwiami. Oczywiscie zaryglowanymi. Uderzyla rekami w drewno. Twarde jak stal.

Wracaj, wracaj!

Odwrocila sie. I stanela w miejscu jak wryta.

Stukot straszliwej laski.

Szuranie.

Megan wcisnęła się we wneke.

Swiszczący oddech, flegma w płucach. Potwór się zbliżał.

- Megannnnn - zawołał swoim nieziemskim szeptem. - Megan...

Rozdział 33

Mijał właśnie zakratowane okno i światło nędznej żarówki rzuciło jego cień na ścianę naprzeciwko Megan.

Pietnascie stop. Dziesięć.

Przycisnęła się do drewna, drząc, usiłując powstrzymać szloch.

Zobaczyła rosnący cień, gdy zbliżał się do zakretu korytarza. Chudy kształt, zgięty w polu, poszarpane ciało zwisające z rąk i nóg, zaostrzona łaska. Oparła się mocniej o ścianę, a pod jej stopą skrzypnęła deska.

Nie!

Zatrzymał się. Przechylił głowę i unosił kosciana łaskę niczym miecz.

Proszę, nie...

Zbliżył się w ciemnym rozbłysku.

Megan przycisnęła dłoń do ust, kiedy ich oczy się spotkały. Krzyknęła nie ze strachu, ale z przerażenia i smutku.

- Josh! - szepnęła. - O Boże, Joshua!

Joshua LeFevre zniżył łaskę, oparł się o ścianę. Wyciągnął ku niej rękę, po czym opuszczył ją.

Czastka Megan wrywała się, żeby go objąć. Ale nie mogła, tak bardzo odstreczał ją jego widok. Trudno go było rozpoznać. Potwornie zmasakrowany - pocięty i posiniaczony, rany pokryte zaschniętą krwią, zabrudzona chustka owinięta wokół szyi niczym bandaż. Spuchnięte oko całkowicie zamknięte. Większość dredów wyrwana z głowy, pokrytej błotem i strupami.

Upadł na posadzke.

Megan podeszła do niego, uklekla i wzięła go za rękę.

W zasadzie jego słowa to były upiorne, urywane jęki. Uniosła zaimprovizowany bandaż. Miał na szyi straszliwa rana, ale noż nie trafił w tętnice, a brzegi rany były suche. Gdy oddychał, powietrze z sykiem wydobywało się zarówno przez usta, jak i rana.

- Wydawało mi się, że usłyszałem twój krzyk. Przed chwilą. Czy - wycharczał - czy to ty byłaś tu przez cały czas?

Przytaknęła.

- Myślałem, że cie zabił... - Chwycił go kaszel. - Myślałem, że to ktoś inny. - Kolysał się jak szalony, usiłując oddychać. Spróbował się uśmiechnąć. - Modliłem się, żebyś to była ty. Nie odpowiedziałas, gdy... gdy napisałem... twoje imię na trumnie? Miałem nadzieję, że zostawisz jakąś wiadomość wśród kurzu.

- Nie wiedziałam, kim jesteś. Dlaczego mi nie powiedziałas?

- Nie mogłem pozwolić, żeby oni... - z trudem pokonywał ból - ...dowiedzieli się o mnie.

- Jak się tu dostałaś?

Wyjął wyjaśnienie: Matthews rzucił go psom na zewnątrz. Ale zanim go wykonały, w pobliżu pojawiła się młoda lania i pognęła za nią.

Jego piękny głos, pomyślała Megan, szlochając. Stracony. Nie była w stanie patrzeć na jego twarz.

Znalazł złamaną kość jelenia, która nadawała się na lasce, i doczłapał do budynku, żeby poszukać telefonu. Ale tu nie było telefonów, a poza tym szybko zorientował się, że drzwi nie otwierają się od wewnątrz, że znalazł się w więzieniu. Usłyszał kogoś w środku i założył, że to albo mężczyzna z furgonetki, albo Emily. Spędził półtora dnia, usiłując ukradkiem wysledzić, kto to.

- Szukałem... jakiegoś śladu, że żyjesz.

Dotknęła delikatnie okropnej rany na jego twarzy. Bala się, że on nie przeżyje.

- Czy byłaś... Nie byłaś jego kochanką, prawda?

- Co? - krzyknęła.

- Powiedział, że byłaś. Powiedział... powiedział, że chciałaś się ode mnie uwolnić.

- Och, Josh, nie. To... cokolwiek on mówił, było kłamstwem.

- Kim on jest? - wycharczał LeFevre.

- Nie ma teraz czasu. Możesz iść?

- Nie. - Odetchnal z trudem i skrzywil sie, zamykajac oczy. - Nie dam rady juz nic zrobic.

Wciagnela go glebiej do wnęki, zeby go ukryc.

- Zaczekaj tutaj.

- Dokad... idziesz?

Gdzies gleboko w Megan narastal gniew. Teraz sie rozwinal, stal sie czymś ostrym i straszliwym, jak kosc jelenia, ktora podniosla z ziemi. Pomacala jej ostrze kciukiem.

- Lez spokojnie, Josh. Nie odzywaj sie.

- Zaczekaj - powiedzial, przygladajac sie jej. Najwyrazniej dopiero teraz zorientowal sie, ze jest naga. - Wez... wez moje spodnie. - Zaczal sciagac dzinsy. Pomogla mu.

Wlozyla je. Miala teraz buty i spodnie. Podarte i zakrwawione, niewiele wiecej niz strzepy materialu. Ale czula sie tak, jakby miala na sobie zbroje.

Ucalowal ja w czolo.

Gdzies w dalszej czesci budynku trzasnely drzwi.

Miejsca jak to...

Tate Collier widzial wiele takich miejsc.

Podczas oględzin, na zdjeciach dowodowych.

Miejsca jak to, pelne zlosci, ktora wybucha w jednej chwili, a wystarczaja dwa slowa o zimnej kolacji lub zepsutym telewizorze. Miejsca jak to, z ktorych worki z cialami wynoszone sa z najwiekszym szacunkiem, na jaki stac pomocnikow koronera, miejsca, w ktorych noca slychac krzyki dzieci, ale rankiem nie znajdziesz zadnych dzieci.

Zerknal na rzezbe aniola - odrazajaca, ale nieodparcie fascynujaca. Ruszyl dalej blotnista droga wzdluz ogrodzenia, szukajac jakiejś wyrwy, przez ktora moglby sie dostac do miejsca nazywanego Katedra wsrod Sosen. Przedostal sie na tyly zabudowan i jechal przez jakis czas wzdluz strumyka, po ziemi porosnietej splatanymi dzikimi rozami i forsycjami. Pomyslal, ze chyba latwiej byloby przeplynac ten strumyk. Woda byla ciemna, wiec domyslal sie, ze jest tu dosc gleboko, ale nie glebia trzymala go na ladzie, tylko fale tworzone przez przeplywajace jadowite weze.

Po pieciu minutach znalazl sie za domem i wspial sie po stromej skarpie. Upadl na brzeg, usilujac zlapac oddech. Uznal, ze od tej strony moze sie zbliczyc praktycznie niezauwazony. Okien bylo niewiele, a teren porostaly kepy drzew, wsrod ktorych moglby sie ukryc.

Podczolgal sie do ogrodzenia z siatki. Drut kolczasty wygladal groźnie, ale sama siatka byla dosc luzna; Tate uznal, ze da rade rozciagnac ja na tyle, zeby przejsc gora. Spojrzal poprzez oka siatki na

zabudowania.

Gdy wyciągnął rękę w kierunku ogrodzenia, usłyszał buczenie. Ręka zamarła. Spojrzawszy pod nogi, dostrzegł charakterystyczny zielony osad w miejscach, gdzie rosa gromadziła się na metalu. Piecdziesiąt stop od niego, za ogrodzeniem, znajdował się transformator.

Odskoczył od ogrodzenia i pobiegł wzdłuż siatki w poszukiwaniu furtki. Wiedział, że jakaś musi być - widział gruz i śmieci wyrzucane na brzeg potoku. Rygiel będzie można otworzyć patykiem lub rozbic kamieniem. Dwadzieścia stop dalej trafił na furtkę.

Była zamknięta z drugiej strony na kłódke.

Cholera. Nie ma jak do niej sięgnąć.

W tej właśnie chwili usłyszał wycie dobiegające z wnętrza budynku.

Ogarnął go szal. W jednej chwili. Z metalicznym trzaskiem lodu pekającego noca na jeziorze.

Aaron Matthews zatrzasnął drzwi do pokoju za ołtarzem i wrzeszczał z frustracji, wściekłości i szalenstwa.

W głowie miał tylko jedną myśl: Zabij ją, zabij, zabij. Siegnij do jej ust, tnij nożem, przybij jej białe dłonie i stopy do zwyrodniałego drewna... Słuchaj jej niemego krzyku, patrz, jak pluje krew, jak krew tryska w powietrze, tworząc mgiełkę.

Megan, Megan...

O Panie, który mi pobłogosławiłeś, który dotknąłeś mojego gorącego czoła swoimi wargami...

Wyjął z kieszeni noż myśliwski i otworzył.

Och, widzę ją, jak wisi na krzyżu, delikatne dłonie przebite gwoździami, stopy złożone razem, przebite razem, kości strzaskane.

Krzyczy.

I krew - mnóstwo krwi tryskającej z jej ust.

Może chce się napić? Ocet na gąbce.

Jej krzyk...

Pokustykał w głąb korytarza.

Nie daj mi grzeszyć językiem...

Podszedł do drzwi pokoju Megan i otworzył je kopniakiem. Nie było jej. Poszedł dalej do kuchni,

otwierając na oścież wszystkie szafki, w których mogła się schować. Nie ma jej.

Nie mogła wydostać się na zewnątrz. Gdzie...

- Aaron - odezwała się niskim, spokojnym głosem.

Odwrocił się. Była tu. Włosy związane, podarte spodnie, stopy obwiązane szmatami. W ręce trzymała długa zastrzona kość, niczym włócznię. Skąd ona to wzięła?

- Otwórz te cholerne drzwi - powiedziała spokojnie - i wypuść mnie stąd.

Wcześniej mógł się z nią bawić. Mógł szydzić z niej, kazać jej i przekonać ją do zrobienia wszystkiego, co tylko zechciał. Ale teraz się nie kontrolował. Wydał kolejny przenikliwy wrzask wściekłości i rzucił się do przodu.

Sądził, że Megan cofnie się, rzuci do ucieczki, a wtedy on chwyci ją od tyłu. Ale ona, zupełnie jak jej matka kilka godzin wcześniej, skoczyła do przodu, ku niemu. Ostry koniec kości wbil się w jego bok - nie zranił go poważnie, ale ból był przejmujący. Matthews zachwiał się i upadł z jękiem. Megan runęła na niego, mierzac ostrzem w twarz. Uderzył ją między piersi, pociągnął w dół, a sam się podniósł.

Ona też szybko wstała. Okrzyła go, celując złośliwym ostrzem kości w jego oczy.

Teraz Matthews skoczył do przodu, wyciągając rękę. Uderzyła mocno, a kość odbiła się od jego szyi, ogłuszając go na chwilę. Ale był na to przygotowany. Wyrwał jej kość z ręki i pociągnął ją na środek salonu, podczas gdy ona waliła go na oslep piściami w twarz i klatkę piersiową.

- Przestań, ty skurwielu!

Chwyciła go za rękę, wbijając mu paznokcie w skórę. Nic nie czuł. Rzucił ją na kanapę; upadła na plecy bez tchu. Leżała, dysząc ciężko.

Wielki Piątek.

Chwała Panu.

- Otwórz usta - szepnął, przykładając ostrze do jej warg.

Samochód stał koło makabrycznej figury, dziesięć stop od bramy.

Gdy Tate usłyszał szalencze wycie we wnętrzu, wrócił biegiem do samochodu i zatrzymał go tutaj.

Nie ma czasu do namysłu, powiedział sobie. Zrób to.

Odwrocił samochód, wrzucił wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu. Rozpedził się i roztrzaskał bramę z prędkością prawie czterdziestu mil na godzinę. Iskry wzbily się w powietrze. Celował

dokładnie we wjazd do garażu. W ostatniej chwili wyprostował się, zniżył nieco i oparł mocno głowę o zagłówek.

Tylny zderzak z głośnym hukiem wyrwał drzwi garażu z zawiasów. Zapadły się do środka, a samochód przejechał po nich, miażdżąc warsztat, po czym zatrzymał się ze wzniesioną maską i obracającymi się szalenczo kołami.

Tate wyłączył silnik. Drzwiczki po stronie kierowcy nie dały się otworzyć, więc wyczołgał się od strony pasażera.

Szybko, szybko, szybko!

Przeskoczył nad maską, wyciągnął rewolwer z kieszeni i pobiegł ku wejściu do budynku. Po rozbiciu się o drzwi garażu zabawa w subtelności nie miała sensu. Wpadnie do pomieszczenia i wypali Matthewsowi w nogi - dwa, trzy razy. Nie będzie się wahał. Bez ostrzeżenia. Bez targów. Po prostu pociągnie za spust.

Milczenie czynów...

Chwycił kłamkę lewą dłonią.

Oslepiające światło, uderzenie jak z bicia. Tate wirował po niebie, które wypełniło się niespodziewanie w cudowny sposób drutami przypominającymi węże, zimnymi oczami zaworów i woltomierzy, krazącymi wokół niego, tornadem gruzu. Uderzył w skałę, drzewo albo potrzaskany bok samochodu Bett i upadł na ziemię.

Spojrzał na osmaloną kłamkę, ale zanim zemdlał, wyczuł zapach spalonego ciała.

Rozdział 34

Poczuł na włosach dotyk czyjejs reki.

Tate powoli otworzył oczy, piekące ostro od potu. Usiłował skupić wzrok na twarzy przed sobą. Przez moment myślał, że delikatne palce należą do Bett; była pierwsza osoba, o której pomyślał, gdy odzyskał świadomość.

Patrzył jednak w oczy Megan.

- Hej, słonko - jeknął. - Ale heca, że się spotkaliśmy.

- Tato.

Znajdowali się w dużym salonie zapuszczonego domu, leżeli na kanapie. Tate miał ręce związane za plecami grubym sznurem, jedna z nich pulsowała bólem po oparzeniu klamką będąca pod napięciem. Wzrok miał zamiony. Spróbował usiąść i o mało co nie zemdlał z bólu, który eksplodował w jego skroniach. Jeknął i opadł z powrotem na kanapę.

Aaron Matthews siedział na krześle w pobliżu; ubranie miał w nieładzie, włosy potargane i zakrwawione. W ręce trzymał długi noż o poplamionym ostrzu. Fascynujące czarne oczy, pomyślał Tate.

Oparł głowę na ramieniu Megan. Gdy ból zelzał, podniósł wzrok.

- Chyba udało ci się wreszcie zrzucić te pięć funtów - zwrócił się do dziewczyny.

Matthews przyglądał się im, spierzchnięte wargi wygięły się w grymas.

- Tylko wypełniałem obowiązki - odezwał się w końcu do niego Tate. - Na procesie Petera. Były dowody. Przysięgli uwierzyli...

Matthews sprawiał wrażenie, jakby go nie słuchał.

- Nie wiesz o tym, Collier, ale śledziłem cię. Po tym, jak Peter powiesił się, chodziłem na twoje procesy. Siadałem z tyłu na galerii. Patrzyłem na ciebie. Byłeś bardzo podobny do mnie, gdy stałem

tam, na polu. Ty miales dwunastu przysieglych, ja mialem swoja owczarnie.

Tate nie odpowiedzial.

- Och, tak, przygladalem sie. Nauczylem sie kilku rzeczy o prawie. *Mens rea*. Stan umyslu zabojcy - musi zamierzac zabic, zeby byc winnym morderstwa. Pomysl o tym. Zamordowales Pete'a. Zrealizowales swoj zamiar.

- Moim obowiazkiem bylo prowadzic oskarzenie najlepiej, jak umialem.

- Skoro to prawda - glos Matthews'a wzniosl sie do poteznego barytonu - to dlaczego zrezygnowales z oskarzania? Dlaczego podwinales ogon i uciekles?

- Poniewaz zalowalem tego, co sie stalo - odparl Tate.

- Poniewaz - szepnal Matthews, nachylajac spocona twarz - poczules moc i wiedziales, ze to moze sie znowu zdarzyc. Spojrzales na mojego chlopca i powiedziales: „Jestes martwy”. Stanales w sadzie i poczules, ze przeplywa przez ciebie moc Boga. I spodobalo ci sie to.

Tate rozejrzal sie po pokoju. Zakratowane okna, podwojne zamki w drzwiach.

- Ty to wszystko zrobiles? Z zemsty?

- Przez dwa lata byles calym moim zyciem, Collier. Od dnia, gdy zamkneli kosciol.

- Obserwowales mnie. Obserwowales Megan.

Matthews skrzywil sie lekko, gdy dotknal zakrwawionej rany pod koszula; prezentu od Megan, pomyslal z zadowoleniem Tate.

Dziewczyna nagle wstala. Tate poczul, ze sie zaczyna.

- Megan, nie!

- Ty dupku! - Rzucila sie z krzykiem na Matthews'a, mierzac w oczy. Uderzyl ja otwarta dlonia w twarz; upadla na kolana, chwycila sie za nos i zaszlochala. Osunela sie na podloge.

- Czego chcesz? - spytal Tate obojetnym tonem. - Powiedz mi.

- Sprawiedliwosci. Tylko, tylko.

- Nie sadze, zebyś mogl otrzymac sprawiedliwosc, Aaronie. Przez wszystkie moje lata w sadzie...

Matthews zasmial sie ponuro.

- Och, juz to slysze. Gietki jezyk, gladkie slowa. Bedziesz usilowal naklonic mnie, zebym was wypuscil...

- Nie bede probowal cie do niczego naklaniac, Aaronie. Nie wygladasz na czlowieka, ktorego mozna do czegokolwiek naklonic.

- Przestan! To nie podziala! Nie ze mna. Zapominasz, ze jestem rownie dobry jak ty. Prawnicze sztuczki. „Personalizacja dyskursu”. To sprytne, Tate. Postaraj sie, zebym pomyslal o tobie jako o konkretnej istocie ludzkiej, Tate. Ale to nie zadziala. Bo zrozum: pogardzam istota ludzka, ktora nazywa sie Tate Collier.

- Peter byl twoim jedynym dzieckiem?

- Ech, Collier, po co w ogole probujesz?

- Daj spokoj, Aaronie. Porozmawiajmy. Jestem zamożnym czlowiekiem. Zaplace ci.

- Wyciagasz najslabszy argument. Czyzbyś juz przegral?

- Widziales moj dom, moja ziemie - ciagnal Tate, nie zwracajac na niego uwagi. - Wiesz, ze mam pieniadze.

Na twarzy Aarona pojawil sie wyraz pogardy.

- Ile chcesz?

- Poslugujesz sie retorycznym bledem. Odwołujesz sie do falszywej potrzeby dla odwrocenia uwagi. Nie zrobilem tego dla okupu. To chyba oczywiste.

- No coz, jakikolwiek byl twoj motyw, Aaronie, okolicznosci sie zmienily. Teraz policja wie juz o tobie. Ale masz szanse na ucieczke z kraju. Moge dac ci cwierc miliona gotowka. Od reki. Jeszcze wiecej, jesli sprzedam dom.

Matthews nie odpowiedzial, tylko krazyl powoli po pokoju, wpatrujac sie w Megan, ktora odwzajemnila mu sie odwaznym spojrzeniem.

Tate wiedzial oczywiscie, ze nie chodzi o pieniadze, zdawal sobie tez sprawe, ze propozycja ucieczki nic nie pomoze. Bezposrednim celem bylo wylaczenie sprawienia, zeby Matthews stal sie choc troche niezdecydowany, zeby jego opor zmalal.

- Nie uczynie cie bogaczem, ale bedziesz wiodl wygodne zycie - dodal po chwili milczenia. - Wyznam ci, Aaronie, ze przezywalem smierc twojego syna kazdego dnia, odkad dowiedzialem sie, co sie stalo. Wiem, ze twoj bol jest po stokroc wiecej...

Trzy kroki wystarczyly, zeby Matthews znalazl sie tuz kolo Tate'a i zdzielil go w twarz rekojescia noza, przewracajac na podloge. Megan krzyknela i skoczyla ku szalencowi, ale ten popchnal ja z powrotem na ziemie.

- Wiesz? - wrzasnal na Tate'a. - Wiesz, tak ci sie wydaje? Nie masz zielonego pojecia! Calymi tygodniami moglem tylko lezec na plecach, wpatrywac sie w sufit i przypominc sobie proces.

Wiesz, co widziałem? Nie widziałem twarzy Petera. Widziałem twoje plecy. Stałeś na sali sądowej odwrócony plecami do mojego syna. Posłałeś go na śmierć, ponieważ nawet na niego nie spojrzales! Dla ciebie na sali byli tylko sędziowie przysięgli, prawda?

Nie, pomyślał Tate. W całym wszechświecie byli tylko sędziowie przysięgli.

- Bardzo mi przykro.

- Nie potrzebuje twojej pieprzonej litosći.

- Niczego w ten sposób nie osiągniemy. Czy pozwolisz nam odejść?

- Konkretna prośba, którą oponent może spełnić, pytanie o rozstrzygnięcie. Twoje zdolności retoryczne są nadal w świetnej formie, Collier. Ale moja odpowiedź brzmi: nie. - Przez jego twarz przebiegł kolejny grymas wściekłości.

Matthews chwycił Tate'a i znowu rzucił go na podłogę, były prokurator wylądował na plecach. Megan krzyknęła i ruszyła ku niemu, ale Matthews przycisnął noż do warg Tate'a.

- Nie! - krzyknęła.

- Otwórz.

Tate się nie opierał.

Matthews wsunął mu noż między zęby. Tate poczuł na języku chłodny dotyk ostrza i smak metalu. Nie poruszył żadnym mięśniami. Oczy Matthews'a zmrużyły się, błysnęła w nich radość. Usta poruszyły się, jakby mówił sam do siebie. Cofnął ostrze.

- Nie, Collier. Nie ciebie chce. Dziewczyna musi umrzeć. Ty będziesz żył długo, tyle że bez niej.

Matthews wstał powoli i zaczął krzyczeć po pokoju z wyrazem troski na twarzy.

Tate tak samo chodził, gdy przygotowywał się do rozprawy. Wrócił myślami do procesu syna Matthews'a. Widział salę sądową. Był gorący wiosenny dzień, podobnie jak w tegoroczną Wielkanoc. Pamiętał, jak krzyczeć po sali, mówiąc do przysięgłych na procesie Petera Matthews'a, pamiętał, że myślał o dziadku i cieszył się, ponieważ proces odbywał się w tej samej sali, w której oglądał Sędziego w roli oskarżyciela - w procesie białej kobiety zatrzymanej za zabicie czarnego mężczyzny, który „wodził oczami” za jej córkę. Sędzia przegrał tamtą sprawę. Ale Tate tej nie przegrał. Silny młody mężczyzna zabił nożem bezbronną ciężarną narzeczoną? Och, nie, Tate ją pomści. Ślepa sprawiedliwość jest po jego stronie.

- Weź mnie, a ja puść wolno - zwrócił się teraz do Matthews'a.

- Nie do przyjęcia.

- Obawiam się, że jednak tak, Aaronie. To dla ciebie jedyne wyjście.

- Jedyne wyjście dla mnie?

- Ponieważ dokładnie wiem, czego pragniesz - odpowiedział Tate ze spokojem. - I dlaczego to wszystko zrobiłeś.

- Niby dlaczego?

- Pragniesz zemsty, tak? Żeby ulżyć bólowi.

Matthews poruszał ustami, jakby rozmawiał ze sobą lub z Bogiem.

Człowiek często wątpi w to, co słyszy.

To, co widzi...

Tate nachylił się ku niemu, pokonując ból w głowie i dłoni.

- Pomyśl o tym, Aaronie. Pomyśl. To bardzo ważne. Co będzie, jeśli potem zrobi się jeszcze gorzej? Jeśli zabójstwo Megan zwiększy ból?

- Sztuczka retoryczna! - krzyknął Matthews. - Tworzysz uludę. To, co mówisz...

- Zastanawiałeś się nad tym kiedykolwiek?

- ...ma mnie tylko rozproszyc!

- Straciłeś człowieka, którego kochałeś. Leżałeś godzinami na plecach, sparalizowany przez ból. Obudziłeś się o drugiej nad ranem i pomyślałeś, że wariujesz. Tak?

Matthews milczał.

- Mnie też się to przydarzyło. - Tate nachylił się jeszcze bliżej, a autentyczny ból malujący się na jego twarzy był równy cierpieniu Matthews'a. - Przeżyłem to. Straciłem kogoś, kogo kochałem nad życie, straciłem żonę, i tak właśnie się czułem. Widzę to na twojej twarzy. Tak, widzę! To nie sztuczki, Aaronie. Wiem, o czym mówię.

Matthews stuknął palcem w trzonek noża.

- Jak żona mnie opuściła, został mi tylko Pete. Było tak mało ludzi, z którymi mogłem porozmawiać. Ale Peter... Spędzaliśmy razem całe dni na rozmowach. Wiesz, jak to jest? Znaleźć kogoś, z kim naprawdę możesz porozmawiać? A potem Rose Marie go uwiodła. Rzuciła na niego jakiś cholerny czar i zabrała mi go... Była diabłem. Tak jak ty. - Spojrzał na ostrze noża. - Zatrądziłem się o nią. Zatrądziłem się o nią i wszystko miało być tak pięknie! I byłoby. Gdyby nie ty. Musiałeś się napatoczyć i zabrać mi go.

Tate zmarszczył brwi.

Zatroszczyłem się o nią...

Odczuł szok fizycznie, jak uderzenie.

- O czym ty mówisz? To ty ją zabiłeś? Rose Marie... narzeczona swojego syna?

Niewinny chłopak zginął przez własnego ojca.

- Nie sądziłem, że go za to zaarrestują, że go skaza. Myślałem, że był w Marylandzie, w odwiedzinach u kolegi. Myślałem, że to będzie alibi. Nie wiedziałem, że kiedykolwiek dotykał noża, którego użyłem. Nie przypuszczałem, że policja znajdzie jego klucze - zabrałem je z jego mieszkania, żeby dostać się do środka... I nie zdawałem sobie sprawy, że ty będziesz tak bardzo pragnął posłać mojego syna do piekła.

- Pozwoliłbyś, żeby trafił na krzesło?

- Oczywiście, że nie. Zrobiłbym coś przed egzekucją. Wyznałbym, że to ja. Nie przypuszczałem, że się zabije. Nigdy.

- Dlatego pragniesz Megan.

- Bog kazał mi odebrać ci ją! - krzyknął. - Bog mi tak powiedział. Zabrałem Peterowi jego kobietę, teraz więc posyłam mu Megan. Ofiara. Twoja pierworodna dla mojego...

- To ja jestem odpowiedzialny - powiedział Tate z emfazą. - Jeśli zabierzesz mnie, twój ból minie.

- Tatusiu...

Być może po raz pierwszy od dziesięciu lat usłyszał z jej ust to słowo.

Tate przypomniał sobie wydarzenia ostatniego tygodnia i uświadomił sobie cały prawdziwie diaboliczny plan Matthews'a. Oczywiście to Matthews namówił Konniego na alkohol. Może nawet sam wpakował taurusa detektywa na sportowy samochód. Zabił Emily i zakopał ją na farmie. I doprowadził Carsona do napisania rzekomego listu samobójczego, po czym spalił go żywcem.

Niemniej w całej tej jatce widac było dążenie do celu. Matthews nie był przypadkowym zbrojnym. Wszystko, co robił, miało swoją przyczynę.

A zatem prawnik musiał kontynuować.

- Ja za twojego syna, Aaronie. Uczciwy układ. Jeden za jednego. Wypuść ją.

- Tatusiu... - Szarpnęła go za nogę, ale nakazał jej gestem milczenie.

Matthews potrząsnął głową.

To, co człowiek widzi...

- To uczciwe. To jedyne wyjście.

- Nie! - krzyknął Matthews. - Czy ty nie słuchasz? Ona jest ofiarą. Tak kazał mi Bóg. Ty masz żyć bez niej. Oko za oko.

- Jesteś pewny, że tego chcesz? Jesteś pewny, że to układ?

- Tak! Tak musi być.

Tate odwrócił wzrok od przegniłego, brudnego dywanu. Odchrząknął.

- A zatem wygrałem.

Matthews spojrzał na niego podejrzliwie.

Tate westchnął.

Prawdopodobnie wiedział przez cały czas, że do tego dojdzie. Ale co za moment, co za miejsce.

Ale nie może zwatpic...

- Tatusiu? - odezwała się Megan. - O co chodzi?

...w to, co robi.

Tate otworzył usta. Głos uwiązł mu w gardle. Zaczął jeszcze raz.

- Twoja logika jest bez szwanku, Aaronie. Jest tylko jeden szczegół. - Spojrzał teraz w oczy Megan, a nie ich oprawcy. - Nie jestem jej ojcem.

Rozdział 35

Matthews zatrzymał się. Wydawało się, że na nich patrzy, ale widzieli tylko jego sylwetkę na tle witraża, więc Tate nie był pewny, w którą stronę miał zwrócić oczy.

Megan, blada w metnym świetle, ukryła poranioną twarz w dłoniach.

Matthews się rozesmiał, ale Tate wiedział, że jego lotny umysł przetwarza dane i wyciąga ostrożne wnioski. Przez chwilę Tate poczuł podziw dla ich porywacza - z takim umysłem i rzadkim darem mówienia ludziom dokładnie tego, co chcieli usłyszeć, musiał być fantastycznym kaznodzieją, musiał pieścić dusze owieczek.

- Jestem rozczarowany, Collier. To oczywiste i prostackie. Kłamiesz.

- Ile razy widziałeś nas razem? - spytał Tate.

- To nic nie znaczy.

- Jak długo nas śledziłeś?

- Zaczęłam rok temu w Boże Narodzenie.

- Ile weekendów ze mną spędziła?

- To nic...

- He? - spytał twardo Tate. - Bett sama ci powiedziała w gabinecie.

- Bardzo mało.

- Włamałeś się do mojego domu, żeby podłożyć te listy, prawda?

- Tak.

- Ile jej zdjęć widziałeś?

- Tatusiu...

- He?

- Zadnego - przyznał wreszcie Matthews.

- Jak wyglądał jej pokój?

Kolejne wahanie.

- Jak magazyn.

- Ile czułości widziałeś między nami? Czy ja wyglądałem na ojca?

Gdy Matthews nie odpowiedział, Tate przemógł oslepiający ból w głowie i ręce i przyciągnął Megan do siebie.

- Ja mam ciemne włosy i oczy. Ona jest blondynka, na miłość boską. Czy ona jest do mnie podobna?

- Nie wierze ci.

- Nie, tato, kłamiesz!

Ale Matthews uwierzył.

- W moim gabinecie... zobaczyłem twarz twojej żony. To nie był gniew i żal do ciebie, ale do siebie samej. I poczucie winy.

- Zgadza się - powiedział Tate. - Winy.

Matthews spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Osiemnaście lat temu - zaczął powoli Tate, zwracając się do Megan - byłem prokuratorem w Wirginii. Wyrabiałem sobie nazwisko. „Washington Post” nazwał mnie najgorliwszym młodym prokuratorem w stanie. Przyjmowałem każde zlecenie, jakie przychodziło do biura. Pracowałem osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Wracalem do domu, do twojej matki, w najlepszym razie co drugi weekend. Wyjeżdżałem na trzy, cztery dni i nawet nie dzwoniłem. Usiłowałem stać się moim dziadkiem. Prawnikiem-farmerem-patriarcha. Miejskowa sława. Z dużą rodziną. Ze starym domostwem. Niedzielne obiady, zjazdy rodzinne, święta...

Pragnąłem tego, czego nie chciała Bett, zrozumiał wreszcie Tate po ich rozmowie parę dni temu.

- Właśnie wtedy twoja ciocia Susan miała poważny atak serca. Najgorszy. Spędziła miesiąc w szpitalu, a potem właściwie zawsze była przykuta do łóżka.

- O czym ty opowiadasz? - szepnęła zimno Megan.

- Susan była mezatka. Pamiętasz jej meza.

- Wujek Harris.

- Miałas racje w swoim liście, Megan. Twoja matka poświęcała mnóstwo czasu opiece nad swoją siostrą. Razem z Harrym.

- Nie - powiedziała ostro Megan. - Nie wierze w to.

- Chodzili razem do szpitala, na obiady i kolacje, na zakupy. Czasem Bett gotowała mu obiad w jego mieszkaniu. Sprzątała tam. Twoja ciocia cieszyła się z tego. Ja też byłem zadowolony. Mogłem bez przeszkód zajmować się swoimi sprawami, a twoja matka miała towarzystwo.

- Ona ci o tym opowiedziała? - spytała Megan.

Jego twarz była pozbawiona wyrazu jak maska, gdy powiedział:

- Nie. Harris mi powiedział. W dniu swojego pogrzebu.

Tate był na gorze tego ciepłego listopadowego popołudnia piętnaście lat temu.

Pogrzeb się skończył, goście jechali na farmę Collierów. Susan była zbyt chora, żeby grać rolę gospodyni stypy. Bett miała ją zastąpić.

Stojąc w oknie sypialni, Tate spoglądał na lake. Gorące powietrze, pył zeschłych liści.

Trzyletnia Megan siedziała na ławce ogrodowej. Wyglądała na podniecona i szczęśliwa, aczkolwiek oczywiście zupełnie nie rozumiała, czym jest pogrzeb.

A Bett stała na taborecie i zawieszala lampiony.

Tate wyszedł na górę, żeby otworzyć okna i przewietrzyć na drugim piętrze pokoje dla gości mających zostać na noc. Okno się zablokowało. Zdjął marynarkę, żeby lepiej je chwycić i usłyszał szelest papieru w kieszeni. Podczas pogrzebu jeden z prawników Harrisa wręczył mu kopertę zaadresowaną odrocześnie do Tate'a. Osobisty list. Zapomniał o tym. Teraz otworzył kopertę. Przeczytał krótki list.

Tate skinął głową, złożył list, zszedł na dół i wyszedł przed dom.

Zapamiętał, że z wieży stereo płynęła piosenka Loretty Lynn.

Zapamiętał, że usłyszał szelest wiatru wśród pozostawionej trawy i turzycy, poruszającego pędy dyn i odpady z tegorocznych zbiorów kukurydzy.

Zapamiętał, że przyglądał się Bett rozwieszającej lampiony i Megan patrzącej na niego z ławki. Potem przeszedł na tył podwórka. Zatrzymał się i patrzył na pole ciągnące się z boku, na różnobarwne cukierki halloweenowe rozrzucone po wyblakłej trawie. Patrzył i patrzył...

Dużo później, gdy goście odjechali albo położyli się do łóżek, Bett sprzątała i zdejmowała lampy z drzew. Tate podszedł do niej od tyłu i zamiast objąć z ramienia, jak zrobiłby to w późniejszej godzinie nocnej w domu żony, podał jej list.

- Musimy porozmawiać - szepnął.

Przeczytała i skinęła głową. Nie zaprzeczyła niczemu, o czym mówił list: wielkiej miłości Harrisa do Bett, trwającemu rok romansowi, ojcostwu Megan, temu, że odmówiła rozwieść się i wyjść za Harrisa, groźbie, że odbierze mu całkowicie dziewczynkę, jeśli Harris powie jej siostrze o ich zdradzie. Pod koniec słowa przemieniły się w szalency belkot i rozpaczliwie szczere wyznanie, że ból jest nie do zniesienia.

Żadne z nich nie płakało, gdy tego wieczora Tate spakował walizkę i odjechał. Nigdy później nie spędzili wspólnie nocy pod jednym dachem. Az do przedwczoraj.

Pomimo obecności szalency z nożem zaledwie kilka stop od nich, uwaga Tate'a była skupiona wyłącznie na dziewczynie. Ku jego zdumieniu, na jej twarzy odmalował się nie szok czy gniew, ale współczucie. Poglaskała go po nodze.

- To ty zostałeś zraniony. Tak mi przykro, tatusiu.

Co się robi z cudzym okrucieństwem? Odchodzi się czy zostaje? Ludzie stają się sobie zupełnie obcy czy nadal są razem? Decyzja należy do ciebie.

Tate spojrzał na Matthewsą.

- Właśnie dlatego muszę wygrać, Aaronie - powiedział bez triumfu, za to ze smutkiem w głosie. - Odebranie mi jej nic nie da.

- Nie! - krzyknął Matthews. - Musi! Bog tak mi powiedział!

- Czy znasz klasyczne powody karania zbrodni, Aaronie? - spytał Tate. - Żeby zniechęcić do złego zachowania - nie skutkuje. Jako środek zapobiegawczy - nic nie daje. Żeby resocjalizować - kiepski żart. Żeby chronić społeczeństwo - no cóż, gdyby tylko można zbrodniców zamknąć na zawsze. Wiesz, jaki jest prawdziwy powód, dla którego karzemy? Wstyd nam to przyznać. To barbarzyńskie, tak, ale jakże skuteczne. Stary dobry biblijny odwet. Krwawa zemsta jest jedynym uczciwym motywem kary. Dlaczego? Ponieważ jej celem jest zmniejszenie cierpienia. Ty skrzywdziłeś mnie, ja skrzywdzę cię. Widzisz, Aaronie, twoje założenie jest w porządku. Twoja logika bez zarzutu. Ale w tym wypadku nie działa. Nie możesz odebrać mi dziecka, ponieważ go nie mam.

Megan chciała coś powiedzieć, ale Tate potrząsnął głową.

Niech milczenie zakończy rozprawę.

Matthews oparł głowę o okno. Jeczac, wyglądał na zewnątrz. Słońce stało już wysoko i jego światło wpadało do wnętrza w rozbłyskach, gdy sine chmury przetaczały się szybko na wschód. Mamrotał coś do siebie. Potem odwrócił się do nich. Skinął głową dziwnie oficjalnie.

- Przyjmuje twoja propozycje. Twoje zycie za jej, Collier. Dziewczyna moze odejsc.

Megan usilowala protestowac.

Ale Tate wiedzial, ze wygral. Cokolwiek teraz by powiedziala lub zrobila, nie zmieni jego decyzji.

- Zagonie psy, wracam za piec minut. - Zamknał drzwi; zamki zatrzasnely sie za nim.

Rozdział 36

- Czy to prawda?

- Tak - odpowiedział.

- Nigdy nic nie mówiles.

- Bett błagała, żebym tego nie robił. Az do śmierci Susan. Lekarze dawali jej rok albo dwa życia. Zgodziłem się.

- Ale... - szepnęła Megan.

Uśmiechnął się słabo.

- Och, tak. Ona nadal żyje. Dlatego wciąż udajemy, że jesteś naszym wspólnym dzieckiem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałes? Ciocia Susan nie musiałaby wiedzieć.

Tate przyglądał się uważnie straszonym ranom na jej dłoniach.

- Miał właściwy moment - powiedział w końcu.

- Przez wszystkie te lata - krzyknęła - sadyłam, że to moja wina! - Rozesmiała się i złożyła mu głowę na ramieniu, dokładnie tak samo jak Bett przedwczoraj rano w łóżku. - Musiałam być dla ciebie strasznym ciężarem. Okropnym przypomnieniem.

- Kochanie, chciałbym moc zaprzeczyć, ale nie mogę. W połowie byłeś osobą, którą kochałem najbardziej na świecie, a w połowie ta, której najbardziej nienawidziłem.

- Powiedziałam coś kiedyś - zaczęła, szlochając cicho. - Spędziłam u ciebie weekend i mama zapytała, jak było. Odpowiedziałam, że bawiłam się niezłe, ale czegoż można oczekiwać, jak ma się zaledwie poprawnego ojca. Myślałam, że mnie spierze. Dostała zupełnego szalu. Powiedziała, że jesteś najlepszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała, i że nie wolno mi nigdy więcej tak mówić.

Tate się uśmiechnął.

- Poprawny ojciec dla niewygodnej corki.
- Dlaczego nigdy wiecej nie sprobowaliscie razem?
- Minal wlasciwy moment - powtorzyl.
- Musiales ja bardzo kochac!

Tate rozesmial sie gorzko na mysl o ironii losu. Dziecko, ktore kiedys ich rozdzielilo, teraz zblizylo ich do siebie - przynajmniej na jedna noc.

Jak bardzo milosc jest skapa, pomyslal. Jak rzadko sklada sie wszystko: przysiega, pewnosc, potrzeba, okolicznosci, prozna chec dzielenia czasu z drugim czlowiekiem. I cenna rozpacz. Wydaje sie to niemozliwe, cudowne.

Przyjrzel sie Megan. Obie, jego ekszona i zastepcza corka, beda sie mialy dobrze. Skoro prawda wyszla juz na jaw. Dluo to trwalo, ale lepiej pozno niz wcale. Och, tak, bedzie im dobrze.

Kroki na zwirze sie zblizaly.

- Posluchaj, Megan - powiedzial szybko. - To bardzo wazne. Zadzwon do Archiego Bella w biurze prokuratora stanowego. To moj stary przyjaciel. Powiedz mu, ze twoja matka jest prawdopodobnie w areszcie we Front Royal...

- Co?

- Nie ma czasu na wyjasnienia. Ale Bett tam jest. On przysle jej prawnika. Bedzie potrzebowala dobrego obroncy.

Dziewczyna skinela glowa.

- Pobiegnie - powiedziala. - Sprowadze pomoc. Policje i lekarza dla Josha.

- Josha?

- On tu jest. Zyje, ale jest ciezko ranny. Zdolasz powstrzymac przez chwile Matthewsza?

Nie pozwolilby jej odejsc z przekonaniem, ze umrze za dziesiec minut, totez odparl:

- Powstrzymam go przez jakas godzine. Pedz jak szalona. Mam nadzieje, ze masz jeszcze kondycje po tych wszystkich lekcjach baletu, za ktore placilem.

Drzwi otworzily sie ze skrzypnieciem. Podskoczyli oboje. Matthews wszedl ostrocznie, w wyciagnietej rece trzymal wielki noz.

- Zegnaj - zwrocil sie do Megan.

Uscisnela mocno Tate'a. Poczul, ze jej dlon przeslizguje sie po jego rece i chwytla mocno zwiazane dlonie. Zmarszczyl brwi, gdy wcisnela mu cos do reki. Ale cialo mial pozbawione czucia po porazeniu pradem, dlatego nie mogl zgadnac, co to.

- Trzymaj sie tego - szepnela. - I nie sluchaj go, cokolwiek bedzie mowil. Pamietaj... - przycisnela usta do jego ucha - ...niedzwiedzie nie umieja mowic.

Po czym wstala chwiejnie, a Matthews wypchnal ja za drzwi, ktore zamknely sie za nia z trzaskiem. Przez brudne zakratowane okno Tate widzial, jak zbiegla po podjezdzie i zniknela za brama.

Matthews wsunal rewolwer Tate'a do kieszeni i postawil prawnika na nogi.

Rozdział 37

Niedoskonały świat, tak.

A zatem będzie musiał wystarczyć niedoskonały pokój.

Znawali się na zewnątrz budynku w wietrzny wiosenny poranek Wielkiego Piątku; żółta kula słońca właśnie wysunęła się nad horyzont. Dość szybko szli ramię w ramię wśród wysokiej trawy, a nad ścieżką kładły się wazki. Koniki polne odbijały się od nóg mężczyzn, pozostawiając na ubraniach brązowe plamki.

Psy biegły niespokojnie za nimi, obwąchując grunt i odbijając się od siatki ogrodzającej wybieg, usiłowały wyrwać się i rzucić na intruza, który wszedł u boku ich pana.

- Przyjrzyj się temu miejscu - odezwał się Matthews tonem konwersacji. Zataczył łuk reka. - Pamiętam, jakby to było wczoraj: tłumy, pieśni, modły, ludzie na kolanach...

Gestem nakazał, żeby się zatrzymali. Tate nadal miał związane ręce, dlatego Matthews pomógł mu wspiąć się na estradę. Potem wszedł za prawnikiem, który przyglądał mu się spokojnym wzrokiem. Pogodził się z losem. Wiedział, że jest martwy. Ta pewność sprawiała, że był szczęśliwy. Oczy świętego oczekującego na mecenstwo.

I będzie rządził na wieki...

Przeżnięte drewno przechylonego pulpitu zwróciło uwagę Colliera.

Matthews kopnął pulpit, który przewrócił się ciężko. Rozesmiał się.

- Ojciec raz w życiu zabrał mnie na wycieczkę, na Times Square w Nowym Jorku. Żeby zobaczyć Billy'ego Grahama. To było w latach sześćdziesiątych. Jedyne nasze wspólne wakacje. „Jak wielkie są dzieła Twoje...”. Wiesz, Collier, Bog co trzydziści lat wybiera swojego rzecznika. George Whitefield we wczesnych latach Ameryki. Charles Finney i Dwight Moody w dziewiętnastym wieku. Billy Sunday podczas pierwszej wojny światowej. Aimee Semple McPherson. Graham, oczywiście. Tym właśnie jestem. Jego wybranym.

Bog wszechmogacy panuje.

Nie zostało wiele czasu, uzmysłowil sobie Matthews. Szacował, że ma jakąś godzinę albo dwie do przyjazdu policji. Wystarczy, żeby tu skończyć, dostać się na lotnisko Dullesa i zdążyć na samolot do Los Angeles. Wciągnął głęboko powietrze. Samo odcięcie języka nie zabije Colliera w tak krótkim czasie. Ale zemdleje z bólu i zadławi się własną krwią. A Matthews tymczasem...

Matthews zauważył, że Collier się śmieje, unosił brew.

- Rzecznikiem? - spytał Collier. - Tak właśnie myślisz?

Matthews nie odpowiadał.

- Jakże bardzo się mylisz, Aaronie. Bog nie ma dla ciebie czasu.

Złote światło poranka padło na ich twarze.

- Słyszałem, jak do mnie mówił - wyjaśnił spokojnie Matthews.

- Nie, Aaronie. Nie wiem, co słyszałeś, ale na pewno nie był to Bog.

- Uczynił mnie swoim rzecznikiem.

- Zabijesz swojego syna i usiłujesz zrzucić na mnie winę. To nazywasz boskim odwetem?

Matthews nachylił się, tak że jego twarz znalazła się kilka cali od Colliera.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Słyszałem Jego słowa. Otwierałem usta i płynęły Jego słowa. To cud!

- Nie, Aaronie. Słyszałeś szalenstwo swojego ojca. I swoje. Tylko to słyszałeś. Szalenstwo, które zabiło twojego syna.

- Nie masz pojęcia...

- W porządku, ktoś do ciebie przemówił. Ale to nie był Bog. To był szalony starzec, który okaleczył dziewczynę i kradł przestraszonym ludziom pieniądze w imię Boga. Pamiętam zeznanie twojego syna podczas procesu. O tym, jak twój ojciec zaciągnął cię na pole, gdy miałeś dziesięć czy jedenastę lat, jak chciał oszukać tłum. Zobaczcie mojego syna Aarona, przyglupa, którego język wiję się dla Jezusa, głosicie chwale Pana, alleluja.

Nie! Matthews poczuł gniew. *Cale moje dzieciństwo, cale moje życie opierało się na założeniu, że Bog mnie wezwał. Jeśli nie, to...*

- Zmarnowałeś życie. - To niesamowite, jak dokładnie Collier dokonał jego myśli.

Matthews przewrócił go na deski.

- Nie!

Prawnik zdolal sie podniesc z powrotem.

- Moge tego dowiesc - powiedzial. - Czysta logika. Nie do odrzucenia. Chcesz posluchac?

Matthews wpatrywal sie w niego.

- Jako niewierzacy nie masz prawa mowic o Bogu.

- Blad, Aaronie. Wierze w Boga. Jest On milosierny i wlasnie z Jego powodu przestalem posylac ludzi na smierc. Wierze w Boga ze wzgledu na to, co powiedzial Wolter. Powiedzial, ze musi istniec Bog, poniewaz nie mozna sobie wyobrazic zegarka bez zegarmistrza.

Matthews posluzyl sie kiedys tym samym konceptem w jednym ze swoich kazan.

- Mysle jednak rowniez - ciagnal Collier - ze zegarek, niezaleznie od tego, jak doskonaly i skomplikowany, nigdy nie pojmie swojego tworczy. Gdy twierdzimy, ze sie nam to udalo, efektem jest szalenstwo.

- Nic mi nie udowodniles. Mowiles o logice. Nie widze tu zadnej logiki.

- A wiec posluchaj: jesli Bog istnieje, musi pozostawac dla nas calkiem niepoznany. Nie zgadzasz sie z tym? Nie? - naciskal Collier. - Bog, ktorego potrafilibysmy zrozumiec, bylby wybrakowany, poniewaz my nie jestesmy doskonali. Bog musi byc doskonaly.

Matthews milczal.

- Otoz twierdzisz, ze Bog kazal ci porwac Megan, jako moja pierworodna, dla dokonania zemsty. Ale Megan nie jest moja pierworodna. Skoro Bog nie moze sie mylic, nie mogl kazac ci jej porwac. Nie do obalenia.

Logika tego wywodu otoczyla Matthews'a niczym wodorosty nogi pływaka.

Ale nie, nie, Bog przyslal ja do mnie, pomyslal ze zloscia Matthews - byl to milosierny uczynek, ktory objasnil wszystkie tajemnice jego zycia, tłumaczyl, ze jego syn nadal zyje pomimo zimnego dowodu na cos przeciwnego, dowodzil, ze Bog jest milosierny i sprawiedliwy, ze dzieciństwo Matthews'a, ktore uplywalo w cieniu starego szalenca, nie poszlo na marne.

- Jesteś głupcem, Matthews. Całe twoje życie było kłamstwem.

- Przestani! - Matthews skoczyl i chwycil Colliera za przod koszuli. - I powiedzialem: Bede zwazal na moje sciezki, abym nie zgrzeszyl jezykiem.

Psy szalaly w poblizu, rzucaly sie na ogrodzenie wybiegu, wyginajac siatke.

Matthews siegnal do kieszeni po noz myśliwski.

- Kiedy napominasz kogos, aby ukarac jego grzech, sprawiasz, ze to, czego pozada, roztapia sie. Kazdy smiertelny byt jest tylko tchnieniem wiatru.

Matthews zamrugal, widzac biale piorko wznoszące sie w powietrze dokladnie za glowa Colliera. Co to jest?

Nie zadne piorko, tylko kawalek plastiku. Bialy plastikowy noz! Jak te, ktorymi Megan przebila sie przez sciany. Podrzucila mu ostatni. Zaskoczony Matthews uswiadomil sobie zbyt pozno, ze Collier mowil tylko po to, zeby odwrocic jego uwage, zeby opoznic, zeby przyciagnac go do siebie.

Jedna z silnych rak Tate'a chwycila prawe ramie Matthews'a, druga zas zwinela sie w piesc i wyladowala kilka razy na jego brzuchu. A potem na nosie. Pociekla krew; Matthews zawyl z bolu i zsunal sie z estrady, przewrocil sie i upuscil noz, gdy wysunal reke, zeby zlagodzic upadek. Upadl ciezko i wyciagnal rewolwer z kieszeni.

Collier zeskoczyl z tylu estrady i pobiegl po trawniku w strone ogrodzenia, jeszcze bardziej rozwscieczajac psy. Szczekaly i wyly, rzucaly sie calym cialem na siatke.

Zanim Matthews zdazyl wstac i wycelowac, Collier wpadl miedzy sosny i wysoki zywoplot z bukszpanu. Szalenciec wystrzelil dwa razy, ale dwukrotnie chybil.

Matthews wbiegl na polane i zatrzymal sie, nasluchujac krokow. Nagle uslyszal glosny dzwonek. Kilka razy.

Bramka z tylu plotu...

Pobiegl w tamta strone. Byla otwarta. Collier rozbil klodke kamieniem i przeplynal strumien na tylach posiadlosci. Teraz wspinal sie po skarpie. Wyrazny cel. Matthews strzelil ponownie, ale kula zrykoszetowala po siatce. Przebiegl przez furtke, rzucil sie na kolana i strzelil jeszcze raz.

Collier skoczyl i znikl mu z pola widzenia.

Ledwie dyszac, Matthews skoczyl do wody, przeplynal i zaczal wspinac sie na skarpe po drugiej stronie, a za nim szczekaly psy i rzucaly sie na siatke ograniczajaca wybieg. Slonce zaczelo przeganiac poranny chlod.

Rozdział 38

Tate nie upadł daleko.

I zdolał wyladować na nogach, gdy przetoczył się po gładkim kamiennym podłożu jaskini, pięć albo sześć stop poniżej otworu.

Słyszał świst kuli nad głową i uznał, że gdyby nie wpadł do groty właśnie w tej chwili, pocisk trafiłby go między łopatki.

Przykucnął, łapiąc oddech, i rozejrzał się. Tunel nie był robotą człowieka. Podejrzewał, że to jeden z setek korytarzy, które razem tworzą gigantyczną sieć jaskiń Luray i innych podobnych w tym rejonie. Pieczary były dość bezpieczne, w każdym razie te przy oznakowanych szlakach. Niemniej od czasu do czasu w prasie pojawiały się notatki o ludziach, którzy zaginęli lub utknęli i których ciała znaleziono na polu pozarte przez zwierzęta.

A tu z całą pewnością nie było oznakowanych szlaków.

Collier nasłuchiwał, przechylając głowę ku otworowi. Z początku nic nie słyszał. A potem: ostrożne szuranie stop o suchą trawę i liście na zboczu.

Rozejrzał się. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Tunel biegł od otworu prosto w głąb góry. Wydawał się płaski, nie wspinał się ani nie opadał, ale znikał w kompletnej ciemności zaledwie dwadzieścia stop od miejsca, w którym znajdował się Tate.

Kroki się zbliżały.

Nie miał wyboru. Nie w obliczu szalency z pistoletem. Wszedł w czarną dziurę tunelu i powoli zaczął wyczuwać drogę na gładkiej powierzchni.

Zrobił nie więcej niż dwadzieścia kroków, gdy usłyszał za sobą stukot spadających kamyczków i głuchy odgłos stop ładujących na kamieniach, po czym rozległy się ostrożne kroki poscigu.

Panowała absolutna ciemność. Kompletnie nic nie widział. Mogł iść przed siebie, jedynie macając dłońmi ściany, ciężar opierał na stopie pozostającej w tyle, przednią zaś wysuwał niczym

laske, by upewnić się, że tunel nie zapada się nagle, nie zmienia kierunku albo nie staje się polką biegnącą pięćdziesiąt stop nad podziemnym strumieniem.

Za sobą słyszał ciche szuranie. Stuk upadającego kamyka.

Poruszanie się w tej atramentowej ciemności przepelniało go dziwnym uczuciem. Przed oczami w niewytłumaczalny sposób wirowały kolory, żółty i czerwony. Upiorne kształty - oczy i twarze - pojawiały się i znikaly. Był pewny, że zobaczył wiszącego przed sobą głowa w dół wielkiego nietoperza. Gdy podszedł, wyciągając przed siebie rękę dla obrony, stworzył okazał się tylko szczelina w ścianie.

Szuranie przybliżyło się, toteż Tate przyspieszył.

Oceniał, że zabrał jakieś ćwierć mili w głąb góry. Zgubił się całkowicie. Po drodze minął kilka rozgałęzień, ale chcąc zachować jakieś poczucie kierunku, trzymał się tego, co uznał za duży główny tunel. Teraz jednak uswiadomił sobie, że skręcał parę razy w lewo i w prawo, i że nie ma pojęcia, czy krecił się w koło, czy szedł przed siebie. Zauważył jednak, że podłoga zdecydowanie się obniża.

W oddali usłyszał szum wody, minął też coś, co wydawało się niewielką szczeliną w skale, po jej drugiej stronie dostrzegł słabą żółtawą poświatę. Fosforyzujące skały, uznał. Szedł dalej.

Szurające kroki Matthews'a wciąż się przybliżały.

Tate przyspieszył.

Aż wreszcie ściany zbliżyły się do siebie na tyle, że tunel nagle okazał się nie do przejścia. Kroki za nim posuwały się nieubłagane, a raz i drugi Tate usłyszał stuk metalu o kamień, coraz bliższy.

Usłyszał wciąganie powietrza i dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Sądząc po odgłosach, karnodzieja znajdował się o jakieś piętnaście stop od niego.

Tate zatoczył ostrożnie koło, szukając w kamiennej ścianie jakiejś szczeliny, w którą mógłby się wcisnąć. Nic. Tylko sześciocalowy otwór między scisniętymi niespodziewanie ścianami tunelu. Brak drogi ucieczki.

Tate zaczął się wycofywać i usłyszał - bardzo blisko - głuchy stuk, gdy Matthews wpadł na ścianę. Cztery albo pięć stop od niego.

Tate przywarł do ściany i zamarł w bezruchu, otworzył szeroko usta, żeby oddychać jak najciszej.

Gdzie on jest? Jak blisko?

Włączył się szosty zmysł, niczym radar - może jakaś zmiana natężenia dźwięku - i Tate z przerażeniem stwierdził, że mężczyzna znajduje się zaledwie o krok od niego. Czuli, że mięśnie zaczynają mu drgać z napięcia i z trudem zachował bezruch.

Bez ostrzeżenia Matthews krzyknął i zamachnął się nożem w prawo. Uderzył w skałę kilka cali obok głowy Tate'a, krzesząc pomarańczową iskrę. Tate powstrzymał się od jakiegokolwiek reakcji i powoli przykucnął, obmacując podłogę tunelu w poszukiwaniu kamienia, który mógłby wykorzystać jako broń. Nic nie znalazł.

Matthews zamierzył się ponownie. Tym razem ostrze uderzyło w skałę tuż nad głową Tate'a, właśnie tam gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się jego brzuch. Przykucnął jeszcze bardziej.

- Collier! - Ten krzyk sprawił mu fizyczny ból. Ciecie po skałę. Ostrze skrzesło snop iskier. Tate zamknął oczy. Miał wrażenie, że dzięki temu lepiej słyszy - a może budzi zwierzęcy instynkt. Był pewny, że mężczyzna się oddalił. Odczekał chwilę, aż nabrał pewności, że szuranie oddaliło się ku wejściu.

Tate wyczłogął się na czworakach z zagłębienia, w którym się chował, i zaczął wymacywać drogę powrotną.

Zaledwie kilka jardów przed sobą słyszał szuranie stop Matthews'a, który szukał drogi na zewnątrz. Mężczyzna westchnął i najwyraźniej usiadł. Zaczekał tu, aż głód albo pragnienie zmuszą ofiarę do wyjścia. Tate podejrzewał, że Matthews był zdolny zostać tu na wieki; dla kogoś, kto słyszał, jak Bog przemawia przez jego usta, długie czuwanie w tunelu to pestka.

Właśnie w tej chwili twarz Tate'a, który wciąż się człogał, owiał chłodny powiew. Jego ręka wyczuła pustkę po prawej stronie - mniejszy tunel zbiegający w dół. Zmrużył oczy i wydało mu się, że zobaczył światło, bardzo słaba żółtawa poświata odbijająca się od sklepienia grotu.

Z trudem wcisnął się w otwór, usiłował zorientować się, w którą stronę biegnie tunel. Wkrótce średnica korytarza zmniejszyła się do dwóch stop, a tunel powoli zaczął się wznosić. Tate podążał nim w milczeniu.

Jakies dwa kroki.

Potem podłoga wąskiego korytarza nagle zniknęła.

Krzyknął, spadając z wysokiej polki i lecąc głową w przód po zboczu o prawie czterdziestopięciostopniowym nachyleniu. Zsuwając się, rozsunał szeroko nogi, żeby zahamować ped, ale nie przyniosło to żadnego efektu - poruszał się coraz szybciej. Jechał po zwirze, zdzierając skórę z dłoni i łokci, porywając ze sobą kamienie, które otoczyły go niewielką lawiną. Krztusił się od pyłu. A ściany i sklepienie tunelu zbliżały się do siebie, aż wreszcie Tate nie mógł nawet wyciągnąć w bok krwawiących łokci. Musiał trzymać ręce przed sobą niczym w skoku do wody.

Utknie głowa do przodu.

Wyobraził sobie powolne duszenie się, szalenstwo ogarniające go w skalnym więzieniu. Żywcem pochowany.

Pomyślał o Bett, a potem o Megan.

Nagle otoczyło go złote światło niebios i poczuł, że wiruje w powietrzu. Wylądował ciężko na warstwie osadów wapiennych, które zamortyzowały upadek, zmiażdżone jego ciężarem niczym złote koralowce. Leżał zamroczony, spoglądając na fosforyzujące zielono i żółto osady, oświetlające ogromną jaskinię, do której wleciał.

Usiadł, masując reke. Złamany nadgarstek spuchł tak, że gdy Tate pociągnął za mankiet, guzik odpadł pod naporem nabrzmiałego ciała. Zamroczyło go na chwilę, ale spuścił głowę, żeby nie zemdlec.

Po czym usłyszał szuranie nad głową; kamień uderzył go w ramię, a za nim poleciał zwir.

Matthews przybliżał się tunelem.

Tate jeknął z bólu i chwycił w lewą reke kamień wielkości grejpfruta. Zwążył bron w ręce, czekał, aż Matthews zjedzie na dół.

Przykucnął. Kolejna porcja zwiru z otworu. Tate rozejrzał się za lepszą bronią, jakimś odłamkiem skały przypominającym maczugę.

Pocisk minal go o kilka cali. Huk wystrzału poderwał chmure nietoperzy, które krążyły teraz szalenczo, tworząc żywą mgłę w całej jaskini. Echo powtórzyło huk dwa razy, po czym umilkło, stłumione przez trzepot skorzystych skrzydeł i wysokie piski nietoperzy.

Tate odskoczył i zobaczył Matthewsę w wylocie tunelu. Udalo mu się zejść powoli i teraz zezował na Tate'a, usiłując wymierzyć z pistoletu w chmurze nietoperzy.

Kolejny strzał.

Tate odczłogął się i wspinał na ogromny stalagnit, z którego skoczył na polkę znajdująca się piętnaście stop nad ziemią, posługiwał się przy tym tylko jedną ręką. Przykucnął pod przewieszoną skalą, tutaj nie sięgną go pociski Matthewsę.

Oszalale nietoperze utworzyły tak gęsty wir, że wydawało się, że w jaskini nie ma powietrza, tylko chmura skrzydeł, małych pazurków i wilgotnych, blisko osadzonych oczu.

Matthews odganiał nietoperze i spokojnym krokiem zmierzał ku stalagnitowi.

Tate wcisnął się głębiej w szczelinę skalną. Uderzył złamana reka o występ i omal nie zemdlał. Dwa nietoperze odbiły się od jego głowy. Spojrzał w dół. Matthews wspinał się po skale, twarz miał zakrwawioną, a w oczach błyszczało mu szalenstwo. W dłoni trzymał pistolet.

Lewa reka Tate cisnął w jego stronę spory kamień, potem następny. Matthews wycofał się za stalagnit. Wspinał się dalej. Za kilka sekund będzie w doskonałej pozycji do strzału.

Tate działał szybko.

Podszedł do krawędzi skały i w chwili gdy Matthews rzucił się ku niemu, krzyknął najgłośniej,

jak potrafil:

- Niech Bog mi wybaczy, Aaronie!

Wysilek poraził bolem jego reke. Osunął się na kolana i omal nie spadł z polki.

- Niech Bog mi wybaczy Aaronie niech Bog mi wybaczy Aaronie niech Bog mi wybaczy Aaronie...

Echo tego głosu dobiegalo ze wszystkich stron i Matthews odwrócił się, przekonany najwyraźniej, że Tate zdolal jakos dostac się za niego. Szalencie stracił oparcie i zsunął się dziesięć stop po stalagnicie na podłozę jaskini. Upuścił rewolwer, ale nic mu się nie stalo. Podniósł się powoli.

Tate usilował wstac, ale ból w rece był zbyt dotkliwy. Leżał, stanowiąc doskonały cel, gdy Matthews podniósł bron i podszedł do skaly.

Tate trzymał oczy szeroko otwarte. Matthews podniósł rewolwer, poruszając lekko ustami. Modlitwa? - zastanawiał się Tate. Rozgrzeszenie? Raczej pozegnanie.

Wymierzył w klatkę piersiową Tate'a.

W tej samej chwili z wejścia wystrzelił czarny kształt.

Wrzaski nietoperzy przybrały na sile o sto decybeli i chmura zawirowała w szalenczej ucieczce od potwornego wycia. Następny kształt. Trzeci. Matthews zmarszczył czoło, opuścił lufę i odwrócił się w stronę zawirowania. Tate dostrzegł pomieszenie czerni, brązu i czerwieni, gdy rottweiler skoczył w powietrze, chwycił nietoperza i rozerwał go na kawalki.

Trzy psy kreciły się w poszukiwaniu ofiar, po czym rzuciły się do przodu, wściekle, oszalałe od poscigu i niesamowitych dźwięków wydawanych przez nietoperze. Wyrwały się z wybiegu, złapały trop Tate'a na polu i teraz, wyjąc i szczekając, usilowały wdrapać się na skale, i wpadały w coraz większy szal, gdyż nie udawało im się to i spadały na skalne podłozę grotu.

Może przybiegły tu, scigając Tate'a, ale w koncu, gdy ich szalenstwo przebrało miare, zwrocily się przeciwko swojemu panu.

Matthews wrzasnął, gdy jeden z psow rzucił się na jego nogę, a drugi chwycił reke. Krepe lby trzesły się szalenczo, tak szybko, że zmieniły się w rozmazaną masę wśród pekających delikatnych ludzkich kosci. Matthews upadł. Pistolet wystrzelił raz, kula uderzyła w fosforyzujący osad na sklepieniu jaskini, rozpryskując kaskadę zielonych, niebieskich i złotych iskier, które opadły niczym swiateczne fajerwerki wśród chmury nietoperzy.

Warczące psy szarpały miotające się ciało Aarona Matthews'a. Był silny, uderzał zwierzęta w brzuchy i kopał je po pyskach, ale one zachowywały się jak oszalałe. Jeden chwycił Matthews'a za szczękę i potrząsnął mocno jego głową; przenikliwy wrzask wypełnił jaskinie. Odrywały kawalki mięsa z jego ramion i brzucha. Inny zerwał but i wgrzyzł się klami w stopę.

Powoli krwawy kształt zamierał. Tate domyślił się, że Matthews nie żył w chwili, gdy trzeci wielki rottweiler skoczył i zacisnął szczęki na jego gardle. Ale może nie, ponieważ wydało się, że Matthews zawołał coś, błagał lub modlił się; głęboki baryton wypełnił jaskinie. Tate nachylił głowę, nasłuchując, ale słowa zginęły w warczeniu psów, szalenczym trzepocie tysięcy nietoperzy i bólu, który dzwieczył w jego własnych uszach.

Epilog

Plaza Bahia de Cristo w Belize jest jedna z najpiękniejszych w Ameryce Łacynskiej.

Nawet teraz, pod koniec kwietnia, powietrze było gorące. Niemniej bryza owiewała hordy turystów ciągnące bez końca od klimatyzowanych barów i restauracji oferujących owoce morza do basenów i plaży i z powrotem. Windsurfing, ładujące parolotnie i narty wodne nie pozwalały powierzchni turkusowej wody uspokoić się ani na chwilę. W jednej zatoczce setki nurków zanurzały się w wodzie w swoich eleganckich, a zarazem dziwacznych kostiumach.

Ten kurort jest również znanym punktem wypadowym dla tych, którzy pragną zwiedzać ruiny Majów - w odległości dwóch mil od głównej promenady Bahia znajdują się dwa doskonale zachowane miasta.

Caribe Inn jest najbardziej luksusowym hotelem w mieście - zbudowany w stylu kolonialnej hiszpańskiej hacjendy, otrzymał cztery gwiazdki w kategorii Mobila i pochwały od różnych innych firm; wszystko dumnie wywieszono w recepcji, przy której stał teraz Tate, mając nadzieję, że recepcjonista mówi po angielsku.

Okazało się, że mówi, Tate wyjaśnił więc, że ma rezerwacje, po czym wyciągnął paszporty i kartę American Express.

- Ile pokoi...? - zapytał recepcjonista.

- Dwa.

Oczywiście, odpowiedział recepcjonista, zerkając na zabandażowane dłonie Tate'a i zdarta skóra na jego ramieniu. Tate wypełnił kartę meldunkową niezgrabnym pismem.

- Ach, pan jest z Wirginii - zauważył recepcjonista.

- *Si, cerca* Waszyngtonu DC - odpowiedział niepewnie Tate, kartkując słownik i spodziewając się, że jego wymowa skieruje konwersację na inne tory, jeśli nie urazi recepcjonistę.

- Byłem tam kilka razy. Szczególnie podobało mi się w Smithsonian.

- Si - powtorzył Tate, nie pamiętając słów, by odpowiedzieć pełnym zdaniem, a przecież ćwiczył w samolocie. Jak na człowieka, który kroczył przez świat dzięki słowom, jego znajomość języków była rozpaczliwa.

Zauważył, że recepcjonista przygląda się formularzowi rezerwacji z lekkim zdziwieniem na ciemnej, przystojnej twarzy. Tate sądził, że wie dlaczego. Mezczyzna dokładnie obejrzał przed chwilą atrakcyjną kobietę, która weszła do hotelu razem z Tate'em, i chociaż - ze względu na specyfikę zawodu - widział pary połączone wszelkimi możliwymi zdarzeniami losu i pozadaniem, za nic w świecie nie potrafił wymyślić, dlaczego ci dwoje zadają osobnych pokoi.

Mezczyzna jest w końcu mezczyzna...

Megan odłożyła słuchawkę telefonu w holu i podeszła do recepcji w chwili, gdy urzędnik pokazywał Tate'owi wolne pokoje. Tate wskazał dwa, najpierw niewielki pokój wewnętrzny, potem większy, na rogu, z widokiem na plażę.

- Ja wezmę ten, a moja córka narożny.

- Nie, tato, ty weź ten ładniejszy.

- To paska córka? - spytał recepcjonista, którego ciekawość została wreszcie zaspokojona. - Oczywiście, powinienem był się domyślić.

- Przepraszam? - spytał Tate.

- Chodzi mi o podobieństwo. Młoda dama jest bardzo do pana podobna.

Jego podejrzliwość odzyla, gdy zobaczył, że goście wymieniają szybkie spojrzenia i usiłują powstrzymać śmiech. Tate pomyślał, że powinien potwierdzić pokrewieństwo, ale w końcu uznał, że nie ma się co przejmować.

A poza tym, doszedł do wniosku, tajemnica ma urok, którego zawsze będzie brakować udokumentowanym faktom.

Uzgodnili pokoje, a kiedy recepcjonista sprawdził kartę Tate'a, ruszyli za boyem przez ogromną werandę.

- Josh mówi, że ma świetnego nowego rehabilitanta - powiedziała Megan.

- Miło słyszeć.

- W zasadzie rehabilitantkę. Myślisz, że jest gruba i stara?

- Wracamy za sześć dni. Sama się przekonasz. Możesz mi przypomnieć, kiedy mówi się *de nada*?

- Gdy ktoś ci podziękuje. To znaczy „nie ma za co”.

- *Gracias... de nada* - powiedział Tate i powtórzył wszystko kilka razy.

- Dzwoniłam też do Bett. Cieszy się, że przyjechalismy bez problemów. Kazała zrobić mnóstwo zdjęć.

- Zadzwoń do niej później.

- Ona, hmm, wybierała się wieczorem do Brada. Nie przeszkadza ci to?

- Nie. A powinno?

- Pewnie nie. Powiedziała, że rozmawiała z Konniem i on przyjdzie do ciebie do biura we wtorek o dziewiątej, żeby porozmawiać o sprawie.

W zeszłym tygodniu Tate pojawił się w sądzie kryminalnym po raz pierwszy prawie od pięciu lat - na odczytanie aktu oskarżenia Konniego. Odpowiedział na proste pytanie sędziego równie prostymi słowami: „Niewinny, wysoki sędzie”. Nie była to jego najbardziej wyszukana mowa. Ale wystarczyła.

Miał przygotowaną linię obrony. Nazwał ją „sprovokowanym odurzeniem”. I chociaż obiecał Megan, że spędzi ten tydzień, zwiedzając i bawiąc się, schował w walizce trzy książki prawnicze i spodziewał się zakończyć podróż co najmniej z gotowym początkiem oświadczenia dla ławy przysięgłych. Jeśli nie wrecz z jednym lub dwoma zestawami pytań do świadków.

Znaleźli pokoje.

- *Gracias de nada* - powiedział Tate i wsunął boyowi do kieszeni przerazliwie wysoki napiwek.

Pol godziny później wyszli spod pryszniców i przebrali się w szorty khaki, podkoszulki i słomkowe kapelusze. *Los turistas* w każdym calu. Zeszli do recepcji i zapytali, jak dostać się na rowerach do najbliższych ruin. Recepcjonista załatwił wypożyczenie rowerów i wytłumaczył, jak jechać. Było tuż po południowej sjeście i większość gości zdążyła ku białej piaszczystej plaży. Ale Tate i Megan zdjeli ze stojaka dwa zniszczone rowery i skierowali się w przeciwnym kierunku.

- Ktoredy? - zawołała.

Wskazał jej kierunek i wsiedli na rowery.

Pomimo sporego pieszego ruchu i niesamowitego upалу popędzili po spekanym asfalcie prosto ku gestej, pachnącej dżungli, stając na pedalach i goniąc się nawzajem, jakby liczyła się każda chwila, jakby dzień miał się już ku końcowi, jakby stracili mnóstwo godzin przeznaczonych na poznawanie świata i musieli je nadrobić.